



KONTYNUACJA BESTSELLEROWEJ POWIEŚCI
ARABSKA ŻONA

TANYA VALKO

ARABSKA CÓRKA

Prószyński i S-ka

TANYA VALKO

ARABSKA CÓRKA



*I Bóg uczynił dla was ziemię jak kobierzec,
abyście chodzili po niej szerokimi drogami*.*

* Koran, sura 71, wersy 19–20, przeł. Józef Bielawski, PIW 1986.

Wszelka zbieżność występujących w powieści nazw własnych z rzeczywistymi, w tym imion, nazwisk i nazw instytucji, jest zbiegiem okoliczności lub funkcjonują one jako powszechnie znane. Wszystkie wydarzenia opisane w książce są fikcją literacką.

1 PORZUCENIE

Wizyta strasznych zbójów

Zmartwiona Dorota siedzi przy oknie i stuka się w czoło milczącą czarną słuchawką telefonu. Do kogo może jeszcze zadzwonić, kto zechce pomóc zniszczonej kobiecie z dwójką małych dzieci, kto zechce z nią rozmawiać? Jest beznadziejnie samotna. Patrzy przez okno na opuszczony dom teściowej po drugiej stronie wąskiej ulicy i na zwiędnięte liście wirujące w szarym od pyłu powietrzu. Czuć zimę. Dorota mocno przytula niczego nieświadomą Darię, która słodko cmoka mleko z jej piersi, przymykając oczy z rozkoszy. Całuje jej małą, pokrytą delikatnym puszkim główką. Jej serce ściska się z bólu, a oczy wypełniają łzami. Starsza córeczka, Marysia, cicho wchodzi do pokoju i przytula się do pleców mamy. Jakaż ona stała się spokojna i smutna. Szóstym zmysłem wyczuwa, że jest źle. Nie wie, ale też nie pyta, dlaczego jej towarzysze, dzieci ciotki Miriam, wyjechali tak nagle do ojca do Ameryki. Nie docieka, czemu kochająca babcia i ciotki rozmyły się we mgle. Parę razy tylko zagadnęła, czy może pójść je odwiedzić, a kiedy usłyszała „nie”, jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Nie zadała typowego dla dziecka pytania: Dlaczego? W tej sytuacji aż się o to prosi, lecz ona milczy i tylko patrzy spode łba na otaczający ją smutny świat. Ojca prawie w ogóle nie widuje, czasami jedynie słyszy jego krzyki i wymierzane matce razy. Zaczęła chodzić do arabskiej szkoły, bo najwyższy czas na edukację. Nie zaaklimatyzowała się jednak. Pewnego poranka stwierdziła, że więcej tam nie pójdzie i żeby jej nawet o to nie prosić. Tak też się stało, bo teraz matka woli mieć ją przy sobie.

– Basiu, tutaj Dot... – W końcu załamana Dorota decyduje się na jedyny telefon, który jeszcze jest w stanie wykonać.

– Mmm... – słyszy odpowiedź i rozpoznaje głos byłej przyjaciółki.

– Już nikt mi nie został, Basiuniu, w tobie jedyna nadzieja – mówi błagalnym tonem. – Przyjaciele powinni sobie wybaczać. Przepraszam, że tak długo nie dawałam znaku życia, ale wiesz, utknęłam na wsi, wśród problemów rodzinnych i pieluszek wypełnionych kupką – usiłuje nadać swojej wypowiedzi żartobliwy ton, choć wcale nie jest jej do śmiechu.

– Jak trwoga, to do Boga – słyszy po dłuższej chwili.

– Wszystko oczywiście wiemy i tylko się dziwimy, co ty, u diabła, jeszcze tutaj robisz?! – wykrzykuje Baśka.

– Jak to wiecie?! Co wiecie?! Czyżby nasza historia była już na pierwszych stronach lokalnych gazet?

– Trypolis to wbrew pozorom mała wiocha, a kiedy pracuje się w branży, tak jak mój stary, to nie sposób nie usłyszeć plotek. Jeśli Malika, była pani ambasador, pupilka wodza, wyjeżdża z dnia na dzień tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, i to na drugorzędne stanowisko, to coś jest nie tak. A kiedy jeszcze zabiera ze sobą całą najbliższą rodzinę, a resztę rozsyła po świecie, to już poważnie daje do myślenia.

– No tak, prosta układanka – przyznaje Dorota.

– Tylko, pozwolisz, że się powtórzę, nie mogę zrozumieć, czemu ty tutaj jeszcze siedzisz!?! – znów podnosi głos.

– Jesteś jakąś męczennicą?!

– Wiesz... – zaczyna cicho.

– Nie, nie wiem, nie rozumiem, nie ogarniam tego wszystkiego! Czemu nie wyjechałaś z matką, czemu nikt z tej pieprzonej, zakłamaniej rodzinie ci nie pomógł, czemu tutaj siedzisz i czekasz na...

– Bo się nie dało – gwałtownie przerywa potok jej słów.

– Bo oczywiście najpierw Ahmed nie chciał mnie wypuścić, a potem zdecydował, że ja

mogę wypierdalać, ale dzieci zostają z nim. Ty sobie to wyobrażasz? Maleńka Daria, przecież ona ma dopiero sześć miesięcy... – Kobieta traci dech i nic już nie może z siebie wydusić.

– Czy mam ci powiedzieć: „A nie mówiłam?! A nie ostrzegałam?!”.

– Tak – wyrzuca z siebie i wybucha niepohamowanym płaczem.

– My teraz już nie możemy ci pomóc, nie przyłożymy do tego ręki – mówi twardo. – To jest zbyt wielkie gównno, w które nie damy się wciągnąć, nie utoniemy z tobą, przykro mi.

Zapada cisza. W zasadzie Dorota powinna się rozłączyć, ale zamarła z przerażenia, jakby usłyszała wydany na siebie wyrok.

– Jednak mogę zadzwonić do Piotra, mam nadzieję, że jeszcze pamiętasz naszego miłego konsula? Masz szczęście, że nadal tutaj pracuje, bo to dobry chłop i z jajami.

– Tak? – jęczy cicho, wycierając nos trzęsącymi się palcami.

– Za pół godziny za rogiem waszej małej uliczki będzie stało auto, nie taksówka, tylko prywatny biały nissan. Nie pytaj kierowcy o nic, nie wymieniaj żadnego imienia czy nazwiska, nie mów nawet, gdzie ma cię zawieźć. On będzie wiedział. Teraz tylko ambasada może cię przygarnąć i tylko nasz MSZ może coś wymyślić, żeby cię stąd wyrwać. Jesteś w takiej sytuacji, że muszą ci pomóc. To już nie zwykłe problemy rodzinne.

– Ale ja nadal nie mam paszportów, ani nawet aktu urodzenia Darii.

– Gównno! – Baśka krzyczy wściekła. – Ty nic ze sobą nie bierzesz, rozumiesz, głupia kozo!? Żadnych toreb, żadnych walizek! Wychodzisz, tak jak stoisz, ewentualnie jednego pampersa w kieszeń i *jalla*¹.

– Tak – odpowiada jak automat, spinając się w sobie.

– I nie dzwoń do mnie więcej. Jeśli ktoś zechce spojrzeć na billing, to i tak mam przesrane – tymi słowami bez pożegnania przyjaciółka kończy rozmowę.

Młoda matka zrywa się na równe nogi. Kładzie Darię na łóżku, Marysi wydaje krótkie polecenie zapakowania do szkolnego plecaczka najważniejszych rzeczy, a sama rzuca się do szafy w poszukiwaniu jak najmniejszej torby. Przecież musi wziąć ze sobą przynajmniej dwie pary majtek. Po piętnastu minutach jest gotowa. Stoi w drzwiach sypialni, po raz ostatni ogarniając ją wzrokiem.

Nagle słyszy trzaśnięcie drzwi wejściowych na dole i podniesione męskie głosy. Skóra jeży się jej na plecach. Przerazona rozgląda się dookoła, szukając innej drogi ucieczki. Zamiera jednak bezradnie, z Darią na rękę, Marysię przesuwając za siebie. Nie jest w stanie wykonać kroku.

– Nie wiem, po co tutaj w ogóle wszedłem – brzmi nieznamy męski głos. – Co sobie wyobrażasz? Że funkcjonariusza możesz przekupić? – ktoś wrzeszczy i słychać uderzenie. – Mówię ci, do auta i po robocie. I tak się nie wykręcisz, bratku. – Znów cios i stłumiony jęk Ahmeda.

Dorota przykładła palec do ust i pokazuje Marysi: ani mru-mru. Przerazona poprawia Darii smoczek i na palcach wycofuje się z powrotem do sypialni. Nie wiadomo, co się stało, może ze strachu zbyt mocno ścisnęła maleńką córeczkę, a może jej walące serce obudziło niemowlaka – Daria nagle otwiera oczy, wykrzywia buzię i wydaje z siebie najpierw cichy pisk, a po chwili wyje już jak syrena. Dorota wbiega do pokoju, zamyka drzwi na klucz i barykaduje je ciężką komodą. Skąd ma tyle siły, żeby ją przesunąć, nie wiadomo. Na dodatek wykonuje to w zawrotnym tempie. Rzuca się pędem w najdalszy kąt sypialni, ciągnąc za sobą przerażoną Marysię. Siadają na podłodze i obejmują się kurczowo, lecz Daria nie przerywa swojego koncertu. Przerazona kobieta słyszy kroki na schodach i ze strachu zaciska szczękę. Ktoś szarpie klamkę, później wali w ciężkie drewniane drzwi, które powinny wytrzymać. Jednak po chwili mocne kopnięcie rozwała zamek i już wiadomo, że nic nie jest w stanie ich uratować. Wyrwane z zawiasów drzwi przewracają ciężką szafę. Kto może mieć tyle siły, a może tyle furii, żeby tak

zrobić? Dorota nie chce się tego dowiedzieć i zamyka oczy. Dziewczynki zawodzą już razem.

– Aaa, taki kwiatusek tutaj chowasz, skurwysynu. – Wielka męska kreatura obraca się w stronę Ahmeda stojącego niepewnie w wejściu i wymierza mu siarczasty policzek.

– No, pokaż się tutaj. – W dwóch susach jest już przy kobiecie i ciągnie ją za włosy. – Jaką blondynę sobie przygruchał! – śmieje się obrzydliwie, ukazując przy tym poźółkłe nierówne zęby.

Unosi Dorotę za włosy i spódnice i rzuca ją na wielkie małżeńskie łóżko. Marysię pacnięciem odtrąca w kierunku leżącej na podłodze Darii. Jeszcze raz taksuje kobietę wzrokiem, ściąga popękane wargi, a potem powoli zwraca się w kierunku pokornego Ahmeda, męża i ojca rodziny.

– No – mówi w końcu, jakby dawkując napięcie. – Może się jednak dogadamy, koleś. Puszczą blond włosy kobiety, a ona jak lwica broniąca małych rzuca się w kierunku zapłakanych i roztrzęsionych córeczek. Mężczyźni wychodzą z pokoju, zostawiając przerażoną gromadkę we łzach. Ahmed nie robi nawet jednego kroku w ich kierunku. Słysząc szepty w korytarzu, a potem gardłowy obleśny śmiech opryska. Jeszcze jeden głos, pełen rozbawienia, dołącza do pozostałych.

Po chwili akcja nabiera tempa, słysząc głośny tupot nóg na schodach, jakieś rozmowy, czuć smród tanich papierosów. Kobieta z córkami siedzi na podłodze jak wmurowana, jakby była tylko obserwatorem toczących się zdarzeń. Ahmed wpada do sypialni. Nie patrząc na nią, wyrzywa jej krzyczące dzieci, bierze je jak koty pod pachę i nie oglądając się za siebie, wychodzi. Do pokoju, z otwartą butelką whisky w dłoni, wchodzi główny oprawca i Dorota jest już pewna, na czym polega to dogadanie się. Jej kochany mąż bez namysłu i skrupułów sprzedał ją za swoją pieprzoną fundamentalistyczną skórę.

W miarę możliwości usiłuje stawiać opór, lecz siła obleśnego oprycha jest ogromna. Zapasy nie trwają nawet minuty i już czuje jego paluchy w swoim wnętrzu.

– Oj, cieplutka cipcia z ciebie – dyszy jej do ucha, a odór wydobywający się z jego ust zapiera dech w piersiach.

– Ech, jak ja bym miał taką w domu, tobym się nigdzie po nocach nie włóczył i gównem by mnie obchodzili ci, co się bombkami obwieszają.

– Skurwysyn, zasrany gnój. – Kobieta wyrzuca z siebie wyzwiska, ledwo mogąc złapać oddech pod ciężarem przygniatającego ją wielkiego cielska.

– A to i racja. – Gwałciciel śmieje się, zrywając z niej przy tym majtki. – Święta racja, idiota z tego twojego chłopca.

Z tymi słowami wchodzi w nią jednym silnym pchnięciem i od bólu w kroczu, promieniującego gwałtowną falą na dół brzucha, Dorota prawie traci przytomność. Męczyzna nie przestaje i bez spoczynku zalicza ją wielokrotnie, a ona spływa spermą i krwią. Jej zapłakane oczy powoli zasnuwa mgła. Jakby z oddali, z innego wymiaru, dochodzi do jej uszu własny jęk. W końcu oprawca wyciąga fiuta z głośnym plaśnięciem i zadowolony z siebie, jednym tchem opróżnia pół butelki whisky.

– Hej, nie bądź taki chytrus, daj innym poużywać!

– słysząc natarczywe męskie głosy dobiegające z korytarza. – Szefie...

– Niech mi no tu który teraz wejdzie, a zastrzelę jak psa – odgraża się dowódca grupy. – Jak skończę, to jeszcze się zabawicie – obiecuje, a jej jest już wszystko jedno. Ma tylko nadzieję, że tego nie przeżyje.

– No i co, laluniu, kontynuujemy? – pyta obmierzłe. Ostatkiem sił i świadomości zgwałcona kobieta rzuca się z pazurami na paskudną, dziobatą twarz oprawcy. Jeszcze widzi strużkę krwi płynącą z brwi gwałciciela, a potem brutalnie, za nogi, zostaje obrócona na

brzuch i przed oczami ma tylko kolorowy pled, który dostali z Ahmedem od jego matki na siódmą rocznicę ślubu.

* * *

Ahmed trzęsącymi się rękami usiłuje otworzyć drzwi do swojego wielkiego domu rodzinnego. Marysia stoi obok niego ze zwieszoną głową i wielkimi, smutnymi, nieprzytomnymi ze strachu oczami. Jej twarz wyraża nie tyle przerażenie, co zdumienie i jakąś nieobecność. Daria wije się pod ojcowską pachą jak piskorz, lecz płacz zamienił się w słabe, ledwo słyszalne kwilenie.

– Co się tutaj dzieje? – Drzwi gwałtownie się otwierają i staje w nich zagniewana i piękna starsza Arabka.

– Babciu! – Marysia rzuca się w jej objęcia i wybucha niepohamowanym płaczem. – Babuniu kochana, jesteś, nie wyjechałaś, nie zostawiłaś mnie – szłocha dziewczynka i wykrzywia usteczka w podkówkę.

– Wchodźcie prędko i zamykajcie drzwi. – Kobieta zaniepokojona popycha całą gromadkę do środka. – Gdzie Dorota, czemu ona też nie schroni się u mnie? – pyta ostro, spoglądając podejrzliwie na syna. – Wysłałaś ją samą do Polski! – mówi z wyrzutem.

– Potem pogadamy. – Ahmed wciska matce rozdygotaną Darię i pędem udaje się do swojego pokoju.

– Synu, zadałam ci pytanie! – krzyczy starsza kobieta. – Nie zachowuj się jak cham i nie odwracaj do mnie plecami. – Chwyta go mocno za rękaw koszuli i osadza w miejscu.

– Babciu, babciu! – Marysia, opanowując szloch, włącza się do rozmowy. – Babciu, mama została w tym wielkim domu cioci Miriam! Przyszły straszne zbroje, napadły na nas...

– Co ty, dziewczynko moja, opowiadasz? – Matka z niedowierzaniem patrzy w stronę Ahmeda.

– Ja nigdy nie kłamię, tak mnie uczyła mamunia i ty, babuniu. Nie wolno, ani w islamie, ani u chrześcijan, prawda?

– Tak, kochana, nie wolno kłamać i nie wolno też robić złych rzeczy, ale niektórzy ludzie wychowani w wierze dopuszczają się ich notorycznie – odpowiadając, nie patrzy na wnuczkę, lecz wymownie spogląda w oczy swojego syna. – Czy to prawda, Ahmedzie? – pyta zimno.

– Porozmawiamy później, bez dzieci. – Mężczyzna obraca się na pięcie i zamyka im drzwi przed nosem.

– Marysiu, mamie na pewno nic nie jest, tylko musi zapakować parę rzeczy do walizek, żebyście miały w co się przebrać.

– A te paskudne chłopy, oni rozwalili drzwi do sypialni i bili mamę i tatę! – Naprawdę, nie mogę w to uwierzyć... – Arabka zawiesza głos, patrząc w próżnię.

– A tata nic nie zrobił, nie pomógł mamusi, tylko porwał nas i uciekł. Dlaczego, babciu? Dlaczego? Ja chcę do maaaamy. – Dziewczynka ponownie zaczyna płakać, dołącza do niej młodsza siostra, a kobieta nie wie, jak ma uspokoić roztrzęsione dzieci.

– Będziecie dzisiaj spać ze mną – wpada na jedyny dobry i możliwy do realizacji pomysł. – Chodź, Marysiu, wykąpiemy się, napijemy czekolady, a jak jutro rano wstaniesz, to mama już będzie w domu. Dobrze?

– Babuniu moja kochana... – Siedmiolatka przytula się do kwiecistej długiej spódnicy i obejmuje z drżeniem jedyną życliwą jej osobę. Teraz już czuje się bezpieczna.

* * *

– Co tym razem zrobiłaś, ty diabelskie pomiotło?! – Arabska matka z rozwianym włosom

wpada do pokoju, w którym jej syn pije ciepłą whisky prosto z butelki.

– Nie drzyj ryja, matko – odpowiada powoli Ahmed, obracając się w jej kierunku.

– Matka ma ryj?! Ale cóż, po tobie można się wszystkiego spodziewać. Nie masz szacunku dla nikogo i niczego na świecie, jesteś jeszcze podlejszy niż twój ojciec! – wykrzykuje na koniec.

– No to się do niego wyprowadź. A w ogóle to co ty tutaj robisz? Miałaś być w Akrze z Maliką i Chadidżą.

– Nie zmieniaj tematu. Myślałeś, że dom wolny, że nikt ci nie będzie przeszkadzał, ale się pomyliłeś. Mam prawo być tam, gdzie chcę. Co zrobiłeś tym razem tej biednej Dorocie?! Czy to prawda, co mówi Marysia?

– To cię nie powinno obchodzić. – Ahmed pociąga z butelki wielki łyk. – Ona dla ciebie ni brat, ni swat. – Jest matką moich wnuczek, jest kobietą i na dokładkę bardzo ją polubiłam. Tym bardziej że z tobą miała same problemy i z godnością to wszystko zносиła. Wszystko zapewne dlatego, że cię kochała, a nie było warto.

– Idź spać, ja swoje problemy rozwiązuję sam. – Mężczyzna, ledwo trzymając się na nogach, wstaje i wypycha matkę za drzwi.

– Jeśli mi nie powiesz, co tam się dzieje, to sama pójde i sprawdzę. – Kobieta zapiera się, trzymając kurczowo futryny.

– No to idź, może też się załapiesz na małe bzykanko.

– Ahmed śmieje się lubieżnie.

– Co?! – wykrzykuje matka piskliwym z przerażenia głosem. – Ty to wszystko zainscenizowałeś?! – Chwyta się za gardło, gdyż oburzenie dławi ją i zapiera dech w piersiach. Jej twarz staje się ziemistopopielata, a wielkie czarne oczy patrzą z niedowierzaniem. – *Wallahi*², niech mnie Bóg pokarze, że wydałam na świat takiego potwora.

* * *

Wczesnym rankiem Ahmed po cichu skrada się do wielkiego wymarłego domu. Wchodzi kuchennymi drzwiami, które są otwarte na oścież. W kuchni jest jak w chlewie – po ziemi walają się opróżnione butelki po whisky i wódce, na stole resztki jedzenia, które już zdążyły obleźć wszędobylskie muchy. Gdy orientuje się, że intruzi opuścili dom, wbiega na pierwsze piętro i z niepokojem wchodzi do sypialni. Widok jest straszny. Dorota leży z rozrzuconymi nogami, pomiędzy których wypływa krwawa maź. Nie daje znaku życia, jej twarz jest zapuchnięta i sina od razów. Mężczyzna pochyla się nad nią i nasłuchuje oddechu. Nie będąc pewien, z obrzydzeniem dotyka żyły na jej szyi, w której wyczuwa słaby puls.

– Kurwa! – mówi szeptem, z niezadowoleniem wykrzywając usta i siadając ciężko na poplamionym małżeńskim łożu. – To mam niezły pasztet.

Wychodzi do sąsiedniego pokoju i zaczyna dzwonić w różne miejsca. Po kolejnej rozmowie z oddechem ulgi wraca do ledwo żywej żony, zawija jej pohańbione ciało w pled i znosi do garażu.

Dorotę budzi tępy ból promieniujący na cały brzuch, począwszy od pachwin, a skończywszy na przeponie. Nie ma pojęcia, gdzie się znajduje i co się dzieje. Coś szumi, coś kołysze ją do snu. Jest tak słaba, że nie może nawet podnieść powieki. Dotyka czegoś, w co jest zawinięta. To chyba pled z sypialni. Obolałymi rękami nasuwa go na głowę i znów zapada się w próżnię. Z odrętwienia budzi ją gwałtowne bujanie i podskoki, sprawiające obolałemu ciału niewypowiedzianą mękę. Gdzieś z oddali dochodzą głosy, ktoś pyta, drugi odpowiada. Z ogromnym trudem otwiera jedno oko i odkrywa twarz. Ciemność. Ciemność i zaduch. W panice zaczyna macać dookoła siebie. To chyba jest bagażnik. Chciałaby zacząć kopać i krzyczeć:

„Ludzie, ratujcie mnie!”, lecz na nic nie ma siły. Brakuje jej powietrza, a ciało pokrywa zimny pot. Łzy napływają do oczu i przynoszą ukojenie. Niech już to się skończy, niech już będzie po wszystkim. Otacza ją coraz głębsza czerń, czuje, jak zapada się w sobie, oddala od otaczającej rzeczywistości, od własnego ciała i cierpienia.

– Rusz się! – Mocny uchwyt prawie łamie jej rękę i ktoś brutalnie wyciąga ją z ciemnej, śmierdzącej nory.

– Co za pieprzona baba, co za syf i dno. Że też człowiek musi na to patrzeć. – Stary sękaty Arab usiłuje postawić ją na nogi, które jednak się uginają i Dorota ląduje na ziemi. Maca rękami dookoła i czuje piasek przesypany między palcami. Rześkie, wręcz zimne powietrze owiewa jej ciało i doprowadza do przytomności. Z trudem podnosi głowę. Spod na wpół przymkniętych, zapuchniętych powiek widzi w odległości około dwudziestu metrów męża, gwałtownie dyskutującego z nieznanym mężczyzną. Co on szykuje? Co tym razem? Czy znów oddaje jej ciało za swoją wolność? Z całych sił wyteża wzrok i zauważa, że w rękach nieznajomego ląduje gruby plik banknotów. Potem jeszcze trochę.

– *Baba*³! Dawaj tę tam do komórki! – Chyba się dogadali. – *Fisa, fisa*⁴, nie wszyscy muszą widzieć, co się tutaj wyprawia.

Ojciec mężczyzny z siłą ponad wiek szarpie i pogania kopniakami ledwo żywą kobietę, chcąc zaprowadzić ją do szałasów znajdującego się w rogu wielkiego podwórza. Ona usiłuje spojrzeć za siebie, chcąc się przekonać, że może to jakaś pomyłka. Przecież jej mąż, nawet będąc największym łajdakiem, nie może zostawić jej tutaj na pewną zgubę.

– *Hmeda* – krzyczy słabym głosem. – Ahmed, co ty wyprawiasz? Zabierz mnie stąd, człowieku!

Nie słyszy jednak odpowiedzi, zamiast tego dostaje od dziadka potężnego kuksańca w głowę, po którym pada na piach. Odwraca się w kierunku miejsca, gdzie mężczyźni dobijali targu. Nikogo już tam nie ma. Z drugiej strony wysokiego muru z piaskowca słychać oddalający się ryk silnika.

¹ [← powrót do tekstu] *Jalla* (arab.) – tu: wychodź; chodź, w drogę.

² [← powrót do tekstu] *Wallahi* (arab.) – Na Boga!

³ [← powrót do tekstu] *Baba* (arab. libijski) – tata.

⁴ [← powrót do tekstu] *Fisa* (arab.) – szybko.

Ciemne sprawy

Babciu, sprawdziłam calusieńki dom i mamy nigdzie nie ma. – Marysia ciągnie śpiącą kobietę za brzeg długiej nocnej koszuli. – Gdzie ona jest? No gdzie? – coraz bardziej natargywie próbuje obudzić babkę.

Starsza pani błyskawicznie siada na łóżku i z przyzwyczajenia przygląda włosy.

– Najpierw nakarmimy Darin, a potem wszystko sprawdzimy. Zapytamy twojego tatę, dobrze? – odwleka wyjaśnienie dziecku, co się stało, bo sama też niewiele wie.

– Zgoda, to ja ci pomogę, żebyśmy szybciej znalazły mamę. – Marysia bierze siostrę na ręce i uginając się pod jej ciężarem, prawie biegnie do kuchni.

Stara Arabka otwiera pokój syna, lecz prócz opróżnionej butelki na biurku nie ma po nim śladu.

Cóż on tym razem zgotował tej miłej, bezbronnej dziewczynie?, pyta samą siebie, ukrywając przed wnuczkami łzy w oczach. A może wszystko się jeszcze ułoży?, pociesza się.

– Wszystko w rękach Allaha. Po śniadaniu pomodlimy się do Wszechmocnego, to na pewno nas wysłucha – mówi już na głos. Tymczasem Ahmed nie pojawia się w domu przez cały długi dzień, i następny, i jeszcze jeden.

– Babciu, obiecałaś. – Dziewczynka z coraz większym zniecierpliwieniem domaga się spełnienia prośby.

– Marysiu, gdzie mamy szukać, co możemy zrobić? Jestem tylko ja, stara Arabka, i wy, dwie małe dziewczynki. Możemy się wpakować w jeszcze większe tarapaty – tłumaczy. – Musimy uzbroić się w cierpliwość, kochanie.

– Ja nie wiem, co to cierpliwość! – wykrzykuje rozgoryczone dziecko. – Chodźmy do domu cioci, tam gdzie została mama.

– Ale ja nie mam kluczy. – Kobieta oponuje, bojąc się zastać tam najgorsze. – Czekamy na waszego tatę i koniec, nie mamy innego wyjścia – decyduje. – A żeby zabić czas, możemy upiec ciasto – dodaje ze smutnym uśmiechem na twarzy.

– Ja chcę do mamy! – Marysia krzyczy tak głośno, że jej biała buzia robi się czerwona. – Czy ty nie rozumiesz?!

– Wstaje od stołu, zrzuca na podłogę kubek pełen herbaty i biegnie do pokoi na najwyższym piętrze, gdzie kiedyś mieszkała z rodzicami. Wtedy gdy była jeszcze taka szczęśliwa.

* * *

– Malika?! – Ahmed krzyczy do słuchawki telefonu. W odpowiedzi słyszy jedynie szumy i trzaski. – Malika, jesteś tam?

– Ajwa¹ – odpowiada głos płynący jakby z zaświatów.

– Musisz mi pomóc, siostró. – Mężczyzna od razu przechodzi do konkretów.

– A gdzie pytanie jak się czuję, czy jestem zdrowa, jak sprawy, jak Chadidza...

– Mam dość pilną sprawę, która nie może czekać.

– Co znowu nawywijałeś? – przerywa mu przerażonym głosem. – Co jeszcze potrafisz zmagstrować?!

– Nie denerwuj mnie! Potrzebuję zwłok, najlepiej po wypadku.

Na linii zapada cisza, a po chwili Ahmed słyszy sygnał przerwania rozmowy. Błyskawicznie ponownie wybiera numer.

– Nie rób mi tego, siostró. Wiem, że masz układy z państwowymi szpitalami. W końcu

masz prywatną klinikę, nie?

– Jakiej płci mają być te zwłoki? – chłodno pyta rozmówczyni.

– Kobieta.

– *Wallahi*, coś ty jej zrobił?! Musiałeś ją zabijać?! Nie mogłeś wypuścić jak człowiek, żeby pojechała spokojnie z matką? Przecież byś już jej więcej w życiu nie widział. Taki grzech, taka hańba! *Haram, haram*²! – Słysząc cichy szloch i przerywany oddech. – Ona sobie na to nie zasłużyła!

– Zamknij się! Po pierwsze jej nie zabiłem, tylko wywoziłem w bezpieczne, odludne miejsce, a to jej się należało. Po drugie chciałem, żeby wyjechała, ale bez dzieci. Dziewczynek nigdy jej nie oddam i koniec, kropka! – podnosi głos. – A po trzecie nie będę ci się już więcej tłumaczył. To, co usłyszałaś, to wszystko, i nie próbuj więcej ode mnie wyciągać.

– Czy nie można powiedzieć, że jest w Polsce? Byłoby po sprawie. Tak jest łatwiej i czyściej. Poza tym za chwilę nie będą mieli kogo pytać, bo my, wszystkie kobiety z rodziny, będziemy w Akrze, a ty w końcu też gdzieś spieprzysz, mój głupi jak osioł braciszku.

– Ale przemowa – kpi z siostry. – Na razie to mamusia związała ci z Ghany, bo chyba tak dobrze ją tam traktowałaś. Samira też jeszcze włóczy się po Trypolisie, a ja mam wyjazd dopiero w planach, do których realizacji też cię potrzebuję.

– Ho, ho, ho! To ty beze mnie żyć po prostu nie możesz, a ściślej biorąc, palcem do dupy sobie nie możesz trafić!

– Już miałem jeden telefon, od konsula z polskiej ambasady – grobowym głosem informuje Ahmed. – Skąd ten urzędas miał mój komórkowy numer?!

– I co chciał?

– Rozmawiać z Blondi. Pytał, kiedy wróci. Powiedział, że jak nie pozwolę jej się z nim skontaktować, to przyjedzie do nas do domu, a następny etap to policja i dochodzenie. Oni już wiedzą, że jej nie ma w Polsce.

– Przylatuję najbliższym samolotem – zimnym tonem oznajmia Malika.

* * *

– Ciocia Malika! – Marysia rzuca się w objęcia eleganckiej, zgrabnej Arabki pod czterdziestkę. – Jak dobrze, że jesteś, ty na pewno znajdziesz moją mamę, ty wszystko umiesz, prawda? – pyta błagalnym tonem, wyczekująco patrząc jej w oczy.

– Oj, Miriam, jak ty urosłaś, i chyba trochę przytyłaś – żartuje przybyła, chcąc ominąć poruszony przez dziecko temat.

– Ciociu, pomożesz mi? – Dziewczynka nie daje się zbić z pantalyku.

– Ależ oczywiście, kochanie. Matka siedzi w kącie salonu, karmiąc z butelki małą Darię, i patrzy na swoją córkę z wyrzutem. Ostentacyjnie się nie odzywa. Samira przycupnęła na pufie na jednym półdupku, a z całej jej postaci emanuje choroba. Jej martwy wzrok nie wyraża żadnego zainteresowania otaczającym ją światem.

– Siostrzyco kochana, już jesteś! – Ahmed wybiega z gabinetu i rzuca się do drzwi wejściowych, jakby chciał wziąć ją w ramiona.

– Musiałam, to przyleciałam. – Malika zimno kwituje te fałszywe czułości. Obraca się na pięcie i chowa za ladą jadalni. – Mam cztery dni na załatwienie wszystkiego, więc myślę, że nie będziemy tracić czasu na udawanie cudownej rodzinki i przejdziemy od razu do konkretów.

Po tych słowach kieruje się do gabinetu brata, łukiem omijając zbaraniałego Ahmeda. Po drodze dotyka ramienia matki.

– Musimy później porozmawiać – szepcze jej do ucha.

– Przepraszam.

* * *

– Znów miałem telefon – oznajmia Ahmed po zamknięciu drzwi. – Tym razem od Baški, tej ordynarnej blond szarmuty³, chyba ją pamiętasz?

– Mąż tej, jak ją nazwałeś, dziwki pracuje w MSZ-ecie na dość wysokim stolku i może ci tak koło pióra zrobić, że się nie pozbierasz. – Malika osadza go z pogardą. – Miało być szybko, to nagrałam parę spotkań już na dzisiaj, ale widzę, że pętla na twojej szyi zaciska się błyskawicznie. W zasadzie to bym ci życzyła więzienia albo nawet czegoś gorszego, ale moim obowiązkiem jako siostry jest ci pomóc. Ufam, że będzie to ostatnia przysługa, której ode mnie żądasz. I ostatnie nasze spotkanie. – Zdenerwowana bierze głęboki oddech. – Mam przede wszystkim nadzieję nigdy więcej nie widzieć cię na oczy.

– *As you wish*, siostro. – Mężczyzna pogardliwie wygina wargi, lecz widać, że to wyznanie go poruszyło, bo na pobladyłym policzku zaczęła pulsować mu żyła, a szczęki się zacisnęły.

– Mówiłem ci przez telefon, że jeszcze będę cię potrzebować do zorganizowania mojego wyjazdu, pamiętasz?

– Najpierw ważniejsza sprawa, bo jeśli cię złapią, to pojedziesz tylko w jednym kierunku: do pierdła, a do zorganizowania tej wycieczki nie będę ci już potrzebna.

– Ależ ty masz cięty język, już prawie zapomniałem, jaka z ciebie franca. Biedne baby, że są skazane na ciebie, twoją łaskę i niełaskę, i twoje humorki. Dziewczynki również pojedą z tobą – oznajmia nagle, nie pytając o zdanie.

– To ich paszporty. – Rzuca na stół libijskie dokumenty w zielonej oprawie.

– Więc znalazły się! Jak miło!

– Nigdy nie zginęły. – Uśmiecha się ironicznie.

– A czy zastanawiałeś się, co powiesz Miriam? Czy ona coś widziała, czy się domyśla?

– Toż to tylko siedmiolatka, bez przesady! – Mężczyzna lekceważy problem.

– Ale mądre dziecko, nawet nie masz pojęcia, jak to może odbić się na jej psychice. Poza tym ona tak łatwo nie odpuści i wierzę, że na zawsze zapamięta ci wyrządzoną jej matce i jej samej krzywdę.

– Gówno prawda! Powie się jej to, co wszystkim. Pokłóciliśmy się, Dorota wsiadła do auta i rozpierniczyła się na śmierć. Proste. Pogrzeb szybki, bez żadnej stypy, rozbijania namiotów na pół ulicy i czterdziestodniowej żałoby. Żadnych gości, płaczek i góry żarcia. Za cztery dni wyznikacie, a po chwili ja wyfruwam. I po sprawie, gotowe. – Ucieszony świetnym planem Ahmed z zadowolenia klepie się dłońmi po nogach i radośnie uśmiecha.

– Ciekawa jestem, skąd weźmiesz rozbity samochód, należący oczywiście do niej lub do ciebie. Chyba że chcesz rozwalić swojego meška. Proponuję: zrób to osobiście. – Siostra z satysfakcją osadza go w miejscu.

Jakiż obłudny drań z tego mojego brata, chyba podlejszy od ojca, a wydawało się, że nie ma już gorszych. Tacy są właśnie mężczyźni, takie gnoje i dranie – Malika zadumała się, patrząc przez okno na smutny zimowy krajobraz. Gorące porywy wiejącego od pustyni *gibli*⁴ niosą tumany pyłu i piachu wymieszane z uschniętymi liśćmi, plastikowymi reklamówkami, połamanymi gałęziami drzew i wyrwanymi, uschniętymi krzakami. Zanoszą się na deszcz. Jak ta biedna Dot przeżyje na jakimś odludziu?

– Czas załatwić tę gównianą sprawę. – Malika gwałtownie odwraca się w kierunku drzwi, nie dając się ponieść uczuciom nostalgii i żalu.

* * *

Ahmed i Malika wkraczają do śmierdzących formaliną piwnic wydziału medycyny sądowej. Ściany z glazury o nieokreślonym, szaroburym kolorze wydają się lepkie od brudu i zacieków. Ahmed skurczył się w sobie, spuścił głowę i poszarzał na twarzy. Malika natomiast idzie pewnym krokiem, zasłaniając jedynie nos i usta wyperfumowaną chusteczką. W końcu studiowała medycynę i pamięta jeszcze te klimaty, które śniły się jej wprawdzie całymi latami, nawet już po ukończeniu uczelni.

– Jak się tutaj dostałaś? – pyta brat przez zaciśnięte gardło.

– Stare znajomości nie rdzewieją – słyszy enigmatyczną odpowiedź.

– Wchodźcie i załatwiemy sprawę. – Mężczyzna w rozpiętym, brudnym jak całe to miejsce kitlu zapędza ich do sali pełnej metalowych łóżek. Niektóre z nich są zajęte przez zwłoki. W tym pomieszczeniu śmierdzi jeszcze gorzej, gdyż do odoru formaliny dołącza jeszcze słodki smród gnijących ciał.

– Czy ja muszę? – Ahmed chwieje się na ugiętych nogach i wygląda, jakby zaraz miał zemdleć.

– Raczej tak. To pan powinien zidentyfikować zwłoki żony – z szyderczą miną odpowiada patolog.

– To poproszę szybciej.

– W pewnych sprawach nie można się spieszyć, zwłaszcza że ci nigdzie nam już nie uciekną, mamy mnóstwo czasu.

– Panie doktorze – Malika z kpiarskim uśmiechem na ustach przerywa tę farsę – przejdźmy do sprawy, bo mój brat za chwilę dołączy do grona pańskich zimnych pacjentów.

– Okej, okej, moja kochanieńka. A ciebie to świetnie wyszkoliłem, prawda? Pamiętasz nasze zajęcia z anatomii?

– Aż za dobrze. – Kobieta wzdycha. – Która to?

– Mamy młodą, w przybliżeniu dwudziestopięcioletnią denatkę o jasnym kolorze skóry. Buźka zmasakrowana na cacy. To prawdopodobnie jakaś beduinka czy wieśniaczka, która nie umiała przechodzić przez ulicę. Co za nonsensowna śmierć!

Mówiąc to, lekarz kieruje się do łóżka w kącie sali i zdejmuje prześcieradło przykrywające zwłoki. Ten widok nawet dla zaprawionej Maliki jest straszny. Twarz zmarłej dziewczyny przestała istnieć – zamiast niej jest jedna wielka krwawa maź, w której można zauważyć sterczące połamane kości policzkowe, a w miejscu, gdzie były usta, z galarety wyziera niewidzące mętne oko. Głowa jest sztucznie wygięta do boku, tak jakby kobieta zamiast szyi miała sprężynę. Cały korpus jest poturbowany, pokaleczony i naznaczony licznymi fioletowymi sińcami i bordowymi krwiami. Z miednicy sterczy gruba biała kość, która przebiła jak nożem delikatną jasną skórę. Nogi są połamane w paru miejscach, lecz widać, że kiedyś były zgrabne i długie. Jedna zwichnięta kostka ze skręconą stopą bez palców zapuchła bardziej niż pozostałe części ciała.

– Biedactwo – szepcze Malika. – Pod co wpadła: ciężarówkę, traktor,czołg czy kombajn?

– Nieźle rozpędzony tir przewożący nowe autka – wyjaśnia patolog. – Nie mógł jej ominąć, bo towar wart paręnaście milionów wylądowałby w rowie i chłop nie wypłaciłby się do końca życia. Wiesz, te ubezpieczenia są gównie warte. Więc pociągnął ciało jeszcze parę metrów pod podwoziem. Uważam, że i tak dobrze wygląda.

W tej chwili Ahmed opiera się obiema rękami o metalowe lodowate łożo i zaczyna wydawać jednoznaczne dźwięki.

– Niech mi tutaj nie rzygnie, nie zapaskudzi! – wykrzykuje lekarz, odciągając zataczające się mężczyznę.

– Twoja żona? Gadaj i spierdalaj! – to mówiąc, podnosi dłoń denatki wraz z zeszytniałą

pośmiertnie ręką i częścią poturbowanego ciała.

– Taaaaaaa! – Mężczyzna, slaniając się na nogach, biegnie w kierunku szklanych drzwi, lecz w ostatniej chwili wymiotuje panoramicznie na framugę i pobliską ścianę.

– Ty synu osła! I kto to będzie sprzątał!?

– Ja zrekompensuję panu straty. – Malika szybko wciska w otwartą dłoń banknot pięćsetdinarowy.

– Wszystko wedle umowy, tak? – Ułagodzony mężczyzna nie zwraca już uwagi na przetrawione resztki na ścianie swojego prosektorium.

– Oczywiście, *kalima bil kalima*⁵. Ja zawsze dotrzymuję słowa. Niech pan sobie zapisze imię i nazwisko: Dorota Salimi, lat dwadzieścia sześć, żona Ahmeda, narodowość polska. Zginęła w późnych godzinach wieczornych siódmego listopada.

– Tak jest, już się robi.

– Transport i wszystkie formalności na cmentarzu w Ainzarze rozumie się będą załatwione? – zimny głos Maliki stawia mężczyznę na baczność. – Policjant z drogówki już na mnie czeka?

– Tak, trzeba się spieszyć. On jest młody i głupi, ale ja dobrze znam jego partnera. Masz środki? Bo im należy gadać tylko do ręki.

– Oczywiście, ale nie wiem, czy wystarczy na dwóch.

– Niezadowolona ściera usta w ciup.

– Tutaj nie oszczędzisz, kobieto. Wyciągnięcie brata z więzienia i zmycie hańby z rodziny kosztowałoby cię więcej.

* * *

– To jakiś cholerny przekręt, *ja saida*⁶. – Młody funkcjonariusz trzyma Malikę i Ahmeda w sali przesłuchań i patrzy na nich wściekłym wzrokiem. – Ja mam przecież zdjęcia! Denatka była ubrana w wiejską arabską szatę! Komu i w jaki sposób chcecie zamydlić oczy?

– Dorota uwielbiała nosić tradycyjne ciuchy. – Malika nie daje się zbić z pantałyku i błyskawicznie udziela riposty. Jej brat, blady jak trup, siedzi skulony na twardym drewnianym krześle i wbija wzrok w zakurzoną podłogę.

– W ten sposób chciała się zasymilować z naszą kulturą i libijską rodziną.

– Z tego, co widzę, pani raczej nosi się dość modnie. – Policjant patrzy spode łba i już nie wiadomo, czy to on jest tym, z którym mieli się dogadać, czy raczej człowiekiem, który wsadzi ich za kratki.

– Witam państwa. – Drzwi otwierają się i do pomieszczenia wchodzi mały grubasek w pomiętym mundurze.

– Jak tam zdrowie, jak samopoczucie? – zadaje zdawkowe grzecznościowe pytania.

– Trochę kiepsko. Niech pan spojrzy na mojego brata, jak przeżywa nagłą śmierć swojej żony. – Malika bez mrugnięcia powieką rozpoczyna kłamliwą grę. – Potrzebujemy zaświadczenia z policji, które ponoć panowie nam wystawią.

– A jak tam nasz ulubiony doktorek od nieboszczyków? Dobrze się ma?

– Dobrze. Ja teraz podam wszystkie dane do dokumentu, a panowie swoje... preferencje.

– Dziesięć tysięcy. – Starszy gliniarz od razu wie, o co chodzi.

– Za tę cenę dostajemy jeszcze zdjęcia i kasujemy je w komputerze. – Malika oddycha z ulgą, bo spodziewała się wyższej kwoty za tę niecodzienną, bądź co bądź, usługę.

– Rahman, a jak wpadniemy? – Młodszy funkcjonariusz zaczyna panikować. – Ja nie chcę nadstawiać dupy za jakichś morderców.

– A chcesz się ożenić przed pięćdziesiątką? Twoja dziewczucha nie będzie tak długo na

ciebie czekała, a na razie nie stać cię nie tylko na mieszkanie, ale nawet na klimatyzator do niego.

– Może damy radę bez tych brudnych pieniędzy?

– Ja wezmę tylko trzydzieści procent, tyle mi starczy, a reszta dla ciebie, boś młody i na dorobku. Za niecałe dwa miesiące, przed ramadanem, już będziesz miał ciepłą żonkę. Wierz mi, że o tamtą wieśniaczkę nikt się nie będzie upominał.

– Ale o cudzoziemkę, Polkę – młody spogląda na kartkę z danymi, którą dostał od Maliki – to nawet ambasada może. A jak zażądają ekshumacji?

– W naszym klimacie już za chwilę nie będzie co oglądać. A cała rodzinka wyjeżdża za granicę, więc szukaj wiatru w polu. Dobra, dawajcie szmal i nie chcę was więcej oglądać. – Funkcjonariusz wyciąga rękę w kierunku Maliki, bo widzi, że to ona tutaj decyduje. – Co to jest?

– Po otwarciu koperty wybałusza oczy. – Żarty sobie stroisz, suko?

Pochyla się nad kobietą i mocno chwyta ją za elegancko upięte włosy.

– O co chodzi, może się pomyliłam, źle zrozumiałam...

– No raczej. – Starszy mężczyzna z pogardą patrzy na gruby plik pieniędzy. – Tym to sobie możesz dupę podetrzeć, paniusiu. Dziesięć tysięcy, ale dolarów, a nie tych naszych nic niewartych papierków.

– W takim razie muszę pojechać do banku, bo tyle nie mam przy sobie. – Malika wyswobadza się z uchwytu i z potarganymi włosami gwałtownie wstaje. – Jak was złapią z dolarami, to już nic wam nie pomoże. Pracowaliście kiedyś za granicą? Skąd macie zielone?

– Cóż, baba ma rację, sami byśmy się wkopali – przyznaje starszy policjant. – Przynies równowartość, a my sobie z twoim braciszkiem spisujemy protokół.

– A ja wam do czego? – Ahmed po raz pierwszy zabiera głos.

– Zabezpieczenie transakcji, *sadiki*⁷.

* * *

– Czego jeszcze chcesz ode mnie? Mów szybko, bo już dłużej nie mam ochoty nurzać się w tym błocie. – Po przejściach ostatnich dni Malika z bladą twarzą wchodzi do gabinetu brata. – A raczej w gównie, w które wciągnąłeś całą rodzinę.

– Zaraz przyjdzie Samira, to pogadamy.

– A czego ty jeszcze od niej chcesz? – Kobieta teatralnym gestem chwyta się za głowę i w tej samej chwili do pokoju cichutko wchodzi ich młodsza siostra.

– Może nam teraz powie, o co chodzi, ale nie należy spodziewać się niczego dobrego, nie po tym człowieku. Prawdy też nie, chyba że się pomyli.

– Samira, zamknij się! – Ahmed ordynarnie zwraca się do siostry. – Siadajcie. Słyszałem, że nie wybierasz się na przyznane ci stypendium? – ni to pyta, ni stwierdza. – Więc jeśli nie ty, to mogłabyś je odstąpić komuś z rodziny, prawda? Czemu miałyby się zmarnować.

Kobiety wysłuchują w milczeniu kolejnego pomysłu brata. Kogo tym razem chce zranić, kogo wykorzystać?

– Ale to jest stypendium medyczne, na zrobienie specjalizacji i doktoratu. – Malika nie wytrzymuje. – Czyżbyś przekwalifikował się na lekarza? Po twojej ostatniej reakcji w prosektorium nie mogę jakoś w to uwierzyć.

– Pojadę jako *mahram*⁸.

– Opiekun? Czyj? – Samira po raz drugi od początku rozmowy zabiera głos.

– Więc to jednak prawda, co mi mówiono w szpitalu!

– Malika cmoka z niesmakiem. – Oczarowałaś tę biedną, naiwną kobietę.

– Kogo? – Młodsza siostra o niczym nie ma pojęcia.

– Panią pediatrę z mojej kliniki, trzydziestkę po przejściach – komentuje sarkastycznie

Malika.

– A to biedulka, nie wie, w co się pakuje. – Samira wstaje i kieruje się ku wyjściu. – Róbcie, co chcecie. Ja mam to gdzieś.

Mówiąc to, opuszcza pokój.

– I ja ci mam to załatwić? – Malika zadaje retoryczne pytanie.

– A kto skombinował stypendium dla małej, hm?

– Trochę dużo ode mnie chcesz, ale to już ostatnia przysługa, jaką dla ciebie wykonam w moim życiu – syczy przez zęby. – *Chalas, jekwi!*⁹

– *Insz Allah*¹⁰. – Znów jak dawniej pewny siebie Ahmed ironicznie patrzy jej w oczy.

¹ [← powrót do tekstu] *Ajwa* (arab. libijski) – tak.

² [← powrót do tekstu] *Haram* (arab.) – dosł.: To, co zakazane.

³ [← powrót do tekstu] *Szarmuta* (arab. libijski) – dziwka.

⁴ [← powrót do tekstu] *Gibli* (arab. libijski) – wiatr od pustyni.

⁵ [← powrót do tekstu] *Kalima bil kalima* (arab.) – Słowo za słowo (Słowo się rzekło).

⁶ [← powrót do tekstu] *Ja saida* (arab.) – Pani (wołacz).

⁷ [← powrót do tekstu] *Sadiki* (arab.) – mój przyjacielu.

⁸ [← powrót do tekstu] *Mahram* (arab.) – opiekun.

⁹ [← powrót do tekstu] *Chalas, jekwi!* (arab.) – Dość, wystarczy!

¹⁰ [← powrót do tekstu] *Insz Allah* (arab.) – Jak Bóg zechce.

Choroba sieroca

Marysiu kochana. – Babcia próbuje zwrócić na siebie uwagę milczącego dziecka. – Nie chciałabyś pojechać do zoo albo nad morze na Regattę? Zamówię taksówkę, weźmiemy jedzenie do koszyka i zrobimy sobie piknik. Razem z siostrą potrzebujecie świeżego powietrza i ruchu. Nie możecie cały czas siedzieć zamknięte w czterech ścianach.

Marysia obraca się w jej kierunku, a puste oczy patrzą na nią z wyrzutem, jakby mówiły: „Czemu mnie okłamujesz, czemu ukrywasz przede mną prawdę?”.

– Nie mam ochoty, jedź z Darią.

– Nad morzem szczerze porozmawiamy, powiem ci coś, co musisz wiedzieć, pomimo że jesteś małą dziewczynką

– decyduje, bo nie ma serca dłużej trzymać w niepewności swojej wnuczki.

– Zgoda. – Marysia staje wyprostowana i gotowa do wyjścia.

Regatta to piękne miejsce. Jest to położony nad brzegiem morza strzeżony kompleks, zamieszkały przez cudzoziemców i coraz większą liczbę bogatych Libijczyków. Znajdują się tam markety z ekskluzywną zagraniczną żywnością, korty tenisowe, kluby fitness, poczta, pralnia oraz małe restauracyjki. Marysia szczególnie upodobała sobie jedną przy samej plaży, gdzie można zjeść przepyszne hamburgery, zapić je lodowatą colą i posiedzieć w klimatyzowanej eleganckiej sali. Jednak babcia, w której czasami odzywa się beduińska natura, preferuje pikniki i domowe jedzenie z koszyka. Usadawiają się zatem na jednej z betonowych płyt, pod parasolem z palmowych liści. Na plaży nie ma zbyt wielu ludzi, bowiem nie jest to odpowiednia pora na opalanie się i pływanie – od morza wieje wiatr niosący bryzę, która błyskawicznie pokrywa wilgocią twarze i ubrania biesiadniczek.

– Co masz mi do powiedzenia? – dorośle pyta Marysia, zanim babcia zdąży sięgnąć po cokolwiek z koszyka.

– Może najpierw coś zjemy, wypijemy? – Kobieta usiłuje odwlec chwilę tragicznego wyznania.

– Przecież ja wiem, że mama nie żyje, tylko chciałam to usłyszeć od kogoś dorosłego, nic poza tym.

Babcia zamiera w pół ruchu i smutno patrzy na Marysię.

– Co teraz z nami będzie? Ja nie chcę być z tatą, absolutnie nie! – trzęsąc się, wykrzykuje dziewczynka.

– Pojedziemy z ciocią Maliką za granicę, daleko, daleko. Tam, gdzie mieszkają czarni ludzie, gdzie są wioski z gliny i białe pałace.

– Do Murzynka Bambo? – pyta Marysia, pamiętając jeszcze książeczkę, którą czytała jej mama.

– Może i tak. Jest tam już ciocia Chadidza, a później dołączy do nas Samira. Dobrze nam będzie. Pójdiesz do zagranicznej szkoły, zdobędziesz dobre wykształcenie, to potem w życiu będzie ci łatwiej. A ja wszystko dla ciebie zniosę, bo bardzo cię kocham, moja wnuczusiu – wyznaje z załzawionymi od czułości oczami. – Same kobiety, ani jednego faceta... – zamyśla się dziewczynka. – To i lepiej, bardzo dobrze.

Starsza Arabka chce przytulić szczuplutkie ciało wnuczki, lecz ta uchyla się, siada w pewnej odległości od niej i moczy nogi w morzu. Nie zmienia pozycji przez parę godzin i o tym, że jest żywym dzieckiem, świadczy jedynie rzadkie chlupanie wody. Patrzy przed siebie w jeden punkt tak intensywnie, że po pewnym czasie zaczynają jej łzawić oczy. A może nie tylko od tego?

* * *

Wielki paskudny mężczyzna pochyła się w stronę Marysi. Coś chce powiedzieć, lecz wydaje tylko nieartykułowane dźwięki i zaczadza ją swym zgniłym oddechem. Bardzo się denerwuje i robi na parę kroków, sapiąc groźnie. Dziewczynka spostrzega swoją matkę leżącą w sypialni w poprzek łóżka. Rzuca się ku niej z otwartymi ramionami, lecz potwór zagradza jej drogę i macha rękami, odganiając jak natrętną muchę. Na koniec od niechcienia uderza ją w głowę swoją wielką jak bochen chleba łapą i dziewczynka leci jak piłeczka. Zatrzymuje się dopiero na ścianie. Jej mała siostrzyczka leży na ziemi pomiędzy wielkimi stopami złoczyńcy obutymi w dziurawe, zabłocone buty. Mama podnosi głowę i Marysia widzi jej piękną, anielską twarz. Błękitne oczy, okolone długimi czarnymi rzęsami patrzą na dziewczynkę słodko i przyzywająco. Proste blond włosy spływają jak jedwab, dając złudzenie aureoli.

– Marysiu, Marysiu! – woła nieziemskim głosem.

– Córeczko, chodź do mnie, nie zostawiaj mamusi!

W tym momencie straszliwy mężczyzna przepoczwarza się w ogromnego człekokształtnego jaszczura o twarzy pokrytej łuską. Pochyla się nad matką, a jego długi wąski język wślizguje się do jej ust i ucha. Kobieta zaczyna cicho zawodzić, a z jej pięknych oczu zamiast łez płynie cienką stróżką krew.

– Mamo, mamó, mamusiu! – Marysia zrywa się z łóżka i biegnie przed siebie. Zanim babcia zdąży ją chwycić, dziewczynka uderza całym swoim szczupłym ciałkiem o ścianę i półpryтомna pada z płaczem na puszysty dywan.

– *Ja binti¹, habibti²*, to tylko sen, zły sen. – Kobieta tuli drżącą wnuczkę do siebie. – To się nie zdarzyło naprawdę.

– Jak to nie?! – Marysia szepcze przez łzy. – Mama przecież nie żyje.

Starsza kobieta zdaje sobie sprawę, że nie można bagatelizować złego samopoczucia wnuczki. Dziewczynka co noc śni koszmary, lunatykuje, parokrotnie już zmoczyła się do łóżka, całymi dniami siedzi w jednym miejscu i patrzy w przestrzeń niewidzącymi oczami.

– Nie wezmę Miriam ze sobą do Ghany, jeśli będzie w takim stanie. Kto jej tam pomoże, jakiś szaman, czarownik czy może amulet z piórek? – Decyduje się na rozmowę z Maliką.

– Zrozum, mamó, nie możesz zwlekać z wyjazdem. – Córka poważnie i bez gniewu patrzy jej głęboko w oczy. – Ahmed ponownie zrobił coś złego i znów wszyscy możemy z nim utonąć, tylko tym razem byłaby to odpowiedzialność za współudział i ukrywanie prawdy.

– Co ty wygadujesz za głupoty, dziewczucho! – Starszą Libijkę ponoszą nerwy. – Tyle wiem, co zjem, to znaczy, ile mi powiecie. Najpierw było, że Dota żyje, to odetchnęłam z ulgą, a później, po twoim przyjeździe, stała się martwa. Może to i lepiej dla tej biednej dziewczyny. *Sza' Allah³*.

– Ja nie mam pojęcia, gdzie ją Ahmed wywiózł i co z nią zrobił. I nie chcę wiedzieć! – Malika szepcze konspiracyjnie. – Ale zaczęli już dzwonić: z ambasady, również polskie koleżanki, i wcześniej czy później naślą na nas policję. Lepiej, żeby to było później, bo zwłoki niezidentyfikowanej kobiety, którą pochowaliśmy za Dorotę, zdążą już zjeść robaki. Czy teraz rozumiesz?

– Tak. – Pobladła matka patrzy przerażonymi oczami.

– Załatwię małej jakiś dziecięcy prozac i w drogę. Idźcie się spakować. Naprawdę nie ma czasu do stracenia.

* * *

– Ahmed, chciałam przyjść po rzeczy dziewczynek. Czy mógłbyś otworzyć mi ten

przeklęty dom?

– Jestem w środku, wystarczy zadzwonić – odpowiada syn swoim zwykłym pogodnym głosem.

Stara Arabka w eleganckiej, długiej do pół łydki spódnicy i cieniutkiej jedwabnej bluzce, niosąc niemowlę na ręku i trzymając mocno dłoń swojej starszej wnuczki, zbliża się powoli do wielkiej rezydencji. Budynek wygląda na wymarły, tylko na wpół przymknięte okiennice poruszają się wraz z podmuchami wiatru i uderzają miarowo o framugi okien. Na podwórzu przed domem leży sterta uschniętych liści, niegdyś piękne bordowe bugenwille pnące się po fasadzie uschły niepielęgnowane, a centralnie umieszczona kamienna fontanna nie wylewa już z siebie ani kropli wody.

Cichutko, jakby na palcach, zbliżają się do frontowego wejścia.

– Wchodźcie, moje panie. – Uśmiechnięty mężczyzna otwiera drzwi na oścież. – Co tam słyhać? – zwraca się do ponurej matki. – Marysiu, ty jakbyś urosła. – Pochyla się nad swoją starszą córką, próbując ją objąć, lecz ta wyslizguje mu się jak piskorz i biegiem rusza na piętro.

– *Hmeda*, kawa gotowa, *habibi!* – z kuchni dochodzi młody kobiecy głos.

– Ja raz-dwa wrzucę wszystko do walizek i już nas nie ma. – Matka patrzy na syna jak na obcego człowieka i mocno zaciska wargi, prawdopodobnie nie chcąc wygarnąć, co o nim myśli. – Nie będziemy ci przeszkadzać

– dorzuca na koniec, błyskawicznie odwraca się na pięcie i podąża za Marysią.

– Ależ mam... – Ahmed mówi do pleców starej kobiety, która w porywie złości wbiega po schodach jak nastolatka.

Rzeczywiście, po niecałych piętnastu minutach trzy wielkie walizy ledwo dają się zamknąć. Starsza kobieta jest tak zajęta, że jedynie od czasu do czasu rzuca okiem na malutką Darię bawiącą się beztrudnie w swoim łóżeczku i nawet nie zauważa nieobecności Marysi.

– Wnuczuniu moja białolica, gdzie jesteś? – Zagląda do łazienki i gabinetu na piętrze.

Na koniec z lękiem przekracza próg małżeńskiej sypialni, w której drzwi do tej pory wiszą na jednym zawiasie. Szczupła, mała dziewczynka tkwi na łożu z podkulonymi nogami, obejmując je kurczowo drobnymi rączkami. Zaplecione palce aż jej sinieją od zaciskania. Buzia dziewczynki jest przerażająco biała, oczy zamknięte, a ślicznie wycięte małe usteczka wygięte w grymasie żalu i rozpacz.

– Maryszu – mówi babcia, kalecząc polską wymowę.

– Już wszystko gotowe, możemy iść. – Delikatnie dotyka ramienia wnuczki, która powoli otwiera swoje bursztynowomiodowe oczy. – Tak... masz rację... nie ma na kogo czekać – mówi dziewczynka, siadając. – A gdzie jest pled? Ten od ciebie.

Siedząc jeszcze przez moment na wielkim małżeńskim łożu rodziców, Marysia z pietyzmem dotyka małej plamki krwi, która widnieje na pięknej ozdobnej poduszce.

¹ [← powrót do tekstu] *Ja binti* (arab.) – moja córeczko (wołacz).

² [← powrót do tekstu] *Habibti* (arab.) – moja ukochana.

³ [← powrót do tekstu] *Sza' Allah* (arab.) – Allah tak chce.

2 ŽEGNAJ LIBIO ? WITAJ GHANO

Życie dyplomacji i nowe zwyczaje

Po wielogodzinnym locie Malika z matką i dwiema bratanicami lądują na zakurzonej lotnisku w Akrze. Trafiają na najgorszy okres w tym rejonie świata, bowiem właśnie wtedy wiatr z północy, *harmattan*, przyćmiewa słońce szarą zasłoną pyłu, wysuszając ziemię i nękać ludzi swym gorącym tchnieniem.

– *Gibli* wieje, ciociu. – Mała Marysia podnosi ciągle smutne oczy w stronę nieba i obserwuje tumany kurzu wirujące w powietrzu. Jednak nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko cichnie i oczom przyjezdnych ukazuje się błękit nieba.

– To znak, moje dziewczynki, że jeszcze wszystko ułoży się szczęśliwie. – Babcia stara się optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Na parkingu, gdzie papierów i innych śmieci jest więcej niż samochodów, dziewczyny wsiadają do poobijanego ambasadzkiego busa i ruszają w kierunku miasta. Maluje się ono jako zielono-biało-czerwony konglomerat. Dzielnica ambasad i rezydencji znajduje się blisko lotniska i tonie w zieleni. Mijają eleganckie budynki zakryte przed okiem ciekawskich bujnymi koronami mangowców i smukłych akacji. Otaczające je ogrody i parki pełne są kolorowych kwiatów, hibiskusów, bugenwilli, drzew ozdobnych i owocowych, z królującymi wśród nich bananowcami i papają. Bus jedzie powoli, mijają bogate domy i kieruje się w stronę coraz mniej imponującej zabudowy. Po chwili zatrzymuje się przed brudnym, niegdyś białym murem, z obłupaną z zielonej farby metalową furtką. W głębi majaczy przysadzisty parterowy bungalow w kształcie baraku. Marysia wpada na podwórko pokryte czerwoną laterytową ziemią, z której sterczą gdzieś tam wyschnięte badyle jakiegoś zielska, a na samym środku stoi mała, niedziałająca fontanna.

– Ale wspaniale! – Skacze w kółko, wzburzając tumany szkarłatnego pyłu. Daria z zadowoleniem kopie nóżkami w spacerowym wózek. – Kupimy złote rybki i wpuścimy je do wody? – pyta po raz pierwszy od dłuższego czasu szczęśliwa dziewczynka.

– Kochane moje, już jesteście, całe i zdrowe! – Chadidża wybiega z budynku z otwartymi ramionami i przytula bratanice do siebie. – Mamo, jak dobrze, że wróciłaś.

– Patrzy smutno na posiwiałą od strapień Libijkę.

– Też się cieszę, córko. – Ta uśmiecha się półgębkiem, poklepując rozradowaną Chadidżę po plecach.

– Przepraszam, *maam*¹. – Czarny, chudy jak patyk mężczyzna zgina się wpół przed Maliką. – Bramy wjazdowej nadal nie naprawili, ale my zaraz wniesiemy bagaże.

Po tych słowach rzuca się biegiem z troszkę lepiej odżywioną Murzynką w kierunku busa i uginając się pod ciężarem, dźwigają walizy do domu. Malika zaciska tylko zęby i zdeglustowana patrzy na otaczający ją świat.

– Obiad podano! – dobiega z wnętrza znajomy głos Matyldy.

Wszyscy bez słowa wchodzi do środka.

* * *

– Dobrze, że w końcu jesteś. Mam nadzieję, że tym razem na dłużej. – Niski, przysadzisty mężczyzna w wyświechtanym garniturze wprowadza Malikę do ciemnej nory, która ma jej służyć za biuro. – W końcu chciałbym stąd wyjechać, nie? – mówi niegrzecznie.

Ambasada nie jest może najpiękniejszym tego typu budynkiem w Akrze, ale to rozległy kompleks z ogromnym ogrodem, basenem i licznymi zabudowaniami. Gabinet Maliki jest nie w gmachu głównym, lecz w małym baraczkach przy konsulacie, który ma wejście dla petentów od

strony bocznej uliczki. Razem z działem wizowym mają wspólną poczekalnię z dwoma umiśnionymi ochroniarzami oraz długie jak tramwaj pomieszczenia z tyłu. Malika nie miała żadnego wyboru odnośnie tej placówki i tego stanowiska. Wzięła, co jej dawano. Wyjazdu dyplomatycznego nie załatwia się z dnia na dzień. Jeśli chce się dostać coś dobrego, wymaga to czasu i zachodu, lecz kiedy musi się wyjechać zaraz, to całuje się w rękę za byle co. Nawet jeśli praca jest wyczerpująca i najbardziej niewdzięczna w całej ambasadzie, gorsza nawet od roboty konsula. Malika jest attaché politycznym. Ma się zajmować rozwiązywaniem problemów libijsko-ghańskich, co jest w ogóle rzeczą niemożliwą. Ta komórka placówki przyjmuje petentów wnoszących skargi i występujących o odszkodowania do rządu libijskiego między innymi za kradzież pieniędzy z ambasady Ghany w Trypolisie oraz za przetrzymywanie w obozach internowania dla nielegalnych imigrantów, molestowania, gwałty, pobicia, a nawet morderstwa na ich terenie, a na koniec za bezpodstawną brutalną deportację.

– Mam nadzieję, że masz zdrowe nerwy. – Kolega dyplomata stoi na środku pomieszczenia będącego halą zastawioną metalowymi regałami, na których piętrzą się teczki lub pojedyncze papiery.

– Ależ tutaj kurzu. – Malika kicha i głośno, ostentacyjnie wyciera nos. – Czy ktoś kiedyś tu sprzątał?

– A jak sobie to wyobrażasz? – Mężczyzna, uśmiechając się złośliwie, pokazuje na dokumenty. – Jak jesteś taką higienistką, to sama weź szmatę i zrób sobie porządek.

– Słuchaj no... – Wściekła Malika robi krok w kierunku gbura.

– Dasz mi przekazać obowiązki czy mam sobie iść od razu, jaśnie pani hrabianko?! – wykrzykuje Libijczyk i odwraca się do kobiety plecami. – Lewa strona pod ścianą to sprawy załatwione, przeważnie dzięki rozwiązaniom naturalnym, jak na przykład zgon petenta lub jego niepojawienie się na wezwanie – pokazuje ręką. – Cała reszta to rzeczy wiszące, z którymi sukcesywnie będziesz się musiała zapoznać. – Uśmiecha się ironicznie. – Albo i nie, *as you wish*.

– Czy jest jakiś rejestr? – pyta przerażona kobieta. – Czy segregatory są ułożone alfabetycznie, a może datami?

– Tutaj coś kiedyś zapisywano – wręcza jej białą od kurzu teczkę. – Ale później nikt nie miał na to czasu.

– Dostanę kogoś do pomocy, jakiegoś referenta, sekretarkę?

– Dobrze sobie! – Mężczyzna klepie się po tłustym tyłku z rozbawieniem. – Módl się, żeby ci jeszcze czegoś do roboty nie wrzepili, pani eksambasadorko. – Z tymi słowy obraca się na pięcie i wychodzi z ciemnej, zakurzonej nory, zostawiając Malikę z bezradnie opuszczonymi ramionami i ze łzami w oczach.

* * *

– Pani wejdzie. – Sekretarka ambasadora, okrągłutka Libijka w kolorowych ciuszkach i ze spiętrzonymi na głowie lokami w rude i blond pasemka, zaprasza Malikę do gabinetu. Taksuje ją przy tym wzrokiem od stóp do głów.

– Witam koleżankę. – Szczupły, wysoki mężczyzna kurtuazyjnie wstaje i wychodzi zza pięknie rzeźbionego biurka.

– Dzień dobry, panie ambasadorze. – Malika stara się być jak najskromniejsza, bo już wie, co się o niej mówi.

– Jak podoba się nasza placówka? Jak Akra i cały ten murzyński chaos? – pyta zdawkowo, zapraszając kobietę do małego stoliczka kawowego, na którym stoi kryształowy dzban z wodą oraz ciasteczka i czekoladki. – Proszę się częstować.

– Jeszcze nie zdążyłam się nawet rozpakować, a co dopiero mówić o zwiedzaniu. Usiłuję,

panie ambasadorze, przynajmniej trochę zorientować się w sprawach, które do tej pory prowadziło moje biuro. – Malika postanawia jednak zaryzykować i przedstawić zaniedbania swojego poprzednika.

– Początki bywają trudne...

– Tak, wiem, ale takiego bałaganu po najdłuższym życiu nie dam rady doprowadzić do porządku.

– Czyżby pani sugerowała, że placówka nie spełnia swoich zadań i że są jakieś uchybienia? – Ambasador sztywnieje w fotelu i sztuczny uśmiech znika mu z twarzy.

– Biuro skarg jest bardzo trudnym odcinkiem, ale dlatego też nie można sobie pozwolić na jakiegokolwiek niechlujstwa. Aktualnie są tam takie zaległości, chociażby w prowadzeniu kancelarii i rejestru, że nie ma szans na ich wyprostowanie, chyba...

– Ledwo zaczęła pani pracować, a już krytykuje kolegów i ich sposób wykonywania obowiązków? – Mężczyzna przerywa i mierzy ją lodowatym wzrokiem. – Może pani wyjechać stąd tak szybko, jak pani przyjechała, obiecuję! Niech pani uważa! – Ambasador wstaje, tym samym kończąc audiencję.

– Ja tylko chciałam prosić o jakąś pomoc... – szepcze Malika.

– Niech pani lepiej podkasze rękawy i sama zabierze się do roboty! Dawne czasy, moja droga, już minęły i radzę zapomnieć o wspaniałej przeszłości i przestać zadzierać nosa! – Mężczyzna kieruje się do drzwi gabinetu i otwiera je na oścież. – Amina, daj koleżance teczkę z rejestrem faksów – zwraca się do sekretarki, a następnie wręcza Malice opasły skoroszyt. – Od jutra to także będziesz robić i liczyć na twoją skrupulatność.

Malika jak zbity pies, noga za nogą zmierza w kierunku swojego pseudobiura. Łzy ma na czubku nosa, ale postanawia nie sprawiać przyjemności wszystkim, którzy ją obserwują. Bierze się w garść, dumnie wypina pierś i wchodzi do małej drewnianej przybudówki na tyłach głównego gmachu. Tak jak przypuszczała, jest to służbówka, gdzie znajduje paru chudych Murzynów, którzy siedząc na ziemi i opierając się o ścianę, gaworzą albo drzemią.

– Co robisz? – pyta pierwszego z brzegu.

– Nic – odpowiada szczerze.

– Ale tak w ogóle, w ambasadzie. – Wściekła Malika ostatkiem woli panuje nad sobą, żeby nie wystrzelać gamonia po jego czarnej spoconej mordzie.

– Ja ogrodnik, on ogrodnik, on od basen, a ta tam od miotła – tłumaczy najinteligentniejszy z nich, pokazując brudnym kościstym palcem.

– Ty, *girl*, pójdiesz ze mną. – Malika wskazuje podbródkiem na dziewczynę. – Bierz swoją miotła, szmata, woda i mydło. Już-już, ruchy! – Popycha dziewczynę, ale zaraz rozgląda się dookoła, bojąc się ukrytych kamer. Niech to szlag trafi!, myśli w duchu. Żeby ja musiała się bać kopnąć czarnucha w dupę... świat się kończy.

– Sprzątałaś tutaj kiedyś? – pyta, otwierając drzwi.

– Nie, bo ja nie od tego – jęczy dziewczyna, zmęczona samą perspektywą pracy.

– A od czego?

– Ja od parteru w budynku A – tłumaczy, przeciągając głoski.

– A kto od konsulatu i tego pierdolnika?

– Ja nie wiem.

– Długo tutaj pracujesz?

– Nie za długo – odpowiada głupekowato, nie patrząc w oczy.

– Mam zadzwonić do administracyjnego – Malika najpierw zamyka drzwi, a później ryczy już na całe gardło – żeby ci powiedział, że pracowałaś tutaj do chwili, kiedy mnie spotkałaś, bo odmówiłaś wykonania polecenia?!

– *Maam*, u mnie w domu pięcioro dzieci, a chłop poszedł, *maam*, łaski! – Młoda, ładna Murzynka pada do nóg eleganckiej Libijki i przytula czoło do jej kolan.

– Możesz mieć ze mną całkiem dobrze, tylko nie rznij głupa! – Malikę trochę peszy niewolnicze zachowanie Murzynki. – Wstawaj i zabieraj się za robotę, bo dopóki nie skończymy, to nie wyjdziemy. Możemy siedzieć tutaj nawet do jutra.

* * *

Przez następne trzy tygodnie Maliki nie sposób uświadczyć w domu. Wychodzi do ambasady skoro świt, a wraca późną nocą. Bierze ze sobą dzinsy i podkoszulek do sprzątania, dodatkową elegancką bluzkę na godziny przyjęć petentów czy jakieś oficjalne spotkania, a czasami nawet długą suknię na oficjalne przyjęcia. Kiedy wraca po północy, dom tonie w ciszy, ale na nią kojąco działa sama świadomość, że ktoś śpi za ścianą i ktoś o niej myśli. Świadczą o tym takie drobiazgi, jak kolacja zostawiona na stole kuchennym czy wyprane i wyprasowane ubrania. Kobieta podpira się już nosem, ale dopięła swego. Jej biuro, teraz tak to można nazwać, jest jasne, czyste i przestronne. Obszerną, długą halę przedzieliła cienką pilśniową ścianką – na zapleczu leżą segregatory z dokumentacją archiwalną, a z frontu półki i szafy z aktualną oraz założony przez nią czyściutki rejestr spraw. Jej biurko, które własnoręcznie pomalowała na jasnozielony kolor, fotel na kółkach z dziurą w poduszce, którą zakryła piękną libijską kaszmirową narzutą oraz liczne kwiaty doniczkowe są dosłownie zalane promieniami słońca. Okazało się bowiem, że hala ma dwa wielkie okna, które nie wiedzieć czemu były zakryte dyktą i czarnymi zasłonami. Podczas sprzątania wysypały się stamtąd góry wyschniętego robactwa. Teraz szyby lśnią czystością, na karniszach Malika własnoręcznie upięła haftowane firanki i kolorowe zasłony, a dookoła poustawiała bibeloty przywiezione z Libii.

– Teraz to *maam* zaprosi ambasadora na herbatkę – zaprzyjaźniona już Alice śmieje się swoim chropawym głosem.

– Wolałabym, żeby zapomniał o moim istnieniu – cicho mówi Malika, lecz jak na zawołanie otwierają się drzwi i do pomieszczenia wchodzi szef placówki w asyście trzech mężczyzn i swojej sekretarki.

– Cóż z pani za pracowita mróweczka – mówi z przekąsem, rozglądając się dookoła. – To tutaj są takie przyjemne pomieszczenia, a pani tylko narzeka? – Prycha. – Każdy by chciał siedzieć na salonach, ale na to trzeba zasłużyć.

– Ściąga wargi, unosi głowę i wychodzi.* * *

– Zupełnie, do cholery, zapomniałam, że przecież Miriam musi iść do szkoły! Dziewczyna straci rok! – Malika zaczęła wcześniej przychodzić do domu i postanawia teraz zorganizować życie rodzinne. – Że też mi nie przypomnieliście! – zwraca się z wyrzutem do pozostałych.

– W ogóle cię nie widywałyśmy, to niby jak? – mówi ostro matka. – Żadna z nas nie ma komórki, telefon stacjonarny nie działa, nie mamy żadnego środka transportu i wszystko załatwiamy na piechotę. Dobrze, że te nasze chude czarnuszki mają siłę wołu.

– Wiem, wszystko wiem. – Malika pochyla głowę. – Miałam małe kłopoty w pracy, ale już się z nimi trochę uporałam.

– Córkó, widzimy, co jest grane, nie jesteśmy ślepe. – Matka delikatnie klepie ją po plecach. – Dlatego też nie chciałyśmy ci zawracać głowy.

– Okej. Dzisiaj kupujemy auto, telefony, załatwiamy internet, a wieczorem robimy naradę bojową na temat kosztów utrzymania. Jutro dowiem się, do której szkoły posyła się dzieci z naszej ambasady i co będzie z czesnym. Mojego milusiego ambasadora chyba szlag trafi, jeśli będzie musiał wyasygnować pieniądze.

– Przecież Marysia nie jest twoją córką. Powiedzą, że się nie należy.
– Wiem czym to się je, mamó. – Malika chytrze się uśmiecha. – Orientuję się w tym już trochę i przed wyjazdem z Libii zmusiłam Ahmeda, aby przekazał mi prawo do opieki nad dziewczynkami. Teraz ja jestem ich opiekunką i basta.

– Sprytna siostrzyczka doprowadzi całą ambasadę do bólu głowy! Ale dobrze im tak. – Chadidża śmieje się pod nosem. – Ależ tutaj pięknie. – Trzy eleganckie arabskie kobiety z dwiema wystrojonymi dziewczynkami wchodzi na teren kampusu Międzynarodowej Szkoły Lincolna.

Marysia, czując pismo nosem, trzyma się blisko babcinej spódnicy. Nie lubi szkoły, bo pamięta tę z Libii, gdzie dzieci ciągnęły ją za włosy i wyzywały *adźnabija*². Po spokoju i ciszy na farmie hałas libijskiej szkoły państwowej był dla dziewczynki nie do zniesienia. Tamtejsi nauczyciele nie byli też wiele lepsi od uczniów – cały czas krzyczeli i bili linijkami po rękach, książkami po głowach albo zwyczajnie pięściami po plecach. Dziewczynka pamięta jak dziś incydent z wymierzeniem jej kary przez tłustą, spoconą Libijkę. Marysia wyciągnęła swoją małą rączkę, jak kazano. Pamięta uniesienie narzędzia kary i świst powietrza. Samego uderzenia już nie, bo zemdląta i padła na podłogę bez czucia. Ale potem koło niej skakali! Dziewczynka na to wspomnienie uśmiecha się pod nosem. Podoba jej się ta szkoła. Jest całkiem inna od tamtej z Trypolisu. Uczniowie są różnokolorowi: żółci, czarni, biali, beżowi i całkiem pomieszani. Zebrały się tutaj chyba wszystkie nacje świata. Każdy jest uśmiechnięty i szczęśliwy. Noszą kolorowe ubrania, a nie brudne, zapocone mundurki. Nikt nie biega jak szalony, lecz wszyscy chodzą w parach, podążając za bardzo miłą, radosną i łagodną panią. Nie wiadomo, jakie tutaj są kary, ale nikt nie krzyczy i nikogo nie biją. Coś niesamowitego.

– Bądź moją parą. – Śliczna, szczupła dziewczynka o czarnej, okrągłej jak księżyc w pełni buzi uśmiecha się do Marysi i wyciąga rączkę, która w środku, o dziwo, nie jest czarna, lecz czerwona. – Mam na imię Georgette – przedstawia się.

– A ja Miriam – szepcze Marysia i trzymając się kurczowo swojej nowej i pierwszej w życiu przyjaciółki, nie oglądając się za siebie, podąża za gromadką rówieśników.

* * *

– Mamó, zobacz, kogo spotkałam na przyjęciu. – Malika po raz pierwszy od przyjazdu mówi rozbawionym, ciepłym głosem.

– Anum, jak miło. – Matka, uradowana spotkaniem dobrego znajomego, wita się z mężczyzną, podając mu rękę do uściśnięcia. – Proszę, siadźcie w telewizyjnym, zaraz przyniosę herbatę.

– My się może czegoś mocniejszego napijemy, hm? – Wystrojona córka w szampańskim humorze ciągnie speszzonego mężczyznę za sobą. – Ale *szaj*³ nam nie zaszkodzi. – Odwraca się jeszcze w kierunku matki, mrugając łobuzersko okiem.

– To gdzie wylądowałaś po powrocie z Trypolisu? – Malika zadaje pytanie, siedząc wygodnie na miękkiej sofie.

– Wiesz, Libia nie była dla mnie łatwą placówką, ale w momencie kiedy się tam sprawdziłem jako konsul, dostałem nominację na dyrektora departamentu konsularnego w MSZ-ecie.

– *Wow, wow!* – wykrzykuje stara kumpela, klepiąc eleganckiego czarnego mężczyznę po ręce. – Moje gratulacje! Zdrowie! – Podnosi do góry zroszoną szklankę z „whisky on the rocks”, tłukąc przy okazji kostkami lodu o szkło.

– A ty od czego jesteś w swojej ambasadzie?

– Od niczego – śmieje się Malika. – Od kopania mnie po tyłku! Ostatnie ogniwo w

łańcuchu, parszywa i niewdzięczna funkcja.

– Przykre – mówi mężczyzna.

– Zajmuję się tym, co spędzało ci sen z powiek w Trypolisie. – Kobieta tajemniczo ściąga wargi i podnosi brwi do góry.

– To znaczy? Ja miałem wiele takich spraw.

– Czy mówi ci coś kradzież ponad stu tysięcy dolarów z waszej placówki oraz nielegalni imigranci, ucieczki na pontonach czy w łodziach przez morze w kierunku południa Europy, obozy dla nielegalnych uchodźców, a potem przymusowa deportacja?

– No to masz pełne prawo do bezsenności. – Anum kiwa na boki głową. – Tym wszystkim ma się zająć jedna osoba? Roszczeniami, petycjami, kontaktem z ministerstwami czy prawnikami – to jest niewykonalne. W Trypolisie miałem dziesięcioosobowe biuro!

– No właśnie – smutno potakuje Malika. – Ale ja nikogo u nas nie przekonam, żeby mi choć trochę ułatwiono pracę czy wręcz umożliwiono rozwiązanie przynajmniej jednego problemu. Nie mówiąc o spełnieniu jednej prośby i wypłacie przynajmniej dwóch dolarów odszkodowania.

– Widać twojemu rządowi nie zależy. Biuro otworzono tylko dlatego, że należało i żeby zamknąć gęby naszym władzom i obrońcom praw człowieka. Teraz my, czarne głupki, już nie możemy się do was przyczepić, powiedzieć, że lekceważycie sprawę, że nas okradziono i łamano wszystkie możliwe prawa i konwencje i że nie chcecie zadośćuczynić poszkodowanym. Taki czarnuch wystosuje pismo, przyjdzie do was, najęczy się, napłacze i sprawa będzie tak długo w toku, aż delikwent umrze, wyniszczony głodem, chorobami, często torturami w Libii – wypowiadając te gorzkie słowa, Anum bardzo się denerwuje. Siedzi sztywno i wodzi dookoła wściekłym wzrokiem.

– Bardzo się nie mylisz. Jedyne sprawy, które można dać ad acta, to właśnie takie, które rozwiązały się w sposób naturalny – przyznaje Malika, żalując, że poruszyła ten temat i zniweczyła w ten sposób przyjemną przyjacielską atmosferę.

– Do zobaczenia. – Mężczyzna jednym haustem dopija whisky, wstaje i kieruje się ku drzwiom. – Na pewno jeszcze nie raz zobaczymy się na dyplomatycznych recepcjach. Życzę powodzenia.

– Myślałam, że będziesz mógł czy chciał mi pomóc... Coś doradzisz. – Malika mówi do pleców Anuma, który po chwili ginie w mroku podwórza, nie oglądawszy się nawet za siebie.

* * *

Po wykonaniu brudnej roboty nadszedł czas na jeszcze brudniejszą. Malika nie może dłużej odwlekać momentu sięgnięcia do akt. Zaczyna od tych, które według jej poprzednika wygasły. Naiwnie sądzi, że pójdzie jej to szybciej i ze spokojną już głową będzie się mogła zająć bieżącymi sprawami. Dosłownie obkłada się zarządzeniami, prawniczymi umowami i swoimi notatkami z kursu, który przeprowadzono dla niej w ciągu tygodnia. Twierdzono, że wystarczy. To są jedynie dwie kwestie, dwie bolączki, które kładą się cieniem na przyjacielskich stosunkach obu krajów. Libia już od jakiegoś czasu rozwiązuje takie rzeczy, płacąc, płacąc i jeszcze raz płacąc. Tak jak za Lockerbie, dyskotekę w Berlinie czy pomniejsze wykroczenia, mające miejsce w przeszłości, o której wszyscy usiłują zapomnieć. Jednak Malika jest na tyle inteligentną osobą, że zdaje sobie sprawę, iż te miliony dolarów idą z kasy państwa, które przez błędy swego wodza dramatycznie ubożeje.

Niedługo będziemy takimi samymi biedakami jak te czarne Murzynki Bambo, myśli sceptycznie, rozpamiętując rosnącą z roku na rok liczbę biedoty i żebraków na ulicach Trypolis. Na ile jeszcze bezsensownych rzeczy idą petrodolary, które mogłyby tak znakomicie ustawić

nasz kraj? Kieszeń lidera i jego rodziny, wszystkich jego przydupasów i prezenty na przeprosiny dla bogatych krajów Europy i Ameryki. Każda studnia ma swoje dno! Malika za sprawą wieku i nabytego doświadczenia nie jest już tak zapatrzona w przywódcę Muammara jak za młodu. Jakby jej ktoś kiedyś powiedział to, co teraz sama myśli, w obronie honoru swojego wodza gotowa byłaby nawet zabić. Starzeję się i mięknie mi serce, wzdycha i bierze pierwszą górkę zakurzonych, wyblakłych akt.

– Czy to prawda, że pracownicy waszej ambasady maczali palce w kradzieży ponad stu tysięcy dolarów, które biedne ghańskie mróweczki, pracujące w Libii na czarno, deponowały w waszym konsulacie? – Malika poznała właśnie ciemne aspekty sprawy kradzieży w ambasadzie i mając w pamięci oburzenie Anuma, postanowiła do niego zadzwonić. – Najłatwiej o wszystko oskarżyć Libijczyków, prawda?

– Też miło mi cię usłyszeć, koleżanko – odpowiada spokojnie mężczyzna. – Przepraszam, że tak mnie wtedy poniosło, chodziło mi głównie o obozy internowania. Ta kradzież to jakiś większy szwindel, okryty głęboką tajemnicą. W tym samym czasie obrobiono jeszcze ambasady Beninu i Mali, gdzie zabito ochroniarza. Naszego natomiast wtrącono do więzienia, gdzie zeznał, że nie miał pojęcia o żadnym depozycie, bo jakby wiedział, to nigdy by się tej pracy nie podjął. Co może zrobić jeden stróż

– tak by go należało nazwać, bo nie miał ani broni, ani telefonu komórkowego, ani przeszkolenia – przeciwko zorganizowanej grupie fachowców? Chłopina cieszył się jak dziecko, że go nie zabili, i jak tylko go wypuszczono, pierwszym samolotem wrócił do Ghany.– Ale ty wiedziałeś o wszystkim, bo przecież pieniądze deponowano w wydziale konsularnym, czyż nie tak?

– Owszem, ale jeśli teraz zajmuję wysokie stanowisko w ministerstwie, to chyba najlepszy dowód, że nie maczałem palców w tej kradzieży? Prześwietlono mnie i moją rodzinę dokumentnie. A poza tym, czy sądzisz, że byłbym do tego zdolny? Okradać biedaków, którzy w tragicznych warunkach pracowali na lewo i zarabiali marne grosze? Miesięcznie dostawali maksimum dwieście dolarów i czasami udawało im się z tego odłożyć sto pięćdziesiąt. Jak oni żyli – nie wiem. To nie byli ludzie, którzy chcieliby wyemigrować do Europy, lecz zwykli niewykwalifikowani robotnicy i wieśniacy, którzy pomagali swoim rodzinom, przymierającym głodem w afrykańskim buszu. Zaczęli u nas składać pieniądze dopiero, kiedy w Libii rozpoczęto czystki i rasistowskie akcje, podczas których zabierano im dosłownie wszystko. Ambasada była bezpieczniejsza, ale okazało się, że do czasu.

– Czy wystawiałeś im jakieś pokwitowania, spisywałeś protokół przyjęcia gotówki? – naciska Malika.

– Tak, i za moich kolegów też mogę ręczyć, choć teraz już nikomu w stu procentach nie wierzę. Na pewno wystawiali kwitki, bo robiliśmy raz w miesiącu kontrolę i komisyjnie liczyliśmy pieniądze. Może ktoś brał prowizję, ale żeby tak całkiem bez niczego z ręki do ręki przyjmował dolary – niemożliwe. Nie wierz plotkom! Lista wpłat była dla bezpieczeństwa w sejfie, który podczas akcji całkowicie wyczyszczono, więc teraz można wcisnąć nam wszystko.

– To kto to zrobił? Dlaczego policja przez tyle lat nie wpadła na ślad złodziei? Wszystko jest jakieś lewe, Anum.

– Żebyś wiedziała! – wzdycha mężczyzna. – Jedna z zagadek dwudziestego pierwszego wieku.– To co ja mam zrobić z tymi petycjami? Wyrzucić je do kosza?

– Masz chyba jakieś wytyczne, które dostałaś przed przyjazdem?

– Dwóch świadków i oświadczenie kogokolwiek z waszej ambasady, że kojarzy danego delikwenta, plus legalizacja składanych u nas dokumentów w twoim wydziale w ministerstwie. Ależ to rodzi korupcję jak jasna cholera! – Malika oburza się nieprofesjonalnym rozwiązaniem

problemu.

– Masz inne wyjście? Jak znajdziesz, to zadzwoń. Do niedługiego – mówi mężczyzna i rozłącza się.

– Ale czemu my mamy za to płacić, to ja już całkiem nie rozumiem. – Kobieta wzdycha, drapie się z namysłem po głowie i otwiera pierwszą teczkę.

* * *

Anum miał rację, że sprawa kradzieży stu tysięcy dolarów to bułka z masłem i przyjemna sensacyjna lektura w porównaniu z eksplozją rasizmu w Libii: historiami internowania oraz działalnością libijskiej policji czy służb więziennych w miejscach odosobnienia. Malika podczas czytania akt jest dosłownie chora. Nie może uwierzyć, że takie rzeczy dzieją się jeszcze we współczesnym świecie. Po przestudiowaniu paru relacji całym sercem stoi po stronie poszkodowanych. Wstydzi się bardzo, bo pamięta siebie z września 2000 roku, kiedy wierzyła w każde słowo propagandy i sama z chęcią gonilaby czarnuchów po Trypolisie, lejąc ich pałą i wrzucając do ciężarówek, wywożących ich daleko od prawowitych obywateli Libii. Doskonale zna opowieść o domniemanym gwałcie w Zawii dokonany na libijskiej dziewczynie przez czarnego robotnika z okolicznej farmy. Od tego wszystko się zaczęło, to była ta iskra, która zapoczątkowała pożar, czy raczej pretekst do przeprowadzenia czystek. W czasie zamieszek w ciągu pierwszego miesiąca zabito prawie sześciuset emigrantów z czarnej Afryki, których wcześniej, w latach dziewięćdziesiątych, wódz sam zapraszał do Libii, głosząc w owym czasie jedność afrykańską. Jednak kiedy po dziesięciu latach obywatele kraju było tylko dwa razy więcej niż czarnych przybyszy, zaczęto prowadzić inną politykę. Mówiono, że wszyscy czarnoskórzy są nielegalnymi uchodźcami i znaleźli się w Libii po przejściu przez zieloną granicę, nie mają żadnych dokumentów, na pewno są karani, a może nawet kogoś u siebie zabili, są chorzy, zwłaszcza na AIDS i inne śmiertelne zarazy, rozprawdzają narkotyki i na wiele innych sposobów deprawują idealnych i czystych obywateli Wielkiej Dżamahirii⁴. Najbardziej absurdalne hasło głosiło, że zabierają miejsca pracy szanowanym i wykształconym Libijczykom. Co za bzdura! Przecież wykonywali najgorsze, bardzo kiepsko płatne zawody, których żaden Arab za żadne pieniądze by się nie podjął.

– Mój brat przebywał w obozie internowania pod Sebha, na środku Sahary. – Przystojny, może trzydziestopięcioletni mężczyzna jest pierwszym petentem, którego przyjmuje Malika. Serce bije jej jak szalone i drżą ręce. Nie wie, jakiej strasznej historii może się spodziewać. – Przyjechał do Libii oficjalnie, na kontrakt, jako wykwalifikowany elektryk. Dołączyłem kserokopię wizy pracy i bitaki⁵, ważnych jeszcze pół roku od momentu zatrzymania.

– Proszę zostawić dokumenty, zaraz panu wypiszę pokwitowanie i po zapoznaniu się z nimi wezwę pana. Może to potrwać do dwóch tygodni.

– Ale ja pani wszystko objaśnię, żeby nie było niedopowiedzeń – upiera się mężczyzna.

– Jeśli sprawa się zakwalifikuje, to opłaci pan koszty kuriera, jakieś dwadzieścia dolarów, i wyślemy dokumenty do ministerstwa sprawiedliwości w Trypolisie.

– Zależy mi, żeby matka dostała odszkodowanie za swojego najmłodszego i najukochańszego syna. Wyjechał, bo chciał trochę poprawić nasze warunki, a wrócił w trumnie. Złapali go libijscy nastolatki, pobili, zgwałcili, okradli i na koniec wrzucili na posterunek policji jako nielegalnego imigranta pedała. Ta opinia chyba musiała być w jego aktach, bo w obozie w Sebha był wielokrotnie wykorzystywany, a kiedy z ładnego chłopca, niech pani popatrzy na zdjęcie, zrobił się szkielet ledwo trzymający się na nogach, chory strzęp człowieka, zajęli się nim lokalni sadyści.

Malika patrzy na fotografię, z której śmieje się do niej wesoły czarnoskóry chłopiec.

Prosty, wąski nos, jak u brata, który siedzi za kuloodporną szybą i opowiada tragiczną historię swojej rodziny. Pełne usta i ufne oczy powodują, że od razu darzy się go sympatią.

– Zrywali mu paznokcie, podłączali do prądu, zakładając uprzednio końcówki na penisa, a jak już stracili fantazję, to wbijali dwui trzycentymetrowe gwoździe w jego delikatne młode ciało. – Mężczyzna zasłania oczy ręką, lecz Malika i tak widzi spływające pomiędzy jego palcami łzy.

– Skąd pan to wszystko wie? Kto panu powiedział? – wybucha, bo nie może uwierzyć w takie okrucieństwo.

– Załączyłem zeznania dwóch świadków, którym udało się przeżyć to piekło. – Ghańczyk pokazuje palcem na dokumenty leżące przed Maliką. – Poza tym oddali nam przecież ciało.

– W zalakowanej trumnie.

– Musieliśmy otworzyć – szepcze z zaciśniętym gardłem, bo prawdopodobnie przypomina sobie widok, jaki wtedy ujrzał. – Ksiądz Josef z misji Męki Pańskiej pod Begoro, z wykształcenia lekarz, podjął się wykonania sekcji zwłok. To są te gwoździe. – Mężczyzna wyciąga mały woreczek, który nosi na rzemyku na szyi, chowając go pod koszulą jak najcenniejszy talizman.

Przed Maliką na szklanym blacie lądują błyszczące metalowe ćwieki, a ona myśli tylko o tym, żeby nie zemdleć.

Potem zgłaszane sprawy sypią się lawinowo. Widać poszła wieść, że w urzędzie jest teraz kobieta i wszyscy poszkodowani liczą na lepsze traktowanie, więcej serca i zrozumienia. Malika jest jak ogłupiała. Ściąga z internetu raport dotyczący ofiar emigracji do Europy pod wiele mówiącym tytułem *Ucieczka z Trypolis*. Czyta go nocami i jest na skraju załamania nerwowego.

– Proszę pani, mnie się udało przeżyć, ale mój dwunastoletni synek został pchnięty nożem przez oficera policji. To był całkiem elegancki człowiek. – Kobieta ubrana w tradycyjny ghański kolorowy strój, z chustą na głowie, brudnym kciukiem wyciera oczy. – Anis się u was urodził i miał wasze obywatelstwo.

– Ojciec moich siedmiorga dzieci opłacił ucieczkę z Libii pontonem na Sycylię. Wie pani, ile to kosztowało? Brali po tysiąc dolarów od łebka! – Zniszczona, chuda jak szczapa kobieta chwyta się za głowę na samą myśl o takiej sumie. – Łódka była mała, maksymalnie na dwadzieścia osób, a oni upchnęli ponoć prawie czterdzieści. Woda wlewała się bokami, ale wszyscy liczyli na szczęście i pomoc Allaha. Straż graniczna złapała ich niedaleko od brzegu, dla niektórych na szczęście, bo niechybnie wszyscy by utonęli. Do mojego Abdullaha los się niestety nie uśmiechnął, bo kiedy zaczęli strzelać, od razu go trafili i zmarł na miejscu. Funkcjonariusze robili to, jak mówią, dla posłuchu i dla hecy, bo cały czas krzyczeli i się śmiali. Ponoć jego ciało zostawili w wodzie, ale mam zeznania dziesięciu świadków, że zabito bezbronnego człowieka.

– Mąż był inżynierem, nie byle kim, i pracował oficjalnie w rafinerii. Zarabiał duże pieniądze, osiemset dolarów – zeznaje smutna kobieta o urodzie modelki.

– Dla bezpieczeństwa mieszkał na kampie w Zawii, lecz niestety było to złe miejsce i zły czas dla niego. Pewnego wieczoru wdarło się tam około pięćdziesięciu młodych, rozwydrzonych Libijczyków, przepraszam, że tak mówię, ale to najszczerza prawda. Zabili stróża przy bramie, zatłukli pałami dwóch Nigeryjczyków, trzech z Erytrei i pięciu z Togo. Każdy z mieszkańców bał się ich tknąć, żeby nie być posądzonym o napaść czy agresję. Byli jak bydło na rzeź. Na koniec rozochoceni chłopcy przynieśli kanistry z benzyną. Dziesięciu Ghańczyków, w tym mojego męża, przywiązali do ogrodzenia, polali i podpalili. I to wszystko, proszę pani. – Czarna piękność patrzy smutno Malice w oczy.

– Ja to w imieniu mojego pana przynoszę. – Czarnoskóry mężczyzna wkłada kopertę w przesuwaną szufladę.

– Dobrze. – Malika zmęczona bezpośrednimi relacjami oddycha z ulgą. – Zapoznam się i dam odpowiedź w ciągu dwóch tygodni. Jest adres, telefon lub e-mail? – pyta już automatycznie.

– Tak, *ja saida*.

Ostatnia historia jest tak samo straszna jak pozostałe, lecz dla Maliki jeszcze okropniejsza. Opowiada o traktowaniu kobiet w obozie odosobnienia w Surmanie, miejscu znanym z pięknych plaż. W życiu by nie pomyślała, że znajdowały się tam takie miejsca kaźni.

Żona moja, którą z wizytą zaprosił jej brat, ambasador w Trypolisie, wyszła po chleb do pobliskiego sklepu. Niestety, nie wzięła ze sobą żadnych dokumentów. Kiedy przejeżdżała wielka wojskowa ciężarówka, ona akurat wychodziła z minimarketu, niosąc zadowolona ciepłe jeszcze pity. Mężczyźni w szoferce zainteresowali się piękną, smukłą i elegancko ubraną Murzynką, zatrzymali auto, schwytali ją, wrzucili na pakę i odjechali. Mój szwagier użył wszelkich możliwych koneksji i oficjalnych dróg, żeby dowiedzieć się, gdzie jest siostra, ale wtedy w Libii wszyscy nabrali wody w usta. Po dwóch tygodniach jego żona wzięła sprawy w swoje ręce – ona wiedziała, jak się załatwia rzeczy niemożliwe. Zapakowała damską torebkę pieniędzmi o wysokich nominalach i ruszyła w miasto. Nie rozstawiała się ze swoim paszportem dyplomatycznym, żeby nie skończyć jak jej ukochana szwagierka. Na jednym z posterunków policji wysoki funkcjonariusz, kiedy zobaczył plik dinarów, niemieszczący się w damskiej kosmetyczce, obiecał pomóc, i to do tego stopnia, że zaproponował kobiecie podwieszenie. Tak wylądowała w obozie w Surmanie, gdzie rzeczywiście znajdowała się moja żona Fatma. Sądzę, że był to zbieg okoliczności. Kobiety były przetrzymywane w magazynie, który zaadaptowano do niecnych celów i podzielono na mniejsze sale. Były to pomieszczenia o powierzchni sześć na osiem metrów, do których oprawcy upychali nawet do siedemdziesięciu osób. Choroby i głód dziesiątkowały przetrzymywane kobiety. Do tego należy dodać fatalne warunki higieniczne, bo na tyle osób była tylko jedna toaleta. Moja piękna żona Fatma, wstyd mi to pisać, została zgwałcona już pierwszego dnia, a później wielokrotnie. Tak samo stało się z moją szwagierką. Najpierw znęcał się nad nią stróż prawa, który miał jej ponoć pomóc, a potem na podwórzu dzień i noc gwałciło ją wielu policjantów i ochroniarzy. Kiedy już do niczego się nie nadawała, bo leciała przez ręce i była ledwo żywa, wrzucono ją do tej samej celi, w której przebywała od dwóch tygodni jej ukochana krewniaczka. Kobiety jakoś wspólnymi siłami pozbierały się i wtopiły w tłum. Nie były już takie czyste i piękne, jak zaraz po przyjeździe, więc i zainteresowanie nimi zmalało. Poza tym świeży towar płynął do obozu szerokim strumieniem. Po udanej interwencji na najwyższym szczeblu w końcu obie wróciły do domu. Zataiły prawdę, żeby nie zranić mężów i całej głęboko wierzącej muzułmańskiej rodziny. Lecz moja szwagierka nie mogła pogodzić się z tym, co ją spotkało, i tej samej nocy popełniła samobójstwo. Nie żądam żadnej finansowej rekompensaty, lecz honorowego zadośćuczynienia i oficjalnych przeprosin ze strony rządu libijskiego. Jak Bóg da, pomoże ono rozgoryczonemu synowi zmarłej.

Na tym list się kończy. Malika baranieje – z takim życzeniem jeszcze się nie spotkała. To niby co, Kadafi ma do nich napisać i przeproszać za obmierzłych psychopatycznych zbrodniarzy?, dziwi się w duchu. Nie ma pojęcia, jak ugryźć tę sprawę. Jeszcze raz przegląda pismo i znajduje na ostatniej stronie napisane drobnym drukiem: „obywatelka Erytrei”. Uff! Malika oddycha z ulgą i od razu siada do komputera. Odpisuje, że bardzo jej przykro, ale szanowny petent powinien wystąpić z powyższą sprawą do ambasady Libii w kraju pochodzenia małżonki.

* * *

– Pierwszy *dinner* u mnie! – Malika aż drży z podniecenia i radości. – Należy mi się chwila relaksu po tej okropnej, niekończącej się pracy.

– Ależ oczywiście, córeczko, we wszystkim ci pomożemy, nic się nie denerwuj. – Matka usiłuje przytulić dziewczynę, lecz ta jak zawsze sztywnieje w ramionach.

– Jak dawałyśmy radę z weselami w Trypolisie na sto pięćdziesiąt osób, to co tam tacy dyplomaci. Oni wszyscy jedzą jak ptaszki – śmieje się zadowolona, że w domu coś się będzie działo.

Malika jak zawsze przebywa w biurze po dziesięć godzin dziennie i tak też jest w dniu przyjęcia. Wie jednak, że rodzina postara się wszystko zrobić jak najlepiej. Kobiety wyciągają z jeszcze nierozpakowanych pudeł piękną ręcznie malowaną irańską porcelanę, platerowe sztuce, kryształy i srebrne tace. Wszystko to jest jeszcze raz myte i polerowane. Wcześniej już ustaliły menu i zgodnie przyznały, że muszą to być narodowe libijskie potrawy. Na przystawkę mięsne i wegetariańskie buriki⁶ z francuskiego ciasta, kofty⁷ z dużą ilością zielonej pietruszki, domowe kebaby z najlepszej wołowiny oraz szawormy z kurczaka. Nie obejdzie się oczywiście bez past, takich jak hummus, *baba ghnusz*⁸ czy *harrisa*⁹.

– Pamiętasz, mamó, jak Dorota poparzyła ręce i dostała ataku alergii po tym, jak przygotowywała z nami harrisę?

– pyta smutno Chadidza.

– Jak bym mogła zapomnieć? – odpowiada stara kobieta, wzdychając głęboko. – Dawne dzieje, ale mnie się wydaje, jakby to było wczoraj.

Patrzą na Marysię, która przygryzając język, dekoruje kruche ciasteczka. Dziewczynka albo znakomicie udaje, albo faktycznie nie słyszała tej wymiany zdań, bo nawet na moment nie przerywa swojej pracy.

– Malika chyba przesadziła z tą ilością baraniny. – Kobiety przy pomocy Marcelino i Evki dźwigają połowę zwierzaka z lodowatej spiżarki i rzucają na kuchenny stół.

– Jak my to poporcjujemy? – załamuje ręce Chadidza.

– My umiemy, *maam* – włącza się cichy i usłużny Ghańczyk. – My z rodu myśliwych. – W tym momencie wyciąga spod szerokich szat ostry jak brzytwa *tasak* i mały kozik.

– Czy on to zawsze nosi przy sobie? – pyta matka po arabsku i zdziwiona podnosi do góry brwi.

– Mamy się czuć bezpiecznie czy lepiej od razu uciekać? Jak kiedyś się na niego krzyknie, to może bardzo zgrabnie obciąć nam głowę – odpowiada córka i wybucha szalonym śmiechem.

– Z kośćmi czy bez? – pyta Marcelino.

Po południu przychodzi do pomocy jeszcze Alice z biura ze swoim „bratem”, który jest ponoć świetnym kelnerem.

– Nigdy nie było u nas w domu tyle alkoholu. I to mocnego! – Niezadowolona matka kiwa na boki głową. – Wiem, że tak musi być, ale na pewno Allahowi się to nie podoba.

– Taka jest dyplomacja, podobno ciągle pijana. – Chadidza, żartując, łobuzersko mruga okiem. – Nikt nikogo nie zmusza do picia na umór, ale na takich przyjęciach ponoć butelki muszą stać. Inaczej następnym razem nikt by nie przyszedł. Tak twierdzi moja starsza siostra, a ona wie, co mówi.

– Cóż, taki świat – wzdycha szpakowata Libijka. – Niech ci chrześcijanie to przyniosą i ustawią. My nie musimy tego dotykać, wystarczy, że już Malice się zdarza.

– Czy jest już kuskus? A jak jagnięcina, miękka? *Siorba*¹⁰ się nie przypaliła? *Crème caramel* nie za rzadki? – Gospodyni przyjęcia jak szalona wpada do domu na pół godziny przed rozpoczęciem kolacji i zasypuje dziewczynę w kuchni tysiącem niepotrzebnych pytań.

– Idź się umyj, przebierz, bo nie ma komu witać gości. Musisz być na czas, moja pani. – Matka wypycha ją do łazienki.

– Dziękuję wam za wszystko, moje kochane. – Posyła im ręką buziaka. – Jak się przewali największy tłum, to poproszę was do salonu i przedstawię moim gościom, więc też się wyfiokujcie, okej?

– Pewnie, świetnie. – Zmęczone, lecz teraz już bardzo zadowolone kobiety również zmierzają do swoich pokoi, aby móc godnie reprezentować córkę i siostrę.

– Musiała zapomnieć – wzdycha matka po dwóch godzinach oczekiwania w kuchni. – Wiesz, jaka jest zagoniona.

– Tak, masz rację. – Rozczarowana Chadidża spuszcza wzrok i zaciska nerwowo usta. – Tylko po co sobie z nas jaja robi?! – wybucha.

– Maryszia, ty już idź spać, bo jutro masz szkołę. – Babcia nadzwyczaj ostro zwraca się do znużonej wnuczki, ubranej w piękną wyjściową sukienkę. – Rozepnę ci zamek, a resztę ściągniesz sama.

– Ale... – Marysia próbuje oponować.

– Mówię coś! – Kobieta krzyczy i zaraz zakrywa dłonią usta, bowiem kuchnia przylega bezpośrednio do salonu, w którym bawią się goście. Dochodzą stamtąd śmiechy i głośne rozmowy, a wszystkich zagłusza rozbawiona Malika.

Dziewczynka, widząc, że dzisiaj nie może dyskutować, wlecze się do sypialni, a kobiety przenoszą się do małego pokoju telewizyjnego, gdzie prawie nie słychać odgłosów zabawy. Włączają telewizję, rozsiadają się wygodnie na miękkich sofach, ściągają buty i kładą zmęczone nogi na niskiej ławie. – Wiesz co, nam też należy się coś eleganckiego i dyplomatycznego – zaczyna matka, patrząc figlarnie na zde gustowaną córkę. – Widziałam w kuchni otwartą butelkę czerwonego wina. Prorok Muhammad w Koranie zakazał picia, obiecuje je jednak wszystkim, którzy wstąpią do raju. Z tego wniosek, że musi być niezłe i czas spróbować czegoś wartego grzechu.

– To ja przyniosę. – Chadidża odzywa jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Kobiety świetnie się bawią w swoim towarzystwie, słuchając arabskiej muzyki i opowiadając sobie dykteryjki z przeszłości. Przyszłości wolą nie planować, bo w ich rodzinie nigdy nic nie wiadomo. Żałują, że wcześniej nie spędzały więcej czasu razem i solennie obiecują sobie to nadrobić. O północy rozmowy w salonie prawie całkiem cichną. Słychać tylko dwa przytłumione głosy: Maliki i jej ghańskiego przyjaciela Anuma. Matka i Chadidża nie mają już na co czekać i udają się do swoich pokoi.

¹ [← powrót do tekstu] *Maam* – ang. *madam*: pani; zwrot często używany przez służbę.

² [← powrót do tekstu] *Adźnabija* (arab.) – cudzoziemka.

³ [← powrót do tekstu] *Szaj* (arab.) – herbata.

⁴ [← powrót do tekstu] Wielka Dżamahirija – nazwa Libii.

⁵ [← powrót do tekstu] *Bitaka* (arab.) – dokument tożsamości.

⁶ [← powrót do tekstu] *Burik* – pasztecik.

⁷ [← powrót do tekstu] *Kofta* – kulki mięsne smażone na głębokim oleju.

⁸ [← powrót do tekstu] *Baba ghnusz* – pasta z grillowanych bakłażanów.

⁹ [← powrót do tekstu] *Harrisa* – czerwona papryka chili i pasta z niej.

¹⁰ [← powrót do tekstu] *Siorba* – arabska zupa na baraninie z makaronem w kształcie ryżu.

Codziennosc w Akrze

Następna rata płatności za szkołę, a ambasador nie dał jeszcze odpowiedzi odnośnie pierwszej. – Malika na problemy w pracy może się wyżyć tylko w domu. – A dużo to kosztuje, córeczko? – pyta matka, podnosząc oczy znad babskiego kolorowego pisma.

– Sporo, całkiem nieźle sobie liczą – wzdycha. – Moja półroczna pensja ledwie pokryje chesne i wpisowe, a gdzie pieniądze na życie?

– Nie żartuj! Ile konkretnie? – Matka i Chadidza kierują teraz całą swoją uwagę na Malikę.

– Najwięcej jest przy zapisie dzieciaka, bo wtedy pobierają dodatkową opłatę, tutaj w wysokości pięciu tysięcy dolarów. A rok szkolny w podstawówce kosztuje dziewięć z haczykiem, więc same widzicie. A im dalej w las, tym będzie drożej.

– Przecież widziałyśmy tam również afrykańskie dzieci. Jak ich rodziców stać na tak kosztowną edukację? – dziwi się Chadidza. – Mówi się, że jest bieda na czarnym kontynencie, ale chyba ktoś tutaj ma pieniądze.

– Po moją przyjaciółkę Georgette codziennie przyjeżdża kierowca czarnym mercedesem, a ona się wścieka i mówi, że tata daje jej najgorszy samochód – włącza się do rozmowy Marysia. – Sama widzisz. – Matka kiwa z dezaprobatą głową. – Słuchajcie, przed przyjazdem tutaj sprzedałam, wprawdzie za grosze, ale zawsze, moją ślubną biżuterię.

– Mamo! Babciu! – wykrzykują z oburzeniem.

– Dobra, dobra. – Starsza Libijka macha lekceważąco ręką. – Od Ahmeda również wydebiłam parę zielonych, więc mogę dorzucić jakieś trzy tysiące.

– Ja się absolutnie nie zgadzam. – Malika skacze na nogi i zapala papierosa.

– Mam jeszcze trochę z mojego rozwodowego odszkodowania na czarną godzinę i uważam, że takowa właśnie nastąpiła. – Chadidza wstaje, idzie do swojej sypialni i przynosi wypchaną kopertę.

– Czy wyście powariowały!?! – krzyczy Malika, rozsypując dookoła popiół. – Ja sobie poradzę, są przecież jeszcze regularne dochody z kliniki w Trypolisie! Trzeba będzie jedynie zrobić transfer i poczekać, aż dojdą.

– Czemu ty uważasz, że musisz nas utrzymywać, hm?

– A mamy jakiegoś chłopca, który by to zrobił? Zawsze tak było, nawet ojciec pożyczał ode mnie pieniądze.

– Jesteś babą z jajami i każdy to przyzna, jednak teraz weź nasz wkład. Jak się dorobisz, to nam coś podrzucisz, żebyśmy cię nie musiały prosić o pieniążki na cukierki. – Mama uśmiecha się i klepie swoją silną, niezależną córkę po ramieniu. – Zawsze nam pomagałaś, więc teraz my możemy się przynajmniej w maleńkim stopniu zrewanżować. Jestem z ciebie taka dumna, Maliko!

* * *

– Puk, puk, koleżanka zza ściany bardzo zajęta? – Młody, uśmiechnięty Ghańczyk wchodzi po cichu od zalecza do biura Maliki. – Ależ skąd, już jest po godzinach przyjęć.

– Tak jak u mnie. – Mężczyzna zbliża się i siada na jedynym, chwiejącym się taborecie. – Widzę, że coraz więcej ludzi do ciebie przychodzi. Do twojego poprzednika nie było warto, więc poczekalnia ziała pustkami. To był cholerny gbur!

– Zdażyłam zauważyć. Cóż, do tej pory poznałam na placówce jego, ambasadora z sekretarką, parę sprzątaczy i to mi wystarczy. Jakoś nie ma tutaj zwyczaju przedstawiania

nowych pracowników.

– Wiele nie straciłaś. – Młody człowiek pochyla się do niej i mówi szeptem: – A ze mnie taki sam chamek, nie przedstawiłem się, mam na imię Kwafi i jestem konsularnym wyrobnikiem. – Śmieje się tubalnym głosem, który całkowicie nie pasuje do jego młodego wieku, a następnie ściska rękę dziewczyny obiema swoimi.

– Długo tutaj pracujesz? – Malika czuje, że od pierwszej chwili darzy tego chłopca sympatią.

– Od skończenia studiów, jakieś dwa lata. Potrzebne mi to do CV, bo cały czas czekam, aż ministerstwo zrozumie, iż byłbym dla nich rewelacyjnym nabytkiem.

– Nie masz chodów, to będzie ciężko. Oni zawsze twierdzą, że są instytucją zamkniętą i nie robią naboru z ulicy. Oznacza to tylko jedno – zatrudniają swoje dzieci, kuzynów i inne pociotki oraz swoich koleśki przydupasów.

– To u was jest tak samo? – Mężczyzna bynajmniej nie przejmuje się słowami starszej koleżanki i szczerze się śmieje. – Mógłbym znaleźć jakieś koneksje, ale nie chcę. Zamierzam dojść do wszystkiego własną pracą – poważnie.

– To tak jak ja. Jestem tylko wnuczką rybaka i córką jakiegoś inżynierka.

– I widzisz, dało się! Byłaś nawet ambasadorką – mówi teatralnym szeptem. – Teraz z innej beczki: w nadchodzącą sobotę wyprawiamy chrzciny mojego pierworodnego – mówi, z dumą wypinając pierś. – Chyba za bardzo nie udzielasz się towarzysko, więc zapraszam ciebie i całą twoją rodzinę. Będzie to dla was ciekawy *experience*.

– Dziękuję ci bardzo! – Malika już prawie zwątpiła w bezinteresowną życzliwość. – Czy to nie jest impreza rodzinna?

– Familia, przyjaciele i cała murzyńska wioska. – Mężczyzna zbiera się do wyjścia. – Zaczyna się około południa, ale jeszcze trzeba dojechać, bo organizujemy oczywiście pod miastem. Co byś powiedziała, żebym przyjechał po was około dziesiątej?

– Super! Czy mogę wziąć ze sobą frienda?

– Pewnie! Tutejszy czy biały?

– Ghańczyk, będzie nam wszystko objaśniał, żebyśmy nie popełniły jakiejś gafy.

Anum przyjeżdża w sobotę godzinę wcześniej i trafia na małą rodzinną awanturę.

– Mówię nie i koniec! – krzyczy Malika, kiwając wskazującym palcem w stronę Marysi.

– Ale dlaczego? – Dziewczynka jest bliska płaczu.

– O co chodzi? – pyta mężczyzna, wchodząc do pokoju telewizyjnego.

– Wujku, wujku pomóż. – Marysia rzuca mu się w ramiona.

– Miły Boże nie pomoże, nie tym razem. Ta dziewczyna jeździ z nami wszędzie. Jedną sobotę może spędzić z rodzicami – tłumaczy Malika, a matka i Chadidza tym razem zgodnie kiwają głowami.

– Ale jej rodziców nigdy nie ma w domu! – wykrzykuje dziewczynka.

– To smutne – mówi starsza Libijka.

– Chodzi oczywiście o Georgette. – Malika tłumaczy niewtajemniczonemu Anumowi. – Nie weźmiemy jej dzisiaj i basta.

– A dlaczego? – pyta mężczyzna.

– Po pierwsze pochodzi z bardzo wysoko postawionej rodziny. Jeśli zadrapie sobie kolano, o co na wsi nietrudno, to ja mam deportację, a jeśli nie daj Bóg zgubi się gdzieś w lesie, to wszyscy wylądujemy w więzieniu. We dwie z Marysią są nie do ujarznienia, brykają jak małe głupie kozy. Georgette w afrykańskim buszu z setką podobnych do siebie dziewczynek wtopi się w pejzaż i będzie mi dość ciężko ją kontrolować. Taką białą twarz – ciotka ze śmiechem wskazuje bratanicę – jeszcze znajdę wśród tłumu, a jej nie.

Dorośli kiwają ze zrozumieniem głowami, tylko Marysia siada na brzegu sofy z założonymi rękami i krzywi twarz ze złości. Teraz już patrzy zbójem na wszystkich.

– To może ja wam opowiem, na jaką uroczystość jedziemy i co będzie się działo? – Anum z chęcią i dowcipnie wprowadza dziewczyny w skomplikowane szczegóły nadawania imienia afrykańskiemu dziecku: – Wy macie prosto. Imię bierze się po ojcu czy dziadku lub babce i z głowy. A jak ktoś nie ma fantazji lub jest mocno wierzący, to po proroku Muhammadzie. Jedna ceremonia, jedna impreza. My, Afrykanie, uwielbiamy się bawić i może dlatego cały czas szukamy po temu okazji. Nadanie dziecku imienia jest dla rodziny ważnym wydarzeniem, a znaczenie tej uroczystości podkreślają rozmaite obrzędy, często długie i rozbudowane. Rodzinka kłóci się przy tym i przekomarza. Jeśli nie są w stanie się dogadać, czasem korzystają nawet z usług czarownika.

Wszyscy skupiają się wokół Anuma, śmieją się i słuchają z wielkim zainteresowaniem.

– Imiona mogą mieć związek z pochodzeniem rodziny lub rodziców. Często wyrażają też przekonania, symbolizują wartości, są odbiciem nadziei i aspiracji. Dzieciom nadaje się też imiona dziadków, szczególnie wtedy, gdy maluch wykazuje fizyczne podobieństwo do nich, lub innych przodków, chcąc podtrzymać więzi ze zmarłymi. Czasem honoruje się w ten sposób przyjaciół, zwłaszcza obdarzonych dobrym charakterem.

– To ile macie tych imion? – Malika nie wytrzymuje.

– Niby trzy, ale czasami więcej, jeśli liczyć przydomki. – Ghańczyk wybucha swoim zaraźliwym śmiechem. – Dajcie mi skończyć. Najprostsze jest pierwsze, bo oznacza czas narodzin, przede wszystkim dni tygodnia. Jak ten mały będzie się nazywał?

Dziewczyny spoglądają na ściągę.

– Kofi.

– To znaczy, że urodził się w zeszły piątek. Wszystko jak w zegarku – siedem dni kwarantanny w domu, w ósmym, to znaczy dzisiaj w sobotę, tak zwany *outdooring*, czyli wyprowadzenie. Zaczyna się zawsze przed południem, w tym samym miejscu co poród. Matka gasi ognisko w chacie, o ile w takowej mieszka, a nie na przykład w bloku, zamiata dom, obmywa niemowlę.

– Opowiedz coś jeszcze. Mamy dopiero jedno imię

– proszę.

– No tak. Niektóre imiona mają związek z wydarzeniami towarzyszącymi narodzinom. Dziecko urodzone podczas deszczu może się nazywać Deszcz lub Woda. Czasem nadaje się też imiona zwierząt lub ozdobnych roślin.

– A twoje co oznacza? – Wszystkie są tego ciekawe.

– Kamień. – Mężczyzna robi zabawną minę. – Podobno taki twardy byłem podczas porodu, albo po prostu jestem jak skała, opoka. – Dumnie bije się w piersi.

– Zmyślasz?

– Coś ty! – Anum kładzie rękę na sercu i kręci głową na boki. – Noworodek ma jeszcze przydomek Baako. Co to takiego? – Malika znów sięga do ściągi.

– Pierworodny. Widzisz! Dla nas tradycyjne imiona są nadal bardzo ważne. Stanowią część dziedzictwa kulturowego i mają bardzo osobisty charakter. Jednak współcześnie coraz więcej imion wywodzi się spoza kręgu kultury afrykańskiej. Obecnie podczas chrztu dziecko otrzymuje coraz częściej imię europejskie. Modne są imiona sławnych ludzi, sportowców lub popularnych muzyków.

– Mamy u naszego malucha angielsko brzmiące Richard – czyta Chadidza.

– Może mama dzidziusia oglądała film z Richardem Burtonem, na przykład *Kleopatra*. – Starsza Arabka wzdycha na wspomnienie przystojnego aktora, a reszta wybucha śmiechem.

– Jesteście przygotowane? Dacie radę? Pamiętajcie, że wy dajecie prezenty tylko matce, ja dam ojcu.

– Aha.

– Poza tym uważajcie, co będziecie piły. Impreza zazwyczaj kończy się obżarstwem, pijaństwem i szalonymi tańcami.

– A jak ktoś nie chce? Co oni tam będą serwować?

– Jedzenie na pewno będzie pyszne, bo cała wioska nad tym pracuje, ale nasz biber czasami bywa niebezpieczny. Pędzony jest z soku palmowego, trzciny cukrowej, kukurydzy lub sorgo, ale często procenty wzmagają się, dodając alkohol metylowy. Czasami sfermentowaną pulpę krzepi się odpadami marihuany, formaliną, a nawet kwasem ze starych akumulatorów. Takie napoje kupuje się zazwyczaj na rynku, gdzie rozlewane są z plastikowych kanistrów, ale trunek ze sklepu też może być chrzczony. Miejmy nadzieję, że będzie to dobry domowy *akpeteshie*¹.

– *Wallahi!* Toż to trucizna. – Malika chwyta się za głowę.

– Tak może się zdarzyć, ale jeśli to porządna rodzina i domowa impreza, na pewno wszystko będzie okej. – Anum uspokaja przerażone kobiety. – Pijcie wino palmowe, które jest smacznym, orzeźwiającym i bogatym w witaminy napojem.

Sprzed domu dobiega trąbienie, lecz wszyscy są jeszcze pod wrażeniem opowieści i nikt nie rusza się do wyjścia. Anum sam biegnie do furtki. Po chwili słychać śmiechy i wybuchy radości.

– Dziewczyny! Możecie do woli jeść, pić, a nawet tańczyć toples – oznajmia po chwili zaskoczonym paniom.

– To jest więcej jak dobra rodzina. – Klepie młodego mężczyznę po plecach.

– Znacie się?

– Bardzo dobrze. Współpracujemy w wielu dziedzinach, a Anum jest moim guru i promotorem – oświadcza przybyły Kwafi.

Rodzina wioski matki noworodka jest oddalona o trzydzieści pięć kilometrów na zachód od Akry. Najpierw jedzie się wzdłuż morza turystyczną autostradą, później skręca w głąb lądu na nieco wyboistą drogę, a na koniec tłucze się trzy kilometry po szutrowej ścieżce. Oczom przybyszy, którzy jadą swoimi autami za gospodarzem, ukazuje się przyjemna miejscina otoczona gajami palmowymi. Nie ma tutaj typowych stożkowych murzyńskich chat z gliny krytych strzechą. Po obu stronach drogi wybudowano rzędy podłużnych parterowych baraczków z czerwonej cegły, krytych blachą falistą. Samochody mijają duży bielony budynek przychodni, mały strzelisty kościółek z zabudowaniami i wielkim ogrodem i zatrzymują się na bajkowym ryneczku, na którym stoją reprezentacyjne budynki: ratusz, wyszynk i supermarket otoczone piętrowymi kamieniczkami. Centrum placu zajmuje fontanna: delfinki skaczące wokół Zeusa, któremu z trójzębu niemrawo cieknie woda.

– Ależ tutaj przyjemnie, a jakie powietrze. – Kobiety prześcigają się w pochwałach, a Marysia już siedzi w swojej wyjściowej, białej sukience na brzegu wodotrysku i zdejmuje buty. Daria siada w wózku i opierając się na tłustych rączkach, ciekawie rozgląda się dookoła.

– Zabawa będzie na sąsiadującym z rynkiem specjalnie do tego przeznaczonym placu, gdzie mamy podest dla tańczących oraz drewniane ławy i stoły – informuje dumny Kwafi, wskazując zaproszonym drogę.

– Czemu ja tutaj jeszcze nie byłem? – pyta Anum.

– Nie wiedziałem, że lubisz ludowe pikniki – śmieje się gospodarz. – Zawsze wyglądałeś mi na pyszałkowatego elegancika. – Po przyjacielsku klepie gościa po plecach.

– Ale pachnie, domowe jedzonko jak u mamy. – Anum nie przejmuje się docinkami i

prawie biegiem rusza przed siebie w kierunku rozstawionych wielkich grilli i palenisk, na których stoją dziesięciolitrowe gary.

– Jeśli wszyscy będą tacy głodni, to nie zdążymy nawet przedstawić dziecka, bo każdy pobiegnie od razu do jedzenia – wzdycha młody tata.

– On na pewno żartuje – uspokaja Malika. – To dowcipniś.

– Witam szanowne panie. – Zza rogu drewnianej chatki wychodzi szczupła, wysoka Ghanka. Trzyma się prosto, jakby szła po wybiegu dla modelek.

– Oto moja żona, Abła. – Kwafi przedstawia swoją połowicę.

– Jesteś piękną, moja droga. – Szczera matka od razu prawi komplement.

– W życiu nie powiedziałabym, że tydzień temu urodziłaś dziecko – dodaje Chadidza. – Czuję się jak mały, tłusty pokurcz. – Zakompleksiona Malika wzdycha z rozpaczą.

– Na początek po szklaneczce domowego wina palmowego. – Abła wręcza musztardówki wypełnione po brzegi mętnym płynem. – Bardzo dobre, mój ojciec robił.

Kobiety ostrożnie próbują trunku, a później zaskoczone jego orzeźwiającym smakiem wypijają wszystko prawie jednym haustem.

– Ostrożnie, to ma swoje procenty. – Anum wyrasta jak spod ziemi. – Ja się nimi zajmę, a wy spokojnie przygotowujecie uroczystość – wyręcza gospodarzy.

Zanim dziecko zostaje przedstawione zebrany, mijają dobre dwie godziny i jest już grubo po południu. Chyba postanowiono skrócić ceremonię, gdyż towarzystwo mocno się już niepokoi opóźnieniem – każdy chce jeść, pić i tańczyć. Na podeście zostały już ustawione różnej wielkości bębny i muzycy przeciągają po nich cicho palcami. W końcu nowy obywatel wioski zostaje wyniesiony przed oczy wszystkich.

– Mów zawsze na wodę – woda! Mów zawsze na alkohol – alkohol! – Starszy mężczyzna macza palec wskazujący kolejno w tych płynach i przytyka go do ust dziecka.

– Co?! – Malika rży ze śmiechu, zasłaniając usta ręką.

– Cicho, do cholery! – Anum ściska ją boleśnie za ramię. – To oznacza bądź człowiekiem szczerym i prawdomównym!

– Aha. – Kobieta z trudem pohamowuje rozbawienie. Później mistrz ceremonii dokonuje obrzędu *libation*, spełniając symboliczną ofiarę na rzecz duchów przodków w postaci wylanego na ziemię alkoholu. Prosi ich o łaskawość i opiekę nad chłopcem. Imię zostało nadane. Może się już zacząć prawdziwa libacja. Wszyscy piją i jedzą na potęgę i nikt na nikogo nie zwraca uwagi. Anum przestawił się na biber, który ponoć jest znakomity, Malika kontynuuje picie wina, pozostała zaś część arabskiej rodziny przerzuciła się na colę.

Kiedy zaczynają się tańce, prawie wszyscy uczestnicy imprezy są już mocno wstawieni. Zapada zmierzch.

– My już będziemy się zbierać. – Chadidza i matka ze śpiącą Darią na rękach oraz wybrudzoną i spoconą Marysią stają przed rozbawioną Maliką.

– Jak to, zwariowaliście! Chcecie mi popsuć zabawę?!

– Niepewnie stojąca na nogach kobieta chwyta siostrę za ramiona. – Absolutnie się nie zgadzam! Nigdzie nie jadę!

– Ty zostań, kiedy tak dobrze się bawisz – odpowiada matka, dobitnie akcentując wyrazy.

– Jak sobie wyobrażacie, że same się stąd wydostaniecie? Toż to afrykańska głusza.

– Pilnie obserwowałam okolicę, kiedy tutaj jechałam. Nawet na tym szutrowym odcinku zauważyłam latarnie. Poza tym to jedyna droga prowadząca do wioski, nie można się zgubić – wyjaśnia Chadidza.

– Lepiej żeby dziewczynki nie widziały takiej zabawy – komentuje matka, ściągając usta w ciup i szybko obracając się na pięcie.

– *C'est la vie!*² – Malika patrzy przyćmionym wzrokiem na oddalającą się rodzinę. Zdejmuje bluzkę, rzuca ją na drewnianą ławę i w samym tylko koronkowym staniku wskakuje na parkiet dla tańczących. Gęsty tłum porusza się w rytm tam-tamów jak w transie. Anum pozostał już tylko w obcisłych granatowych dżinsach, jego mahoniowa skóra połyskuje od potu. Smukła sylwetka dobrze zbudowanego, wysokiego mężczyzny działa na Malikę jak magnes. Atmosfera na parkiecie tchnie zmysłowością i seksem. Część dziewcząt tańczy w długich spódnicach toples lub prawie toples, okryte tylko narzutkami z koralików. Mężczyźni mają jedynie spodnie, szorty lub bermudy i każdy z nich odsłania tors. Nikt nie ma na sobie butów. Przeszkadzają one w wyczuciu rytmu i osiągnięciu jedności z naturą. Malika czuje na biodrach silne męskie dłonie, które zaczynają prowadzić ją w rytm bębnow.

– Jesteś piękna – słyszy namiętny głos, szeptany prosto do ucha. – Chcę być bliżej i bliżej, i bliżej...

Anum obraca ją przodem do siebie, jednym ruchem przyciska do swojej spoconej klatki oraz krocza. Kobieta czuje męskość wypychającą mu spodnie i jej twardość. Ledwie może oddychać, kręci jej się w głowie, a podbrzuszem targają spazmy. Jak dawno z nikim nie była, jak bardzo tego potrzebuje i pragnie. Nigdy też nie czuła takiego zwierzęcego pożądania, gorąca i namiętności. Mogłaby to robić na oczach wszystkich. Mężczyzna bierze ją za rękę i ciągnie w kierunku majaczących zabudowań. Czerwony barak ma wygaszone światła i Anum z trudem otwiera drzwi wejściowe. Po ciemku kierują się w stronę najdalszej kwatery po prawej stronie. Malika sięga po zapalniczkę i znajdują w półmroku drewniany prymitywny stół ze świecą na środku. Światło migocze, tworząc niesamowite cienie, a kochankowie rzucają się sobie w ramiona z dziką namiętnością. Spódnica i spodnie lądują na brudnym klepisku. Anum poci się jeszcze bardziej, a zapach, który emanuje z jego ciała, jest niesamowicie ostry. Malika nie znosi odoru potu, lecz tym razem zapach kochanka doprowadza ją do obłędu i kobieta zlizuje słoną wodę z ciała swojego partnera, wsadza mu język do ucha i delikatnie gryzie. Jego głowa jest pokryta krótkimi krętymi i twardymi włosami, które Malika gładzi opuszkami palców i policzkiem. Anum wodzi ustami po jej szyi, drapieżnie ściska nabrzmiałe piersi. Podniecenie sięga zenitu. Anum ciągnie Malikę na drewniane łóżko w kącie pokoju, pokryte skotłowaną, brudną pościelą.

– Nie, jeszcze złapiemy wszy – broni się kobieta. Ustawia ją więc przy ścianie, odwraca plecami do siebie, zakłada kondom i ostro wchodzi w rozgrzaną i mokrą kobiecość. Mocne pchnięcia wielkiego czarnego prącia rozrywają jej podbrzusze, staje jednak na palcach, aby ułatwić całkowitą penetrację. W euforii drapie zadbanymi, pomalowanymi paznokciami brudną drewnianą ścianę, aż do bólu gryzie skórę na przedramieniu i wydaje nieartykułowane dźwięki. Mężczyzna dyszy coraz szybciej, miażdży jej piersi w stalowym uchwycie i co jakiś czas podnosi ją i przyciąga za biodra. Na koniec z ostatnim silnym pchnięciem wielkiego penisa osuwają się na klepisko. Ich ciała kleją się do siebie mokre od potu, nogi kobiety drżą, a macica faluje w regularnych skurczach. Anum ściąga prezerwatywę, z której wylewa się kremowa sperma. Malika smaruje nią swoje uda i podbrzusze, a następnie moczy w niej palce i wsadza do ust, ssąc je namiętnie.

– Jestem zdrowy, ministerstwo robi nam badania na AIDS dwa razy do roku – chropawym głosem wyznaje mężczyzna. – Można by bez...

– Tak, proszę... – błaga kobieta.

* * *

– Nawet nie sądziłam, że deszcz może mnie tak ucieszyć – mówi zadowolona Malika. – Chodźcie, dziewczyny, do ogrodu. Samira opowie nam, jak było w tej zepsutej i paskudnej

Ameryce.

– Co ja tam wiem... – Młoda śliczna kobieta z delikatnym rumieńcem na policzkach opuszcza skromnie oczy i nie za bardzo chce się dzielić wspomnieniami. – Przeważnie leżałam w szpitalu, a tych szczegółów na pewno nie chcecie poznać.

– Mnie możesz wszystko powiedzieć. – Matka od razu oponuje. – Jeśli tylko będziesz chciała.

– Dobra, dajcie już spokój z chorobami. – Malika sadowi się na bujanej ławce pod małą markizą i z zadowoleniem, a trochę z niedowierzaniem, podziwia swój piękny zielony ogród. – Pamiętacie, jak tutaj było, kiedy przyjechałyśmy? Masakra! – Wybucha śmiechem. – Kto w zasadzie doprowadził ten skrawek ziemi do porządku? – pyta, obserwując matkę i Chadidżę.

– Ja, ciociu, ja! – Marysia wypada z domu cała wymalowana kredkami czy farbami oraz umazana nutellą i wskakuje ukochanej Malice na kolana. – Ja wszystko robię dobrze, prawda?

– Idealnie, mój aniołku, ale teraz idź i dokładnie się umyj. – Czule całuje dziewczynkę w czoło i obejmuje ile sił w ramionach, na co Samira spogląda z niedowierzaniem.

Popołudniowe słońce załamuje się w przejrzystym oczyszczonym deszczem powietrzu, błękit nieba oszałamia swoją barwą, a zapach jesiennych liści i żyznej ziemi odurza. Ptaki na eukaliptusowych drzewach i małych palmach oraz w bugenwillach wzdłuż muru dosłownie oszałały ze szczęścia i śpiewają na całe gardło. W krzakach bawią się młode kotki, które również chcą wykorzystać chwilę i nacieszyć się cudownym ciepłem oraz błogim spokojem. Kobiety siedzą w fotelach, sączą kawę z kardamonem i podziwiają otaczający je świat. Każdej po głowie krążą inne myśli. Matka dziękuje w duchu Allahowi za spokój i szczęście, które otacza ją i jej najbliższych, Samira nie może uwierzyć, że odzyskała zdrowie i postanawia teraz czerpać z życia pełnymi garściami, Chadidża chciałaby już usiąść przed komputerem i za sprawą skype'a zobaczyć miłą twarz niedawno poznanego Abbasa, a Malika aż drży, nie mogąc się doczekać wieczoru, kiedy będzie mogła wyrwać się z domu i spotkać z Anumem w przytulnym hoteliku nad brzegiem oceanu. Właścicielem jest kuzyn kochanka, więc czują się bezpieczni jak w domu, ukryci przed wzrokiem ciekawskich i żony mężczyzny. Spędzają tam prawie wszystkie popołudnia, wieczory, czasami noce. Malika myśli także o bratanicy i dochodzi do wniosku, że kocha Miriam ponad życie. Jeśli tylko będzie się dało, zaadoptuje ją.

Pogoda zmienia się w mgnieniu oka. Chmurzy się, zaczyna gwałtownie wiać i z nieba spadają pierwsze wielkie krople deszczu.

– Uciekamy do domu! – Wszystkie zrywają się w jednej chwili, a Marysia wyskakuje na środek podwórka i zaczyna na bosaka dziki taniec.

Deszcz pada tak intensywnie, że najpierw trzeba zanieść do mieszkania śpiącą Darię, bowiem jeszcze mogłyby się utopić w wózecku.

Po paru minutach z nieba leje się ściana wody.

– Miriam, do cholery, przeziębisz się, już mi tutaj!

– krzyczy Malika.

Ogrodem płynie mała rzeka, a w niej różne żyjątka, począwszy od mrówek, termitów, ciem, motyli, pszczoł i os, i z każdą chwilą przybywają coraz większe okazy. Pod prąd wiosłuje ogromny karaluch zwany tutaj daktylowcem, bowiem kształtem, kolorem i rozmiarem przypomina ten właśnie owoc. Myszy i krety wspinają się na fontannę, która w tej chwili jest jedynym suchym lądem na zalanej działce.

– Ciocia! – Marysia też wdrapała się na wzniesienie i teraz nie wie, jak ma się dostać do domu. Rozgląda się, bliska płaczu, szukając pomocy dookoła siebie.

– Ja ci chyba będę musiała wlać, Miriam. – Malika, nie bacząc na insekty i gryzonie, których się brzydzi, przedziera się w strugach deszczu w kierunku dziecka. Porywa dziewczynkę

na ręce, mocno ją obejmuje i biegiem puszcza się do domu, wydając z siebie zabawne piski.

Pomimo gorącej kąpieli i masażu rozgrzewającymi balsamami po szaleństwach Marysi w ulewnym deszczu tydzień później dziewczynka zaczyna chorować.

– Bolał mnie mięśnie i plecki – żałośnie tłumaczy, leżąc w łóżku. – I tak mi jakoś nieswojo i ciągle zimno. – Kaszle, ledwo łapiąc oddech.

– Trzeba natychmiast wezwać lekarza, proszę pani – stwierdza Georgette, nieodłączna przyjaciółka ze szkoły, która bez Marysi nie może się obyć i asystuje jej nawet w chorobie.

– Ja wiem, co należy zrobić. – Wściekła Malika nie pozwoli sobie rozkazywać niespełna dziesięcioletniej gówniarze. – Natychmiast musisz iść do domu, bo złapiesz gripę jak nic.

– Ale co pani opowiada – śmieje się dziewczynka.

– To żadna grypa, to zwykła malaria.

Kobiety w pokoju Marysi sztywnieją i wytrzeszczają ze zgrozą oczy na Georgette, która uświadamia im straszną rzecz.

– Niestety, muszę potwierdzić diagnozę doświadczonej Afrykanki – śmieje się brytyjski lekarz i głaszcze dumną z siebie Georgette po skręconych włosach. – Proszę ściśle trzymać się moich wskazówek, a wszystko powinno być dobrze. Nie przerażajcie się z powodu wysokiej temperatury, to normalne. Może dojść nawet do czterdziestu jeden.

– I co wtedy? – Samira aż trzęsie się z przerażenia.

– Można robić letnie kąpiele? – pyta doświadczona babcia. – Zdajcie się wszystkie na rutynę matki i naturalne doświadczenie Murzynki, a gwarantuję, że wszystko będzie dobrze. Proszę nie panikować, dziewczynka jest zdrowa, silna i ma wspaniałe warunki. Za tydzień powinno być po wszystkim.

– Co, siedem dni?! Przecież to jest nie do przeżycia!

– Malika rzuca się w kierunku lekarza, jakby go chciała pobić.

– Żegnaj panie. – Mężczyzna pogardliwie patrzy na podenerwowane kobiety i zde gustowany wychodzi.

Z gorączką opanowują dziewczynkę straszliwe dreszcze, tak iż wydaje się, że Marysi za chwilę wypadną wszystkie zęby od szczękania. Potem dochodzą bóle głowy, a następnie nudności i wymioty.

– Zimno mi, zimno – szepcze Marysia, zwiijając się w kłębek na mokrym od potu prześcieradle i leżąc pod dwiema kołdrami i grubym pledem.

Cały czas trzyma za rękę Georgette, która zadzwoniła do domu i poinformowała rodziców, że przez tydzień jej nie będzie, bo ma chorą przyjaciółkę. Nikt się temu nie dziwi i nie sprzeciwia. Dziewczyna stanowi teraz największą pomoc i wyrękę rodziny.

– Pani Samirka to niech lepiej nie wchodzi, bo jest prosto po leczeniu i ma organizm osłabiony. Jak chwyci tę zarazę albo coś podobnego, to nie przetrzyma – dyryguje doświadczona Afrykanka. – Babcia też starsza kobitka, to lepiej niech zakłada maseczkę i smaruje się czymś na komary. My z siostrami posiedzimy, tydzień to niedługo. I wszystkie żujcie korę drzewa chininowego, my w porze deszczowej zawsze to robimy.

– Chcesz iść na medycynę? – pyta w końcu udobruchana Malika.

– To moje największe marzenie. Bardzo się tym interesuję i chcę coś zrobić dla mojego kraju, bo nie każdy tutaj ma tak dobrze jak ja czy wy. Skończę renomowaną akademię gdzieś w świecie, w Anglii czy w Stanach, i wrócę tutaj ratować biedne afrykańskie dzieci. I kobiety może też.

Po tych słowach dziewczyna zyskuje sobie taki szacunek, że w zasadzie może już zamieszkać na stałe z Libijkami, a w sprawie malarii jest generalnym doradcą i konsultantem. Gorączka spada, Marysia przez dwa dni łapie oddech, żeby przetrzymać następny atak, kiedy

febra uderza ze zdwojoną siłą. Wydaje się, że choroba nigdy się nie skończy. Najgorsze są straszliwe migreny oraz mdłości, które nękają osłabioną dziewczynkę. Po końskich dawkach leków zaczyna w końcu świtać promyczek nadziei.

– Jestem głodna – szepcze Marysia piątego dnia, ocierając z czoła pot osłabienia, a nie gorączki.

– Wspaniale, aniołeczku mój kochany! – Malika z podkrążonymi z niewyspania oczami obejmuje dziewczynkę.

– My pójdziemy wziąć szybki prysznic, a babcia zrobi rosółek z przepiórek na wzmocnienie.

– Tak, tak, oczywiście. Już nawet wcześniej wszystko kupiliśmy – potwierdza starsza pani.

– Georgette, można ją wykąpać, nie pogorszy się?

– Chadidża zasięga rady młodej znachorki.

– Pewnie, ja pomogę. – Przyjaciółka też jest już zmęczona, nawet jej czarna karnacja wyblakła, a na policzkach pojawiły się jaśniejsze odbarwienia.

Marysia tak osłabła, że Malika musi ją zanieść do łazienki.

– Najgorsze za nami – mówi ponownie wezwany lekarz.

– Widzicie panie, nie taki diabeł straszny, jak go malują. Na malarię rocznie chorują miliony ludzi.

– A ile umiera? – pyta złośliwie Malika, wręczając wynagrodzenie za poradę. – Teraz dziewczynka musi zostać poddana długoterminowej rekonwalescencji, więc nie widzę możliwości pójścia już w tym roku do szkoły – mówi na odchodnym. – Mam nadzieję, że nie straci roku, w końcu to tylko podstawówka.

– Dzwoniłam do dyrektora. Z jej ocenami to w ogóle nie ma sprawy. Już jest sklasyfikowana. – Ciotka z dumą chwali Marysię.

Tak jak mówił lekarz, powrót do zdrowia zajmuje sporo czasu. Dziewczynka ma anemię i nawracające migreny. Ciotki, babcia i afrykańska przyjaciółka dbają o nią dwadzieścia cztery godziny na dobę. Teraz najbardziej muszą uważać na ponowne zakażenie, którego rekonwalescentka mogłaby już nie przeżyć.

– Ale nudno w szkole bez ciebie, Miriam – skarży się Georgette. – Nie ma dosłownie do kogo ust otworzyć.

– Ja tak mam w pracy na co dzień – śmieje się Malika.

– A ja to sobie dopiero pogadam – dołącza Chadidża.

– Chyba ze ścianą. Dobrze, że jest skype.

– Przestańcie narzekać – gani towarzystwo uśmiechnięta Samira. – Wszystkie macie dobrze, bo jesteście zdrowe. To jest najważniejsze i basta!

Wczesną kolację domownicy jedzą w ogrodzie, bowiem najgorsze ulewy mają za sobą i pora deszczowa prawdopodobnie już się skończyła. Jednak na wszelki wypadek podłączają trzy wielkie elektryczne lampy zwabiające insekty, każda wysmarowała się środkiem przeciwko komarom i włożyła długie spodnie i koszulę z długim rękawem. Marysia leży na rozkładanym plastikowym łóżku, przykryta cieniutkim prześcieradłem. Jedyne Darię trudno ujarzmić w kojcu, gdyż żywe dziecko ciągle podskakuje i kopie nóżkami, chichrając się przy tym do rozpuku.

– Zepsułam wam wakacje – smutno stwierdza Marysia.

– Nigdzie nie pojedziemy. – Ja i tak nie dostałabym urlopu – pociesza ją Malika.

– A poza tym miło jest spędzać czas w tym nieznanym nam jeszcze kraju. Jak tylko się wzmocnisz, to tutaj możemy coś zorganizować. Pojeździmy na wycieczki. Do miasta Kumasi w regionie Aszanti, nad ogromną rzekę Wolta czy najgłębsze w kraju jezioro Bosumtwi. Będzie

fajnie, zobaczysz.

- Super jest też w parku Kakum – włącza się Georgette.
- Obserwujesz gęstą dżunglę ze sznurkowych mostów zawieszonych na wysokości trzydziestu metrów nad ziemią. Mówię wam, jaka jazda! Kolorowy zawrót głowy!
- Ale wszyscy gdzieś wyjeżdżają – kontynuuje narzekanie Marysia.
- Wcale nie – oponuje mała Murzynka. – Ja tylko dwa tygodnie będę u babci na prowincji.
- Możemy polecieć na Święto Ofiarowania do Trypolisu – wpada na pomysł starsza pani.
- Będzie w grudniu, tak jak Wigilia, to i w szkole z trzy tygodnie wolnego.
- Twoja babcia mieszka w murzyńskiej wiosce? – pyta zaciekawiona Samira, zwracając się do Georgette.
- Tak, w Nsiakrom – z uśmiechem odpowiada dziewczynka. – Ale nie jest jakąś zwykłą biedną wieśniaczką. To znana w całej okolicy zielarka. Od lat leczy chorych, którzy przyjeżdżają z dalekich osad i miast. Babcia Afua robi mieszanki na wszystkie możliwe choroby i stosuje magiczne zaklęcia.
- To taka wiedźma? – Marysia z zaciekawieniem podnosi się na łokciu i poważnie spogląda na swoją przyjaciółkę.
- Można to też tak nazwać, ja się nie obrażam. Ale ta wiedźma dała na początku naszego niepodległego państwa mnóstwo kasy na rozwój swojej wioski, budowę drogi, cysternę z wodą pitną i nawet budowę przychodni. Jakoś nie boi się konkurencji – mówi z dumą. – To dochodowy ma interes – z przekąsem stwierdza Malika.
- Ano tak. Mama dzięki temu otrzymała najlepsze z możliwych w tamtych latach wykształcenie.
- Gdzie? W Ghanie? To nieosiągalne – zgodnie stwierdzają Libijki.
- Okej! Jak widzę, wiecie, że w czarnej Afryce nawet teraz szkolnictwo na dobrym poziomie to rzadkość. Dlatego też ja chodzę do najdroższej amerykańskiej budy, no nie? Poziom w szkołach państwowych jest beznadziejnie niski. Tak twierdzi mój tata, a przecież wie, co mówi, bo pracuje w rządzie. Szkoły misyjne, takie do których chodzili moi rodzice, dają przeważnie tylko znajomość języka, a płaci się tam też niemało. Na moją mamę ze swojej przepastnej kieszeni forszę wykladała babcia czarownica. Mój tata pochodził z biednej wiejskiej rodziny i musiał sam zarobić na naukę. Pracował w misji, w której się uczył, a wieczorami i nocami w lokalnej bimbrowni. Może dlatego nie bierze alkoholu do ust. – Wszystkie wybuchają śmiechem.
- Jeśli chodzi o wyższe wykształcenie, uniwersytety u nas to czarna rozpacz. Kadra to dno, handluje własnymi lub cudzymi pracami, każdy egzamin można kupić, a zapłata nieraz jest pobierana w naturze. Ponoć z tego względu mamy tak mało profesorów – większość zmarła na AIDS.
- Dziewczyno, co ty wygadujesz?! – Babcia gorszy się znajomością rzeczy i dorosłym podejściem młodej osóbkki.
- Skąd ty bierzesz takie informacje?
- Od starszych. – Georgette śmieje się szelmowsko.
- Mam uszy, żeby słuchać. I mam też genetycznie ukształtowaną perfekcyjną pamięć. Przecież wiecie, że z braku pisma wszystko u nas było przekazywane z pokolenia na pokolenie drogą ustną. Dlatego tak szybko uczymy się języków obcych.
- Uf, Georgette – wzdycha babcia. – Jesteś jak stara malutka. Kiedy się ciebie słucha, to tak jakby pięćdziesięciolatki.
- To gdzie studiowali twoi rodzice? – dopytuje ciekawska Samira.

– Mama na Sorbonie, a tata w Oxfordzie. Doktorat robił w Yale, ale wszystkie szkoły wyższe były już opłacane z europejsko-amerykańskiej puli.

– Ho, ho, ho! – wykrzykują kobiety, a Marysia znudzona dorosłą rozmową opada na poduszki i obserwuje ostatnie przebłyśki słońca w liściach ogrodowych palm.

– Taka ustawiona rodzinka, a mówisz, że nigdzie nie jedziecie na letnie wakacje? Na pewno spędzacie je zazwyczaj na Riwierze Francuskiej, w Hiszpanii czy Miami – indaguje Malika.

– Tak było co roku i tata namawiał mamę, żebyśmy i teraz pojechali razem. Ale ona nie chce. Rodzice wyjeżdżają na Lazurowe Wybrzeże, a mnie wysyłają na dwa czy trzy tygodnie do babci do Nsiakrom. Tam gdzie diabeł mówi dobranoc! – Dziewczynka smutnieje. – Psiakrew! Moja mama mnie chyba nie lubi. A jak było z twoją, Miriam? Kochała cię? – zagaduje przyjaciółkę.

– Nie wiem, nie pamiętam – odpowiada głuchym głosem rekonwalescentka.

– Co ty bzdurzysz, Marysia?! – oburza się babcia. – Mama cię uwielbiała!

– Czy ty nie słyszysz, że wszyscy mówią do mnie Miriam? Tak się nazywam! – Wnuczka ma łzy w oczach.

– Czemu denerwujesz dziecko?! – Popielata na twarzy Malika staje po stronie bratanicy.

– Nie widzisz, jaka jest jeszcze słaba?! – Zapada niezręczna cisza, a Georgette wielkimi czarnymi oczyskami obserwuje bacznie całe towarzystwo.

– To co będziesz tam robić? – pyta przez zaciśnięte gardło Samira, chcąc rozładować sytuację.

– Babcia pomimo że wydaje się taka nowoczesna i pchała matkę do nauki, to tak naprawdę jest zwolenniczką starych czasów i jeszcze starszych zwyczajów – mówi niezadowolona dziewczyna. – Ponoć będę poddana jakiejś ceremonii, bo w tym roku stałam się już dojrzałą kobietą.

– A cóż to takiego? – pyta zaniepokojona Malika, bo wiele słyszała o dawnych zwyczajach inicjacji dziewcząt na afrykańskim kontynencie.

– Dokładnie nie wiem. Ponoć idzie się na górę Krobo i tam przechodzi próbę czystości. Mama twierdzi, że każda porządna afrykańska dziewczyna musi tego doświadczyć i nie ma od tego odwołania. Kłóć się o to z tatą co wieczór. Może jeszcze zmieni zdanie i pojedę nad morze...

– Upieraj się przy tym, Georgette. Radzę ci. – Babcia, która czytała o okrutnych zabiegach przeprowadzanych również w krajach arabskich, martwi się o przyjaciółkę wnuczki i porozumiewawczo patrzy na Malikę.

– To oni chcą wyjechać za granicę, a ty w tym czasie na wieś? – Chadidża dołącza do rozmowy.

– Mhm. – Szczupła młoda Murzynka zaciska wargi.

– Daj nam na wszelki wypadek dokładny adres babci, jej imię i nazwisko i nazwę tego miejsca kultu. Może ma telefon stacjonarny? – Malika zapisuje wszystko skrupulatnie.

– Będziemy do siebie dzwonić codziennie – obiecuje Marysia. – Ani się obejrzysz, a znów będziemy tutaj razem siedzieć.

– Jakby co, dzwoń dziewczyno bez skrępowania i jak ci tam będzie źle, to przyjedziemy po ciebie. Zostaw mi także numer twojego ojca. – Malika czuje, co się święci, i jest jej strasznie przykro, że nic nie może w tej sprawie zrobić.

– Zadzwoń pani i powie, że ja nie chcę tam jechać?

– Georgette chwyta się każdej iskierej nadziei.

Po tym wieczorze czas zaczyna pędzić jak oszalały. Dziewczynki otrzymują szkolne

świadectwa i wykorzystują wakacje na zabawy i zwiedzanie. Wszyscy zapominają o planowanej inicjacji Georgette, a ona ma nadzieję, że problem umarł śmiercią naturalną. Jednak w przeddzień wyjazdu rodziców za granicę pakują dziewczynę do wielkiego terenowego auta, razem z jej nianią, kierowcą i ochroniarzem, i wysyłają w ghańską głuszę.

– Miriam! Jednak jadę! – Murzynka krzyczy do słuchawki. – Tata jest pod takim wpływem matki, że nic się nie dało zrobić. Z niej to dopiero wiedzma!

Marysia usiłuje dodzwonić się do przyjaciółki następnego dnia i przez cały następny tydzień, jednak komórka nie odpowiada. Jest coraz bardziej zaniepokojona. Pewnego razu długo czeka na Malikę, która gdy tylko bratanicy się poprawiło, znów zaczęła wracać do domu w środku nocy.

– Ciociu... – szepcze, ciągnąc ją w półmroku salonu za rękaw bluzki.

– Czemu ty jeszcze nie śpisz!?! – krzyczy złapana na gorącym uczynku. – Chcesz się znowu pochorować?!

– Georgette nie odbiera telefonu. Coś jest nie tak.

– Na pewno nie ma zasięgu. – Malika pochyla się i dziewczynka czuje od niej alkohol.

– To zadzwoń na normalny, chyba nie wyrzuciłaś kartki? – Wściekła Marysia odsuwa się i patrzy z wyrzutem na ciotkę.

– Okej, jutro – obiecuje.

– Nic z tego. – Malika wraca z pracy wyjątkowo wcześniej i pierwsze kroki kieruje do pokoju dziecięcego. – Stacjonarnego nikt nie odbiera.

– Jak ja dzisiaj dzwoniłam, to tak jakby odebrała, słyszałam cichy płacz, a później się rozłączyła. – Przerażona Marysia obgryza z nerwów paznokcie. – Ciociu, co to za próba? – Obawiam się najgorszego i dlatego jeśli dzisiaj się niczego nie dowiem, to jutro jedziemy do niej. Kolega z konsularnego, pamiętasz, Kwafi, wybierze się z nami. Jego żona przechodziła przez to samo i on jest strasznym przeciwnikiem takich zabiegów.

– Dlaczego ją krzywdzą? I to własna mama, własna rodzina. – Dziewczynka nie może zrozumieć. – Co jej tam robią?

– Wycinają część kobiecych narządów, tam na dole w muszelce. – Ciotka nie wie, jak najdelikatniej wyjaśnić to bratanicy.

– Ale dlaczego?!

– Takie głupie stare zwyczaje...

– Pani Afua Nsia? – Malika słyszy szum w słuchawce.

– Tak, kto mówi? – rozlega się nieprzyjemny kobiecy głos.

– Jestem przyjaciółką rodziny, współpracownicą pani zięcia – kłamie jak z nut. – Prosił, żeby dowiedzieć się o zdrowie Georgette.

– Wszystko w najlepszym porządku – z ociąganiem, niepewnym głosem wyznaje starucha.

– Chciałabym z nią porozmawiać – Malika naciska.

– Nie ma takiej możliwości. – Po tych słowach rozłącza się.

Marysia, Kwafi, Malika, kierowca i wynajęty ochroniarz wyruszają skoro świt i kierują się do prowincji Aszanti. Mają przed sobą daleką drogę, bo co najmniej dwieście kilometrów kiepskimi drogami. Udało się wypożyczyć wóz terenowy z ambasady, co zapewnia im jaki taki komfort. Wczesnym popołudniem wjeżdżają do wioski. Jest całkiem zadbane i widać, że zainwestowano w nią spore pieniądze. Przyjezdni najpierw zatrzymują się przed jakimś barem i pytają o adres znachorki. Ludzie udają, że nie wiedzą, o kogo chodzi, i nikt nie chce im udzielić odpowiedzi. Malika namierza posterunek policji i tam wypytuje pierwszego napotkanego funkcjonariusza.

– Ja tam pani nie wiem – odpowiada mężczyzna łamaną angielszczyzną. – Ta kobita po górach chodzi, zioła zbiera, jeździ do pacjentów.

– A który to szczyt Krobo? – Libijka zaskakuje go znajomością rzeczy.

– Ten, a może ten, kto by spamiętał nazwy? – Policjant ewidentnie orientuje się we wszystkim, ale kryje starą czarownicę.

– Jak wezwę policję z rejonowego miasta, to się będziecie mieli z pyszna! – wybucha Malika.

Ghańczyk tylko cmoka i z pogardą patrzy na kobietę w europejskich ciuchach. Sądzi, że taka elegantka trochę się podenerwuje i pojedzie sobie, tak jest zawsze.

– Ta wredna baba, Afua, postawiła tutaj ośrodek zdrowia, może pracują tam jacyś nieprzekupieni przez nią lekarze. – Libijka wpada na znakomity pomysł.

W małym czystym budyneczku, przy którym rozłożyła się misja chrześcijańska, spotykają sympatycznego misjonarza w średnim wieku.

– Proszę księdza, jest sprawa. – Malika relacjonuje mu wydarzenia i przekazuje swoje obawy.

– Ja tę kurwę już od dawna usiłuję chwycić na tym haniebnym procederze! – Misjonarz wybucha jak zwykły człowiek. – To na tym kosi taki straszny szmal. Zwolennikami obrzezania bynajmniej nie są tylko przedstawiciele niższych klas! Może to sobie pani wyobrazić?!

– Tak, bo jest tam teraz dziewczynka z ghańskiego establishmentu. Rodzice studiowali za granicą, tatuś pracuje w rządzie, a mamusia to wzięty prawnik. Od spraw pokrzywdzonych dzieci i kobiet – szepcze przez zaciśnięte zęby wściekła Malika. – Utopię ją w szklance wody, niech mi pan wierzy!

– O ile je znajdziemy – stwierdza zniechęcony misjonarz.

– Ta czarownica woli zabić dziewczynki, niż doprowadzić do wykrycia swojej działalności.

– Ale poszukiwana przez nas Georgette to jej wnuczka!

Marysia zostaje w misji, gdzie jest obskakiwana przez siostrzyczki zakonne, które długo nie widziały białoliczych i jasnowłosych dziewczynek. Adorują ją i zasypują prezentami. Grupa tropicieli złożona z przyjezdnych i trzech misjonarzy oraz młodego polskiego lekarza z lokalnego szpitala udaje się do buszu. Mają przy sobie broń i maczety. Wyglądają, jakby wybierali się na wojnę. Po czterech godzinach poszukiwań, kiedy już zaczyna zapadać zmrok, a wszyscy są bliscy rezygnacji, znajdują małą chatkę z gliny, z dachem z palmowych liści. Ze środka dochodzi okrutny fetor zgnilizny i słaby pojedynczy jęk. Malika rzuca się biegiem w jej kierunku, lecz mężczyźni łapią ją za ręce, nie pozwalając wejść do środka. Zapalają latarki, odbezpieczają broń i ostrożnie uchylają brudny dziurawy koc, który zasłania wejście. Ich oczom ukazuje się straszny widok. Na klepisku leży osiem szczupłych dziewczęcych ciałek. Mają od siedmiu do dwunastu lat, każda ze związanymi nóżkami i krwawymi plamami w okolicach krocza.

– *Wallahi!* – Malika wybiega na zewnątrz i gwałtownie wymiotuje.

Trzy z uczestniczek ceremonii obrzezania nie żyją, reszta jest w stanie ciężkim albo bardzo ciężkim.

– Zrobiła im infibulację – szepcze lekarz, rozchylając nogi jednej z dziewcząt. – Sadystka i morderczyni!

– Co to takiego? – pyta Malika, nieobeznana aż tak dokładnie w temacie. – To najbardziej skomplikowany i odrażający rodzaj obrzezania zwany farańskim. Wycina się dosłownie wszystko: łechtaczkę, wargi mniejsze i częściowo większe, a następnie zszywa obie strony, pozostawiając niewielkie ujście dla moczu i krwi menstruacyjnej, nieraz tak małe jak główka zapalniczki. Przeprowadzając to w takich jak tutaj warunkach, skazuje ponad połowę dziewcząt na

śmierć. Znachorki używają do zabiegu żyłek, brzytwy lub zwykłych kuchennych noży. Zabierajmy stąd te biedaczki. Jak się zrobi całkiem ciemno, możemy zostać zaatakowani przez zwolenników takich ceremonii albo dzikie zwierzęta.

Georgette ma wysoką temperaturę, jest nieprzytomna, a w okaleczone miejsce wdało się już zakażenie. Po dezynfekcji świeżej, zaognionej rany, rozpruciu i wyciągnięciu ludowych specyfików oraz pseudolecniczych liści dziewczyna zostaje ponownie zaszyta. Nie ma już dla niej innego wyjścia. Malika asystuje przy zabiegu i widzi, jak strasznie okaleczono kobiecość tej przyszłej matki i kochanki. Nie dziwi się wielkim międzynarodowym akcjom przeciwników obrzezania i rozumie skargi samych poszkodowanych. Dla tej dziewczyny wszystko, co będzie związane z seksem, stanie się bólem i gehenną.

– Pana córka leży umierająca w szpitalu w Nsiakrom.

– Malika w końcu dodzwania się do ojca Georgette.

– Jak to? Kim pani jest, skąd pani ma mój prywatny numer telefonu?! Pani usiłuje mnie szantażować! – przerażony mężczyzna podnosi głos.

– Niech mnie pan w dupę pocałuje! Ty wykształcony zwyrodnialcu! Ty skurwysynu! – Kobieta nie panuje nad sobą. – Mam bratanicę w wieku twojej córki i w życiu nie pozwoliłabym jej tak skrzywdzić! Ojciec i matka poszkodowanej przylatują rządowym helikopterem, który ląduje na środku wioski, wzbudzając tym sensację.

– Zabieramy córkę do miasta – oświadcza elegancki czarnoskóry mężczyzna z bezbłędnym oksfordzkim akcentem. Usuwa wszystkich z drogi, traktując otaczających go lekarzy, misjonarzy oraz Malikę z Marysią jak intruzów.

– Zrobi pan to, jeśli lekarz zezwoli! – Libijka dumnie podnosi czoło i staje na jego drodze.

– Odsuń się! – Matka Georgette, postawna Ghanka z podniesioną dumnie głową macha Malice wymalowanymi paznokciami tuż przed twarzą, tak jakby odganiała się od natrętej muchy.

– Ja ci zaraz te pazurki w odbyt wsadzę! – Niewysoka Arabka podskakuje do wyfiokowanej Afrykanki.

– Pozwolisz. – Mężczyzna z wydziału konsularnego w libijskiej ambasadzie delikatnie odsuwa koleżankę i staje przed rodaczką. Podsuwa jej pod nos swoją legitymację.

– Szef ghańskiego oddziału Organizacji Praw Człowieka, Kwafi, wnuk Kwame Nkrumah³.

W tym momencie wszystkim opadają szczęki, a rodzice okaleczonej dziewczynki robią się całkiem malutcy.

¹ [← powrót do tekstu] *Akpeteshie* – ghańska nazwa bimbru.

² [← powrót do tekstu] *C'est la vie* (franc.) – takie życie.

³ [← powrót do tekstu] Kwame Nkrumah (1909–1972) – premier, pierwszy prezydent i szef rządu niepodległej Ghany, działacz ruchu panafrykańskiego; zmarł na wygnaniu.

Stary czarownik wudu z plemienia Aszantów

Mijają dwa miesiące od strasznych wydarzeń na prowincji. Marysia codziennie ma nadzieję spotkać w szkole ukochaną przyjaciółkę. W końcu ta dzwoni.– Georgette, jak miło cię słyszeć! Jak dobrze, że w końcu się odezwałaś! Tak za tobą tęskniłam! – Dziewczynka radośnie krzyczy do słuchawki. – Czemu nie odpowiadałaś na moje telefony?

– Słuchaj, mam ich już serdecznie dość! – mówi Afrykanka lodowatym tonem, na co Marysia wybałusza oczy i przetyka ślinę. – Zrujnowałyście moje szczęśliwe życie, karierę moich rodziców. Czego jeszcze chcesz? Odwal się ode mnie, ty parszywa Arabko!

– Ale...

– Nie przerywaj mi, bo teraz ja mówię! Rodzice się rozwiedli, mamie odebrali licencję prawniczą i ma karę więzienia w zawieszeniu na pięć lat za jakiś niby współdział. Ojciec stracił swoją pozycję i jego praca w ministerstwie wisi na włosku. Babci, Bogu dzięki, nic nie zrobili, bo nie mają ani dowodów, ani świadków. Musieliśmy się wyprowadzić z naszej wspaniałej willi, bo codziennie jacyś durni bojownicy o prawa człowieka walili w okna jajkami i pomidorami. Dzisiaj wylatuję do szkoły w Anglii i mam nadzieję, że nigdy więcej cię już nie zobaczę. Jesteś teraz zadowolona? Możesz cieszyć się razem z twoją durną ciotką, która lubi się wtrącać i wtykać swoje brudne paluchy tam, gdzie nie trzeba.

– Georgette, uratowałyśmy ci życie. – Marysia szepcze, bo w szoku nie może zaczerpnąć tchu. – Pięć dziewczynek zmarło, a ty zostałam okaleczona na całe życie.

– Lepiej by dla mnie było, żebyś zdechła jak ten śmierdzący szakal, niż przeżywała teraz taką hańbę mojej rodziny. Na ustach wszystkich ludzi, w prasie... Jeszcze was pokarze za nasze nieszczęście!

– Co ty mówisz?! Powinnaś być wdzięczna, a nie nas przeklinać.

– Teraz jestem prawdziwą Afrykanką, a ty nieczystą Arabką! Nigdy nie będziesz w stanie mnie zrozumieć.

Marysia małymi rączkami ściska swoją różową komórkę i tak ją zastaje babcia.

– Wnuczusiu kochana, co się stało? – Siada koło niej i obejmuje dziewczynkę ramieniem.

– Źle się czujesz?

– Tak, chcę się położyć. – Dziewczynka nie ma ochoty dzielić się swoim bólem z innymi i otwierać nie po raz pierwszy zranione serce.

Cały czas huczą jej w głowie słowa Georgette. Nie do pomyślenia, że tak mądra i nad wiek dojrzała dziewczynka znienawidziła tych, którzy ją uratowali, a nie oprawców. Co gorsza, czuje się dumna ze swojego obecnego stanu. Rzeczywiście, mała Arabka nigdy jej nie zrozumie. Od tamtej rozmowy Marysia chodzi jak we śnie – niby funkcjonuje, ale jak maszyna. Zalicza lekcje w szkole, sprawdziany, bierze udział w akademiach i wyjazdach, lecz robi to tylko ciałem, duchem jest gdzie indziej. Czuje się tak, jakby patrzyła na świat przez niewidoczną szybę. Rzadko się śmieje, nie krzyczy, nie zaczepia Darii, nie odpyskowuje ciotkom i babci, nie biega i nie podskakuje w miejscu, jak to miała w zwyczaju. Kobiety zauważają tę zmianę, ale tłumaczą to sobie malarią oraz późniejszymi strasznymi przeżyciami. Próbuje swoją pupilkę zaangażować w życie rodzinne, potrząsnąć nią i obudzić, lecz Marysia, jeśli nie musi, nie uczestniczy we wspólnych zajęciach. W domu przebywa głównie w swoim pokoju, czym doprowadza wszystkich do szału. Szybko odrabia lekcje, trochę pogra na komputerze lub poszpera w internecie, a pozostały czas spędza w łóżku. Jej buzia, zawsze różowa i zaokrąglona, niezdrowo się wydłużyła i zabarwiła na ziemisty kolor, a pod oczami malują się fioletowe sińce.

– Miriam, robimy wspaniałą, długą wycieczkę w weekend. – Malika wpada jak burza do

dziecięcego pokoju.

– Dziewczyny nie chcą dołączyć, ale na tobie chyba się nie zawiodę?

– A dokąd?

– Pojedziemy do Akosombo, a stamtąd statkiem w górę Wolty do specjalisty od wudu – opowiada podekscytowana. – Super, nie?

– To znaczy do czarownika? Mów, ciociu, otwarcie.

Marysia nie da się oszukać i wie, że po przejściach z Georgette różnych słów zaczęło się w domu unikać.

– No tak...

– A co to jest wudu? – ciekawi się dziewczynka. – Jeśli nikt nie chce jechać, to znaczy, że jakieś niebezpieczne albo głupie.

– Po trochu jedno i drugie – przyznaje ciotka. – To są bardzo stare rytuały, przy których człowiek się oczyszcza z grzechów i cierpienia i dostaje później nowego powera – śmieje się. – Na koniec dają ci jakieś chroniące amulety i od tej chwili idziesz przez życie śpiewająco. Chyba nam obu dobrze zrobiłaby taka terapia, co?

– Wszystkim by się przydało – rozmyśla Marysia. – A nie złożą mnie tam w ofierze? Wiesz, że z nimi nigdy nic nie wiadomo – mówi na głos i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów delikatnie się uśmiecha.

– Jedzie z nami Anum, więc będziemy miały bodyguarda.

Droga z Akry do Akosombo, jedyne sto kilometrów, przebiega śpiewająco. I to dosłownie, bo przez cały czas podróżnicy słuchają arabskiej muzyki, której wtórują dziewczyny, lub afrykańskiej, znanej Anumowi. Przekomarzają się, które utwory są dłuższe, choć jedne i drugie ledwie mieszczą się w piętnastu minutach. Samochód parkują na nabrzeżu i weseli podążają do małego piętrowego stateczku, który jakby na nich czekał. Anum rozmawia z przewoźnikiem w jednym z lokalnych dialektów, a dziewczyny, głęboko wdychając rześkie powietrze, rozkoszują się niezwykłym widokiem. Marysia czuje, jakby życie znów w nią wpływało szerokim strumieniem.

– Ale wielka woda. Coś niesamowitego! I mówi się, że w tym kraju panuje susza – dziwi się Malika.

– A popatrz, ciociu, na ten zielony gąszcz dookoła brzegu i chmary ptaków. Jak one hałasują! – śmieje się zadowolona Marysia.

– Jeśli mamy stworzenia latające, to od razu zjadamy lekarstwo na komary i smarujemy się offem. – Malika trzęsie się o zdrowie bratanicy.

– Anum, ile czasu będziemy płynąć? – Tuż po uruchomieniu silników dziewczynka rozpoczyna zasypywać lawiną pytań. – Głęboka ta rzeka? Dużo w niej ryb? A są inne zwierzęta, na przykład krokodyle? Dużo tutaj komarów? A ile wiosek dookoła? Jak daleko do celu? – Odpowiem na najważniejsze. – Ghańczyk śmieje się całym sobą i zabawnie podryguje. – Do naszego czarownika jest jakieś pół godziny, maksymalnie czterdzieści pięć minut.

Mężczyzna rozsiada się wygodnie i obejmuje szczęśliwą Malikę. Razem wystawiają twarz na delikatną bryzę i z czułością patrzą sobie w oczy.

Może ciotka znalazła sobie w końcu męża?, myśli Marysia. Ponoć tutaj można mieć po parę żon, to ta jego poprzednia się nie pogniewa i nie będzie przeszkadzać. Byleby mnie nie zostawili – niepokoi się trochę i pakuje między przytuloną parę.

Na nabrzeżu przy małym moło czeka na nich dwóch mężczyzn ubranych w tradycyjne afrykańskie szaty. Każdy w rękę dzierży dzidę, a za pasem wiszą im wielkie maczety. Jedyne wokół wydeptanej przystani widać trochę niezarośniętej czerwonej ziemi, a już dosłownie po dziesięciu krokach w głąb łądu otacza ich nieprzenikniona, gęsta dżungla. Teraz stało się jasne,

do czego służą wielkie ostre noże. Po dobrych dwudziestu minutach zaczyna się przejaśniać i kolor zielony pomału ustępuje promieniom słońca i błękitowi nieba. Na niewielkim placu stoi jedna jedyna mała gliniana chata z przylegającymi do niej zabudowaniami, które wyglądają jak kaplica. Po chwili wychodzi z niej niski i chudy jak szczapa Afrykanin. Ciało ma wyschnięte, tak że przez cienką skórę prześwitują nabrzmiałe, fioletowe żyły i sterczą kości. Podaje Anumowi dłoń z nieproporcjonalnie długimi palcami. Mężczyźni dogadują się co do ceny ceremonii. Za amulety trzeba będzie zapłacić na końcu.

– Za dwadzieścia dolarów będziecie oczyszczone ze hej – śmieje się Anum.

– Przestań sobie jaja robić! – Malika uśmiecha się pod nosem. – To nie jest niebezpieczne? Żeby znowu coś się nie stało.– Jeśli uczestniczysz w jakimś obrzędzie dla hecy i nie wierzysz w gusła, to co ci się może stać, kobieto? Nic! Chyba że jesteś zabobonna...

– No wiesz!

Cała trójka wchodzi do glinianej mrocznej przybudówki, która jest dwa razy większa od chaty. Pod ścianą naprzeciwko otworu wejściowego na prymitywnie wykonanych półkach leżą jakieś fetysze, bransoletki ze słoniowego włosia, grzechotki, kolorowe wisiorki na rzemykach. Takie same można kupić na ludowych targach w Akrze, ale tamte są nowe i wykonane w Chinach. W centralnym miejscu na ścianie wisi stara, drewniana, wyblakła maska z czupryną z długich naturalnych włosów. Oczy ma okrągłe, a usta wygięte w dół w okropnym, przerażającym grymasie. Na drewnie namalowano białe i czerwone kropki i paski, gdzieś tam tylko prześwituje jego naturalny kolor. Wszystko to musi coś symbolizować. Dziewczyny patrzą jak urzeczone na stary wyrób. Malika niepewnie ogląda się na Anuma, lecz ten z uśmiechem na twarzy wzrusza tylko zabawnie ramionami. Siadają na klepisku naprzeciwko sporej powyginanej metalowej misy. Na zewnątrz słychać przytłumione głosy, z czego wniosek, że czarownik ma pomocników. Za plecami przyjezdnych rozsiadają się trzej czarnoskórzy, ubrani w czerwone narzuty jak Masajowie, z pięknie upiętymi włosami, w rękach dzierżą bębny. Każdy instrument ma inny rozmiar, od najmniejszego do największego. Wszyscy wiedzą o mowie tam-tamów, więc cieszą się, że specjalnie dla nich przygotowuje się prywatne przedstawienie. Co te tamburyny im powiedzą?, zastanawiają się. Marysia jest tak podekscytowana, że nie może spokojnie usiedzieć na miejscu. Do pomieszczenia wchodzi jeszcze jeden Afrykanin i zapala świece w metalowych prymitywnych kandelabrach oraz kilka stojących na ziemi, ułożonych w kształt krzyża. Nie wiadomo, z czego są zrobione, palą się nierównym ogniem, wydzielając nieznaną i nieprzyjemną woń. Malika ściąga usta i strzela oczami na boki. Zaczyna się zastanawiać, czy dobrze zrobiła, zabierając małą dziewczynkę ze sobą. Ciężko wzdycha i myśli, czy nie uciec. Na wszelki wypadek zostawiłaby nawet zapłatę, żeby czasami nie rzucili na nich jakiejś kłątwy. Gdy już ma stanąć na zdętwiałe nogi i wyjść, do środka wchodzi czarownik. Ma na sobie również czerwoną szatę przerzuconą przez jedno ramię, a twarz zakrywa mu groźna maska. Nie wiadomo, co ona przedstawia, i to niepokoi kobietę jeszcze bardziej. Za plecami zaczynają grać im bębny. Najpierw cichutko szemrzają, jakby naśladując płynący strumyk, a później zaczynają ze sobą rozmawiać. Tak, to brzmi jak pogawędka, jeden coś mówi, a drugi odpowiada, trzeci zaś im wtóruje. Przyjezdni trochę się relaksują i wygodniej siadają na piętach. Szaman usadawia ich po swojemu: dziewczynka w środku, kobieta po lewej, mężczyzna po prawej. Po chwili czarownik zaczyna tańczyć. Jednocześnie posypuje ziemię białym proszkiem i rysuje krąg, w którym zamyka trójkę uczestników. Następnie nad małym paleniskiem przygotowuje magiczną zupę, wrzucając do garnuszka z mętnym płynem jakieś zielska, kawałki kory, kamyki i kulki niewiadomego pochodzenia.

– Ja tego nie wypiję – szepcze Malika nad głową Marysi do Anuma. – Ani dziecku nie dam.

– Szszsz... – Czarownik skacze jak pantera w ich kierunku i przytyka maskę do jej twarzy, łypiąc spod niej wielkimi przekrwionymi oczami.

Napar bulgocze i wydając jeszcze gorszy odór niż świece, miesza się z ich smrodliwym zapachem. W pomieszczeniu zaczyna się robić coraz duszniej i coraz goręcej. Szaman wylewa trochę wywaru do blaszanej miski i płąsa dookoła niej, zawodząc straszonym, schrypniętym głosem. Bębny wzmagają swoje tempo i teraz brzmią, jakby się kłóciły. Niewielki mężczyzna w masce porusza się coraz szybciej, wpada w trans. Trzęsie rozłożonymi na boki rękami, a bransolety na nadgarstkach i kostkach u nóg wydają przy tym głuchy metalowy dźwięk. Koresponduje on idealnie z tam-tamami. Muzyka staje się coraz głośniejsza i bardziej natarczywa. Czuje się, jakby wbijała się w głowę i wpadała do samego mózgu, odbijając się uprzednio echem w płucach. Niezwykły zapach w chacie oraz niesamowita melodia sprawiają, że Malika, Anum i Marysia zaczynają się dziwnie czuć. Kręci im się w głowach i czują się bardzo słabi. Odnoszą wrażenie, że ich ciała oddzielają się od kości, miękną i stają się lekkie jak obłoczki pary. Cała trójka powoli zaczyna się poruszać w rytm dziwnej muzyki, która przyzywa ich dusze. Oczy mają przymknięte, usta zaś lekko otwarte, z wyschniętym językiem w środku. Nie czują jednak pragnienia, zmęczenia, ścierpiętych od siedzenia w kucki nóg. Wszystkie myśli i zmartwienia z nich ulatują. Czarownikowi zostaje wsadzony do rąk mały śliczny kogucik z kolorowym ogonem. Szaman nie okazuje mu żadnych złych emocji. Tańczy dookoła siedzących, przytulając ptaka i całując go przez maskę. Gładzi jego delikatne piórka i dotyka sterczącego ogona. Bębny znów przyspieszają swój rytm i rwą się nierówno jeden przed drugim. Brzmi to jak bieg na finiszu maratonu, kiedy kroki biegaczy są coraz szybsze i szybsze. Nagle muzyka milknie i wszyscy zastygają w bezruchu.

Nadchodzi czas ofiarowania. Najpierw czarownik podnosi koguta ku stronom świata, a potem, trzymając go za nogi, rozpoczyna ponowny obchód trójki siedzącej na środku w magicznym kręgu. Każdy z nich klęczy, podczas gdy celebруюcy uroczystość przesuwając koguta nad ich głową albo nad całym ciałem jak wielką pierzastą ściereczkę, która zmiata wszelkie nieczystości czy zło. Później słychać gwałtowny trzask – to szaman jednym ruchem łamie skrzydła i nogi ptaka, żeby z brzemieniem, które zabrał od uczestników obrzędu, nie mógł ani ciałem, ani duchem odlecieć i jeszcze raz rozrzuć je po świecie. Marysi oczy robią się coraz większe, gdyż jako jedyna nie padła ofiarą transu. Nadszedł czas na złożenie ofiary, więc czarownik podcina ptakowi gardło. Krew ścieka do metalowej miski, a mężczyzna niecierpliwie czeka, aż wypłynie do ostatniej kropli, wygniatając kogutka jak pranie. Dziewczynce robi się niedobrze i czuje, jak ślina zaczyna jej napływać do ust. Tam-tamy znów zaczynają swój koncert, choć jest to zupełnie inna muzyka od poprzedniej. Czarownik ciśnie ciało martwego ptaka, nie chcąc zmarnować ani kropli cennego płynu. Marysia nie wytrzymuje tego, jednym skokiem znajduje się przy wyjściu i na słabych, zdrętwiałych nogach odbiega kawałek dalej, by zwymiotować. Później z bólem głowy siada pod drzewem. Opiera o nie spocone plecy i oddycha z ulgą świeżym powietrzem.

W środku natomiast atmosfera jeszcze bardziej się zagęszcza. Mistrz czarnej magii tańczy w transie, wyrzucając co chwilę ręce do góry i potrząsając miarowo głową. Malika i Anum kiwają się na boki, zawodząc nie swoimi głosami. Ich twarze są mokre od potu, a ubrania kleją się do ciała. Kiedy dostają do wypicia po łyku mikstury wymieszanej z ofiarną krwią, nie bronią się i bezwolnie otwierają usta. Po chwili wytrzeszczają oczy i z obłędem patrzą przed siebie.

– Mów! – Szaman wskazuje długim palcem na Malikę. – Mów!

Kobieta zaciska usta i usiłuje nie patrzeć na dziury w masce, gdzie dziko świecą ślepie czarownika. Widać, że słowa uwięzły jej w gardle.

– Zło w tobie nadal płynie! Nieoczyszczona, niewyba-czone są twoje grzechy! –

Mężczyzna wrzeszczy jej do samego ucha, a bębny naśladują teraz swoim dźwiękiem zawodzenie i jakby płacz dziecka. – Wyrzuć je z siebie, zrób to, bo kara nadejdzie straszliwa!

– Dziecko moje narodzone z grzechu. – Malika szepcze z bezwładnie wiszącą głową i twarzą skierowaną do dołu. Anum w tym czasie wygląda tak, jakby spał. – Dziecko kochane nie moje, ale porwane... Mężczyźni moi – nie moi, miłość kradziona... Skrzywdzona kobieta, żona, matka... Nie wolno nic mówić, milczeć! Moje ręce się lepia, moja prawica brudna! – Kobieta obraca dłonie wnętrzem do góry i patrzy na nie z przerażeniem, bo okazują się w środku wysmarowane krwią. Gdy to do niej dociera, pada nieprzytomna na ziemię.

– Zabieram hydrę od ciebie, oddaj mi ją, łeb jej ukręcę!

– Czarownik pochyla się nad Maliką i wykonuje takie ruchy, jakby chciał wyjąć coś kobiecie z rąk lub ściągnąć ubranie z pleców. Potem trzepie ręką i na ziemię pada krwawa galareta. Ponawia czynność i znów to samo i znów. – Zło zwycięży, ogarnie cię, zabierze! Wyplata musi nadejść, sprawiedliwości stanie się zadość! – złości się, bo nic nie może poradzić na przeznaczenie. Po chwili prostuje plecy, obraca się, kopie w miednicę, rozlewając resztę krwawego płynu, i na koniec opuszcza pomieszczenie.

– Miej to zawsze przy sobie, bladawico. – Szaman rzuca na podolek Marysi bransoletkę z włosia i wisiołek z koralików na szyję. – Nie rozstawaj się z tymi amuletami, to może cię ochronią. – Dziewczynka wybałusza oczy z przerażenia. – Strzeż się czarnych fałszywych friendów, uważaj na nich, nie dawaj im wiary! – wykrzykuje nad jej głową i macha obiema rękami.

W tej chwili z rytualnej chaty wypada, zataczając się, Malika. Patrzy dookoła siebie z obłędem w oczach.

– Spierdalaj od mojego dziecka! Zostaw ją, ty stary pojebie! – krzyczy wniebogłosy i skacze w kierunku szamana, jednak wpływ narkotycznego napoju podcina jej nogi i ląduje jak długa na udeptanej czerwonej ziemi.

– Nie twoje, lecz kradzione! – Czarownik szepcze jak zmija, pochylając się nad nią. – Masz szansę się oczyścić – zwróć córki matce! – Arabka patrzy na starucha z nieukrywanym zdziwieniem i strachem. W tej chwili oddaje mu należny szacunek, choć nie jest do końca pewna, czy czasami mu tego nie powiedziała.

Oslabieni uczestnicy ceremonii wudu, ledwo trzymając się na nogach, o zmierzchu docierają do przystani w dżungli. Tym razem korzystają z drewnianej murzyńskiej łódki, do której został przymocowany sporych rozmiarów japoński silnik.

– Daj te zabobonne gówna! – wściekła Malika wyszarpuje Marysi talizmany i wrzuca je do czarnej rzeki. – Tfu!

– Pluje na nie siarczyście.

Kiedy dopływają do mołu w Akosombo, jest już praktycznie ciemno. W świetle latarni widać stojący na parkingu samochód Anuma i jeszcze tylko jeden. Z auta wysiada po miejsku ubrana Ghanka i kieruje się w ich stronę. Zatrzymują się, a Anum otwiera ze zdziwienia i przerażenia usta.

– Kradzione jaja nie tuczają – cedząc słowa, kobieta zwraca się do Maliki, jednocześnie uderzając mężczyznę na odlew w twarz. – Myślisz, że ja to będę tolerować?! Niech cię szlag trafi i piekło pochłonie, ty arabska ladacznico!

3 TO OFIAROWANIA W TRYPOLISIE

Pielgrzymka babci do Mekki i Eid al-Adha¹

Chodźcie, moje dziewczyneczki kochane. – Babcia zagania do swojego pokoju jak kwoka kurczęta maszerującą pewnym krokiem dwulatkę Darię i pannicę Marysię. – Dzi siaj mamy popołudnie dla siebie, a ja wam opowiem o bardzo ciekawych i tajemniczych sprawach. No i mam niespodziankę.

– Gdzie ta niespodzianka i jaki sekret? – Marysia chce wszystko od razu dostać i mieć sprawę z głowy. Gdyby nie sposoby babci, znów najchętniej pognałaby za Maliką, nie oglądając się na innych członków rodziny. I byłoby na pewno wesoło, super i ciekawie. Coś by się przynajmniej działo.

– Powolutku, po kolei. – Starsza kobieta się nie zniechęca. – Najpierw słodka niespodzianka. – Pokazuje na półmisek pistacjowej domowej baklawy, nad którą spędziła połowę dnia. – Zjedzcie trochę, a ja wam będę umilać czas opowieścią.

– No dobrze. – Łakomstwo Marysi jednak zwycięża.

– Ale później będzie tajemnica.

We trzy sadowią się wygodnie na pufach, dosuwają zastawiony stół i dziewczynki w zawrotnym tempie zaczynają pochłaniać słodkie jak ulepek ciastka.

– Wolniej, wolniej, nikt wam tego nie zabierze – hamuje je babcia. – Za chwilę rozboli was brzuch albo zwymiotujecie – śmieje się. – Wiecie, moje małe, że niedługo jedziemy do Trypolisu? – pyta, chcąc wciągnąć dziewczynki do rozmowy.

– Dobra, dobra. – Marysia lekceważąco macha ręką.

– W zeszłym roku mówiłyście to samo i siedziałyśmy w Akrze. W tym roku też zapewne będą nici z wyjazdu. My chyba już na zawsze zostaniemy w tej Ghanie.

– Teraz na pewno lecimy, bo mamy już wykupione bilety – odpowiada cierpliwie starsza pani. – Powiedzcie mi, czy wiecie, po co tam jedziemy?

– Żeby spotkać się z przyjaciółkami cioci Maliki i żeby chodzić na zabawy i na wesela – odpowiada Marysia, plując przy tym na boki orzechami.

– To też – odpowiada zde gustowana kobieta. – Ale przede wszystkim jedziemy na Święto Ofiarowania.

– Co będziemy dawać i komu, babciusiu? – Daria patrzy babci w oczy zainteresowana tematem. – My też coś dostaniemy?

– Oczywiście. Przede wszystkim będziemy ofiarować Allahowi nasze serca i naszą wiarę.

– Ojeju, ty znowu z tym Allahem. – Z Marysią nie idzie tak łatwo.

– Kochana, nie wiesz nawet, jaka to stara tradycja i z czym się wiąże. Święto Ofiarowania przypada na zakończenie pielgrzymki do Mekki, to takie miasto daleko stąd, na Półwyspie Arabskim.

– To czemu jedziemy do Trypolisu, a nie do tej... Mekki? – ciekawi się Daria.

– Każdy muzułmanin przynajmniej raz w życiu powinien tam pojechać, ale wy macie na to jeszcze czas. *Hadż* to jeden z filarów naszej wiary, mówiłam już wam o tym. A jakie inne pamiętacie? – Babcia zaczyna edukacyjną część spotkania.

– Przecież każde dziecko to wie – niecierpliwi się Marysia. – *Szahada*...

– Sza... co? – pyta Daria.

– Dobrze, Marysiu. Wyznanie wiary. *La Illaha illa Allah, wa Muhammadu rasulu' llah*² – kończą już wspólnie.

– Co jeszcze powinien robić dobry muzułmanin? Która z was wie? Będą nagrody.

– Modlić się. – Starsza siostra oczywiście wie to wszystko, ale droczy się z babcią i jest

niechętna do jakiegokolwiek współpracy.

- Właśnie, *salat*. To mamy dwa punkty z głowy.
- I przecież jeszcze ta pielgrzymka, o której mówiłaś.
- Sprytna Marysia myśli logicznie.
- Mamy jeszcze taki jeden święty miesiąc ramadan, podczas którego od wschodu do zachodu słońca nie bierzemy nic do ust, hę? – podpowiada babcia.
- Post, ja wiem, *saum!* – mała Daria dumnie wypina pierś i klaszcze w ręce.
- Ale nie wszyscy go przestrzegają – neguje krnąbrna Marysia. – Ciocia Malika mówi, że nie popsuje sobie nerek, i pije wodę. I raz widziałam, jak Chadidża gotowała i w kuchni jadła prosto z garnka.
- Małe odstępstwa są możliwe. I jeśli lekarz powie, że niepicie płynów jest szkodliwe dla człowieka, to należy go słuchać. Allah nie chce, żebyśmy się pochorowali.
- Ściskając wargi, odpowiada babcia, już lekko zdenerwowana.
- A w ramadanie rozdajemy biednym jedzenie i Malika daje też pieniądze, widziałam. – Daria za wszelką cenę nie chce być gorsza od siostry i wysila swoją małą główkę.
- No to mamy wszystko. Dawanie jałmużny to *zakat*.
- Stara Arabka oddycha z ulgą.
- To co, możemy już iść? – Marysia jest już znudzona.
- Jeszcze może dogonię ciocię Malikę. Poszła na Oxford Street na zakupy, a potem do kawiarni na cappuccino.
- Moja pannico, to dopiero początek naszego spotkania. Teraz wam opowiem o mojej dalekiej podróży do Mekki, mojej pielgrzymce, którą kończy właśnie Święto Ofiarowania. Siadaj, Marysiu, i już nie nudź. Sprawiasz mi tym przykrość. – Patrzy z wyrzutem na wnuczkę, a ta pada całym ciężarem na sofę i niezadowolona opuszcza głowę.
- Było to dawno, dawno temu. – Babcia zaczyna swoją opowieść. – Jeszcze na świecie nie było waszego taty, a ja byłam młoda i piękna – śmieje się. – Jesteście w stanie to sobie wyobrazić?
- Nie – niegrzecznie burczy Marysia.
- Oto moje zdjęcie z dziadkiem zrobione w dniu wyjazdu z Trypolisu. – Kobieta otwiera stary album w wypłowiałej skórzanej oprawie i pokazuje pożółkłą fotografię.
- Ojej! – razem wykrzykują dziewczynki.
- Ale byłaś śliczna i szczupła... i dziadek jaki przystojniak! – komentuje Marysia.
- Cóż, nie udało się panu Bogu starość, ale nie należy narzekać. Wyruszyliśmy z Trypolisu do Kairu samolotem, jakimś starym rozlatującym się rupieciem. Tam zapakowali nas do autobusu i jechaliśmy cały dzień i pół nocy nad Morze Czerwone. Później wszyscy weszli na prom, który ledwo utrzymywał się na wodzie, tak był przeciążony, ale Allah nad nami czuwał i dopłynęliśmy do Dzeddy³ w Arabii Saudyjskiej, która jest już całkiem blisko od Mekki. Na szczęście wasz dziadek był sprytny i nawiązał kontakt ze swoją daleką rodziną, która tam mieszka. Oni się nami zajęli. Dziewczynki, nie macie pojęcia, ile tysięcy... milionów ludzi odbywa taką pielgrzymkę! Wtedy to były dawne czasy i droga długa i niebezpieczna. Teraz latają nowoczesne samoloty prosto do Mekki, są tam luksusowe hotele, pociągi, zadaszenia chroniące przed słońcem, ruchome chodniki, ochrona i służby medyczne, ale za naszych czasów... Wszystko szło na żywioł. Było to trochę niebezpieczne, ale gdy się ma dwadzieścia pięć lat i kochającego człowieka przy sobie, to nic nie jest straszne. Przede wszystkim najważniejsze w hadżu jest obcowanie z Bogiem. Po wszystkich rytualnych przygotowaniach byliśmy w stanie pełnego uświęcenia. – Stara Arabka wzdycha, z rozrzewnieniem wspominając dawne, cudowne chwile.

– Co to takiego? – zainteresowana Marysia przerywa opowieść.

– Kiedy wylądowaliśmy w domu krewnych w Mekce, a w zasadzie na ich podwórzu, bo ludzi nawet tam było pełno, przygotowaliśmy się z dziadkiem do stanu *ihram*⁴. Dziadek ściął włosy, a ja przycięłam tylko pukiel, potem ogoliliśmy wszystkie intymne i brudne miejsca. – Starsza pani omija szczegóły tego zabiegu. – Dziadek jako mężczyzna owinął się w dwie nieobrębione, długie na dwa metry białe tkaniny; jedną zawiązał wokół bioder, drugą zaś wokół ramion. Na stopy założył sandały. Ja mogłam pozostać w moim kolorowym stroju, ale chciałam mu dorównać i też ubrałam się na biało, i zasłoniłam głowę. Nie wolno nosić żadnej biżuterii, bo przecież Bogu tym się nie zaimponuje. Na koniec obcieliśmy paznokcie, poperfumowaliśmy się i wieczorem, na dzień przed zasadniczym hadżem, poszliśmy na górę Noor z grotą Hiraa, w której prorok Muhammad miał pierwsze objawienie. Ale cudny stamtąd rozpościerał się widok! Nie zapomnę go do końca życia. Wtedy już zorientowałam się, jakie straszne tłumy przybyły do świętego miasta, a na drugi dzień rano przekonałam się o tym na własnej skórze. Na środku dziedzińca w Wielkim Meczecie w Mekce znajduje się Kaaba, świątynia z czarnym kamieniem jeszcze sprzed czasów muzułmańskich. Do rytuału należy okrażenie Kaaby siedem razy. Trzy razy należy iść szybko, potem można zwolnić. Ponoć spieszyć się mają tylko mężczyźni, ale wiercie mi, wszyscy pędzili jak na złamanie karku. Należało ucałować czarny kamień i dotknąć narożnika jemeńskiego i wszyscy chcieli się tam dopchać. A przecież wyraźnie jest powiedziane, niedawno nawet o tym czytałam i mówili też w Azhari TV, że jak się nie da, to trudno, a pielgrzymka i tak jest zaliczona. Wtedy to, pierwszego dnia, stratowano dziesięć osób, a ponad trzydzieści wylądowało w szpitalu.

– Co znaczy stratowano? – niewinnie pyta Daria.

– Zdeptano w tłoku na śmierć – szczerze i bez taryfy ulgowej dla dzieci odpowiada babcia. – Jednak najgorzej było na górze Arafat. Szliśmy z doliny Mina od rana, tak żeby dotrzeć na miejsce w południe. Trzeba było stać na tym wzniesieniu, modlić się i zwracać ku Kaabie przez cały długi dzień, aż do zachodu słońca. Była wtedy wiosna, ale tam temperatury nawet o tej porze roku są zabójcze, plus czterdzieści, może czterdzieści pięć stopni. Ludzie mdleli masowo, zwłaszcza kobiety. Niektórzy czekali jeszcze na modły z imamem, lecz my z wieloma innymi ruszyliśmy dalej. Wtedy uniesienie trochę ze mnie uszło, lecz nocą zrobiło się chłodniej i dałam radę. W przełęczy Muzdalifa nazbieraliśmy małe kamyczki, które miały posłużyć do symbolicznego kamienowania szatana. Rzucą się w trzy kamienne słupy, wykrzykując: *Allahu akbar!*– Widziałaś diabła?! Miał rogi?! – wykrzykują dziewczynki.

– Nie, to tylko taki symbol... Trzeba sobie wyobrazić, trzeba w to wierzyć, że się oczyszcza i wygania diabła, przede wszystkim ze swojego serca i umysłu, i ciągle wspominać Allaha, to jest najważniejsze.

– Ale ludzi, babciu, to ty?! – Marysia i Daria z zainteresowaniem sięgają po inne zdjęcia.

– A jakże! Tutaj biegaliśmy między wzgórzami As-Safa i Al-Marwa. Nieźle mi szło. Ponoć wcale nie trzeba tak pędzić, ale wszyscy to robili, więc byliśmy jak w transie. – Kobieta śmieje się, zadowolona ze zmiany tematu.

– Posłuchajcie historii o tym bieganiu, bo to ciekawe. Jest to stara jak świat przypowieść, którą można znaleźć w świętej księdze chrześcijan, Biblii, i oczywiście w Koranie. Ibrahım, zwany też Abrahamem, i Sara przez wiele lat byli małżeństwem, ale nie mieli dzieci. Tak to doskwierało mężczyźnie, że sprytna kobieta, chcąc go utrzymać przy sobie, zgodziła się, aby poślubił jej niewolnicę o imieniu Hadżar, zdrową i ładną, która dałaby mu potomka. Tak też się stało i wkrótce dziewczka dała mu syna, którego nazwali Ismail. Wtedy wydarzył się cud: po pewnym czasie stara Sara także urodziła syna, który otrzymał imię Izaak. Od tamtej pory Sara stała się tak zazdrosna o swoją byłą niewolnicę i jej syna, że nie dawała Ibrahımovi spokoju i

nakazała mu ich wyrzucić. Mężczyzna nie chciał tego zrobić, bo nie był zły, ale już tak miał dość narzekania, że w końcu posłuchał. Zabrał piękną Hadżar z kilkuletnim Ismailem i wywiózł daleko od domu, a następnie zostawił z niewielką ilością wody i jedzenia pomiędzy właśnie tymi wzgórzami. – W tym momencie Arabka pokazuje palcem na panoramiczne zdjęcie.

– Chłopy to dranie – krzywi się Marysia. – Ciocia Malika ma rację.– Moje dziecko, po pierwsze nie należy uogólniać, a po drugie nie wolno tak mówić o Ibrahimie, bo wszystko, co robił, było mu przeznaczone przez Allaha. Daj mi skończyć. Jak już matka z synem zostali sami, to Hadżar biegała od As-Safa do Al-Marwa z siedem razy, wypatrując karawan czy jakiegokolwiek śladu życia. Nic z tego. Kiedy spocona i wykończona powróciła do Ismaila, zobaczyła, że wydarzył się cud. Malec, jak to często z nudów robią chłopcy, kopał nogą w piaszczystej ziemi i z tego miejsca wytrysnęło święte źródło Zamzam. Ha! *Allahu akbar!* Bóg nie dał im zginąć.

– Ojej, babciu – jęczy Marysia. – Ty w to wierzysz? Nie ma cudów, to tylko bajki...

– Tutaj się z tobą nie zgodzę. – Kobieta sięga po kolejne zdjęcie, ukazujące dziadka i ją samą z czasów młodości, z wielkimi, może dziesięcioletnimi galonami w każdej ręce. – Przywieźliśmy świętą wodę do Trypolis i pomogła ona wielu ludziom. Moja koleżanka miała nowotwór piersi i nie dawali jej już żadnych szans. Wypiła może dwa kubki wody Zamzam i lekarze, robiąc testy po dwóch miesiącach, zbaranieli. Komórki rakowe zniknęły! – Babcia zadowolona klepie się po udach i patrzy triumfalnie na dziewczynki. – W ogóle cała pielgrzymka jest jednym wielkim cudem i objawieniem. A na jej koniec w dolinie Mina odbywa się wielkie Święto Ofiarowania, podczas którego każdy pielgrzym, jeśli go tylko stać, zabija jagnię lub kozę. Dziadek zbierał na to wszystko pieniądze przez pół roku i jeszcze się zapożyczył. Niemal kosztowało.

– Zaraz, zaraz – przerywa Marysia. – To ty zarznąłaś barana? I teraz my będziemy to samo robić w Trypolisie?

– Ja nie chcę, ja się boję, nieładnie zabijać! – krzyczy Daria i od razu jest bliska płaczu.

– Nikogo nigdy nie zabiłam i nie będziemy zabijać!

– wykrzykuje babcia, chwytając się za głowę. – A chcecie wiedzieć, czemu taka ofiara ze zwierzątka? – Oddycha głęboko, chcąc zapanować nad sobą i nad sytuacją. – Wieki temu znów ten sam Ibrahim miał na życzenie Boga złożyć ofiarę z syna, Ismaila, lecz na koniec Allah ulitował się i pozwolił zamienić dziecko na jagnię. Bóg jest litościwy!

Dziewczynki nie dzielają euforii babci.

– Nie wiem, czy ja bym chciała pojechać na taką pielgrzymkę. – Marysia z dezaprobatą wykrzywia usta. – Tyle trudu, wysiłku i pieniędzy.

– Nie wiesz, co mówisz, bo młoda jesteś. Dla mnie było warto – z rozmarzeniem wspomina stara Arabka. – Jeszcze zanim powróciliśmy do Trypolis, byłam w ciąży i nosiłam pod serduszkim waszego ojca. Pan obdarzył mnie łaską i dał mi syna – kobieta smutno patrzy w przestrzeń – który trochę zbłądził, ale jeszcze jak Bóg da, wyjdzie na ludzi.

¹ [← powrót do tekstu] Eid al-Adha – Święto Ofiarowania.

² [← powrót do tekstu] *La Illaha illa Allah, wa Muhammadu rasulu' llah* (arab.) – Nie ma Boga nad Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem.

³ [← powrót do tekstu] Dżedda (Dżudda) – tu i dalej zapis na życzenie autorki (przyp. red.).

⁴ [← powrót do tekstu] *Ihram* (arab.) – stan pełnego uświęcenia.

Odzyskanie Darii przez matkę

Ej, Dorota! Mamy już zasięg, do Trypolisu niecałe sto kilometrów. – Łukasz pochyla się nad wychudzoną i spaloną słońcem kobietą, którą parę dni temu znaleźli na środku Sahary. – Zaraz zatrzymamy się na parkingu obok knajpy, bo wszyscy są już głodni, a ty skontaktuj się, z kim możesz, żeby cię odebrał w jakimś punkcie. Możemy też zawieźć cię na miejsce. – Młody mężczyzna mówi z troską, a Dorocie zbiera się na płacz. Jeszcze przed chwilą była na środku wielkiej pustyni, nadal ma przed oczami złote piaski i oślepiające promienie słońca, ciągle boi się, że to sen i znów znajdzie się na zesłaniu u okrutnej beduińskiej rodziny w Awainat.

Po chwili ciężarówka zjeżdża na pobocze i hamuje z piskiem opon. Łukasz przeciska się na tył terenowego wozu i w końcu wślizguje się do miękkiego, wyścielonego pledami i kocami gniazdka. Ktoś zatrząskuje wielkie drzwi i zapada półmrok.

– Jeśli nikt się nie odezwie, Giuseppe obiecał wziąć cię na jakiś czas do siebie. Ma tak wielką rezydencję, że można się w niej zgubić, więc tym bardziej nikt cię tam nie znajdzie – pociesza Łukasz i nieśmiało poklepuje ją po ręce. – Kiedy wylatujecie z Libii? – pyta zagubiona kobieta, zrozpaczona perspektywą pozostania znów samej i zdanej na łaskę losu.

– Większość dzisiaj w nocy, konsul Italiano i jego dziewczyna oczywiście zostają, a ja zabukowałem się na za tydzień, bo chciałem jeszcze zobaczyć Leptis Magna i Sabratę, i liźnąć trochę Trypolisu. Jak chcesz, to zostanę dłużej, żeby ci pomóc. Wizę mam jeszcze ważną – oferuje zupełnie naturalnie.

– Dzięki, ale nie chciałabym...

– Żaden kłopot, nie mam nic ważniejszego do roboty.

– Łukasz gramoli się z kryjówki. – Przyniosę jedzonko, to zjemy razem, żeby ci nie było smutno. – Uśmiecha się i z zakłopotaniem drapie po głowie. Otwiera drzwi i wyskakuje na zewnątrz.

Dorota zostaje z telefonem w garści i wybiera numer, który nigdy nie uleci jej z pamięci.

– Basiu, to ty? – pyta szeptem.

– Taaak?

– Jak się masz, jak zdrowie, a co u Hassana, jak dzieci, dalej tak rozrabiają? – na przywitanie zarzuca ją serią tradycyjnych arabskich pytań. – Tak się cieszę, że nie zmieniłaś numeru telefonu, Basiuniu... – prawie płacze ze szczęścia.

– Docia, to ty?! – jej głos przechodzi w pisk. – Ty żyjesz?! Jak to, gdzie jesteś? Dziewczyno, ja chyba śnię! Hassan, Dotka dzwoni, Hassan! – trzęsącym się głosem krzyczy do męża.

– W Trypolisie poszła fama, że miałaś wypadek samochodowy czy coś w tym stylu i trup na miejscu, a cała twoja libijska rodzinka rozmyła się we mgle. Wszyscy cię oplakivaliśmy, a dla nas, libijskich Polonusek, zrobiłam małą stypę na twoją cześć. Wszystkie się uchlałyśmy. – Pociąga nosem.

– To może oznaczać tylko jedno: będę żyła długo.

– Dorota mówi szczęśliwa, że ktoś jednak o niej pamiętał. – Zapytaj ją w końcu, gdzie jest, zaraz tam jadę – słyszy zdenerwowany głos Hassana.

– Nie mam pojęcia, gdzie się znajduję, ale opiekują się mną dobrzy, cudowni ludzie, międzynarodowe towarzystwo. Jadą do Trypolisu, mówili, że mamy jeszcze jakieś sto kilometrów.

– Jak cię znajdziemy? – Hassan wrywa Baśce słuchawkę.

– Wiesz co, to może oni mnie do was podrzucą, sami zaproponowali. Mieszkacie na

starych śmieciach?

– Tak, dalej na Gurdzi i nigdzie nie mamy zamiaru się przeprowadzać. – Zadowolony Hassan powoli się uspokaja. – Chyba trafisz do nas?

– Z zamkniętymi oczami. – Dorota śmieje się rozczulona i po raz pierwszy od opuszczenia Awainat oddycha z ulgą.

* * *

Uściskom i łzom nie ma końca.

– Baśka oczywiście chciała od razu zaprosić wszystkie wasze koleżanki, ale nad tym trzeba się dobrze zastanowić – rozsądnie zauważa Hassan. – Obawiam się, że twój powrót musimy zachować w jak najgłębszej tajemnicy.

– Popieram – do rozmowy włącza się Giuseppe. – Już miałem takie sytuacje. Nie wolno ich nagłaśniać, nie w tym kraju, i należy działać jak najszybciej. Lepiej nie wychodzić z domu do momentu, aż wszystko będzie załatwione i będziesz już razem z córkami jechała na lotnisko, do portu lub za zieloną granicę.

– Ale ja nie mam pojęcia, gdzie są moje dzieci i czy jeszcze żyją! – trzęsącym się głosem mówi Dorota. – Jak ja je odnajdę, siedząc tutaj i pijąc kawę?

– Musisz przeprowadzić delikatny wywiad. Ja mam takiego tutejszego detektywa od ciemnych spraw. – Libijczyk!? – wszyscy zgodnie oponują, a najgłośniejszy Hassan.

– Spokojnie, matka Włoszka, ojciec libijsko-amerykański. Gość w porządku, nieoficjalnie działa w organizacji praw człowieka, więc wie, co robi. Też jest po przejściach – tłumaczy Giuseppe.

– Najgorsze, że mamy teraz nowego konsula. Taki trochę dziwny – włącza się Baśka. – Facet nie do życia, egoista.

– Ja z nim porozmawiam jak z kolegą po fachu – mówi Giuseppe. – Jeśli mimo wszystko nie będzie chciał nic zrobić, to sam ci pomogę. W końcu jestem konsulem z powołania.

* * *

– Zadzwoń do Samiry, to dobra dziewczyna, jak nie z tej rodziny – postanawia Dorota po ponad dwóch tygodniach poszukiwań, które nic nie dały.

– Myślisz, że będzie pod starym telefonem? Jak wyjeżdżasz za granicę, to zmieniasz operatora na lokalnego, bo jest taniej. Sama mówiłaś, że gdzieś się wybierała – zauważa Baśka.

– Tak, ale spróbuję mimo wszystko. Ona by mi pomogła, jestem tego pewna. Zwłaszcza że nie lubi mojego męża, eksmęża – poprawia się.

Przyjaciółki siadają na chwilę w milczeniu. Samira jest ostatnią deską ratunku. W Trypolisie, czy wręcz w całej Libii, po rodzinie Salimich nie ma ani śladu.

– *Ajwa* – po kolejnym sygnale Dorota słyszy tak dobrze znany jej głos. – *Ajwa*?

– Cześć, żadne *ajwa* tylko ja, twoja szwagierka – szepcze do słuchawki z mocno bijącym sercem.

Zapada cisza. Tak głęboka i długa, że aż dzwoni w uszach. – Dot, kochana moja... – rozlega się trzęsący głos z drugiej strony linii. – Co oni ci zrobili? Gdzie jesteś, *habibti*? Mów prędko! – wykrzykuje. – Jak mogę ci pomóc?

– Nic to, Samirko, najważniejsze że żyję. – Dorota wzdycha, wspominając gehennę ostatnich dwóch lat. – Nadal jestem w Libii, a teraz już w Trypolisie.

– *Wallahi*! Nie będę przez telefon wypytywała cię o szczegóły. Dobrze, że ten drań, mój brat, jest daleko i niech tam pozostanie na wieki.

– Tak, wiem, nieźle się urządził. – Informacje przyniesione przez detektywa potwierdzają

się. – To wy razem w tej Kanadzie jesteście? – pyta, bo ciekawość nie daje jej spokoju.

– Ja... ja... Szkoda mówić. Ahmed z nową żonką pojechali za nas, za mnie i Mahdiego. Jedno nazwisko się zgadzało, to wystarczy. Już się z tym pogodziłam. Zresztą wtedy nie nadawałam się na żadne stypendium, lecz do szpitala, ani chłopca, to znaczy opiekuna, nie miałam, więc nici z wyjazdu.

– Naprawili cię? – pyta Dorota z duszą na ramieniu, przypominając sobie czarny scenariusz, jaki Samira przedstawiła jej dwa lata temu.

– Wiesz co, aż się nie chce wierzyć, ale zdarzają się cuda i lekarze geniusze.

– Tak się cieszę! – oddycha z ulgą. – Gdzie więc jesteś?

– Tam gdzie czarny diabeł mówi dobranoc. – Śmieje się cicho.

– To znaczy, że pojechałaś z Maliką?

– Jesteśmy tu wszystkie... Wszystkie! – krzyczy do telefonu. – Twoje córki też, zdrowe i bezpieczne.

– Boże mój, niech będą ci dzięki! – krzyk wyrywa się Dorocie samoistnie.

– *Szukran¹, ja Samira, szukran džazilan²*. – Baśka wyrywa słuchawkę, bo już dłużej nie chce być biernym słuchaczem.

– Nie ma za co, przecież to naturalne – ze wzruszeniem odpowiada dziewczyna. – Ja już też wiem, z kim i gdzie jest Dot – śmieje się. – *Ahlan wa sahlan³*, ja Barbara.

– Teraz, Samirka, proszę mi powiedzieć, co zrobić, żeby dzieci wróciły do matki. – Basia przejmuje konwersację, a Dorota całkowicie wyczerpana pada na sofę i zalewa się łzami.

– Za miesiąc na Eid al-Adha, Święto Ofiarowania, przyjedziemy do domu do Trypolisu.

– Wszystkie?

– Tak. Trypolis to duże miasto, tu łatwo się zgubić. A poza tym... Chadidża będzie się zabijała, żeby jak najwięcej czasu spędzić ze swoimi wrednymi synkami, a Malika – świat i ludzie! W Ghanie usycha ostatnimi czasy, więc jak wyląduje na starych śmieciach, imprezom i spotkaniom nie będzie końca. Z mamą natomiast w ogóle nie ma problemu.

– Dobra nowina. Więc za miesiąc, mówisz?

– Mamy tylko miesiąc, żeby wszystko dopiąć na ostatni guzik. Ja wyprowadzę dziewczynki z domu, wezmę do wesołego miasteczka czy gdziekolwiek, a reszta należy do was. To musi pójść sprawnie, bo nie mam ochoty przesiedzieć reszty życia w pierdlu.

– Przecież i tak ryzykujesz. Wrócisz do domu bez nich.

– Rodzina mnie nie zakapuje. Po chwili wyjedziemy na swoje wygnanie, a że w grupie mniejszej o dwie niewielkie osóbkę? Kto to będzie sprawdzał? One mają swoje paszporty, do nikogo nie są dopisane.

– Dobrze... – Basia chyba już układa plan, bo myśli intensywnie.

– Mama na pewno jest za tym, bo niejednokrotnie żałowała dziewczynek, mówiąc, że są sierotami, a przede wszystkim, że chowają się bez matki. Chadidża po swoich przejściach podpisze się pod moją decyzją obiema rękami.

– A Malika, co z Maliką?

– Ona nie będzie chciała następnego smrodu wokół naszej rodziny, a przede wszystkim swojej osoby. Z czystego egoizmu będzie siedziała cicho.

– Masz chyba rację.

– Znam ją w końcu najlepiej. Choć po stracie Miriam będzie na pewno rozpacziała, bo traktuje ją jak własną córkę. Ale do rzeczy. Nic nie może się wydać, żadne media, ani teraz, ani później w Polsce. To jest mój warunek. Jeden jedyny, to chyba niewiele?

– Jasne, zresztą tak już mamy ustalone. Wszystko robimy w tajemnicy. Nikt nie wie, że Dorota wciąż żyje, a tym bardziej że jest teraz tutaj, w Trypolisie.

– Tak trzymać. Najmniejszy przeciek i ja się wycofuję.

– Okej.

* * *

Dorota siedzi zamknięta w jakimś maleńkim pomieszczeniu w ambasadzie, które wydaje jej się całkowicie pozbawione tlenu. Nie ma czym oddychać, a całe ciało oblewa zimny pot. Słyszy głosy dobiegające z Sali Jagiellońskiej, w której jak co roku odbywa się mikołajkowa uroczystość. Dominuje mocny głos Baški, przedszkolanki, nauczycielki i wodzirejki na wszystkich dziecięcych imprezach.– Na kogo czekamy!?! – krzyczy. – Czy ktoś wie!? Piotruś, ty wiesz? – słyhać jakieś zamieszanie, pewnie biedny malec ze strachu ucieka do mamy. – Kto powie?

– Mikołaja! – słyhać pojedyncze cieniutkie głosiki, a Dorocie zbiera się na płacz.

– Teraz już wszyscy razem, żeby nas usłyszał i wiedział, że tutaj są grzeczne dzieci i żeby koniecznie do nas przyjechał. – Na kogo czekamy?!

– Na Mikoooołajaaa! – krzyczą już wszyscy odważnie. Matka z drżeniem serca czeka na sygnał.

– Mikołaj będzie wywoływał imię każdego z was i wtedy podchodzicie – słyhać głos Basi. – Nie pchajcie się wszyscy naraz, Natałka, przyjdzie twoja kolej, Salem, Rami!!!

Spośród wznmagającej się wrzawy Dorota nie może wyłowić ani słowa, już nawet nie słyhać donośnego głosu jej przyjaciółki.

– A teraz kolej na Darię, zapraszamy do Mikołaja! – krzyczy zachrypnięta Basia. – Darusia się boi i podejdzie z ciocią Samirą. – Jest sygnał, więc ukryta kobieta zrywa się na równe nogi. – Zapraszamy siostrę Darii, Marysię, proszę, gdzie jest Marysia?

Wychudzona, zdenerwowana blondynka słyha ruch na zapleczu, ktoś szybko otwiera drzwi i po ponad dwóch latach Dorota widzi swoją malutką córeczkę. Ona oczywiście jej nie poznaje, ale po krótkiej chwili delikatnie dotyka włosów matki i zachowuje się, jakby wcale się nie bała.

– *Ummi*⁴? – pyta, oglądając się na ciocię. – Mami?

– Pokazywałam jej twoje zdjęcia – szepcze Samira, kiwając potakująco do dziecka.

W tym momencie córeczka rzuca się w ramiona odzyskanej matki i ścisza za szyję, tak jakby chciała ją udusić.

– A gdzie Marysia? – pyta Dorota, rozglądając się dookoła.

– Przepraszam, ale Malika wzięła ją ze sobą na jakieś kretyńskie wesele. Nie byłam w stanie jej przekonać, że Mikołaj i prezenty są lepsze. Obie mnie wyśmiały. Marysia od wyjazdu do Akry jest pod jej wielkim wpływem. – Samira pochyla głowę i zaciska usta. – Nie sprawdziłam się, ale kto to mógł przewidzieć.

– Ja bez mojej drugiej córki nigdzie się stąd nie ruszę! Nie ma mowy! – Z nerwów Dorota nie może oddychać i trzęsie się jak osika.

– Dot, na Boga, musisz jechać – perswaduje jej Samira.

– Jedno dziecko jest lepsze niż żadne. – Bierze szwagierkę w ramiona i obie zaczynają cichutko szlochać. – Siostro, przyjedziesz tutaj jeszcze, odzyskasz Miriam, ja ci to obiecuję. Zmienisz nazwisko, uczesanie, kolor włosów, nikt cię nie rozpozna i wtedy bezpiecznie zabierzesz swoją córkę do domu.

– Ja nie mogę bez niej wyjechać, nie mogę. – Łzy zalewają kobiecie policzki i dławią w gardle. – Nie mogę...

¹ [← powrót do tekstu] *Szukran* (arab.) – dziękuję.

² [← powrót do tekstu] *Dżazilan* (arab.) – bardzo.

³ [← powrót do tekstu] *Ahlan wa sahlan* (arab.) – cześć, witaj.

⁴ [← powrót do tekstu] *Ummi* (arab.) – moja mama.

Wypadek Samiry

Malika! Jak to dobrze, żeście już wróciły. – Starsza Libijka wybiega na spotkanie córki i wnuczki. Po cieniach pod oczami i zaczerwienionych oczach widać, że jeszcze nie spała.

– Mamo, co się stało? Czemu jeszcze się nie położyłaś? Odkąd to ty na mnie czekasz do białego rana? – niezadowolona balowiczka atakuje pytaniami.

– Po pierwsze, to nie na ciebie, tylko na to biedne ledwo żywe dziecko – wskazuje na Marysię ślaniającą się na nogach. – A po drugie dzwonili ze Szpitala Centralnego...

– Kobiecie łamie się głos i zalewa się łzami. W porywie rozpaczy targa i tak już skołtunione włosy.

– Co się stało? – Malika cicho cedzi słowa. – I z kim? – ledwo szepcze.

– Samira... – Matka pada na kolana i uderza czołem w podłogę, głośno zawodząc.

Marysia już całkiem rozbudzona z przerażeniem w oczach podbiega do babci i obejmuje jej drżące od szlochu plecy.

– A Daria, co z Daria? – pyta, nachylając się do ucha babci.

– Nic nie wiem, nie podają szczegółów przez telefon – tłumaczy. – Mówili tylko o Samirze i że stan krytyczny. Malika szybko wyciąga telefon komórkowy, oddała się i przeprowadza jedną rozmowę za drugą. Jest opanowana i zimna jak lód, lecz w jej oczach, czarnych teraz jak węgle, widać tłącą się rozpacz i przerażenie. Pionowa zmarszczka na czole i bladość twarzy też świadczą o stanie jej ducha.

– Zbieraj się, mamo, jedziemy. A ty, Miriam, idź do siebie i kładź się spać – wydaje krótkie polecenia.

– Ależ ciociu, ja też... – Dziewczynka próbuje oponować.

– Bez dyskusji, ja nie żartuję – Malika zwraca się do Marysi tonem niedopuszczającym sprzeciwu. – Nawet cię, moje dziecko, nie wpuszczą na OIOM. Pojedziesz jutro, okej?

Marysia ze spuszczoną głową, noga za nogą kieruje się w stronę schodów, a kobiety pospiesznie opuszczają dom. W zawrotnym tempie dojeżdżają do Szpitala Centralnego. Ruch jest straszny. Co chwilę zatrzymują się karetki i prywatne samochody, z których wynoszone są zmasakrowane ciała.

– Połowie tych debili nie powinni nigdy dać prawa jazdy. – Zła Malika spogląda z przerażeniem na ciało około dziesięcioletniego chłopca, którego mężczyźni wnoszą na zakrwawionym białym prześcieradle.

– Z drogi, z drogi! – nawołują. – Lekarza, prędko! Kobieta z rozbitą głową usiłuje dotrzymać kroku grupie i co chwilę ociera spływającą krew zalewającą jej oczy.

– Co za masakra! – Malika bierze matkę pod pachę i prawie dobiegają do recepcji, przy której kłębi się tłum.

– Musimy jak najszybciej przenieść biedną Samirę do mojej kliniki, albo gdziekolwiek. O ile tylko się da.

Po przepychankach i paru kolejnych telefonach znanej w Trypolisie pani doktor-dyplomatkę kobiety zostają zaprowadzone do ordynatora oddziału. – Stan jest ciężki, nawet bardzo. Ma poważne uszkodzenia czaszki, kręgow w odcinku szyjnym, połamane w paru miejscach ręce i nogi – z profesjonalną powagą informuje starszy elegancki cudzoziemski doktor. – Robimy wszystko, żeby utrzymać ją przy życiu. To jest teraz nasze główne zadanie.

– Jechała bez pasów, czy jak? – matka po raz pierwszy zabiera głos.

– Trudno to zrozumieć, prawda? – Doktor z niedowierzaniem kręci głową. – Dziewczyna musiała prowadzić bardzo szybko. To był paskudny karambol, których, niestety, u nas pod

dostatkiem. Same panie widziały, co dzieje się na izbie przyjęć. I tak mamy codziennie.

– Czy nie można by siostry przenieść do innego szpitala, na przykład rządowego, albo chociażby do mojej kliniki? – Malika nie poddaje się i nie wierzy w tę tragicznie przedstawioną historię.

– Z tego co wiem, jest pani również lekarzem. – Ordynator z niesmakiem patrzy na Malikę.

– Jestem po farmacji.

– Ale to, o ile się nie mylę, studiuje się również w akademii medycznej – ironicznie kontynuuje mężczyzna, zaciskając przy tym nerwowo dłonie. – Najlepiej będzie, jeśli odwiedzicie poszkodowaną, a potem same zadecydujecie. Sądzi pani, doktor farmacji, że u nas nie ma dobrych lekarzy, że ci najlepsi leczą wodza i rząd lub sprzedali się prywatnym klinikom? To niech pani spojrzy na ilość chorych w naszym szpitalu. Medycy mają dość przypadków, aby zdobyć doświadczenie. – Lekarz krytycznie wygina wargi.

– Nie chciałam pana urazić. – Malika dopiero teraz dostrzega swój nietakt, lecz mężczyzna już odwrócił się do nich plecami i zmierza sprężystym krokiem w kierunku zielonych drzwi z napisem OIOM. Po pospiesznym założeniu fartuchów i ochraniaczy na obuwiu dwie kobiety przykurczone z przerażenia wchodzą na palcach na salę z paroma łózkami. Wszystkie są zajęte, a oddzielają je tylko przenośne parawany. Słychać dźwięki różnorodnej aparatury: szum pomp dostarczających chorym tlen, rytm kontrolowanej przez komputery akcji serca, nawiew klimatyzacji i buczenie jarzeniówek. W samym kącie sali lekarz zatrzymuje się przy postaci, która prawie cała jest zabandażowana. Jedna noga i ręka są na wyciągu. Pacjentka jest podłączona do wszystkich możliwych aparatów podtrzymujących życie, włącznie z respiratorem, który wygina jej w nienaturalny sposób głowę do tyłu. Na stelażu wiszą dwa pojemniki z kroplówką – jeden zawiera przezroczysty płyn, drugi krew do transfuzji.

– Czy nadal uważa pani, że siostra nadaje się do transportu? – ostro pyta lekarz.

* * *

– Ja tego nie przeżyję. – Matka już drugi dzień nie potrafi opanować płaczu. – To klątwa rzucona na naszą rodzinę za złe uczynki. Tak, Malika, żebyś wiedziała. Zawsze przychodzi czas zapłaty. Tylko dlaczego akurat to niewinne dziecko, to najlepsze i najuczciwsze musiało zostać ukarane za grzechy innych. – Z wyrzutem patrzy na swoją najstarszą córkę.

– Przecież wiem, że wołałabyś, abym to ja tam leżała – odpowiada Malika ze złością. – Ale niestety, ja jeszcze chodzę po tym świecie i to ja zawsze całą rodzinę wyciągam z gówna!

– Kochane, dajcie spokój! – Chadidża próbuje załagodzić nerwową atmosferę. – Nie czas teraz na kłótnie.

– A co z Darią? Ktoś mi w końcu powie, czy będzie tak jak ze śmiercią mojej mamy? – niespodziewanie Marysia włącza się do rozmowy.

– *Wallahi*, wszystkie zapomniałyśmy o naszej kruszynie! Jesteśmy potworami! – Matka pada na łóżko, zasłania twarz swoimi pomarszczonymi rękami i płacze, zachłystując się łzami.

– Ja ją znajdę, obiecuję, choćby na końcu świata. – Malika wychodzi z domu, ostentacyjnie trzaskając drzwiami.

* * *

– Panie konsulu, mam poważną sprawę do wyjaśnienia i obawiam się, że jest w nią zamieszana polska placówka – mówi Malika oficjalnym tonem przez telefon.

– Taaak – głucho odpowiada męski głos.

– Moja siostra, Samira, tydzień temu pojechała na mikołajki do waszej ambasady –

zaczyna relację. – Cóż, nasza szwagierka była Polką i romantyczna siostrzunia chyba chciała, żeby dzieci, nie wiadomo zresztą po co, utrzymywały więź z krajem matki. Czy dotarła na miejsce z małą dziewczynką o imieniu Darin?

– Proszę pani! Na tego typu uroczystościach jest tyle ludzi, że trudno mi wszystkich zauważyć. Ja czasami nawet ich nie znam. Nie mówiąc już o dzieciach, które biegają jak szalone i rozrabiają do nieprzytomności – z ulgą odpowiada konsul.

– To kto ma wiedzieć, ile osób przyjdzie i kto będzie? Przecież szykujecie jakieś prezenty, więc chyba musicie wcześniej robić listę.

– Niestety nie, ale może panie z Polonii będą mogły powiedzieć na ten temat coś więcej. Poza tym zawsze przygotowujemy sto czy sto pięćdziesiąt paczek, a to, co zostanie, zawozimy do sierocińca czy domu dziecka. Chyba ładny gest? – Tak, bardzo miłosiernie. Więc nie może mi pan pomóc? Zaginęło dziecko, które ostatni raz było widziane w polskiej ambasadzie. – Malika zmienia ton. – Będę zatem zmuszona zgłosić sprawę odpowiednim władzom. To chyba można podpiąć pod paragraf o porwaniu, w które zamieszana jest placówka zagraniczna.

– Droga pani, proszę mnie nie straszyć, bo ani ja, ani żaden z polskich dyplomatów akredytowanych w Trypolisie nie jesteśmy odpowiedzialni za pilnowanie rozwydrzonego arabskiego dzieciaka. Może podczas uroczystości wyszedł sobie na zewnątrz i poszedł przed siebie, bo ciocia, jak to Arabka, plotkowała sobie w najlepsze z koleżankami? O ile statystyki mówią prawdę, u was dość często giną dzieci. A wie pani dlaczego? Bo nikt na nie nie zwraca uwagi.

– Cóż pan za bzdury opowiada?! – Malika unosi się gniewem.

– Łatwiej zrobić, niż wychować – ordynarnie kończy mężczyzna.

– Jak pan śmie! – krzyczy oburzona kobieta.

– Prawda w oczy kole. – W słuchawce słychać nerwowy urywany oddech. – Nic nie jestem w stanie w tej sprawie dla pani zrobić. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? – Konsul pyta zdawkowo, bo pragnie jak najszybciej zakończyć rozmowę.

Malika trzęsącymi rękami rozłącza się i rzuca komórkę na stół jak najdalej od siebie.

– Co zrobić? Kto będzie chciał pomóc? Przecież dziecko nie mogło zniknąć, rozplątać się we mgle. To tylko ten polski idiota ma taką opinię o arabskim wychowaniu. Takie rzeczy mogą się zdarzyć gdzieś na wsi, na pustyni, u prymitywów na całym świecie. – Roztrzęsiona Malika przeżywa odbytą rozmowę. – Musi być ktoś, kto wie o całej tej sprawie... Nagle wpada na pomysł. Biegnie w stronę czarnych plastikowych worków z rzeczami osobistymi Samiry, które otrzymały ze szpitala, i nerwowo zaczyna je przeszukiwać. Wyciąga torebkę siostry, która z jednej strony jest cała we krwi, i z pietyzmem ją otwiera. Sięga po telefon komórkowy i sprawdza najpierw rozmowy wykonane, a później przychodzące. Bingo! Malika aż podskakuje, widząc imię rozmówcy, które ukazało się w oknie telefonu.

– *Ahlan wa sahlan, saida* Barbara – mówi do słuchawki.

– *Salam alejkum** – słyszy zwyczajową odpowiedź.

– Tu Malika Salimi, czy pani mnie kojarzy?

– Tak.

– Czy spotkała się pani z Samirą i moją siostrzenicą Darin w ostatnim czasie? – Malika błyskawicznie chce zacisnąć pętlę na szyi rozmówczyni.

– Tak – brzmi krótka odpowiedź. – Przeprowadziła dziewczynkę na mikołajki.

– To może powiesz mi, gdzie mała zniknęła, co?! – krzyczy do telefonu.

– Jest tam, gdzie jej miejsce – odpowiada bez chwili wahania odważna Basia.

– To znaczy? Konkrety proszę, bo...

– Bo co? Co mi zrobisz? Co poczniesz ze sobą, kiedy Dorota ujawni wasze kłamstwa,

kręactwa, oszustwa, molestowanie, handel żywym towarem i próbę jej zabicia? – Polka ma zbyt wiele asów w rękawie, żeby miała się bać.

– Dot?! – Malika na bezdechu wypowiada to imię.

– Tak, ta sama, którą zgodnie pochowaliście ponad dwa lata temu. Jesteście popieprzoną, złą do szpiku kości arabską rodziną! – krzyczy Baśka, już nie panując nad swoimi emocjami.

– Może nie cała, może tylko jeden podły człowiek od lat niszczy nam życie.

– To nie trzeba go wspierać! Ja bym do tego palca nie przyłożyła!

– Jak można nie pomóc bratu, Barbaro? – smutno mówi Malika, czując, że uchodzi z niej całe powietrze. – A teraz jeszcze to nieszczęście, taka tragedia...

Ostatecznie kobiety jednak umawiają się na spotkanie i spędzają ze sobą prawie dwie godziny, szczerze rozmawiając. Obie przebojowe, obie silne i twarde patrzą sobie głęboko w oczy.

– Mimo wszystko nie powiem teraz Miriam, że Dorota żyje, a ukochana Darin jest razem z nią, zadowolona i szczęśliwa. Jej psychika mogłaby tego nie wytrzymać. Już pogrzebała matkę, a teraz jeszcze znika jej siostra... – przy pożegnaniu mówi Malika. – Jeśli Dot kiedyś będzie chciała odzyskać drugą córkę, to z chęcią jej pomogę. Może w ten sposób przynajmniej częściowo zmyję z siebie grzechy, które mam na sumieniu.

* * *

– Co robić, przecież musimy wracać do Akry, ale jak zostawić tutaj samą biedną Samirkę? – Matka, postarzała w ciągu ostatniego miesiąca, zastanawia się nad nowo zaistniałym problemem.

– Jest już u mnie w klinice, ma prywatny pokój, pielęgniarki i rehabilitantki. My w niczym nie możemy jej pomóc, a jedynie zagwarantować godziwe warunki.

Samira jest już w dużo lepszym stanie. Nie potrzebuje respiratora do oddychania, jej serce bije miarowo i sama jest w stanie połknąć pokarm, podany w stanie płynnym przez rurkę, ale po czterech tygodniach licznych badań i testów oraz po wykonaniu encefalografii diagnoza nie jest obiecująca. Dziewczyna przeszła w stadium śpiączki wegetatywnej, z której połowa osób nigdy się nie budzi. Organizm żyje, jednak nie reaguje na bodźce. Wygląda na przytomną, jej powieki są uniesione, porusza kończynami i głową, ziewa. Malika zdaje sobie sprawę, że w rzeczywistości zachowania te nie są odpowiedzią na jakiegokolwiek bodźce wewnętrzne lub zewnętrzne. Trudno to jednak wytłumaczyć matce i pozbawić ją nadziei.

– Może ja rozwiążę wasz problem – milcząca Chadidza nagle zabiera głos. Patrzą na nią ze zdziwieniem.

– Dobre masz serce, córunku, ale cóż ty możesz zrobić, jak chcesz pomóc? – Rozczulona matka głaszcze ją po głowie jak małą dziewczynkę.

– Zostanę w Trypolisie. – Kobiety nie mogą uwierzyć w to, co słyszą.

– Jak to, sama, w tym wielkim domu, bez opiekuna?

– Gdybyście się choć raz mną zainteresowały i porozmawiały nie tylko o gotowaniu i sprzątaniu domu, to może byście już wiedziały, że wychodzę za mąż – mówi rozgoryczona, ale z dużą satysfakcją.

– Jak to, za kogo, kiedy, jak? – zasypują ją pytaniami.

– Znalazła go przez internet! – wykrzykuje Malika. – Tak, na pewno! Dlatego tyle godzin, nawet noce, spędzała przed komputerem. Co ta technika robi z ludźmi! Zwłaszcza takimi naiwnymi i łatwowiernymi jak ty.

– Córko, przecież to może być jakiś zboczeniec! – Zmartwiona matka przyłącza się do Maliki.

– A może choć raz dałybyście mi coś powiedzieć! – Chadidża przerywa ich krzyki, uderzając gwałtownie ręką w blat stołu. – Nigdy mnie nie słuchacie!

– Dobra, mów. – Malika na wszelki wypadek przysiada na sofie.

– Jest to znajomy Miny, naszej krewniaczki, a twojej siostry, mamó. – Kobiety wytrzeszczają oczy ze zdumienia. – Często rozmawiałam z ciotką i jej córką Leilą na skypie, bo w Akrze nie miałam do kogo ust otworzyć – mówi z wyrzutem. – Zgadało się raz o nieszczęściu, które dotknęło Abbasa. Jego młoda żona po urodzeniu drugiego dziecka nie poszła na kontrolę do ginekologa, bo twierdziła, że dobrze się czuje i nie ma czasu na głupoty. Kiedy po dwóch latach w końcu koleżanka ją tam zaciągnęła, okazało się, że ma raka macicy i pojechała do Allaha ekspresem, w ciągu bodajże trzech miesięcy. Abbas został sam z dwójką małych dzieci. Minęły już trzy lata, a on dzielnie boryka się z codziennymi kłopotami i na dokładkę dobrze wychowuje maluchy, są grzeczne i ułożone. Raz gadałam z Miną, a tutaj słodkie roześmiane buźki pojawiają się na ekranie komputera. Od razu je pokochałam. – Chadidża wzdycha. – Później poznałam ich ojca. I tak się zaczęło, a teraz chcemy się pobrać. Zostaję w Trypolisie, moje panie, chcecie czy nie, ale za to będę tutaj opiekować się Samirką, bo czytałam, że ludziom w śpiączce bardzo pomagają wizyty bliskich, kontakt, należy do nich mówić i wtedy jest jakaś szansa na przebudzenie.

– Cóż, to nawet dobrze się składa – spokojnie stwierdza Malika. – I nie opowiadaj, że taka byłaś samotna w Akrze, bo jak ktoś chce pogadać, to przychodzi i przynajmniej otwiera usta. To ty się izolowałaś, jak zawsze zresztą. – Pochyla się w stronę siostry i akcentuje słowa skierowanym w nią wskazującym palcem.

– Dziewczyny, nie czas teraz na żale i klótnie – matka usiłuje zażegnać awanturę. – *Mabruk*^{**}, kochana Chadidża, *mabruk*! – Wstaje i czule całuje szczęśliwą córkę w oba policzki. – Oby to małżeństwo dało ci więcej szczęścia niż poprzednie.

* *Salam alejkum* (arab.) – dzień dobry (dosł.: pokój z tobą).

** *Mabruk* (arab.) – Na szczęście.

4 POWRÓT NA PLACÓWKĘ

Wonderful life

Powrót do Akry w o połowę pomniejszonym składzie wpływa na kobiety depresyjnie. Najlepiej znosi to zaprawiona w bojach babcia. Zamknęła się w sobie jak żółw w skorupie i nie okazuje żadnych uczuć. Wykonuje swoje codzienne obowiązki i stara się pomóc córce i wnuczce, które są całkowicie załamane. Nie jest to jednak prosta sprawa. Starsza pani nie zna dokładnej przyczyny ich smutku i apatii.

Marysia jest obrażona na cały świat i stała się jeszcze bardziej krnąbrna. Na pewno tęskni za siostrą, której na co dzień dokuczała do woli, ciągnąc ją za ubrania i wyśmiewając proste, mysie włoski. Kpiła z jej nieporadności i wyłapywała najmniejsze potknięcia. Jednak wielokrotnie w najlepszej przyjaźni rozsiadały się na dywanie w salonie i grały w gry, bawiły się lalkami czy malowały. Z Samirą Marysia nie miała tak bliskiego kontaktu jak wtedy, kiedy była dziewczynką w Trypolisie. Miejsce towarzyszki i doradczyni zajęła w jej sercu całkowicie i niepodzielnie Malika. Chadidza była dla dziewczynki tylko ciotką, która umie dobrze gotować, prasować i szyć. Babcia nie rozumie, dlaczego Marysia czuje taką złość i nienawiść do całego świata. Czyżby jednak było to związane ze zniknięciem Darii z jej życia? Starsza Libijka dochodzi do wniosku, że jeśli te uczucia nie miną, trzeba będzie skorzystać z usług dziecięcego psychologa. Bardziej skomplikowana jest sprawa z Maliką, która nie wiadomo, co bardziej przeżywa – wypadek jednej siostry czy szczęście drugiej, bo na pewno nie zniknięcie Darii, z którą miała sporadyczny kontakt. Nikt nie zdaje sobie sprawy, że przyczyną jej załamania jest całkowite zniknięcie z jej życia Anuma. Malika jeszcze przed wyjazdem liczyła, że separacja jest czasowa i nie przeszło jej nawet przez myśl, że mężczyzna już się do niej nigdy nie odezwie i nigdy więcej go nie zobaczy. Najpierw dzwoniła do niego chyba ze sto razy, lecz nikt nie odbierał telefonu, a gdy wróciły do Akry z Trypolisu, numer okazał się zablokowany. Napisała do niego mnóstwo e-maili, na początku pełnych oburzenia i złości, lecz stopniowo traciła rezon i zaczęła prosić, błagać wręcz chociażby o jedno słówko czy króciutkie spotkanie. Tłumaczyła kochankowi, że przecież może on mieć nawet siedem kobiet, jeśli zechce, w jego kraju nie jest to ani nic dziwnego, ani zakazanego. Pisała, że nie musi być jego żoną na papierze i że nie ma zamiaru rozbijać jego dotychczasowego związku. Zależy jej tylko na nim, jego miłości i obecności w jej życiu. Wspominała cudowne chwile, które spędzili na wyprawach czy kochając się w hoteliku nad oceanem. Pisała o najbardziej intymnych momentach i żebrała o jeden pocałunek czy jeden dotyk. Dostawała ataków furii, innym razem wpadała w ekstazę, później w rozpacz. Jej życie całkowicie straciło blask i sens. Czasem budzi się zalana łzami, innym razem usypia zapłakana. Pracę ma w nosie, często wychodzi przed czasem, zgłaszając wyjazd do ministerstwa, na pocztę czy dyplomatyczne spotkanie. Prawie nic nie je i nigdzie nie wychodzi. Całe popołudnia i wieczory spędza u siebie w sypialni, często w towarzystwie Johnny Walkera, którym notorycznie zaczęła się upijać.

– Ja już dłużej nie wytrzymam, zabiję się. – Matka słyszy jęk przez zamknięte drzwi pokoju Maliki.

– Córeczko kochana, Malika. – Wchodzi do niej na palcach i siada na brzegu łóżka. – Powiedz mi, co tak naprawdę cię gryzie, wyżał się.

– Ja się nikomu na nic skarżyć nie będę. – Kobieta z rozmazanym makijażem i splątanymi włosami siada na łóżku. – To moja sprawa.

– Nie tak do końca. Jesteś tutaj z nami, a nas serce boli, kiedy patrzymy na twoje cierpienia. Jeśli coś ci w Ghanie dokucza, tak że już dłużej żyć ci się nie chce, to może wyjedźmy, wróćmy do Trypolisu? Tam już na pewno wszystko ucichło, wrócisz do swoich

obowiązków, zmienisz klimat i zapomnisz. Co ty na to?

– Ja się nie poddam, matko, nigdy.

Po tych zimnych słowach starsza pani wychodzi, a Malika idzie do łazienki i doprowadza się do porządku.

– Nie złamię mnie taki obmierzły murzyński czarny kutas! – szepcze ze złością do swojego odbicia w lustrze.

Od tego czasu zaczyna funkcjonować normalniej, częściej oddaje się sportom niż picciu, zabiera Marysię na miasto, na spacer czy do kawiarni, a w weekendy organizuje wycieczki do parków i nad ocean. Jednak ogień w jej oczach wygasł, pogłębiły się bruzdy wokół ust i na czole, już nie słyhać jej głośnego zachrypniętego śmiechu.

– Przyszedłem się pożegnać. – Kwafi, jak zawsze usłużny i cichy, wchodzi do biura Maliki.

– A gdzie się wybierasz? – pyta Arabka, podnosząc głowę znad sterty papierów.

– W końcu dostałem etat w ministerstwie – z dumą oznajmia. – Za dwa, trzy lata może gdzieś wyjadę na placówkę, może do Libii? – Nie radzę. Chcesz sobie poczytać trochę tych akt?

– sarkastycznie mówi Malika.

– Daj spokój, to przeszłość. Świat idzie do przodu i jako obrońca praw człowieka muszę ci powiedzieć, że jest coraz lepiej.

– Młody jesteś i naiwny. – Kobieta wzdycha, myśląc o bagażu doświadczeń, który dźwiga.

Kwafi ze smutkiem i poczuciem winy patrzy na wymizerowaną twarz koleżanki. Musi jej powiedzieć, inaczej ona będzie się dręczyć i robić sobie nadzieje do końca życia.

– Wiesz, Anum wyjechał do Waszyngtonu – nieśmiało zaczyna, a Malika zaciska usta.

– Aha. – Oddycha głęboko, bo na sam dźwięk ukochanego imienia chce jej się płakać. – To świetnie.

– Musiałem ci to powiedzieć. Zwierzał mi się przed wylotem, tak jakby chciał, żebym ci to przekazał. Jego żona jest cholernie zazdrosna i nie akceptuje żadnych dodatkowych związków. Wiesz, panienka z eleganckiego domu, miastowa. Studia kończyła w Stanach, to i naoglądała się monogamii.

– Tak. – Malika udaje, że włącza się do rozmowy, ale marzy tylko o tym, żeby jej kolega wyszedł i żeby mogła zacząć ryczeć jak bóbr.

– Ona wylansowała Anuma w dyplomacji, bo to chłopak z porządnej, inteligenckiej rodziny, to znaczy takiej, która nie śmierdzi groszem, i na dokładkę bez koneksji. Jedyne, co miał, to łeb do nauki. Po pobycie w Ameryce dziewczyna nabawiła się jakichś nacjonalistycznych ciągotek i zachciało jej się zwykłego krajowego męża. Spodobał jej się i zmusiła swojego tatusia, który siedział w tym czasie na wysokim stołku w rządzie, żeby go zaakceptował i jeszcze promował. Anum chyba nigdy jej nie kochał, ale była to dla niego niepowtarzalna szansa. Po zrobieniu jej pierwszego dzieciaka zwił na placówkę do Libii, po powrocie dorobił jej drugiego, lecz już nigdzie nie mógł wyjechać, bo żoła załatwiła mu świetne stanowisko w ministerstwie. Pozycja fantastyczna i forsa niczego sobie. Ponoć wspominał coś o rozwodzie, lecz prawdopodobnie wylądowałby wtedy na bruku w jednych portkach na tyłku. Wszystko by mu zabrała, nie ma wątpliwości, a wilczy bilet zamknąłby mu nawet najlichsze drzwi.

– A to biedaczek – ironizuje Malika, nie czując już zbierających się łez.

– Żebyś wiedziała, nie miał wyjścia.

– I pojechał do Waszyngtonu... A na jakie stanowisko?

– Zastępcy ambasadora – wyznaje Kwafi.

* * *

– Może życie jest teraz nudne, ale spokojniejsze – stwierdza Malika, która znów zamienia serce w sople lodu. Tylko jedna jedyna Marysia potrafi je troszeczkę ogrzać i roztopić.

Praca w ambasadzie i codzienne sprawy zamieniły się w rutynę. Kobieta powróciła do swojej pasji i wydaje dużo pieniędzy na biżuterię i ciuchy. Zarzuca nimi również coraz bardziej rozpieszczoną bratanicę. Powrót Darii do matki nie spędza Malice snu z powiek. W ogóle nie bierze pod uwagę możliwości przekazania Marysi Dorocie. Ten jest rodzicem, kto wychowuje i kocha, a nie kto urodzi. Zadrą w sercu są słowa czarownika wudu, który nakazał jej oddanie cudzych dzieci, ale co ten stary głupiec wie. Coś tam sobie bzdurzył i akurat trafił. Malika znów zaczyna chodzić na dyplomatyczne dinnery, recepcje, koktajle i rauty. Życie w końcu powraca do normy, stan ducha zawiedzionej kochanki również.– Malika Salimi, ambasada Libii – przedstawia się wysokiemu, nieco otyłemu ambasadorowi Erytrei, który chyba przez pomyłkę zaprosił zwykłego attaché na obchody święta narodowego.

– Bardzo mi miło, wiele dobrego słyszałem o pani i wielokrotnie widziałem na naszych nudnych dyplomatycznych spotkaniach – odpowiada elegancki mężczyzna miłym barytonem z lekkim zaśpiewem, ściskając jej dłoń. – Porozmawiamy po moim przemówieniu, kiedy już w końcu przestanę być w pracy?

– Będę zaszczycona. – Malika mile zaskoczona oddala się, żeby nie przeszkadzać.

Ambasador zamiast konwersować z wysoko postawionymi gośćmi, wymieniać opinie w sprawach politycznych, ekonomicznych i kulturalnych, włączając się do rozmów o żonach, dzieciach, pampersach, szkole, koncertach czy wojażach, siedzi na drewnianej ławeczce w cieniu ogromnego fikusa i patrzy maślanymi oczami na Malikę. Ona jest zaskoczona tą niespodziewaną adoracją. Ambasador Erytrei jest wyjątkowo przystojny i ma rysy typowe dla swojej grupy etnicznej. Ma wysokie czoło i długi wąski nos, karnację dużo jaśniejszą od typowej afrykańskiej, oczy czarne, w kształcie migdałów, usta wąskie i ładnie wycięte. Malika od razu porównuje go z Anumem i dochodzi do wniosku, że jej były kochanek z szerokim nosem jak kartofel, wielkimi murzyńskimi wargami i okrągłymi oczkami jak guziczki był po prostu brzydalem.

– Długo już pani tutaj przebywa? – Ambasador zaczyna kurtuazyjną rozmowę.

– Jakiś czas, ale jeszcze nie pali mi się do powrotu. Można wytrzymać, bywa nawet ciekawie. – Kobieta dla kurażu bierze duży łyk whisky z colą.

– Co pijesz z takim smakiem?

– Mazut, tak w Libii nazywamy Jasia Wędrowniczka z colą, cytryną i lodem. Chyba ze względu na podobny kolor. A ty czym się relaksujesz?

– Soki pomarańczowym. Jestem muzułmaninem – tłumaczy mężczyzna, poważnie patrząc Malice w oczy.

– Cóż, ja też. – Rozmowa, która do tej pory się nie kleiła, teraz staje się jeszcze bardziej sztywne.

– Byłem na placówce w Trypolisie, ale niezbyt dobrze wspominam te czasy. – Erytrejczyk smutno spogląda przed siebie.

– Libia nawet dla Libijczyków nie jest łatwa, a co dopiero dla cudzoziemców. Tylko najtwardsi albo desperaci przetrzymują – ironizuje kobieta, po czym wstaje i kieruje się do wyjścia.

– Nudny jestem, prawda? – Mężczyzna chwyta ją za rękę i nie pozwala odejść.

– Nie, po prostu jestem zmęczona. Wiesz, praca, dom, obowiązki...

– Może spotkamy się w jakimś dogodniejszym czasie i spokojniejszym miejscu?

– Okej, nie ma sprawy. – W duchu Malika aż wyje z chęci powiedzenia: nie!

* * *

– Miriam, nie bądź świnia, chodź ze mną. – Ciotka błaga bratanicę, bo zdaje sobie sprawę, że sama nie przetrzyma tej kolacji. – On jest taki nieruchawy, totalnie bez życia, uf!

– To po co się z nim umawiasz? Ja cię nie rozumiem.

– Dziewczynka patrzy na świat trzeźwo i uczciwie. – Zadzwoń i odwołaj. Powiedz, że cię głowa boli. – Śmieje się, bo wielokrotnie słyszała, jak ciotka wymiguje się w ten sposób od niechcianych randek.

– Miriam, to ambasador, nie wypada. – Malika siada i drapie się po rozczochranych włosach. – Żal mi go było, to się zgodziłam. Taki przystojniak i taki drętwy. Ja z nim usnę sam na sam. – Chichocze, wyobrażając sobie taką sytuację.

– A co ja będę z tego miała? – Dziewczynka jednak się łamie.

– Zjesz znakomitą, wykwinną kolację? – drażni się z nią ciotka.

– Błę! Ja wolę kromkę z nutellą!

– Dobrze, kupię ci te buty Massimo Dutti, które sobie upatrzyłaś.

– No to szykujmy się, będzie dobrze, trzeba myśleć pozytywnie, *jalla, jalla!*

W hotelu Plaza jest nad wyraz elegancko. Malika założyła jedwabną małą czarną, na wierzch narzuciła kaszmirową krwistoczerwoną marynarkę. Dodatki do stroju ma olśniewające. Sama kolia z szafirami i brylantami musiała kosztować pięć jej wypłat. Dawna ulubienica wodza pamięta czasy, kiedy w Libii dostawała premie tej wysokości. Marysia wygląda jak śliczna lalka – jej złote, błyszczące loki kładą się na karminowej aksamitnej sukience, a przez długie czarne koronkowe rękawy prześwituje misterna dziecięca biżuteria. Miodowe oczy kokietują wszystkich dookoła. Dziewczynka ma na nóżkach niewygodne, wymarzone czarne czółenka od Duttiego.

– Moje panie, jak wy trzymacie taką wspaniałą linię? – Ambasador zaczyna od komplementów, nie mogąc oderwać oczu od Maliki. – To jest niemożliwe przy tych wszystkich nocnych dyplomatycznych nasiadówkach.

– Ciocia codziennie ćwiczy, chodzi na fitness do najlepszego klubu w mieście, na basen, a w czasie weekendów uprawia jogging po nabrzeżu – odpowiada Marysia. Czuje się zobowiązana za zakup astronomicznie drogich butów.

– Godne podziwu. – Mężczyzna kiwa potakująco głową.

– Kiedyś uwielbiałem biegać, nawet byłem w tym niezły, zwłaszcza na tysiąc pięćset metrów. W czasach studenckich zakwalifikowali mnie do reprezentacji kraju.

– Naprawdę? – Są zaskoczone, bo ich rozmówca ma teraz sporą nadwagę.

– Nie chce się wierzyć, co? Byłem wtedy młodszy o jakieś trzydzieści – czterdzieści kilogramów.

– Zawsze można spróbować od nowa, póki się żyje, wszystko jest możliwe – mówi Malika, rozczarowana taką słabością ducha.

– Tylko trzeba mieć motywację. Mógłbym z tobą potruchtać w jakąś sobotę czy niedzielę? – kieruje pytanie do kobiety, smutno patrząc jej w oczy.

– Uważam, że najpierw powinieneś trochę potrenować na sali pod okiem instruktora. – Malika usiłuje się wybronić od niechcianego towarzystwa.

– Tak też zrobię, a kiedy już będę miał jako taką formę, to zadzwonię, dobrze? – Oczy Abdullaha rozpromieniają się, tak jakby zrzucenie kilkudziesięciu kilogramów było pestką.

Od tego spotkania Malika nie widuje ambasadora przez prawie trzy miesiące. Ani na obchodach świąt narodowych, ani na dyplomatycznych piknikach. Dziwi się, że zniknął na tyle czasu. Z jednej strony oddycha z ulgą, bo pozbyła się niechcianego adoratora, z drugiej jest jej przykro, bo przecież miło jest być uwielbianym. Nawet bez wzajemności.

– Jak jogging? – Wysoki Afrykanin zaczepia Malikę biegnącą po nabrzeżu jak zwykle w okolicach resortu Afia. – Dobra pogoda, prawda? – Dotrzymuje jej kroku.– Gdybym szukała towarzystwa, tobym je znalazła w mieście. Dziękuję, wszystko dobrze i do widzenia.

– Kobieta ostro traktuje natręta.

– Ale jesteś twarda sztuka. – Mężczyzna śmieje się i próbuje chwycić biegaczkę za rękę, a ta, wiele się nie namyślając, kopie intruza z rozmachu w goleń.

– Malika, kobieto! – Murzyn skręca się z bólu, chwytając za nogę.

Dopiero w tej chwili Malika rozpoznaje głos i spogląda na wykrzywioną cierpieniem twarz.

– Abdullah, *wallahi!* – wykrzykuje, łapiąc się za głowę. – Co ty wyprawiasz?! Przecież mogłam cię jeszcze gorzej uszkodzić!

– Kto by się spodziewał, że z ciebie taki bitnik. – Erytrejczyk uśmiecha się przez łzy, wstaje i próbuje iść, ale utyka.

– Aleś ty schudł! Chłopie! Jesteś nie do poznania! *Wow!*

– Malika podziwia rezultaty diety.

– Mówiłem ci, że potrzebuję motywacji, i takowa się znalazła.

– Naprawdę? A co takiego?

– Taka jedna wojowniczką w rozmiarze S. – Afrykanin w ironicznym grymasie wygina piękne, namiętne usta.

– Chodź, pomogę ci iść. – Malika z drżeniem serca przerzuca sobie przez ramiona rękę poszkodowanego. – Może siądziemy w hotelu na tarasie, to trochę dojdiesz do siebie?

– Z miłą chęcią. Na samą myśl o tym czuję się lepiej.

Szkolna wycieczka do fortu Elmina

Przestaniesz w końcu rosnać, moja pannico? Nie wyrobię z zakupem wciąż nowych ciuchów i butów dla ciebie! Pójdę z torbami! – Malika żartobliwie krzyczy, obciągając na Marysi kusy podkoszulek, celowo odsłaniający brzuch i krzyż. – Przeziębisz się, ty mała kokietko!

– Ależ ciociu, taka moda. – Dziewczyna obraca się na pięcie i wybiega z domu. W samochodzie na ulicy czekają już na nią koleżanki z klasy.

– Kiedy ona tak wydorosłała? – pyta z uśmiechem babcia.

– Jak ten czas szybko leci, nie do pomyślenia. – Wzdycha i znów wsadza nos w angielską książkę.

Marysia rzeczywiście z ślicznego kaczątka przemieniła się w olśniewającą urodą nastolatkę. Pofalowane niesforne włosy, które zapuściła prawie do pasa, nie straciły koloru. Ich złota barwa jeszcze się pogłębiła. Przez ostatnie trzy lata urosła na potęgę, bo chyba o dwadzieścia centymetrów, i przegoniła już dawno Malikę. O linię nie musi dbać tak jak ciotka. Po pierwsze młodość spala wszystkie kalorie, a po drugie odziedziczyła figurę po matce i ojcu. Marysia też się nie leni i bierze aktywny udział we wszystkich sportowych imprezach w szkole i poza nią. Oprócz tego chodzi na kursy językowe z francuskiego i arabskiego, bo nie chce zapomnieć ojczystego języka, jest w paru kółkach naukowych i podchodzi do wielu konkursów i olimpiad. Po odrzuceniu przez pierwszą i jedyną przyjaciółkę Georgette dziewczyna całą sobą zaangażowała się w naukę. I widać znakomite tego efekty. Jest najlepsza w szkole i błyszczy również poza nią. Dyrektor wraz z amerykańskim kierownictwem przyznał jej nagrodę naukową, tak że Malika nie musi się już martwić o czesne. W przyszłości studia w Stanach ma w kieszeni.

– Ciociu, zadzwoń do tego głupiego wychowawcy i powiedz mu, że ja już za rok idę do *high school* i jestem na tyle odpowiedzialna, że mogę pojechać na tę wycieczkę. Niechże on sobie nie żartuje. – Wściekła Marysia o załatwienie rzeczy niemożliwych zawsze zwraca się do Maliki.

– A niby dlaczego nie możesz? Kto ci tak powiedział?

– Wyjazd jest tylko dla liceum, ale przecież ja nie chodzę do przedszkola i majtek nie trzeba mi podciągać! Co takiego zobaczę w tej Elminie, że przyprawi mnie o szok?! Każda gra komputerowa jest pełna zabijania, krwi i flaków, ale jak robią na tym pieniądze, to wszystko jest okej i cacy. Może niedługo do muzeum będą wpuszczać tylko ludzi po ukończeniu osiemnastego roku życia?

– Jedziesz, szykuj się na wystrzałowy weekend – oznajmia ciotka po powrocie z pracy, a Marysia rzuca się jej z piskiem szczęścia na szyję. – Ta wycieczka jest tylko dla starszej młodzieży, ponieważ zostajecie na noc na kempingu przy plaży i nauczyciele twierdzą, że z drobnicą nie daliby sobie rady. Choć też tego nie rozumiem, przecież z nastolatkami można zwariować. Wszystko się może zdarzyć, nie wiadomo, co w tym wieku strzeli do głowy.– Ciociusiu kochana, dziękuję! – Dziewczyna tańczy dookoła pokoju i porywa za sobą babcie. – Ale będzie super! Ognisko, grill, śpiewy, bębny, tańce! Pamiętasz tego wudu znad Wolty? Ależ te tam-tamy grały! – Marysia zaczyna bębnić rękami po stole.

– Cicho, nie wspominamy głupiej przeszłości. – Malika ucisza ją, wskazując brodą na matkę. – Chodź, pomogę ci w pakowaniu. – Popycha rozbawioną bratanicę do jej pokoju. – Słuchaj no, moja panienko, żadnego alkoholu do ust mi nie brać! Pamiętasz, co jeszcze Anum opowiadał o tutejszym bimbrze? Wypijesz jeden łyk i ślepotą na całe życie. Albo przeżarte bebechy.

– Ja nic o tym nie wiem! Co oni tam dodają? – z przerażeniem odpowiada

niedoświadczona dziewczyna.

– Dolewają do niego kwasu metylowego albo płynu z akumulatorów. Dorzucają też inne śmieci. Również proszę cię bardzo o niepalenie papierosów czy nie daj Bóg jakiegoś haszu. Absolutnie! Pod żadnym pretekstem, nawet jakbyś tylko chciała spróbować. Nie tym razem, nie w tym wieku, a w ogóle to nie warto.

– Dobrze, ciociu, już dobrze. – Marysia przyciska Malikę mocno do piersi. – Nie denerwuj się, nic mi nie będzie. To tylko dwudniowa wycieczka.

Autokar do fortu Elmina wlecze się niemiłosiernie. Marysia nudzi się przez całą drogę, bo w zasadzie z liceum zna, i to słabo, może dwie dziewczyny oraz Mohameda, syna Abdullaha. Ten cały czas patrzy na dziewczynę spode łba, tak jakby miał do niej o coś pretensje. Nastolatka zaczyna się zastanawiać, czemu tak się uparła na ten wyjazd, i dochodzi do obiektywnego wniosku, że gdyby jej nie odmówiono, to na pewno by się nie wybrała. Chciała jedynie postawić na swoim. Nie było to mądre posunięcie. Po przyjeździe do fortu zadzwoni do Maliki, może ona wybawi ją z opresji i po nią podskoczy. Choć pewnie nie, ciotka nigdy nie wycofuje się z raz podjętej decyzji, więc i Marysia może da radę i przetrzyma.

– Wsiadamy! – Autobus zatrzymuje się na wielkim parkingu, nauczyciele i opiekunowie zaczynają poganiać młodzież do wyjścia. – Najpierw się zakwaterujemy, a później szybko idziemy zwiedzać. Następnie czas wolny. O osiemnastej wszyscy mają się stawić na kempingu w miejscu grillowym, bo będziemy wspólnie przygotowywać jedzenie i bawić się do dwudziestej drugiej. Cisza nocna od jedenastej. Zrozumiano?! – Dyrektor donośnym głosem obwieszcza plan pobytu.

– Ale będą nudy. – Marysia słyszy za sobą komentarze i cieszy się, że ktoś czuje to samo co ona.

Dziewczyna obraca się do tyłu z uśmiechem i widzi pochmurną jak zwykle twarz Mohameda.

– Po zwiedzaniu wyskakujemy po zaopatrzenie – słyszy jego szept. – Kofi jest stąd, więc będziemy mieli podwózkę i dobry towar.

– Kto sunie z nami? – pytają jego dwaj najbliżsi koledzy.

– Weźmy parę dziewczyn, to będzie weselej. Miriam, chcesz się przejechać? – Organizator wypada zwraca się do Libijki.

Wszyscy baranieją na tę propozycję, a najbardziej Marysia, bo wiadomo wszem wobec, że chłopak ma na nią alergię.

– Ja? Tak... oczywiście – odpowiada jednym tchem, ciesząc się z propozycji przystojnego starszego chłopaka i licząc na poprawienie ich wzajemnych stosunków. Ciotka Malika byłaby zadowolona, gdyby tak się stało.

W muzeum niewolnictwa w Elminie nie ma nic szczególnego. Organizatorzy liczą chyba na wyobraźnię zwiedzających. Parę starych rycin na ścianach, kilka aktów oraz pożółkłych listów. Budynek jest ładniejszy z zewnątrz, zwłaszcza kiedy się go ogląda z nabrzeża. Marysia czuje jednak dreszcz na plecach, bo zna kulisy tego jednego z najbardziej haniebnych rozdziałów ludzkiej historii. Nikt nie wie dokładnie, ilu czarnych niewolników wywieziono z Afryki na amerykańskie plantacje, ale liczby wahają się pomiędzy pięćdziesiąt a sześćdziesiąt milionów¹. Elmina była przez ponad trzy wieki głównym centrum przerzutowym. Naukowcy twierdzą, że ten okrutny proceder wykrwawił i wyludnił Afrykę, pozbawiając ją najbardziej wartościowych obywateli i dezorganizując całe życie gospodarcze i społeczne. Niewolnictwo było druzgocącym ciosem dla rozwoju tej części świata, ciosem, którego skutki ponoć odczuwa się do dziś. Najgorszy dla Marysi jest fakt, że w podziemiach fortu czekali stłoczeni i traktowani jak bydło ludzie, niektórzy z nich chorowali, inni umierali, a w tym samym czasie na górze biali koloniści

uczestniczyli we mszy świętej lub bawili się w najlepsze.

– Jedziesz? – Mohamed chwyta ją za ramię, budząc z rozmyślań. – Mamy już wolne i musimy się spieszyć, bo to kawałek drogi stąd.

– Właściwie to po jakie zaopatrzenie walimy w takim pośpiechu? Po drewno?

– Ale z ciebie dzieciak! – Pozostali uczestnicy wyją ze śmiechu i wskakują do podstawionego pikapa.

W grupie jest trzech chłopaków – kierowca i właściciel auta Kofi, Mohamed, jeszcze jeden nieznaną Marysi licealista oraz dwie dziewczyny, Ghanki, które nie cieszą się w szkole najlepszą opinią.

Po półgodzinie tłuczenia się po typowej afrykańskiej drodze, pełnej wybojów i dziur, skręcając z niej i prują jak szaleni przez gęsty busz. Na koniec zajeżdżają w odludne miejsce, dość ciemne, otoczone wysokimi drzewami i zadymione spalinami z aparatury stojącej na środku placu pod zadaszeniem z blachy falistej. Marysia domyśla się, że przyjechali po bimber, bo opary alkoholu unoszą się w powietrzu, a mężczyźni, którzy ich witają, wyglądają na mocno zawianych. Transakcja przebiega szybko: chłopcy dają plik dolarów o małych nominałach, w zamian za co dostają pudło domowego trunku i papierowy worek z jakimś zielskiem. Rozmawiają też na ucho z producentami i zaśmiewają się w dość ordynarny sposób, a na koniec transakcji klepią z zadowoleniem po plecach.

– Zrobimy jej numer, nie? – dochodzą do Marysi słowa. Po raz pierwszy dziewczyna widzi uśmiechniętego Mohameda i dochodzi do wniosku, że jest nieziemsko przystojny. Ghanki w międzyczasie snują się po okolicy, paląc namiętnie papierosy.

– Miriam, chodź na chwilę – wysoki Erytrejczyk woła koleżankę. – Mają do sprzedania jakieś ciekawe maski i amulety.

Dziewczyna niepewnie oddala się od auta, do którego ze strachu prawie przyrosła. Kiedy podchodzi do śmierzących gorzałą i potem tubylców, słyszy za sobą śmiechy i wycie silnika. Ogląda się i baranieje, zupełnie zaskoczona. Całe towarzystwo wskoczyło do auta i odjeżdża w tumanie pyłu, zostawiając ją samą w gęstym buszu z nieznanymi i groźnymi typami.

– Zaczekajcie! – RzUCA się za nimi biegiem, lecz po chwili dwóch obleśnych brudnych typków zastępuje jej drogę.

– Jak kocha, to wróci – śmieją się, pokazując dziąsła i obrzydliwie żółte, dziurawe zęby. – W międzyczasie możemy się trochę zabawić, co, mała? – Podchodzą do nastolatki jeszcze bliżej, tak iż dokładnie widzi ich przekrwione, nieprzytomne spojrzenia. – Odwal się, ty murzyński menelu, inaczej będziesz miał do czynienia z moją rodziną! – Dziewczyna usiłuje zastraszyć towarzystwo, lecz do pijanych i naćpanych facetów nic nie dociera. Dostali pyszny, młodziutki kąsek na tacy i mają zamiar go skosztować. Odważniejszy z nich zaczyna ciągnąć ją za rękę w kierunku jednej z glinianych chat. Marysia ile sił zapiera się nogami, następnie pada na ziemię, wyjąc z przerażenia. Mężczyzna chwyta ją w pól i wrzuca do lepianki na środek klepiska. Inni podążają za nimi.

– Stary, to panienka z dobrego domu, może by odpuścić? – szepta jeden rozsądniejszy. – Może być z tego jakaś grubsza chryja.

– Jak gówniarz mówił, że to tylko dobrze ubrana dziwka, to tak jest. I jeszcze nikt w życiu mi nie zapłacił za dupczenie. – Główny oprawca śmieje się lubieżnie.

Mężczyźni utworzyli w ciemnej i dusznej małej chacie krąg. Popychają Marysię, rzucając ją sobie z rąk do rąk. Dotykają jej gołego brzucha, przejeżdżają rękami po nagich, długich nogach, które prowokująco wychodzą z krótkich dzinsowych szortów. W końcu prowodyr szarpie za podkoszulek na ramiączkach, który się rwie, ukazując młodzieńcze piersi dziewczyny. Mężczyźni zaczynają sprośnie wyć i już dłużej nie panują nad zwierzęcym instynktem.

Przywódca odgania pozostałych, na siłę ściąga z oszołomionej i zrozpaczonej dziewczyny szorty, rozrywa majtki i obraca ją plecami do siebie. Nastolatka czuje przeszywający, straszny ból w kroczu, a później szum w uszach. Kiedy pierwszy Murzyn kończy, puszcza jej talię i Marysia pada całym swoim ciężarem na brudne klepisko. Po nim używają sobie następni, a młoda Libijka nic już nie czuje. W momentach kiedy odzyskuje przytomność, jedynie płacze, jęczy i wyje. Z ust spływa jej ślina, z nosa kapie katar, a po nogach cieknie paskudna biała sperma pomieszana z krwią.– Kto, do cholery, będzie aparatury pilnował?! – słyszy jak przez mgłę zrzędlawy kobiecy głos. – Co to ma znaczyć?! Zaraz wszystko wybuchnie!

– Matka przyjechała. – Mężczyźni w panice uciekają z chaty, zostawiając swoją ofiarę na udeptanej ziemi.

– Co wyście tutaj robili? – Stara Afrykanka zagląda do chaty i staje jak wryta w wejściu. – O, wy skurwysyny, o, wy pomiotło! – Wybiega, chwytając najbliższy kij w rękę i rzuca się na przerażonych chłopów. – Toż to biała! Chcecie pójść do pierdła na resztę życia?! Że też bogowie mnie pokarali takimi podłymi i głupimi synami – zaczyna zawodzić.

Marysia, słysząc przebiegającą na zewnątrz awanturę, ma nadzieję na ratunek. Z jękiem podnosi się i staje na niepewnych nogach.

– Kochanieńka, ja ci zaraz pomogę. – Kobieta podbiega do niej, zbiera porzrzuconą garderobę i prowadzi za rękę do pobliskiego źródła. – Oni nie wiedzieli, co czynią. Zapite wszystko i naćpane. Umyj się, a ja przyniosę ziołowy specyfik na te rzeczy. – Patrzy z przerażeniem na krew spływającą po nogach dziewczyny.

Kiedy Marysia doprowadza się już odrobinę do porządku i obolała siedzi na drewnianym stołku, pijąc herbatę, na podwórzu zajeżdża znany jej pikap. Za kierownicą siedzi Mohamed, z jak zawsze zaciśniętymi szczękami i wściekłością w oku. Chłopak macha na nią ręką, żeby podeszła.

– Ty paniczyku! – Stara Ghanka rzuca się w jego stronę. – Swoje porachunki wyrównujcie sobie u siebie, gnoje jedne! – Grozi mu pięścią.

Zbrukana dziewczyna tkwi nieruchomo na siedzeniu obok kierowcy. Patrzy tępo w ciemny gąszcz.

– Jak się teraz czujesz? – syczy Afrykanin. – Dobrze ci z tym? Już przynajmniej wiesz, co przeżywała moja matka, kiedy jej to zrobiliście.

– O czym ty mówisz? – Marysia szepcze drżącym głosem. – Kto zrobił i co, ja, moja ciotka Malika czy stara babcia?

– Nie pieprz mi tu, szmato! Wy, Libijczycy! Parszywe arabskie psy!

* * *

Nikt nie zauważył, co zrobiono Marysi, tak w Elminie, jak i w domu. Jedynie babcia zapytała ją, czy dobrze się bawiła, bo jakaś jest nieswoja. Dziewczyna zamyka się u siebie w pokoju i wychodzi jedynie do szkoły. Zrezygnowała ze wszystkich dodatkowych, tak lubianych zajęć. Nie chce nikogo widzieć, a szczególnie Mohameda. Kiedy ciotka Malika proponuje wspólny wyjazd z Abdullahem i jego synem, nastolatce robi się słabo.

– To okres dojrzewania, hormony buzują – tłumaczy babcia. – Wy się dobrze bawcie, a ja posiedzę z nią w domu. Coś czuję, że ta wycieczka do fortu Elmina nie była za bardzo udana. Od tego czasu Marysia jest jakaś inna.

– Dzwoniłam już do dyrektora i pytałam, czy coś się przypadkiem nie wydarzyło, ale odpowiedział, że wszystko było świetnie i że nigdy by się nawet nie spodziewał takiej dobrej atmosfery i karności uczniów.

– Więc sama widzisz, nie ma się czym martwić. Ty też miałaś takie zmienne nastroje i

omdlenia. Wszystko będzie dobrze.

Po trzech miesiącach, kiedy Marysia fizycznie czuje się lepiej, zaczyna ją martwić brak miesięcznego krwawienia. Od gwałtu okres nie pojawił się ani razu. Odczekuje jeszcze parę dni i jest już pewna, co to może oznaczać, zwłaszcza że w brzuchu zaczynają przelewać jej się bąbelki, a rano czuje mdłości. Albo Malika ją z tego wyciągnie, albo popełni samobójstwo. Ale jak jej o tym powiedzieć? Przecież nie może wyznać prawdy, kiedy ciotka w końcu znalazła szczęście i pragnie na stałe związać się z Abdullahem.

– Ciociu, mam problem. – Wieczorem wskakuje do ciepłego łóżka i obejmuje swoją przyszywaną matkę szczupłymi ramionami.

– Widzę, kochanie, i czekam, aż sama mi o tym powiesz.

– Mogę jedynie wyznać, o co chodzi i podać skutki, ale nie naciskaj, żebym mówiła, jak do tego doszło.

– W porządku – śmieje się nieświadoma powagi sytuacji Malika. – Dawaj z tym koksem!

– Jestem w ciąży – szepcze dziewczyna, a ciotka w jednej chwili zamiera.

– Spałaś z kimś z własnej woli? – pyta cicho.

– Nie.

– Cieszę się, panie doktorze, że jeszcze pan pracuje na tym zadupiu. – Malika od razu dzwoni do jedyne go zaufanego lekarza, Polaka z Nsiakrom, który uratował życie Georgette.

– Witam, pani Maliko, bardzo mi miło, że pani dzwoni, i mam nadzieję, że tym razem nie w tak paskudnej sprawie.

– Równie podlej i brudnej. – Kobieta bierze głęboki oddech. – Moja bratanica została zgwałcona i jest w ciąży – mówi jednym tchem.

Na łączach zapanowuje martwa cisza. Słysząc jedynie szum połączenia i szybki oddech podenerwowanej kobiety.

– Przyjeździecie w weekend, mamy tutaj jedną dobrą ginekolog. Dziewczyna jest nieletnia, o ile znam się na matematyce?

– Tak. – Czy zgłosiłyście przestępstwo?

– Nie. W tej chwili się o tym dowiedziałam.

– Który to miesiąc?

– Trzeci – podpowiada Marysia.

– Zrobimy, co w naszej mocy. – Mężczyzna odkłada słuchawkę, a Malika siada przy swojej ukochanej, skrzywdzonej małej córeczce i delikatnie bierze ją za ręce.

– Nie trzeba było wyrzucać tych amuletów wudu – szepcze, patrząc ze smutkiem na dziewczynę.

Parę dni później ciotka z bratanicą w tajemnicy przed wszystkimi przyjeżdżają do afrykańskiej wioski. Po wstępnym badaniu młoda lekarka zgadza się na usunięcie ciąży. W zamian za przysługę przyjmuje z rąk Maliki pokaźny plik pieniędzy.

– Konieczna będzie jeszcze rekonstrukcja błony dziewiczej – mówi smutno Arabka. – Jesteśmy muzulmankami i nie dopuszczę do tego, żeby moja ukochana dziewczynka miała zrujnowane życie i plamę na honorze. Szwy się zagoją, a o reszcie z czasem zapomni.

¹ [← powrót do tekstu] Za: *Harmattan i wielki deszcz*, Władysław Śliwka-Szczerbic, Książka i Wiedza, Warszawa 1965, s. 18.

Śmierć Maliki

*A turiddin an tatazowdzini?*¹ – Abdullah zadaje pytanie, tradycyjnie klękając na jedno kolano.

– *Naam*². – Malika bez wahania odpowiada, dla podniesienia wagi słów używając arabskiego języka klasycznego. Następnie pada swojemu wybrankowi w ramiona i trwają tak, nie mogąc się od siebie oderwać. Kobieta jest szczęśliwa. Cieszy się, że w końcu ktoś się nią zaopiekuje i zdejmie z jej barków ciężar obowiązków, który dźwigała przez całe swoje dorosłe życie. Już nie będzie musiała się martwić o utrzymanie rodziny, o pracę, a co najważniejsze, wyjedzie daleko, na koniec świata, gdzie Dorota nigdy nie odnajdzie Marysi i dziewczyna już na zawsze zostanie przy niej. Abdullah jest idealnym, cudownym mężczyzną, o którym mogą marzyć wszystkie kobiety. Jest czuły, cierpliwy, wytworny, a na dokładkę uwielbia ją. Nawet w łóżku, kochając się, traktuje ją jak królową czy porcelanową figurkę, z którą trzeba obchodzić się nadzwyczaj delikatnie.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, damy radę pogodzić i spoić nasze losy – przekonuje mężczyzna.

– Wiesz przecież, że nie będzie to takie łatwe. – Malika wtulona w ukochanego patrzy jednak na wszystko trzeźwym okiem.

– Razem wszystko wydaje się proste... – Abdullah czule całuje swoją wybrankę.

– Dopóki pracuję w dyplomacji mojego kraju, nie mamy nawet o czym marzyć. Zaraz oskarżą nas o szpiegostwo albo co najmniej o zwykłą zdradę – mówi kobieta.

– Za długo w tym siedzę, żebym nie wiedział, kochanie. Ale przecież ty już za pół roku kończysz...

– O ty spryciarzu, wszystko sobie przemyślałeś i zaplanowałeś! – wykrzykuje Malika, posyłając mężczyźnie żartobliwego kuksańca. – Jak to dobrze, że już nie będę musiała o wszystko martwić się sama.

– I o to chodzi, moja pani! Możesz na mnie polegać, i to we wszystkim. Nikomu nie dam cię skrzywdzić.

– Zdajesz sobie sprawę, że biorąc mnie, bierzesz także moją matkę i bratanicę, która jest dla mnie jak córka. Tak bardzo ją kocham.

– Jakżebyś mógł was rozdzielić!? – wykrzykuje Abdullah i sztywno siada na sofie. – Nigdy bym tego nie zrobił!

– Ale jak to przyjmie Mohamed? On za mną ani za moją rodziną nie przepada. Zauważyłam też, że od pewnego czasu Miriam unika go jak ognia, wręcz się go boi. Nie wiem zupełnie dlaczego.

– Jak to? Nie mogę tego pojąć. – Ojciec staje w obronie syna. – To przecież dobry chłopiec, tylko trochę zagubiony po śmierci matki – tłumaczy.

– No właśnie, nigdy o tym nie rozmawiamy. – Malika poważnie spogląda swojemu wybrankowi w oczy.

– Tak jak o twoim synu, Muaidzie. – Są rzeczy, które lepiej przemilczeć. – Kobieta jednak chce zachować swoje tajemnice dla siebie. – Może nie warto dręczyć się sprawami, które należą do zamierzchłej przeszłości.

– Tak myślisz? Chyba masz rację. Po co rozdrapywać stare rany? To na nasz związek nie ma żadnego wpływu.

Tak eleganckiego i wystawnego przyjęcia Akra chyba jeszcze nie widziała. Wszystko tonie w przepychu i bogactwie jak z baśni tysiąca i jednej nocy. Żaden dyplomatyczny dinner czy

repcja nigdy nie były do tego stopnia dopieszczone. Zakochanemu po uszy w Malice Abdullahowi bardzo zależało, by wszystko wypadło jak najlepiej. Ani narzeczona, ani jej rodzina, w osobie babci i Marysi, nie są angażowane w przygotowania.

– Wy, drogie panie, idźcie do fryzjera, kosmetyczki, na masaż, a moja w tym głowa, żeby wszystko było dobrze – mówi zadowolony Abdullah, kiedy oferują mu swoją pomoc. – Chcę wam zrobić niespodziankę.

Rezydencja tonie w światłach, błyszczy tysiącem barw z rozstawionych kolorowych arabskich lampionów. Nawet fontanna naprzeciwko frontowego wejścia jest podświetlona zmieniającymi się kolorami. Ścieżki wyłożone są miękkimi czerwonymi chodnikami, żeby któraś z pań nie straciła między kamieniami obcasa, a stoliki nad samym basenem stoją na wykładzinach imitujących trawę. Jedzenie i obsługę zapewnia hotel Plaza, najlepszy w Akrze. Abdullah wie, jak Malika ceni elegancję i ile razy zaciągała tam Marysię chociażby tylko na kawę i ciasteczko. Narzeczony specjalnie zakupił delikatną tkaninę w kolorze écru i zlecił uszycie obrusów i serwet. Chciał, żeby wszystko było dopasowane i pachniało nowością. Zastawa też jest niezwykła – to służbowe serwisy ambasadora wykonane z najlepszej porcelany i oczywiście ozdobione godłem Erytrei, złotym dromaderem otoczonym wieńcem oliwnym. Platerowe sztuce mają wygrawerowany na rączce herb. Jedzenie czeka na gości nie w typowych dla wszystkich restauracji podgrzewaczach jak wielkie michy, lecz w prywatnych, stalowych, lśniących pojemnikach lub na półmiskach od serwisu.

Goście zaczynają się schodzić wraz z wybiciem godziny. Wszyscy są ciekawi tak narzeczonych, jak i przyjęcia, o którym mówi się w Akrze już od paru tygodni. Wśród zaproszonych są znane postaci z ghańskiego rządu, w tym zaprzyjaźnieni pracownicy tutejszego MSZ-etu, paru bogatych kacyków od diamentów, mnóstwo przedstawicieli korpusu dyplomatycznego oraz kilku „zwykłych” ludzi, prywatnych znajomych Maliki i Abdullaha. Marysię i babcię poproszono, aby stanęły na honorowym miejscu, zaraz za narzeczonymi. Mohameda zaś nie sposób znaleźć od samego rana, więc w natłoku spraw wszyscy o nim zapomnieli. Szczęśliwy Abdullah ogłasza zaręczyny i zakłada Malice na serdeczny palec pierścionek z wielkim brylantem.

– Tacy jesteście szczęśliwi! – Syn ambasadora nagle wyłania się z otaczających basen bugenwilli i kwitnących opuncji. – Taka dobrana para, pogratulować! – mówi jeszcze głośniej, bo jego pierwsze słowa giną wśród oklasków i śmiechów.

– Synku, gdzie się podziewałeś? – Abdullah z otwartymi ramionami obraca się w stronę młodzieńca, lecz w tym momencie zamiera w pół kroku, widząc mały rewolwer w jego opuszczonej ręce. Nikt poza nim tego nie zauważa.

– Taki dialog między narodami, tak się kochamy! Brawo!

– Chłopak drży na całym ciele. – Jak ty łatwo zapominasz, ojczu! – krzyczy histerycznym głosem, a wszyscy goście wstrzymują oddech. – Nie można cały czas rozdrapywać starych ran! – odpowiada na oskarżenia syna. – I nie ma czegoś takiego jak odpowiedzialność zbiorowa!

– O co mu, do jasnej cholery, chodzi? – Malika marszczy czoło niezadowolona, że gówniarz psuje jej najważniejszy dzień w życiu.

– Pamiętasz, paniusiu, zaraz jak tutaj przyjechałaś, mój wuj złożył petycję u ciebie w biurze. Powiedział mi o tym.

– O czym ty mówisz?! Czy to czas i miejsce?

– Jak najbardziej! – przerywa jej Mohamed. – Olałaś tak pismo, jak i jego twórcę.

– Abdullah, zrób z nim coś! – Malika aż blednie z wściekłości. – Czy wiesz, młody człowieku, że dostawałam ich setki!?

– Jakieś przeczytałaś czy wszystkie wyrzucałaś do kosza?

– Synku, porozmawiamy później. – Abdullah jednak decyduje się na krok w kierunku swojego jedynaka.

W tym momencie rozlega się głuchy strzał i teraz już wszyscy widzą mały rewolwer ukryty przez chłopaka pod długim rękawem koszuli. Słyszą pojedyncze piski kobiet, podniesione głosy mężczyzn i całe towarzystwo się cofa. Zszokowany narzeczony chwytą się za ramię i ze zdziwieniem patrzy na młodego człowieka.

– Abdullah, co się dzieje? – Malika odsuwa palce ukochanego i widzi, jak czerwona krew powolutku wypływa z rany. – Ty gówniarzu! Co ty sobie wyobrażasz?! – Kobieta zupełnie bez zastanowienia rzuca się w kierunku Mohameda.

Pada drugi strzał. Tym razem już celniejszy. Malika zgina się, trzymając za lewą pierś. Całe towarzystwo wpada w panikę i biegnie do wyjścia, przewracając przy tym stoliki i lady z jedzeniem, tłukąc porcelanę i tratując się nawzajem. „Terryści, terryści” – dają się słyszeć głosy. Nad basen z odbezpieczonymi kałusznikowami wpada ochrona i staje skonsternowana, widząc, co się zdarzyło.

– Abdullah, o co mu chodziło? – ostatkiem sił Malika usiłuje poznać tajemnicę swojej śmierci.

– Jednak czasami trzeba zanurzyć się w przeszłości – smutno odpowiada mężczyzna. – Moja żona nie zmarła na raka czy ptasią grypę. Kiedy byliśmy w Libii, postanowiła sama interweniować w sprawie mojej siostry, z którą była w długoletniej przyjaźni. Fatma dostała się do obozu internowania dla nielegalnych imigrantów, bo w Trypolisie wyszła do pobliskiego sklepiku, nie zabrawszy ze sobą dokumentów, taka roztrzepana dziewczyna. A był to czas rasistowskich akcji i czystek, czarnoskórych brali prosto z ulicy, normalna łapanka. Moja żona, matka Mohameda, po próbie pomocy szwagierce została wywieziona do Surmanu i wrzucona do zbiorowej celi. Jej dyplomatyczny paszport wyrzucono do kosza. Zdarza się, podobno. Znalazłem ją i moją siostrę po dwóch tygodniach, dwóch długich tygodniach. Siostra była w strasznym stanie, a moja żona nie odzywała się do nikogo. Po przyjeździe do naszej rezydencji w Trypolisie zamknęła się u siebie w pokoju. Na drugi dzień znalazł ją Mohamed, który będąc dziesięcioletkiem, odciął matkę wiszącą na jedwabnym sznurze do zasłon.

– *Wallahi* – szepcze Malika.

– Ciociu, kochana moja, nie zostawiaj mnie, nie odchodź.

– Marysia pochyła się nad konającą. Babcia stoi jak posąg i nie jest w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

– Miriam, moja najdroższa... moja córeczko... – Czerwona krew cienkim strumieniem zaczyna spływać Malice z kącika ust. – Miałam ci powiedzieć, ale zawsze był nieodpowiedni moment... Twoja mama... siostra... – Bierze ostatni oddech i opada martwa w ramionach Marysi.

¹ [← powrót do tekstu] *A turiddin an tatazowdżini* (arab.) – Czy zechcesz zostać moją żoną?

² [← powrót do tekstu] *Naam* (arab.) – Tak.

5 HOME SWEET HOME

Sprzedaż majątku

W chwili kiedy Malika wydaje ostatnie tchnienie, do rezydencji wpadają funkcjonariusze policji, słychać zawodzący sygnał karetki pogotowia, a po chwili na posesję wchodzi czterech smutni panowie w czarnych garniturach. Odepchnięta od martwej ciotki Marysia mruży oczy oślepięte błyskiem policyjnych fleszy. Stara Arabka nadal stoi na swoim miejscu, jak żona Lota zaklęta w słup soli. Abdullah z obłędem w oczach rozgląda się dookoła.

– Nie wiem, gdzie jest mój syn, przysięgam! Stał tam.

– Pokazuje ręką. – Widziałem go ostatni raz tuż po tym, jak oddał strzał.

– Oto pismo dla pana. – Nowo przybyły człowiek, ubrany w sposób charakterystyczny dla służb specjalnych, wręcza rannemu mężczyźnie kopertę. – Persona non grata¹, ma pan czterdzieści osiem godzin – to powiedziawszy, obraca się na pięcie i znika poza strefą świateł.

– Szybcy jesteście. – Abdullah uśmiecha się przez łzy.

Nie wiadomo skąd pojawia się tak nie lubiany przez Malikę ambasador Libii. Widać, że został wyrwany z domowych pieleszy – jego strój jest niechlujny i całkowicie nieoficjalny. Podchodzi do babci, bierze Marysię pod rękę, odciąga je na bok do najbliższego, nadal pięknie zastawionego stolika, i szepcze, poważnie na nie patrząc:

– „W imię Boga Miłosiernego, Litościwego! Chwała Bogu, Panu światów, Miłosiernemu, Litościwemu, Królowi Dnia Sądu. Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc.

– Starsza kobieta oraz nastolatka dołączają do recytacji.

– Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami; nie zaś tych, na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błędzą³

– „Ten, kto popełnił zło i kogo objął grzech – tacy jak on będą mieszkańcami ognia; tam będą przebywać na wieki². – Zrozpaczona matka sama kontynuuje modlitwę, cytując fragment Koranu, który według niej można odnieść do obecnej sytuacji. – „A ci, którzy wierzą i czynią dobre dzieła, będą mieszkańcami Ogrodu; tam będą przebywać na wieki⁴ – kończy z pochyloną głową.

– Biedna Malika, moja córeczka! – zaczyna zawodzić, a wszyscy obecni odwracają wzrok w jej kierunku. – I gdzie ty pójdziesz, co ci Allah przeznaczy?! – pyta samą siebie, zapłakanymi oczami patrząc w przestrzeń.

– Krzywdzenie sierot, kłamstwo, nierząd i syn z nieprawego łoża, lekceważenie rodziców – szepcze, jakby sama sobie wyliczając liczne grzechy córki – picie alkoholu, palenie haszyszu, fałszywe świadectwo... Co jeszcze, co złego jeszcze zrobiłaś?

* * *

– Łądujemy o dwunastej, a o szóstej wieczorem ma się odbyć pogrzeb. Ambasada wszystko załatwiła i pokryła wszelkie koszty. – Matka informuje Ahmeda, dzwoniąc do niego do Kanady.

– Ale wy wszystko musicie komplikować! – krzyczy niezadowolony. – Nie przewidywałem teraz wyjazdu do Libii. Taki szmat drogi!

– Przepraszam cię bardzo, że nagła śmierć twojej najstarszej siostry tak ci zaburzyła program – mówi kobieta z przekąsem.

– Przyjedziesz: dobrze, nie: to nie – kończy oschle. – Do niczego nam nie jesteś potrzeby, a i my tobie też chyba nie. Już nie ma osoby, która zawsze cię wyciągała z najgorszego szamba, to po co resztą sobie głowę zawracać.

– Zobaczę, co... – Matka przerywa połączenie. Nie ma ochoty dłużej słuchać

farmazonów swojego syna.

– Firma zajmująca się zwłokami wszystkiego dopilnuje. Balsamowanie jest takie jak dla muzułmanów, narządy wewnętrzne są na swoim miejscu. – Libijski konsul bezbarwnie relacjonuje przerażonej kobiecie sytuację zmarłej przed tygodniem Maliki. – Skrzynia z metalową trumną w środku będzie na cmentarzu punkt szósta...

– Chyba jeszcze ze zwłokami mojej córki, nieprawdaż? – Kobieta dostrzega w tej tragicznej chwili element komiczny.

– No tak... Macie cztery godziny do odlotu. Sprawdźcie, czy wszystko zabrałyście. – Oglupiały dyplomata zmienia temat. – Przyślę samochód i busa. Żegnam. – Wychodzi prędko, bez podania ręki i spojrzenia na swoją rozmówczynię.

Stara Arabka, która wcale nie ma tyle lat, na ile wygląda, i której w ciągu ostatniego tygodnia przybyło siwych włosów i zmarszczek, idzie po raz ostatni do pokoju swojej zmarłej córki. Automatycznie otwiera kolejne szafki i na koniec pochyla się przy wielkiej komodzie, żeby zobaczyć, czy coś nie utkwiło w jej głębi. Zdziwiona, po raz pierwszy widzi zamek szyfrowy i mały sejf wmurowany w ścianę. Teraz przypomina sobie rozmowę, która miała miejsce nie tak dawno, bo tuż przed feralnymi zaręczynami, kiedy to Malika ciągle chciała z nią przebywać, chwytając ją za ręce, patrzyła w oczy, opowiadała jakieś dziwne rzeczy i była bardzo niespokojna. Wydawało się, że to zwykle nerwy przed ważną uroczystością, ale teraz można już uznać, że to chyba było przecucie. Mówiła też coś o skrytce, bo nigdy do końca nie dowierzała bankom i służbie. Jakie to były cyferki? „Nie zapomnij, mamó, daty moich urodzin, dobrze?”, słyszy jak przez mgłę głos córki.

– Marysiu, chodź mi tutaj pomóż! – wzywa dziewczynę. – Ja nie mam pojęcia, jak otworzyć te wrota Ali Baby. Zrób coś, kruszynko! *Fisa, fisa!* Zaraz po nas przyjdą i co będzie?

Wnuczka z babcią przycupnięte w kucki pochylają się do środka i wyciągają dobra, które pozostały po Malice. W pięknych etui znajdują wielkie komplety biżuterii, na której punkcie miała fioła, i pakują ją do zwykłych kosmetyczek z pastą do zębów. Co skromniejszą obwieszają się jak choinki. Dwa grube pliki dolarów, spięte bankową taśmą, bez liczenia upychają w spodnie, majtki i biustonosze.

– Można powiedzieć, że Malika zagwarantowała ci dobrą szkołę, może nawet zagraniczny uniwersytet – z wypiekami na twarzy babcia szepcze wprost do ucha Marysi. – Tylko pamiętaj, moja mała, nikomu ani mru-mru. A szczególnie twojemu ojcu.

– Auta już zajechały, proszę schodzić, szybko! – słychać głos usłużnej Matyldy, która po wielu latach wybrała wolność i postanowiła zostać w Ghanie. Po doświadczeniach w Trypolisie i Akrze z Maliką woli biedę i trochę godności u siebie niż poniżenie i marzenia o niemożliwym w obcym kraju, zwłaszcza w Libii.

* * *

– Skoro już jestem tutaj, to po wszystkim musimy uregulować sprawy spadkowe. – Zwłok Maliki jeszcze nie włożono do piachu, lecz Ahmed już usiłuje wydobyć dla siebie korzyści z zaistniałej sytuacji.

Chadidża i matka spoglądają na niego z pogardą, a Marysia ze strachem.

– Może pan to na chwilę odłożyć, panie Ahmed?

– Abbas, mąż Chadidży, ściskając wargi w ciup, ironicznie osadza go w miejscu.

– No co? Wy macie dużo czasu, jak wszyscy leniwi Libijczycy, a ja jestem człowiekiem światowym.

– Pani starsza – zwraca się do matki grabarz. – Ta metalowa trumna w środku jest zespawana po calaku, my jej nie ruszmy – oświadczają.

– Ale ja rozmawiałam z konsulem! Twierdził, że wszystko będzie jak należy. I że wszystko jest umówione. Są zgody... – Ahmed ironicznie się uśmiecha i odchodzi dwa kroki na bok, żeby zapalić papierosa.

– *Ja sadiki*, dziś musi to być zrobione. Nie da rady odkładać czy poczekać. – Abbas wyciąga banknot pięćsetdinarowy i wciska obszarpańcowi w brudną dłoń.

– To muszę pojechać do miasta i znaleźć kogoś z piłą elektryczną lub czymś takim. Nie ma rady.

– My poczekamy, nam się nigdzie nie spieszy – to mówiąc, Abbas obraca się w stronę Ahmeda.

Trzy godziny później, kiedy cały cmentarz spowija już mrok, a żałobnicy chronią się w samochodach, zadowolony z siebie grabarz przywozi specja od cięcia metalu. – Jemu pan ekstra zapłaci – usiłuje wyciągnąć jak najwięcej forsy, wykorzystując nietypową sytuację.

Po częściowym rozcięciu oraz wygięciu metalowej trumny cały cmentarz zalewa słodki odór trupa i formaliny. Jest on tak intensywny, że kobiety nie są w stanie tego znieść i zasłaniając nosy, uciekają do samochodów. Ahmed jeszcze chwilę drepcze w miejscu, następnie pędem rusza do wozu i odjeżdża z piskiem opon. Jedyne Abbas, z twarzą zakrytą aż po oczy maseczką chirurgiczną, w plastikowych rękawiczkach z apteczki samochodowej pomaga pochować mało znaną sobie szwagierkę. Marysia z Chadidżą, drżąc, obejmują się mocno. Ciotka usiłuje ukryć zapłakaną twarz dziewczynki na swojej piersi, aby ta nie widziała szczegółów okropnego pochówku. Matka Maliki nie może oderwać oczu od szczątków córki, zawiniętych w białe, miejscami poszarzałe całun. W jarzeniowym świetle zbyt jasnej lampy widzi kapiący z martwego ciała płyn. Na koniec spogląda w półotwarte, mętne oczy jeszcze tydzień temu energicznej, młodej i pełnej nadziei na świetlaną przyszłość kobiety.

* * *

Natrętny dzwonek do wejściowej furty odbija się echem w pustych ścianach domu. Złamana bólem, z piętnem cierpienia na twarzy, stara Arabka, szurając klapkami, powoli zmierza do drzwi. Patrzy na młodego, może dwudziestoletniego mężczyznę o wychudzonym ciele i z czarnymi cieniami pod oczyma. Nie rozpoznaje w nim nikogo znajomego i od razu, bez słowa, chce zamknąć mu bramkę przed nosem.

– Babciu, to ja, Muaid – słabym głosem mówi chłopak, przytrzymując blaszane skrzydło drzwi.

Kobieta stara się wyostrzyć wzrok, skupić się i skojarzyć postać. Jeszcze raz spogląda na gościa i dopiero teraz w jego wymizerowanej twarzy widzi oczy i usta swojej niedawno zmarłej córki Maliki. Tak bardzo ją to wzrusza, że brak jej tchu i chwyta się za łomocące słabe serce. Chłopak bierze ją pod pachę i dobrze znanym sobie podwórcem prowadzi do chłodnego salonu. Tam podbiega do nich śliczna nastolatka o białej, nietypowej dla Arabów karnacji i ciemnozłoty kręconych włosach i układa zemdloną starszą panią na sofie. Następnie spieszy po szklankę zimnej wody.

– Coś ty za jeden? – burczy na chłopaka.

– A ty? – odpowiada jej tym samym tonem. – Jesteś służącą?

– Mojej własnej babci będę darmo służyła do końca życia...

– To też moja babcia. Mam na imię Muaid, ale ciebie nie pamiętam – przedstawia się w końcu.

– Rychło w czas się pojawiaasz – pogardliwie mówi dziewczyna. – Nie kontaktowałeś się z rodziną, z matką, całym latami, a teraz, kiedy leży jeszcze ciepła w grobie, wyrastasz jak spod ziemi. Ciekawa jestem po co!? – wykrzykuje oskarżycielsko.

– Marysiu, daj mu szansę. – Babcia, opierając się na ręce, z trudem siada. – Nie osądzaj chłopaka, zanim go nie wysłuchasz.

Zapada niezręczna cisza. Kochająca wnuczka podkłada kobiecie pod plecy poduszki, siada koło niej i z zaciśniętymi ze złości ustami zwraca twarz w kierunku natręta.

– No mów, co chcesz? – pyta prosto z mostu, a babcia wzdycha i głaszcze dziewczynę po splątanych włosach.

– Co tam u ciebie, Muaid? Jak zdrowie, studia i w ogóle wszystko? – pyta osłabionym głosem. – Jak Londyn?

Dziewczyna prychnie, zrywa się gwałtownie i pędem kieruje do kuchni na piętrze.

– Kochanie, zrób nam herbaty i przynieś mi valium i glucardiamid. – Chyba albo jedno, albo drugie – burczy nastolatka.

– Takie stosowanie leków prędzej cię zabije, niż postawi na nogi.

– Mądrała z tej mojej wnuczki. Bardzo kochała twoją matkę, zresztą z wzajemnością. Zastąpiła Malice dziecko, które ją porzuciło.

Zapada niezręczna cisza, którą chłopak przerywa dopiero w momencie, kiedy Marysia schodzi z góry, niosąc dzban zielonej herbaty z miętą oraz lek na wzmocnienie.

– Przez przypadek tydzień temu spotkałem w Londynie Leilę – smutno zaczyna. – Twoją siostrzenicę, babciu. Przyjechała do kliniki psychiatrycznej w odwiedziny do swojej koleżanki, która popadła w depresję. Po prostu nadzialiśmy się na siebie.

– A ty co tam robiłeś? – pyta kobieta.

– Od roku się leczę – wyznaje smutno.

– Masz AIDS, czy coś w tym stylu? – niepokoi się babcia.

– Aż tak źle to nie, brałem narkotyki, ale stać mnie było na jednorazowe igły i strzykawki.

– To dobrze. – Stara Libijka oddycha z ulgą, jakby uzależnienie od narkotyków było tak samo niewinne jak katar czy grypa.

– Studia zacząłem lata temu, ale że przyjechałem z Libii już uzależniony, wpadnięcie w nieodpowiednie towarzystwo zajęło mi może pół roku. Miałem niezłą metę, w zamian za to dostawałem działki za friko, a dziewczyny pchały się drzwiami i oknami. Później wszystko poszło jak po równi pochyłej. Raz mnie złapali naćpanego, jak spałem na Oxford Street, za co dostałem tak zwaną myjkę. Dwadzieścia cztery godziny aresztu i pięćset funtów kary. Zaczęło zdarzać się to coraz częściej, bo byłem coraz bardziej uzależniony. Mama posyłała pieniądze, na początku jeszcze czasami zadzwoniła, a potem już nic, zero kontaktu czy zainteresowania, tylko szmal. Czuję się zbędny, niekochany, nie tyle niepotrzebny, co wręcz zawadzający w jej eleganckim, dyplomatycznym życiu. Nie dość że bękart, to na dokładkę ćpun.

– Przecież proponowała ci przyjazd do Akry, nieprawdaż?

– Aha, zapraszała na święta, a nie na wspólne życie. Cały czas twierdziła, że w Ghanie nie ma dobrych uczelni i każdy, kto jest ciut zdolniejszy lub ma pieniądze, jedzie studiować do Europy albo Ameryki. A mnie przecież nie chodziło o poziom uczelni, ale o to, by czuć się kochanym i komuś potrzebnym. By mieć dom. Jeśli dziecko chowa się bez ojca, to już jest samotne i trochę skrzywione, ale jeśli jeszcze matka ma je w głębokim poważaniu – dla takiej osoby to tragedia. Nie jestem twardzielem, jestem słabym człowiekiem, który potrzebował trochę ciepła. To chyba nie tak wiele?

Zapada niezręczna cisza i Marysia obiektywnie musi przyznać, że ciotka Malika chyba nie chciała mieć przy sobie syna. Zawsze pogardliwie się o nim wypowiadała, oddychała z ulgą, kiedy nie przyjmował jej zaproszeń. Dziewczyna czuje litość do krewniaka i wstyd jej za swoje zachowanie.

– Po kolejnej wpadce, kiedy narkotyki miałem już nie tylko we krwi, ale również przy

sobie, sąd dał mi wybór: odwyk i praca charytatywna albo co najmniej pięć lat więzienia. Oczywiście wybrałem kurację, ale nie wiedziałem, na co się decyduję. Przeżyłem gehennę. Został mi jeszcze miesiąc leczenia. Później jako wolontariusz, jedynie za mieszkanie, wikt i opierunek, będę musiał tam pracować przez kolejne dwa lata. W sumie sprytnie to jest pomyślane. Może zrobię kurs sanitariusza albo ratownika medycznego? Zaczęło mnie to interesować. Okazało się, że uwielbiam pomagać chorym i uzależnionym ludziom.– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. – Babcia, już z rumieńcami na twarzy, odpręża się.

– Jak skończysz, będziesz mógł założyć taki oddział w klinice twojej mamy. – Marysia włącza się do rozmowy.

– Tylko że w Libii wszelkie uzależnienia są wrogie ideowo i rozwiązywane w inny sposób – nieśmiało śmieje się Muaid.

– To obejdiesz przepisy i zrobisz z tego oddział... na przykład rehabilitacji.

* * *

– Załatwmy to sprawnie, bo ja za cztery dni mam samolot. – Ahmed od progu zaczyna rozmowę o sprzedaniu całego rodzinnego majątku.

– Synu, tak się nie da, musimy to dokładnie omówić.

– Stara matka jednak tak łatwo go nie wypuści.

– No dobra, czego chcecie? Czego potrzebujecie? Mówcie, a ja się nad tym zastanowię. – Widać, że jest jednak przygotowany do rozmowy.

– Kupimy sobie mały domek, sprawdziłam już ceny, są do przyjęcia. To będzie może jedna dziesiąta tego, co dostaniesz za naszą rezydencję.

– Przepraszam, jaką naszą? – Mężczyzna pyta podniesionym głosem.

– To Malika dostała tę działkę, jak zresztą wszystkie, które posiadamy. A twój ojciec postawił ten dom, który w razie rozwodu przypada mnie.

– A to dobre! – Zbity z pantaląku Ahmed skacze na równe nogi i klepie się po udach. – To idź do niego i niech on to sprzedaje. Ciekaw jestem, ile wtedy dostaniesz?

– Już wieki temu, nieopatrznie, albo może po prostu nie miałyśmy nikogo innego, ustanowiłyśmy ciebie naszym mahramem. Dlatego też teraz jestem zmuszona z tobą o tym rozmawiać.

– Dobrze, że pamiętasz, mamusku, kto tutaj ma asa w rękawie! – Ahmed z wykrzywioną od złości twarzą pochyla się nad rodzicielką.

– Mnie nie zastraszysz, synu. Zresztą już mało co na mnie działa. Powiem ci, co chcemy i czego potrzebujemy razem z Marysią, a ty to będziesz musiał przełknąć. Wszelka dyskusja jest zbędna. – Kobieta wbija swój spracowany, wygięty od reumatyzmu palec w klatkę piersiową syna i usadawia go na miejscu. – Pieniądze na dom to pięćdziesiąt tysięcy, mały i w podłej dzielnicy, ale na więcej zapewne od ciebie liczyć nie mogę. Marysia ma do zrobienia jeszcze cztery lata międzynarodowej szkoły – jak zaczęła, to niech skończy. Edukacja to przyszłość kobiety.

– O tym ja już będę decydował. – Ahmed usiłuje wstać, lecz matka z niebywałą siłą uderza go płaską dłonią w czoło i zszokowany łąduje na siedzeniu.

– Jednak, do jasnej cholery, ja też mam coś w tej kwestii do powiedzenia! – Starsza kobieta z niesamowitym hartem ducha przeciwstawia się słowom syna. – Zostały jej dwa lata IGCSE i potem dwa A Level. Nic ci to nie mówi, więc cię oświecę, że to takie gimnazjum i liceum. Potrzeba na to około dziesięć tysięcy dinarów, niewiele jak na dobrą międzynarodową szkołę, a dzieje się tak dlatego, że Libijczycy mają dotowaną walutową część i płacą tylko w lokalnej walucie.

- Okej, pod jednym warunkiem.
- Jakimż to mianowicie? – Arabka wie, że powinna spodziewać się podstępu.
- Kiedy skończy te wszystkie na chuj jej potrzebne szkoły, to przyjedzie do mnie i mojej żony do Kanady i w ramach spłaty długu zamieszka z nami i pomoże trochę w domu. Mamy już dwójkę dzieci, a trzecie w drodze.– Czyli chcesz, żeby dziewczyna z takim wykształceniem była twoją służącą? – nie dowierza własnym uszom.
- Jak zwał, tak zwał, to jest mój warunek. – Ahmed już niezatrzymywany kieruje się w stronę drzwi.
- *Insz Allah*, synu – odpowiada wstrząśnięta matka.
- Jak Bóg pozwoli, dotrzymam obietnicy.
- Nie mieszaj w to Allaha, dajesz słowo i koniec.
- Daję... – szepcze wstrząśnięta. – *Kalima kalima*⁵.
- No to mamy sprawę z głowy. – Zadowolony Ahmed zaciera ręce. – Wszystko sprzedaję hurtem jednemu gościowi, bo nie mam za dużo czasu, żeby się z tym bawić. Każda cena jest dobra.
- Oczywiście! Jak coś ci wpadło, jak ślepej kurze ziarno... Czekać, czekać, to ty upłynniasz nie tylko nasz dom?
- Jeszcze rezydencję w Dżanzurze, farmę i klinikę...
- Ani się waż! – Matka rzuca się na Ahmeda z pięściami.
- W klinice leży twoja siostra w śpiączce! I w końcu coś też się należy Muaidowi, synowi Maliki, jeśli pamiętasz jeszcze o jego istnieniu. Nic innego nie chciał, żadnych pieniędzy!
- Ten narkoman? Już dawno leży w jakimś brytyjskim rowie zaćpany na śmierć!
- Wyobraź sobie, że nie, i jeśli sprzeniewierzysz to, co mu się prawnie należy, to ja ci się tak odgryzę, że ci bokiem wyjdzie. – Matka okłada Ahmeda pięściami po plecach i wypycha go za drzwi.

¹ [← powrót do tekstu] *Persona non grata* – termin z języka dyplomacji, osoba niepożądana.

² [← powrót do tekstu] Koran, sura 1, Otwierająca, przeł. Józef Bielawski, PIW 1986.

³ [← powrót do tekstu] Tamże, sura 2, wers 81.

⁴ [← powrót do tekstu] Tamże, wers 82.

⁵ [← powrót do tekstu] *Kalima* (arab.) – słowo.

Naciski

Nie wiem, czy to dobry pomysł, mamó. – Chadidża zniecierpliwiona patrzy na parterowy domek w zabudowie szeregowej i z przerażeniem rozgląda się dookoła. Dom jest wykonany z piaskowca, który sypie się ze starości. Gdzieś widać spróchniałe drewniane bale, drzwi nadają się tylko do wymiany. – Na Faszlum nikt z naszej rodziny ani znajomych nawet się nie zapuszcza, a co dopiero mówić o mieszkaniu.

– No to my będziemy pierwsze. – Z twarzy starej kobiety nie schodzi uśmiech, tak jakby stała na progu pałacu. – Już kupiłam i zapłaciłam, kochaniecy. Trzeba to tylko trochę odremontować.

– Abbas przecież chciał ci dołożyć. Znalazłabyś lepsze lokum – nie poddaje się ładnie zaokrąglona w ciąży córka.

– Może jeszcze da się wycofać?

– Ale nam z Marysią się tutaj podoba. – Babcia obejmuje ramieniem wnuczkę i przyciąga ją do siebie, ta jednak nie wydaje się zbyt zadowolona. – Nie zawsze człowiek mieszka na salonach. Trzeba nauczyć się być szczęśliwym wszędzie.

– Ale zrozumiemy, to zbójcka dzielnica! – Chadidża nie chce nawet wejść do środka. – Jeśli was obrabują, to trzeba się będzie cieszyć, że nie zamordowali.

– Ty nie strasz mi dziewczyny! Domek kupiłam od Jugosłowianki, która mieszkała tutaj szczęśliwie przez dwanaście lat. Sama z córką! I jakoś nic im się nigdy nie stało!

– To może handlowały ciałem... Może był tutaj po prostu burdel! – wykrzykuje Chadidża jeszcze bardziej przerażona, a Marysia oczy robią się jak spodki.

– Ale bzdurzysz! – Matki dzisiaj nic nie wytrąci z równowagi. – Była fryzjerką i czesała eleganckie panie z ambasad i zagranicznych firm – tłumaczy. – A dookoła żyją po prostu porządni, ciężko pracujący ludzie. Czy od razu muszą być złodziejami lub zbrodniarzami? Tylko dlatego że są biedni?

– Jeśli tak mówisz...

– Za miesiąc zapraszam cię z twoim uroczym mężem i dziećmi do nas na obiad. Wtedy zobaczysz, co się da zrobić z takiego domku.

Babcia i Marysia ciężko pracują, usiłując mały, dwupokojowy domeczek dostosować do swoich potrzeb. Okna jednej sypialni wychodzą na ulicę, więc muszą być cały czas zamknięte i zasłonięte żaluzjami przed okiem ciekawskich przechodniów, a drugiej, w której znajduje się królestwo Marysi, na atrium, najprzyjemniejsze miejsce w domu. Nie jest ono zadaszone, więc słońce świeci tam każdego dnia, przyczyniając się do szybkiego wzrostu zasadzonych przez starszą Arabkę roślin. Na środku stoi plastikowy stół z czterema krzesłami, przy którym mała rodzinka przeważnie zasiada do obiadu, w kącie schowany jest grill, a na ścianie wisi pięćdziesięciolitrowy bojler, który, niestety, nie zmieścił już się w łazience. Przedpokój jest całkiem spory, więc w zasadzie można uznać go za dodatkowy pokój z przeznaczeniem na wypoczynek.

Marysia nie czuje rąk, bo nie jest przyzwyczajona do tak ciężkiej fizycznej pracy. Jednak widząc na koniec efekty swoich wysiłków,omalże nie pęka z dumy.– Najgorzej było z tymi cholernymi okiennicami – wyznaje babci.

– Nie klnij, wnucusiu. Razisz uszy Allaha, który wszystko słyszy.

– Przepraszam, ale jestem wykończona. Wynagrodzą mi to jednak miny Chadidży i Abbasa. Ha!

Od tej pory ciotka wraz z mężem i dziećmi często gości w małym domku na Faszlum i

nawet przestała się bać tej poczciwej, skromnej dzielnicy. Abbas mimo wszystko uparł się i wynajął brygadę do odnowy tynków oraz pomalowania chatki. Zakupił też ciężkie kute drzwi z wielkim zamkiem i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Teraz może spać spokojnie, wiedząc, że dwie tak bliskie sercu żony krewniaczki są bezpieczne.

* * *

Mijają trzy lata. Trzy długie lata zwykłego życia i codziennego szczęścia. Bez burz, kataklizmów i wielkich zmian.

Chadidza pomyślnie urodziła zdrowego, ślicznego chłopczyka i mimo dojrzałego wieku zaraz ponownie zaszła w ciążę. Jej sylwetka wychudzonej modelki należy do przeszłości, ale kobieta emanuje takim szczęściem i radością, że na pewno nie rozpacza z tego powodu.

Muaid odpracował dwa lata wolontariatu w Anglii, zrobił wszystkie możliwe kursy medyczne i wrócił na stare śmieci do Trypolisu. Jest całkowicie odmienionym człowiekiem i to nie tylko z wyglądu – przestał razić swoim chorobliwym wychudzeniem, ale przede wszystkim zmienił się psychicznie. Nauczył się śmiać, opowiadać kawały, pomaga wszystkim w każdej najbliższej sprawie, stał się miłym, dobrym człowiekiem. Z odłożonych oszczędności chce kupić pierwszą w Trypolisie karetkę ratownictwa medycznego – tyle tutaj wypadków każdego dnia i bardzo często zdarza się, że pacjent, którego można by utrzymać przy życiu i zdrowiu dzięki fachowej pierwszej pomocy, jest dowożony do szpitala na pace pikapa już jako roślina. Możliwe, że tak było z Samirą, której stan ani się nie pogarsza, ani nie polepsza. Jest po prostu dobrze pielęgnowanym warzywem.

Marysia, ze względu na tradycyjne muzułmańskie sąsiedztwo, musiała zmienić swój image. Wykluczyła z garderoby ukochane szorty i minispódniczki oraz topy na ramiączkach, w których biegała na co dzień w Ghanie. Kupiła z babcią na wielkim suku Dżuma Saga dzinsowe spodnie z wysoką talią, spódnice długie do samej ziemi, wiskozowe szerokie bluzki z rękawami aż po dłonie i tuniki zakrywające pupę, a na głowę różnokolorowe chustki, które babcia nauczyła ją upinać według arabskiego zwyczaju. Farbowanie włosów na ciemniejszy kolor nie miało sensu, bo i tak ich nie widać, a karnację dziewczyny można porównać do cery Syryjczyków, mieszkających parę domków dalej, z którymi kobiety bardzo się zaprzyjaźniły. W szkole Marysia jest najlepszą uczennicą i daje tym babci powód do dumy. Uczy się dobrze ze wszystkich przedmiotów, ale najbardziej upodobała sobie biologię, chemię oraz literaturę angielską. Wygrywa konkurs za konkursem, a za pierwsze miejsce w jednej z międzynarodowych rywalizacji dostała nowoczesnego laptopa. Nauczyciele wróżą jej świetlaną przyszłość i obiecują pomoc w uzyskaniu rządowego stypendium na jeden z europejskich uniwersytetów. Twierdzą, że Marysia wyjazd ma już w kieszeni.

Przypomina to sytuację z Ghany, gdzie również przepowiadano nastolatce wielką karierę, a cudowne, beztrudne życie skończyło się od jednego strzału.

– Wnuczuniu, co byś powiedziała na małe zmiany? – pyta babcia pewnego ciepłego letniego wieczoru, kiedy Marysia przynosi na podwórko dzban lodowatej herbaty *karkade*¹ i własnoręcznie upieczone maślane ciasteczka.

– Ale po cóż? – dziwi się dziewczyna.

– Ciocia Chadidża wygadała się twojemu ojcu, gdzie mieszkamy. Wziął ją pod włos.

– No to co z tego? On nie wiedział?

– Nie.

– A co to zmienia? Czego mamy się obawiać? – Marysia zarzuca swoją rozmówczynię pytaniami.

– Trzy lata temu zażądał czegoś ode mnie – mówi enigmatycznie babcia.

– Powiedzże jaśniej, o co chodzi. Przestań już robić jakieś tajemnice! – denerwuje się pannica.

– Prawnie należysz do swojego ojca i może on decydować o twoim życiu i szczęściu. A także o tym, co i gdzie będziesz robić. Chyba że znajdziesz sobie jakiegoś innego mahrama, z którym się dogadasz.

– Chyba żartujesz?! To jakieś kpiny!

– Takie są realia kultury muzułmańskiej, w tym także naszego kraju i naszego prawa. Dlatego też twoja matka nie była w stanie wyjechać stąd z wami – bo ty i Daria należałyście do ojca. A bardzo chciała. Gdyby wtedy jej się to udało, byłoby o jedną tragedię mniej w naszej rodzinie.

– To było wieki temu, byliśmy małe, to może dlatego. Teraz jestem już dorosła, ojciec nie może robić ze mną, co zechce, nie może traktować mnie jak swoją własność! To bezprawie!

– Nie, kochanie, to arabskie prawo szariatu.

Zapada cisza, podczas której Marysia nerwowo ścisza dłonie, a starsza Libijka czeka, aby się uspokoiła. Po chwili opowiada jej o przyrzeczeniu, które złożyła trzy lata temu. Informuje też, że jej ojciec już teraz zaczął sprawdzać, czy córka jest na swoim miejscu.

– Może jestem przewrażliwiona, ale lepiej dmuchać na zimne – tłumaczy. – Nasz domek po remoncie wygląda całkiem ładnie i łatwo było znaleźć kupca. W dodatku zapłaci dwa razy tyle, ile my za niego dałyśmy, więc robimy dobry interes. – Uśmiecha się smutno.

– Ależ babciu! – Marysia wybucha płaczem. – Tutaj jest nasz dom, pierwszy normalny, spokojny i szczęśliwy po wszystkich przejściach i nieszczęściach, które nas spotkały!

– Co poradzisz, kochana? Nic. Jesteśmy tylko kobietami.

* * *

– Ale się zmieniło, nie, Dorcia? – Lekko łysiejący mężczyzna z podekscytowania aż podskakuje na siedzeniu koło kierowcy.

– Tak, tak, duża różnica – potwierdza miły czterdziestoletni pan, który aktualnie pełni funkcję konsula w Trypolisie.

– Kiedy ty stąd wyjechałaś, jakoś niedawno, prawda?

– zwraca się do zapatrzonej w krajobraz ładnej blondynki.

– Ponad siedem lat temu. Czas szybko mija. – Dorota odpowiada nieswoim głosem.

– Wtedy to już tutaj było nowocześnie – śmieje się konsul. – Lepiej niż w niejednym polskim domu.

– Prawda, rodzina mojego libijskiego eksmeża opływała w dostatek i wszelkie luksusy.

– Tak, tak...

– Jedziemy na stare Gurdzi, teraz w tej dzielnicy mieszka pani była teściowa i tam też widziano Marysię – przechodzą do konkretów.

– Tak, zaprzyjaźniony detektyw, ten z włoskiej ambasady, tam ją odnalazł. Po śmierci Maliki matka wróciła z Ghany, lecz sama nie była w stanie utrzymać wielkiego domu w centrum i musiała go zamienić na mniejszy, w gorszej części miasta – tłumaczy Dorota, z zaciekawieniem i smutkiem rozglądając się dookoła.

– Tamto to była kamienica! – z zachwytem stwierdza dyplomata. – Razem z żoną z czystej ciekawości podjechaliśmy i popatrzyliśmy sobie na nią z ulicy. Ależ tam musiały być apartamenty, ho, ho!

– Niezłe – przyznaje kobieta bez zbytniej euforii.

– Ta twoja szwagierka, która ci pomogła z młodszą córką, miała taki feralny wypadek. Niech to licho, młoda piękna kobieta i tyle lat leży jak roślina. Co za życie.

– Szkoda jej, naprawdę – przyznaje Łukasz, a Dorota zagryza wargi, wspominając ich ostatnie spotkanie, tak jakby to było wczoraj.

– Jesteśmy już blisko. – Widać, że konsul zaczyna się denerwować. – Dorota, idziesz, jak najszybciej zabierasz córkę do auta i jedziemy do ambasady. Ja wystawiam jej paszport tymczasowy i zawożę was do Tunezji. Bułka z masłem. Wieczorem pijemy szampana na Dźerbie.

– Oddycha z ulgą, jakby już było po wszystkim.

Zgrabna kobieta ubrana w eleganckie, proste spodnie safari i bluzkę z długim rękawem, z sercem na ramieniu wysiada z auta i kieruje się do parterowego domku. Strach ściska ją za gardło. A jak Marysia jej nie pozna? W tej samej chwili, jakby na zawołanie, z domu wybiega szczupła nastolatka w kolorowej chuście na głowie. Minęło tyle lat, a matka i tak wie, że to jej córka.

– Marysiu, Marysiu! – krzyczy głośno, lecz dziewczyna nawet się nie obejrzy. – Miriam, *ja binti!*

– *Szinu?*² – pyta niegrzecznie podlotek.

– Miriam, córeczko, nie poznajesz mnie? – Dorota pyta drżącym głosem.

Dziewczynę jakby zamurowało, patrzy na nią szeroko otwartymi oczami i z niedowierzaniem kręci głową.

– To niemożliwe, ty nie żyjesz! – wykrzykuje ze złością po arabsku. – Tak mówił tata i ciocia Malika, i taka jest prawda. *Chalas!*³

– Ale stoję przed tobą i raczej nie jestem duchem. – Mama robi krok do przodu i wyciąga rękę, chcąc ją objąć.

– Tak nie można, tak nie wolno! – Dziewczyna wycofuje się przerażona w kierunku domu. – Nie ma cię całymi latami, zostawiasz mnie, porzucasz, a teraz sobie przychodzisz stęskniona?!

– Najpierw nie mogłam się z tobą skontaktować, a potem nie byłam w stanie cię odnaleźć. – Kobieta tłumaczy z sercem ściśniętym z bólu.

– Trata tata. – Marysia mówi jak dziecko. – Nie wierzę w to. Póki człowiek żyje, wszystko może.

– Nie zawsze to jest takie proste. Jednak postaram się wszystko ci wytłumaczyć. Chodź teraz ze mną, wrócimy do domu, do Polski. Będziemy miały dość czasu na rozmowy i wtedy na spokojnie wszystko ci opowiem.

– Co?! – krzyczy zszokowana dziewczyna, aż ludzie na ulicy przystają i zaczynają je obserwować.

– Miriam, *fi muszkila?*⁴ – z otwartego okna słychać zaniepokojony głos. Śliczna trzydziestoparoletnia blondynka podnosi oczy i widzi siwą głowę swojej byłej teściowej. Długo patrzą na siebie. Matka Ahmeda pierwsza opuszcza wzrok i kryje się za okiennicą.

– *Ummi*, wybacz, tak bardzo cię kochałam i tak bardzo potrzebowałam... Ciebie nie było, za długo cię nie było... – szepcze rozgoryczona Marysia. – Teraz jest już za późno. Tutaj jest moja rodzina, moi bliscy, mój dom i moja religia. Nie mogę tego wszystkiego zostawić, nie mogę ich opuścić.

¹ [← powrót do tekstu] *Karkade* (arab.) – herbata z odmiany hibiskusa zw. malwą sudańską.

² [← powrót do tekstu] *Szinu?* (arab.) – Czego? (pospolite).

³ [← powrót do tekstu] *Chalas!* (arab.) – Dość!

⁴ [← powrót do tekstu] *Fi muszkila?* (arab.) – Co za problem?

Czas na ucieczkę

Hej, ty gówniaro! – Ahmed znalazł sposób na znalezienie córki. – Myślałyście, że mi znikniecie, że cię nie namierzę! – wykrzykuje głośno i mocno chwyta dziewczynę za ramię. – Jest tylko jedna taka szkoła w Trypolisie, wy idiotki!

Uczniowie wychodzący z budynku zatrzymują się i patrzą z zaciekawieniem na nietypową scenkę. Nauczycielka angielskiego, Brytyjka, biegiem kieruje się w stronę zagrożonej uczennicy.

– *What's up?* Co pan wyprawia? Wezwę ochronę! – grozi mężczyźnie, odciągając go od dziewczyny.

– To moja córka! Odwal się, paniusiu! – z wrodzonym sobie chamstwem odpowiada Ahmed. – Mogę sobie z nią robić, co mi się podoba!

Marysi wydaje się, że ze wstydu zapadnie się pod ziemię. Jakże dokładnie sprawdzają się podejrzenia babci... Właśnie tego się obawiała. Mądra z niej i doświadczona kobieta, jednak czasami nie sposób uciec przed przeznaczeniem...

– Czy to prawda, Mary? To twój ojciec? – Troskliwa nauczycielka nie daje za wygraną.

– Tak, wszystko w porządku. Dziękuję. Ahmed brutalnie wypcha córkę do samochodu i z piskiem kół odjeżdża.

– Ty sobie, gówniaro, nie wyobrażaj, że ja kiedykolwiek zmienię zdanie. A stara matka jak dała słowo, to musi go dotrzymać. Chyba że się chce w piekle smażyć, a na tamten świat ma już całkiem blisko.

– Ale do ukończenia szkoły mam jeszcze przecież prawie rok?

– Doszliśmy z żoną do wniosku, żebyś już lepiej miała to cholerne świadectwo, jak się w ciebie tyle szmalu zainwestowało. Będiesz mogła coś popracować i przynajmniej w części zwrócić dług.

– Przecież pieniądze były cioci Maliki, a za dom to raczej jestem winna babci, to jej... – Dziewczyna nie kończy, bo ojciec wymierza jej tak siarczasty policzek, że skronią uderza w boczną szybę samochodu.

– Pyskowania będziesz musiała się oduczyć albo wybiję je z ciebie jak z psa. Tyle zresztą jesteś warta po mamusi, polskiej szarmucie! Dobrze, że tę kurwę już dawno robaki zjadły. – Z tymi słowy gwałtownie zatrzymuje samochód i wyrzuca córkę na ulicę. – Będę tutaj jeszcze przed zakończeniem roku szkolnego i poasystuję ci przy ostatnich egzaminach. Zaraz po nich wyjeżdżasz, nie zapomnij o tym i nie radzę kombinować, bo odnajdę cię choćby na końcu świata!

* * *

– Jeśli ktoś jest zmuszany do dania słowa i na siłę przyrzeka, to się nie liczy. Obiecuje się coś dobrowolnie – wyluszcza babcia z głębokim skupieniem na twarzy. – Byłam u imama i potwierdził. I jeszcze jedno: jeśli obietnica może zadziałać na czyjąś niekorzyść, to już w ogóle nie jesteśmy zobowiązani do jej spełnienia. – Do czego zmierzasz? – Marysia podnosi rozbitą głowę z poduszki i patrzy załzawionymi oczami na ukochaną babcie.

– Jeszcze przed przeprowadzką do nowego lokum, żeby się zaasekurować, zaczęłam wydzwaniać po rodzinie rozrzuconej po świecie, szukając dla nas dobrego schronienia. Ci, którzy mieszkają w bogatych krajach, poczynając od mojego brata w Londynie, drugiego w Chicago i siostry na Florydzie, wykręcili się sianem. – Wymownie zaciska usta. – Jedyne moja siostra biedula, która ma męża Jemeńczyka, stwierdziła, że będzie się cieszyć. Nawet jej stary wyburczał w słuchawkę, w jakimś dziwnym dialekcie, prawie go nie rozumiałam, że dwie gęby więcej czy

dwie mniej, nie widzi różnicy.

– A gdzie to w ogóle jest? – Marysia już całkiem ocucona siada i marszczy czoło.

– Na Półwyspie Arabskim. Panuje tam cholerna bieda i zacofanie. – Babcia pochyła głowę, jakby wstydzając się swoich słów. – Na domiar złego północ z południem się nie lubi i poszczególne plemiona też.

– A nie starczyłoby nam pieniędzy, żeby zrobić ten ostatni rok szkoły w Anglii? Potem poszukam jakiejś pracy. – Dziewczyna próbuje znaleźć inne wyjście z sytuacji.

– Niestety, to przekracza nasze możliwości, zwłaszcza że utrzymanie tam jest gigantycznie drogie. A jak ja mogłabym na nas zarabiać? – Uśmiecha się z przekąsem.

– Na służącą nikt mnie nie weźmie, bo jestem za stara. Mogłabym dostać jedynie etat jako sprzątaczkę lub babcia klozetowa.

– Oj, babuniu, nie pozwoliłabym ci na to! – Marysia się oburza. – Chyba sobie żartujesz!

– Niestety, taka jest prawda. – Starsza pani zawiesza głos. – Powinnaś była pojechać z matką – mówi na koniec. – Ileż musiała włożyć wysiłku, żeby cię odnaleźć... Złą decyzję podjęłaś, moja pannico.

– Przepraszam bardzo, miałabym cię tutaj samą zostawić?! Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, wycierpiałymy? – Marysia skacze na równe nogi i wymachuje rękami z oburzenia.

– Nie ta matka, która urodzi, ale ta, która wychowa i troszczy się o dziecko.

– A jak ona to niby miała robić? Nie znam szczegółów na temat tego, co działo się z Dorotą i jaką krzywdę wyrządził jej twój ojciec, a mój syn. Mogłaś się tego dowiedzieć od niej, ale nie chciałaś, nie dałaś jej najmniejszych szans. Obawiam się, że tajemnicę znała także Malika, która zabrała ją ze sobą do grobu. To ona pomagała swojemu bratu zatuszować całą sprawę. Oby Allah wybaczył jej wszystkie grzechy, albo przynajmniej część.

* * *

– *Ja hadżdża*¹, proszę się jeszcze raz zastanowić.

– Zmartwiony Abbas, który służy pomocą w każdej sytuacji, usiłuje odwieść teściową od podjęcia złej decyzji.

– Nie tak oficjalnie, w Mekce byłam wieki temu i święta nie jestem. – Kobieta odpowiada z uśmiechem przekory na ustach. – Nie widzimy z Marysią innego wyjścia. Tam na końcu świata mój wredny syn na pewno nas nie odnajdzie i nie zniewoli tej naszej pięknej i mądrej dziewczyny. Przecież nie chcemy być w Jemenie do końca życia, to sytuacja przejściowa. Marysia skończy szkołę, w Sanie też jest dobra międzynarodowa, pójdzie na uniwersytet, może do Polski? – Przy tych słowach wymownie spogląda na wnuczkę.

– Nie ma co tracić czasu. – Nastolatka chwyta za walizki i wrzuca je do bagażnika wielkiej toyoty camry. – Dobrze by było za dnia dotrzeć na Dżerbę, a przed nami czterysta pięćdziesiąt kilometrów i granica. Już bym chciała być po jej drugiej stronie.

– Chyba tak jak wszyscy – podsumowuje śniady mężczyzna i siada za kółkiem obok Chadidży.

Zdecydowali się na wspólną wyprawę, żeby sytuacja wyglądała naturalnie. Zwykły rodzinny wyjazd na wczasy do Tunezji – nikogo to nie powinno dziwić. Rezerwacja pięciogwiazdkowego hotelu Abu Nuwas Golf na tydzień nie kosztuje mało, ale widać że jest nadzianym facetem. Granicę przekraczają gładko jak po maśle, dosłownie w ciągu dziesięciu minut. Krótkie pytania, że i szwagier sprawdza się w swojej roli mahrama, więc nikt się do niczego nie przyczepia.

– Mamo, Miriam, nie jedźcie! – Chadidża stoi przed hotelem i nie może opanować łez. – Czuję, że już nigdy w życiu was nie zobaczę.

– Tfu, tfu, tfu. – Babcia spluwa przez lewe ramię. – Nie gadaj głupot, bo jeszcze jakieś złe oko na nas spojrzy. Tfu!

– Tylko się znów nie wygadaj, ciociu – napomina Marysia, przytulając okrągłutką i mięciutką kobietkę do swojej młodzieńczej sprężystej piersi. – Choć z tego, co zdążyłam dowiedzieć się o Jemenie, mój tatuś nawet po mnie by się nie pokusił, żeby tam przyjechać.

– Chadidża, córeczko. – Matka wręcza jej duże, aksamitne, granatowe etui. – To jeszcze po Malice. Oby przyniosło ci więcej szczęścia niż jej.

– Nie trzeba...

– Tak nam pomogliście... Dbaj o nią, Abbasie, i niech cię Bóg błogosławi. – Z tymi słowy stara Libijka siada na tylnie siedzenie taksówki, która wiezie je przez ciemną noc do Tunisu. Ze stolicy Tunezji lecą do Frankfurtu, gdzie na ogromnym lotnisku po godzinie znajdują bramkę odprowadzającą pasażerów do Sany.

– Babciu, czy oni są jacyś nienormalni? – pyta Marysia.

– Nie znają przepisów bezpieczeństwa, że z takimi nożyskami usiłują wsiąść do samolotu? – Dziewczyna uśmiecha się pod nosem, kiedy ochrona zabiera chyba już piątą dzambiję² wyklócającemu się o nią Jemeńczykowi.

– To taka tradycja – odpowiada babcia, hamując śmiech.

– Prosto ze średniowiecza. Ale patrz, młode pokolenie nie robi takich cyrków i nawet wstydzi się za tych starych.

– Arabka wskazuje na chłopaka w wieku Marysi i mężczyznę około czterdziestki, którzy z pąsowymi policzkami zasłaniają oczy, a później przekonują tradycjonalistę, że strata noża jest konieczna.

– Oj, babciu, gdzie my się pchamy? – wzdycha dziewczyna i kuli się w sobie ze strachu.

– Zobaczysz, nie będzie tak źle. Najważniejsze jest pozytywne nastawienie, a reszta *sz*

Allah.

¹ [← powrót do tekstu] *Ja hadżdża* (arab.) – kobieta, która odbyła pielgrzymkę do Mekki (wołacz).

² [← powrót do tekstu] *Dżambija* (arab.) – zakrzywiony nóż tradycyjnie noszony za pasem w Jemenie.

6 RATUNEK W JEMENIE

Drugi dom w Sanie

Prawie przez całą długą drogę babcia z Marysią rozmawiają. Dziewczyna słucha lub zadaje pytania, a starsza, posiwiata Arabka opowiada.

– Mój ojciec był sprytnym, choć niewykształconym mężczyzną – zaczyna snuć sagę rodzinną. – Nawet za króla Idrisa potrafił się ustawić, a był tylko zwykłym rybakiem.

– Dorobił się na łowieniu ryb? – Marysia nie może się nadziwić. – Chyba musiała mu wpaść jakaś złota.

– Dużych pieniędzy to my nigdy nie mieliśmy, ale na trzypiętrowy dom w starej włoskiej dzielnicy było nas stać. Oraz na edukację wszystkich dzieci, a było nas ośmioro.

– Więc co takiego mój przebiegły pradziadek zrobił?

– Zorientował się, a nie było to trudne, że z pracy wykonywanej w naszej rodzinie od pokoleń nie da się wygodnie żyć, można jedynie egzystować w biedzie i nędzy. A on chciał czegoś więcej. Mieszkał blisko nabrzeża, wtedy jeszcze w małej chatce z kamienia, i zauważył, że coraz więcej cudzoziemców, włoskich rezydentów i wysokich państwowych urzędników spaceruje tamtędy, moczy nogi w morzu, a niektórzy chcieliby się przepłynąć łódką ze swoimi paniami w eleganckich kapeluszach. Były tam może ze dwie łajby, ale w fatalnym stanie i obsługiwane przez ordynarnych i chciwych Włochów. Tak więc mój ojciec zmobilizował swoich dwóch braci, bo myśmy jeszcze byli malutcy, i w ciągu jednego tygodnia przerobił swój zardzewiały stary kuter na piękną, kolorową łódź spacerową, nawet z zadaszeniem. Ludzie zabijali się, żeby nią pływać! – Babcia śmieje się, zatykając usta ręką, bo w samolocie pogaszono już światła i pasażerowie układają się do snu. – Serwował zimne napoje oraz arbuzy i melony z naszej działki pod miastem. Po roku miał już trzy takie łajby, a po paru latach był największym przewoźnikiem w starym Trypolisie. Podczas swojej pracy poznał wielu wysoko postawionych ludzi, bogatych włoskich właścicieli ziemskich, którzy go uwielbiali, bo umiał mówić w ich języku, a nawet paru młokosów z rodziny królewskiej. Z tymi odbywał specjalne nocne rejsy. Urządzali pijackie imprezy, zabierali na nie wesołe albo po prostu biedne libijskie dziewczyny, a ojciec był głuchy i ślepy. Takiego właśnie potrzebowali. Dzięki układom kupił za pół darmo dom po hazardowym bankrucie, otworzył sklep z perłami na Suku Tureckim, wysłał wszystkie swoje dzieci do szkoły, i to nie byle jakiej, do włoskiej. Jeszcze pamiętam chrześcijańską modlitwę do ich Boga, a że mam cudzoziemskie imię, zasymilowałam się całkowicie.

– A jak ty w ogóle, babciu, masz na imię? – pyta Marysia.

– Nadia – szepcze kobieta. – Cóż, nigdy nie słyszałaś, żeby ktoś tak mnie nazywał. Zawsze tylko matka lub babka. Niedługo sama zapomnę...

– I co dalej, babciu Nadiu? – Dziewczyna przytula się i ze smutkiem patrzy kobiecie w oczy.

– Niedługo cieszyłam się włoską szkołą i europejskimi koleżankami. Tak mi odbiło, że w domu nie chciałam mówić po arabsku, nie chciałam chodzić do meczetu ani modlić się z bliskimi do Allaha. Latałam do kościoła Świętego Franciszka i tam śpiewałam hymny i psalmy. Wszystko, co libijskie, było dla mnie be, a co włoskie czy zagraniczne – cacy. Gdy miałam dziesięć lat, ojciec ukrócił tę brykaninę, zwłaszcza że bracia woleli uczyć się w zwykłej małej szkółce arabskiej, więc i ja zostałam do niej przeniesiona. Płakałam przez parę tygodni, ale niewiele to pomogło. Najsprytniejsza i najmądrzejsza z mojego rodzeństwa była Malika, do której właśnie jedziemy. Nie dość, że ukończyła włoską szkołę, to jeszcze z najlepszym wynikiem, a później zaangażowała się w ruch wyzwolenczy Kadafiego. Jako jedna z pierwszych Libijek działała w polityce i walczyła o emancypację kobiet. Kogo ci ona przypomina?

– Jej imienniczkę, ciocię Malikę?! – pyta zszokowana Marysia.

– No właśnie! Mnie ojciec wydał za męża, kiedy jeszcze nie miałam szesnastu lat, a ona do dwudziestki nie dała się przymusić. A kiedy próbował, groził i bił, Malika straszyla go wodzem Muammarem i samorządem ludowym. Nic nie mógł zrobić, bo obawiał się swojej córki i jej układów.

– Nieźle jak na tamte czasy! – wykrzykuje nastolatka.

– Ależ mnie to cieszyło, nie masz pojęcia! W końcu ktoś się postawił szowinistycznemu chłopu! – Marysia nie poznaje swojej zawsze łagodnej i potulnej babci. – Kiedy Malika ukończyła dwadzieścia lat, uznała, że dłużej tego migania się nie przeciągnie i wtedy postanowiła, że zostanie studentką. W tamtych czasach dzięki Kadafiemu furka do nauki dla kobiet stała już otworem. Wymyśliła sobie, chcąc być jak najdalej od ojca i podobnych do niego braci, studia zagraniczne w Londynie. Oczywiście dostała stypendium i nie oglądając się za siebie, błyskawicznie wyjechała. Wtedy widziałam ją po raz ostatni.

– Ile miałaś lat? Kiedy to było? – Dwadzieścia dwa, koteczku. To prawie czterdzieści lat temu. – Babcia wzdycha smutno. – Nie wiem, czy poznam tę moją siostrę.

Marysia z zalem patrzy na swoją rozmówczynię. Szybko oblicza jej wiek i widzi, jak cierpienia i smutek postarzyły ją i odbiły się na jej twarzy. Całe czoło ma poorane podłużnymi zmarszczkami, a pomiędzy brwiami są jeszcze dwie pionowe od zgryzot, pod oczami malują się nigdy nieschodzące sine cienie, a kąciki ust opadają w dół. Siwe włosy na skroniach też dodają lat, a przecież nie ma ona ich tak wiele. Dla dziewczyny sześćdziesięcioletnia babcia od zawsze wydawała się stara, a po wydarzeniach w Ghanie stała się babulinką.

– No już, nie patrz tak na mnie! – Nadia zasłania twarz rękami, na których wykwitają ciemne plamy wątrobowe.

– Nigdy się nie oszczędzałam, w życiu nie byłam u kosmetyczki i nie pamiętam ani jednego urlopu od rodziny, gotowania, prania, sprzątanania. Ale ja się nie skarzę, widać taka moja natura. Poza tym, młoda pannico, Arabki mają to do siebie, że bardzo szybko się starzeją. Chyba jest to związane z naszą ciemną karnacją. Jak dobrze, że ciebie to nie dotyczy, moja białolica pięknotko – mówiąc te słowa, delikatnie klepie wnuczkę po policzku. – Później kontakt z Maliką prawie całkiem się urwał – kontynuuje babcia.

– Z Londynu napisała dwa listy; w jednym poinformowała, że wychodzi za męża za inżyniera z Jemenu, w drugim, po trzech latach, donosiła, że jadą z dwuletnim synkiem w odwiedziny do rodziny męża do Sany. Mówiła także, że nie planują pozostania w biednym i zacofanym kraju, bo mają zagwarantowaną pracę i dobre życie w Wielkiej Brytanii.

Babcia przerywa i wyciąga ze swojej wielkiej torby Koran, a z niego dwie pożółkłe fotografie, które przedstawiają piękną parę. Śliczna młoda kobieta w minispódnicy, obcisłym sweterku i w butach na wysokich obcasach czule obejmuje wysokiego i szczupłego przystojniaka z czarnym wąsem à la Clark Gable. Na drugim zdjęciu ta sama para bawi się w parku z małym chłopcem.

– Malika napisała o tragedii, która ją spotkała w Jemenie, a potem nastąpiło pięć długich lat milczenia. – Na twarzy babci maluje się niekłamanym smutek. – Nigdy nie ma tak, żeby się człowiekowi wiodło przez całe życie. Nawet Malikę dopadło nieszczęście. Miesiąc po wylądowaniu w Sanie jej mąż zginął w wypadku samochodowym, a ona była w tym czasie w zaawansowanej ciąży. Załamana chciała się spakować i jak najszybciej wyjechać, jednak taka opcja nie odpowiadała rodzinie męża, szczególnie ojcu i braciom. Uznali, że musi urodzić potomka ich rodu w Sanie, a potem ewentualnie ona może wyjechać, ale dzieci zostają u nich. Tym razem nie pomogły ani twardy charakter Maliki, ani jej przebojowość, na koniec nawet łyzy i szantaż, że zabije dzieci i siebie. Po tym jak urodziła drugiego chłopczyka, dzieci zostały jej

odebrane i umieszczone w pokoju kobiet w wielkim rodzinnym domu na starym mieście. Po pewnym czasie zaoferowano Malice zamieszkanie w dobudówce z pustaków na dachu. Chciała widywać dzieci i karmić piersią młodszego synka, więc została i przyjęła wszystkie warunki. Następny list napisała także z Sany, a szedł do nas do Trypolisu prawie rok. Sprawdziłam datę stempla pocztowego. Bez emocji informowała, że poślubiła brata swojego zmarłego męża i że jej sytuacja od tego czasu diametralnie się poprawiła. Później przerzuciła się na wysyłanie kartek. Widać nie miała nam za dużo do powiedzenia. Przeważnie dostawaliśmy je raz w roku na Eid al-Fitr¹ albo na Eid al-Adha. Zawsze były to pocztówki z widokami i muszę ci powiedzieć, że w Jemenie jest pięknie. Na jednej z dumą podała numer telefonu i to ją zgubiło. – Babcia wybucha tłumionym śmiechem. – Przez to, że chciała się pochwalić, teraz będzie miała na głowie dwie bezdomne baby.

* * *

Na lotnisku w Sanie, po przejściu przez wszystkie odprawy i kontrole, z bagażami na dwóch wózkach, babcia z wnuczką zaszokowane brudem, smrodem i tłokiem rozglądają się bezradnie dookoła. Otacza je morze niechlujnie ubranych mężczyzn z džambiją za pasem. Spośród nich wylania się przygięty do ziemi staruszek z pomiętą tekturą, na której ktoś napisał: „*Libija* Nadia+Miriam”. Z nic niezdradzającym wyrazem twarzy zbliża się do kobiet, pokazuje na informację powykręcany reumatyzmem palcem, a one przytakują głowami i ruszają za dziadkiem, który wbrew pozorom idzie bardzo szybko. Starszy mężczyzna wrzuca ciężkie walizy na pakę poobijanego zardzewiałego pikapa i palcem pokazuje, aby weszły do środka. Albo jest niemową, albo uważa, że w Libii mówi się całkiem innym językiem niż w Jemenie.

Mijane nocą miasto wydaje się wymarłe. Po prawej stronie wylaniają się z mroku nowoczesne dziesięcioi piętnastopiętrowe bloki. Są bardzo słabo oświetlone, lecz mimo to widać zacieki i grzyb na ścianach oraz zabudowane pustakami balkony. Gdzieś tam pada trochę światła z latarni i ukazuje się bardzo nieciekawym widok; w niby-ogródkach czy na placach zabaw królują porwane, pomięte gazety, plastikowe torby lub po prostu śmieci gospodarcze. Miejsca na trawniki są zarzucone wszelakimi odpadkami, nie widać na nich nawet źdźbła zielonego. Na horyzoncie w poświacie świtu wylaniają się wielkie pasma górskie. Co parę kilometrów do środka samochodu wpada obrzydliwy smród szamba, które widać nie za dobrze tutaj działa. Babcia z wnuczką wymieniają przerażone spojrzenia, licząc jednak, że wylądują w lepszych warunkach. Po pewnym czasie wjeżdżają do dzielnicy, w której życie już się obudziło. Co rusz się zatrzymują, bowiem aut jest znacznie więcej, niż może pomieścić wąska, stara droga. Przejeżdżają przez wielką antyczną bramę Bab al-Jemen i rozpoczynają karkołomną jazdę. Pojazdy transportowe mijają się o milimetry, lusterka boczne zahaczają o rozwieszane przed sklepami tkaniny, piesi uważają, że mają bezwzględne pierwszeństwo i wchodzą beztrąsko pod koła aut. W całym tym tłoku i bałaganie jeżdżą jak zwariowane rowery, skutery i motorki, zatruwając wszystkich spalinami.

Na środku handlowej, wąskiej uliczki pikap gwałtownie hamuje, kierowca wyskakuje i wrzuca bagaże do pobliskiego sklepu z nożami. Na koniec siłą wyciąga babcie i wnuczkę z szoferki, a kiedy stoją już one przytulone do ściany domu, rusza z piskiem opon, bo w ciągu dwóch minut zrobił się korek i wszyscy oczekujący kierowcy trąbią jak obłąkani. Kobiety bezradnie rozglądają się wokół siebie. Wzdłuż ciasnego zaułka z obu stron wyrastają strzeliste jak wieże domy. Są zadziwiająco wysokie, a wybudowane przecież wieki temu. Dolne kondygnacje wzniesiono z bazaltu, który chłodzi teraz przyjeźdnym spocone ze strachu plecy, wyższe nadbudowano z czerwonej cegły, a szczyt często wykańczany jest gliną. Wszystkie fasady zdobią piękne białe gipsowe ornamenty jak z koronki, szczególnie wokół ażurowych

balkonów i łukowatych okien, które kiedyś wypełnione były ponoć szybkami z alabastru, ale dzisiaj zastąpiły go kolorowe szkiełka. Kamienice przerażają swym ogromem i zasłaniają widok na błękitne niebo i słońce. Pomiędzy nimi nad drogą biegnie płatanina kabli, sznurków oraz specjalne stelaże, na których dawno temu rozciągnięto materiał mający dawać cień i chronić przed deszczem, lecz obecnie prawie całkiem porwany. Gdzieniedzie zachowały się markizy, ale dbają o nie właściciele niezliczonych tu sklepików.

– Nadia! – kobiety słyszą wołanie, które dobiega z góry. – Nadia, Miriam, no co tak stoicie, wchodźcie na górę!

– Przez zakratowany otwór okienny na pierwszym piętrze wychyla się chorobliwie szczupła twarz staruszki, która na poparcie swoich słów macha do nich ręką. Obok niej przepychają się dwie małe główki zaciekawionych śniadych dziewczynek.

– Babciu, wiejmy stąd – szepcze Marysia. – To jakieś nieporozumienie! Wrzucą nas do tej wieży i już nie wyjdziemy. – Oczy dziewczyny z przerażenia robią się wielkie jak spodki.

– Wejźmy przynajmniej umyć ręce i się wysikać.

– Równie zaniepokojona babcia trwa przy swoim. – Gdzie mamy pójść, moja mała, do hotelu?

* * *

Siostra babci pomimo swoich sześćdziesięciu lat wygląda na stuletnią, zasuszoną starowinkę. Nie zostało nic z jej olśniewającej urody i wdzięku. Zapewne życiowe przejścia tak ją zniszczyły. Wpłynęły również fatalnie na jej charakter. Malika oprócz dwójki synów z pierwszym mężem, o których nie wolno wspominać, urodziła później jeszcze dziesięcioro dzieci, z czego troje zmarło w dzieciństwie i jedno przy porodzie, za każdym razem odbieranym w domu przez lokalną akuszerkę. Teraz pozostał przy niej tylko piętnastoletni syn, który urodził się upośledzony, najstarszy męski potomek z drugiego związku z żoną i drobną dzieciarnią oraz córka Leila. Jej wieku nie da się określić, bo nawet po domu chodzi zakwefiona i odsłania tylko oczy. Marysia zastanawia się, czy dziewczyna ściąga zasłonę z twarzy przynajmniej do mycia. Malika na co dzień opiekuje się gromadą wnucząt w wieku od pół roku do dziesięciu lat, które są niesamowicie niegrzeczne i rozwrzeszczane. Kobiety przybyłe z Libii dostały do użytku dobudówkę na dachu, zapewne tę samą, którą Malika zamieszkiwała na początku swojego pobytu w Sanie. Jest to jedno pomieszczenie o powierzchni może dwunastu metrów kwadratowych, z małą poobijaną umywalką w kącie oraz wiadrem na odchody. Betonowa podłoga nakryta jest poprzecieraną i dziurawą wiklinową matą. Cienki materac oraz to, co się na nim znajduje, prawdopodobnie ma służyć im za poślanie.

– Babciu, ja tutaj nie chcę zostać. – Marysia ze łzami w oczach przykucnęła w kącie, bo boi się usiąść na prawdopodobnie zawszonym legowisku. – Już prędzej pojedę do ojca i będę robić za służącą czy niewolnicę. Naprawdę, uwierz mi.

– Słuchaj, trochę się zagospodarujemy i wtedy na spokojnie pomyślimy, jak rozwiązać tę patową sytuację. Nie wykonujemy żadnych gwałtownych ruchów, bo to nigdy dobrze się nie kończy.

– Ale... – Marysia już nie wytrzymuje i zaczyna rozpaczliwie szlochać.

– Puk, puk – zza blaszanych drzwi daje się słyszeć miły kobiecy głos. – Można?

– Tak, proszę. – Babcia zrywa się z jedyne go starego drewnianego krzesła, aby wpuścić gościa.

Leila, w kolorowej bluzce z długimi rękawami, w dzinsach i chińskich trampkach oraz w nieodłącznym czarnym nikabie², prawie na palcach wchodzi do małego pomieszczenia.

– Posłuchajcie, dziewczyny, nie załamujcie się – mówi szeptem. – Mama myśli, że jak

ona przeżyła gehennę, to każdemu się ona należy. Zejdźcie teraz ze mną do kuchni na herbatę i ciasto, które specjalnie upiekłam na wasz przyjazd, i na spokojnie się zastanowimy, co dalej robić. Na początku możecie mieszkać w pokoju ze mną, nie będziecie się tutaj męczyły. Brat jest tego samego zdania. No i co wy na to?

Po wypiciu herbaty i ochłonięciu w całkiem miłym pomieszczeniu na pierwszym piętrze Leila zabiera libijskie krewniaczki na zwiedzanie domu. A jest co oglądać!

– Na dole mamy warsztat i dwa sklepy – informuje.

– Jeden prowadzi mój najstarszy brat, którego przyuczył do zawodu ojciec. Zgadnijcie, co u nas mogą robić mężczyźni ze starego jemeńskiego rodu? – Chyba się uśmiecha, słychać to jedynie po głosie i widać po zmarszczkach w kąciakach oczu. – Chodźcie, to wam pokażę!

Wchodzą od zaplecza do pracowni rzemieślniczej, gdzie wyrabia się nie tylko dżambije, ale również pochwy i pasy do nich. Oprócz zwykłych stalowych lub metalowych zagiętych kozików ze skórzanym, drewnianym lub sznurkowym uchwytem tworzy się tu prawdziwe dzieła sztuki. Są to srebrne kindżały robione na zamówienie dla bogatych lokalnych i zagranicznych klientów. Ich rękojeści, tak jak futerały, są niejednokrotnie wykładane masą perłową lub wykonane w całości z rogu nosorożca, a czasami nawet inkrustowane kamieniami szlachetnymi. Z odpadków srebra wykonuje się kopie dla turystów, którzy i tak wszystko kupią.

– Pasy robi się z bardzo wytrzymałej tkaniny. – Czterdziestoletni, miły z twarzy Aszraf pochyła się w stronę kobiet i z dumą pokazuje swoje dzieło. – Naszywa się ją na specjalne parciane lub skórzane taśmy, żeby służyły posiadaczowi przez długie lata. Niektóre pasy do tych drogich dżambii moja żona ręcznie haftuje srebrnymi i złotymi nićmi w piękne kwiatowe lub zwierzęce wzory. Te dla przeciętnego klienta robi się ze sztancy. – Uśmiecha się, wzruszając ramionami. – Ale was, kobiety, to pewnie nie za bardzo interesuje. Leila, pokaż no nasz drugi sklepik – zwraca się do siostry.

Wycieczka przechodzi do stoiska obok i nic nie trzeba już tłumaczyć. Czuć na odległość, co to za branża.

– Ależ świeże te zioła! – zachwyca się babcia. Bierze szczyptę tymianku i rozciera go w palcach.

– Nasza rodzina, dwie siostry ściślej biorąc, mieszkają w Wadi Dhahr, około piętnastu kilometrów od Sany, i zajmują się uprawą, suszeniem i mieszaniem ziół. Pojedziemy do nich w jakiś weekend, to zobaczycie, jaka piękna i zielona jest ta dolina. Przy okazji możemy pozwiedzać stary pałac imamów.

– Pewnie – z entuzjazmem przystaje na ten pomysł Marysia, a babcia, uśmiechając się pod nosem, dziękuje Bogu, że nie poddała się rozpacz i nie uciekły stąd od razu po przyjeździe.

* * *

W wąskim i wysokim na pięć pięter domu trzeba się nachodzić. Na parterze za warsztatem i sklepikami na tyłach domu jest śmietnik oraz cuchnąca toaleta w stylu tureckim. Nad nimi kuchnia i spiżarnia, a na drugim piętrze wielki salon, czyli *divan*, wyściełony miękkimi wełnianymi dywanami, z ozdobnie tapicerowanymi materacami na podłodze wokół ścian. Pomieszczenie to służy do przyjmowania gości oraz do popołudniowego odpoczynku, modlitwy, oglądania telewizji, palenia sziszy oraz grania w arabskie warcaby. Pokoju gościnnego przeważnie używają mężczyźni, bo w Jemenie nadal jest segregacja płci. Trzecie i czwarte piętro zajmują sypialnie, z których jedna okazała się pusta i przybyłe Libijki dostają ją do dyspozycji. Na jednej kondygnacji mieszkają zatem Malika ze swoim opóźnionym synem, Leila, ledwo trzymająca się na nogach stara zręcząca krewniaczka oraz nowi goście, a na drugiej najstarszy syn Aszraf ze swoją miłą, pulchną żoną Fauziją i ich pięciorgiem dzieci oraz w drugim pokoju

dwaj bracia, dalsi krewni w bliżej nieokreślonym wieku między dwudziestką a trzydziestką. Ci są dziwni – przemykają chyłkiem, patrząc spode łba, do nikogo się nie odzywają, cały czas spędzają poza domem i robią jakieś ciemne interesy. Na tej samej kondygnacji jest również zamknięta sypialnia należąca do nieobecnego pana domu, męża Maliki. Na samej górze mieści się *mafradz* – pokój wypoczynkowy dla męskich członków rodziny, z wyjściem na taras, z którego rozpościera się niepowtarzalny widok na miasto, z zamglonymi górskimi szczytami w tle. Salon ten, wielki na jakieś dwadzieścia metrów, jest w zasadzie kaciarnią, w której panowie, już nawet nastoletni chłopcy, oddają się żuciu katu, ponoć łagodnego środka odurzającego. Roślina ta, o liściach podobnych do pokrzywy, ma lekko narkotyczne właściwości, ale mężczyźni żują ją ciągle i wszędzie – podczas pracy, na ulicy, w autobusie i przede wszystkim w *mafradzu*. Zaczynają rano, a kończą wieczorem, chomikują przeżute liście pod policzkiem. Przez cały dzień uzbiera się tego spora kula i można zauważyć, że starsi Jemeńczycy – czy trzymają w ustach *kat*, czy nie – mają zniekształconą twarz z wybrzuszonym policzkiem po jednej stronie.

Na tarasie w domu-wieży w wysprzątej obecnie dobudówce leżą puste walizki babci Nadii i Marysi, które poruszają się już po kamienicy jak stare domowniczeki.

– Dziewczyny, tak nie wyjdziecie! – mówi sympatyczna Leila, która okazała się najlepszym przewodnikiem i najserdeczniejszą przyjaciółką uciekinierek z Trypolisu. Jej matki natomiast prawie w ogóle nie widują, za co po cichu dziękują wszechmogącemu Allahowi.

– Tyś chyba, kobieto, zwariowała, jeśli myślisz, że ja dam się wbić w abaję³ lub czador⁴ i zasłonię twarz nikabem⁵.

– Marysia wymownie puka się w czoło. – Nie ma mowy! I co mi zrobią, hę?! – pyta kpiarsko.

– Moja ty dzielna arabska emancypancko z nowoczesnego kraju. Co ci zrobią? Zaraz wymienię, ale nie wiem, od czego zacząć. – Jemenka chichocze, aż jej czarny welon fruwa na wysokości ust. – Mamy tutaj policję obyczajową, która może cię wychłostać po nogach albo po niezakrytej twarzy od razu na ulicy. Poza tym mają prawo cię aresztować za obrazę moralności. Nasi mężczyźni w najlepszym wypadku będą się do ciebie odnosić ordynarnie, jak do szarmuty, i czynić ci niewybredne propozycje. Bardziej zapalczywi obrońcy religii mogą cię obrzucić warzywami typu pomidor czy ziemniak, a nastolatki, biorący świetny przykład ze starszych, potrafią podnieść na taką bezwstydnicę nawet kamień – mówiąc to, Leila jest już całkiem poważna. – Co się tyczy jemeńskich kobiet, to z chęcią wytargają cię za te kręcone, jasne kudły, możliwe też, że porysują ci buźkę pazurami. One będą jeszcze bardziej wściekłe, bo mają prawo być zazdrosne o taką piękną dziewczynę, która odważnie prezentuje swoje wdzięki.

– Leila, ściemniasz. – Przerażona Marysia nie jest w stanie więcej z siebie wydusić.

– Chyba nie, wnuczusiu – włącza się do rozmowy babcia.

– Tak samo, albo jeszcze gorzej, jest w Arabii Saudyjskiej. To bardzo ortodoksyjne kraje.

– Ciocia wie, co mówi! Ty, moja białolica kuzynko, noś nawet tylko *hidżab*, bo wyglądasz na adźnabiję i możesz uchodzić za zagraniczną muzułmankę. Ale ty, Nadiu, sama wiesz. Masz typowo arabską urodę i karnację, więc radzę ci ubierać *nikab* lub wręcz czador. Nie przeskoczycie tego, moje panie. – Przy tych słowach dziewczyna rozkłada bezradnie ręce.

– To ja mogę tak jak w Libii na Faszlumie, babciu?

– pyta zdezorientowana Marysia.

– Myślę, że tak. Zaraz Leila sprawdzi nasze stroje i od dziś będzie naszą prywatną rodzinną kreatorką islamskiej mody. – Babcia usiłuje zbagatelizować sprawę i rozbawić towarzystwo.

Po dobrej godzinie trzy tradycyjnie ubrane arabskie kobiety opuszczają dom na starym mieście i wychodzą z Suku Solnego przez starożytną bramę Bab al-Jemen. Zaraz naprzeciwko

znajdują przystanek autobusowy i udają się do jedynej w Jemenie międzynarodowej szkoły.

* * *

Jazda trwa niewiarygodnie długo, bowiem na wąskich ulicach panuje niesamowity tłok i autobusik co chwilę staje w korku.

Szkoła znajduje się na peryferiach Sany, lecz warto się pomęczyć dla takiego widoku i dla świeżego powietrza. Obszar kampusu, otoczony przez tereny uprawne z jednej strony, a góry z drugiej, jest ogromny – obejmuje ponad dziesięć hektarów. Znajdują się tam boiska do piłki nożnej, bejsbolu, koszykówki, korty do tenisa i badmintonu. Budynki postawiono stosunkowo niedawno, bo pod koniec lat siedemdziesiątych, ale w stylu tradycyjnej jemeńskiej architektury. Dziewczyny są zachwycone, a zadowolona babcia, ściągnawszy płaczący się między nogami czador, żwawo maszeruje do wejścia.

– Panienska ma świetne referencje i wspaniałe wyniki – mówi miły dyrektor. – Szkoła imienia Lincolna w Ghanie, Multinational Oil School w Trypolisie, ho, ho! Zawsze pobierałaś anglojęzyczną edukację? – pyta Marysię, która wyprostowana siedzi grzecznie z dłońmi splecionymi na podołku.

– Tak – skromnie odpowiada.

– Teraz trzeba tylko skompletować dokumenty, zapłacić i już nawet jutro możesz rozpocząć naukę.

– Mamy paszport i gotówkę przy sobie. – Babcia kuje żelazo, póki gorące.

– Miriam Ahmed Salimi, jesteś Libijką?

– Tak. – Dziewczyna, nie chcąc komplikować sprawy, nie wspomina o matce Polce.

– A rodzice, gdzie teraz są? Dobrze by było, żeby twój ojciec podpisał papiery. Wiesz, żyjemy w kraju arabskim.

– Rodzice nie żyją. – Nadia kłamie jak z nut. – Teraz jej opiekunem jest mój szwagier, Jemeńczyk.

– Aha. – Dyrektor ściąga usta, bo nie lubi nietypowych sytuacji. – A *resident visa* jest? – pyta od niechcenia.

– Drogi panie – babcia zaczyna nerwowo kręcić się na swoim miejscu – myśmy ledwo co przyjechały i szwagier już wystąpił o zgodę na nasz pobyt stały, ale przecież sam pan wie, że to potrwa. Dziewczyna może stracić rok, bo nauka już się rozpoczęła. – Bez wizy pobytowej to w ogóle nie ma o czym marzyć

– zdecydowanie odpowiada miły jak dotąd mężczyzna.

– Niechże pan będzie człowiekiem! – wykrzykuje starsza kobieta. – Musi być jakaś furтка. Szkoda dziecka! Sam jest pan pedagogiem i na pewno ojcem.

– Muszę to skonsultować z centralą – mięknie dyrektor.

– Nie chcemy mieć kłopotów.

– Wierzę, że pan coś wymyśli. Przecież jest pan dobrym człowiekiem. – Babcia bierze mężczyznę pod włos.

– Proszę podać numer komórki, na dniach zadzwonię

– obiecuje na koniec.

– My jeszcze nie mamy... – z rozpaczą informuje Marysia.

– *Aindi*⁶ – nagle włącza się do rozmowy Leila, która z całej konwersacji nie zrozumiała ani słowa, ale wychwyciła powszechnie znane wyrażenie *mobile phone* i błyskawicznie wyciąga telefon z torebki.

Przez następny tydzień dziewczyny nie wypuszczają telefonu komórkowego z rąk, pilnują ładowania baterii, a jak któraś idzie do toalety czy brać prysznic, wymieniają się dyżurem.

– Jakbym ja mogła chodzić do takiej szkoły... – z rozmarzeniem mówi Leila pewnego wieczoru, kiedy razem z Marysią układają się do snu w jednym łóżku w pokoju Leili.

– A jakie skończyłaś? – pyta wykształcona kuzynka.

– W sumie żadne. – Młoda Jemenka śmieje się smutno.

– Arabską podstawówkę i dwuletnią dla przyszłych żon.

– Nie chciało ci się uczyć? – pyta zdziwiona Marysia.

– Na edukację dziewczyn szkoda było w naszym domu pieniędzy.

– Nie rozumiem. – Libijka podpira głowę na rękę i patrzy poważnie w oczy krewniaczki.

– Z tego, co opowiadała babcia, twoja mama była edukowaną i bardzo wyemancypowaną kobietą.

– To zamierzchła przeszłość, inne życie. Ja jej takiej nie znam. Dla mnie jest zaściankową, zacofaną, znerwicowaną arabską kurą domową – z niechęcią określa swoją rodzicielkę.

– To dlaczego nadal tutaj mieszkasz? Wszystkie twoje siostry i w ogóle prawie całe rodzeństwo wyniosło się z domu.

– Pytałaś, czemu zakrywam gębę nawet w domu. – Leila mówi z rozgoryczeniem i złością, siadając gwałtownie na łóżku. – To patrz i podziwiaj, tylko nie krzycz.

Jednym ruchem ściąga czarny *nikab* i ukazuje przyjaciółce swoją zniekształconą twarz. Marysia prostuje się jak struna i przytyka palce do ust, żeby nie wrzasnąć.

– Dlaczego? Jak to się stało? – szepcze.

– Jako paroletni dzieciak zawsze trzymałam się maminej spódnicy i cały czas asystowałam jej w kuchni, bo tam głównie przebywała. Raz bardzo spieszyła się z obiadem, bo rozwścieczony ojciec już się darł, że ma leniwą, starą żonę i że będzie musiał ją wymienić na nowszy model. Smażyła wtedy ziemniaki i jarzyny na głębokim tłuszczu. Goniła jak obłąkana, bo oczywiście wszystko robiła bez niczyjej pomocy. Zaplątałam się w jej długą do ziemi spódnicę, a ona potknęła się o mnie. Cała wrząca oliwa wylała się na połowę mojej głowy i jeden policzek. Miałam ponoć szczęście, że nie straciłam oka... Szczęście w nieszczęściu. – Smutno się uśmiecha.

Rysy Leili są regularne i sądząc po zdrowej połowie twarzy, byłaby z niej bardzo ładna dziewczyna. Jednak druga strona wygląda przerażająco. Wraz ze zgorzelą straciła część włosów, a najgorsze znamiona kumulują się na policzku, który zapada się nienaturalnie i tworzy głęboką, rozległą dziurę pokrytą nierówną i zgrubiałą skórą. Na szczęce widnieją sine blizny, a w jednym miejscu, przez nienaturalnie cienką warstwę ciała, prześwituje biały piszczel.

– Leczyli mnie domowymi, sprawdzonymi od wieków metodami. Żywe jeszcze rany smarowali baranim łojem i oczywiście wdało się zakażenie. Gorączkę miałam chyba ze czterdzieści stopni i śmierdziałam jak rozkładający się trup. Dopiero mój brat Aszraf, którego już poznałaś w warsztacie, zaopiekował się mną, wziął do lekarza, a matce obiecał, że utnie jej rękę, jeśli jeszcze raz posmaruje mnie tym gównem.

– Kochana – smutno mówi Marysia. – Są specjalne kliniki, gdzie robią operacje plastyczne. Na pewno mogliby ci pomóc.

– Aha! – z goryczą wykrzykuje dziewczyna, a uszkodzony kącik ust nienaturalnie wygina się w dół. – I kto niby miałby za to zapłacić?! Ale jesteś naiwna.

– Poczekaj, ja skończę szkołę, dostanę dobrą pracę, to uzbieramy pieniądze. – Marysia z zaangażowaniem snuje przed dziewczyną wizję szczęśliwej przyszłości.

– Zapytam babcię, czy coś nam nie zostało, to może już będziemy mogły zacząć działać.

– Dobra z ciebie krewniaczka. – Leila głaszcze kuzynkę po głowie.

– À propos babci... Powiedziała dyrektorowi szkoły, że twój ojciec już załatwia nam

wizy pobytowe. Kiedy zdążyła z nim rozmawiać, bo ja go jeszcze nie widziałam?

– Skłamała jak z nut. Mój tatusiek jest w Adenie i tam ma interesy oraz swój drugi dom.

– Że jak?

– Po prostu. W końcu spełnił swoje pogroźki i ożenił się z o dwadzieścia lat młodszą babą. Tyle. W Sanie pojawia się sporadycznie, chyba jedynie po to, żeby naciągnąć syna na pieniądze i wlać matce.

– To co my zrobimy?

– Żebyś mogła spełnić swoją obietnicę z tą głupią operacją plastyczną, to najpierw ja będę musiała ci pomóc – rozsądnie stwierdza Leila. – Pogadam z Aszrafem, to jedyny dobry facet, jakiego znam. On będzie waszym mahramem, innego nie polecam. A teraz już śpijmy, abys miała świeżą głowę do nauki, moja panno. Odtąd też mój w tym interes.

– Czy Miriam Ahmed? – po tygodniu w słuchawce odzywa się głos dyrektora szkoły. – Znaleźliśmy precedens i wyjście z trudnej sytuacji. Do czasu uzyskania wizy pobytowej możesz uczestniczyć w zajęciach jako wolny słuchacz. Jesteś zbyt dobrą uczennicą, żeby pozwolić ci na stratę roku.

– Dziękuję panu – szepcze Marysia. – Nie zawiodę, dam z siebie wszystko.

¹ [← powrót do tekstu] Eid al-Fitr – Święto na zakończenie ramadanu.

² [← powrót do tekstu] *Nikab* – tradycyjna muzułmańska zasłona zakrywająca twarz kobiety i odsłaniająca jedynie oczy, czasami kawałek czoła; używany głównie w Arabii Saudyjskiej i Jemenie.

³ [← powrót do tekstu] *Abaja* – wierzchnie tradycyjne okrycie w krajach muzułmańskich; szeroki, luźny płaszcz noszony przez kobiety i mężczyzn.

⁴ [← powrót do tekstu] *Czador* – zewnętrzny strój noszony przez muzułmańskie kobiety (gł. Iran, Pakistan); jest dużą połówką koła z materiału, noszoną otwarciem z przodu, nie ma otworów na ręce ani zamknięć, ale jest utrzymywany na ciele za pomocą rąk lub zębów lub przez owinięcie końcówek wokół pasa.

⁵ [← powrót do tekstu] *Hidżab* – noszona przez kobiety muzułmańskie kwadratowa chusta, zakrywająca włosy, uszy i szyję, jednak nie ramiona i twarz, może być kolorowa.

⁶ [← powrót do tekstu] *Aindi* (arab.) – Ja mam.

Bin Laden

Marysia zaczyna regularnie uczęszczać do międzynarodowej szkoły. Żółty *school bus* każdego dnia zabiera ją z pobliza antycznej bramy i wraz z innymi uczniami zawozi na miejsce. Oprócz przedmiotów obowiązkowych dziewczyna zapisała się na wszystkie możliwe zajęcia sportowe oraz wycieczki krajoznawcze. Program amerykański, który tutaj obowiązuje, trochę różni się od brytyjskiego, ale w większości Marysia miała zajęcia na wyższym poziomie i gros materiału już dawno ma przerobione. Dzięki temu bryluje nie tylko w klasie – wyróżnia się wśród uczniów całej szkoły. Jak zawsze do takich placówek uczęszczają przeważnie rozwydrzone i rozpieszczone dzieci dyplomatów oraz bogatych pracowników amerykańskich i brytyjskich kompanii naftowych. W małej liczbie są tu też Jemeńczycy, których należy zaliczyć do *high class* tego kraju. Tak więc począwszy od maluchów, a skończywszy na nastolatkach, całe towarzystwo ma lekko poprzewracane w głowach. Marysia, nauczona doświadczeniem z Ghany, nie ma już zamiaru z nikim się zaprzyjaźniać. Przyjeżdża co rano, jest uprzejma i grzeczna, robi, co trzeba, później relaksuje się na zajęciach sportowych, bierze prysznic i jedzie do domu. Dwa razy w tygodniu kierowca, który wraca po uczniów i mija Bab al-Jemen, zgadza się zabierać Leilę na przejażdżkę tam i z powrotem. Wszyscy patrzą wtedy na dziewczyny z obrzydzeniem – przez kwef¹ traktują kuzynkę Marysi jak zacofaną, prymitywną Arabkę. Przyjaciółki jednak wcale się tym nie przejmują i plotkują w najlepsze. Zachwycają się też mijanymi okolicami, bo Leila, pomimo że urodziła się w Sanie, nigdy w życiu nie zapuszczała się do dzielnic bogaczy, dyplomatów i ambasad, w których mieszkają odwożeni uczniowie.

– Trzeba by jakoś sobie dorobić – oświadcza pewnego razu Marysia. – Żebym miała na ciastko czy czekoladkę w szkole i nie musiała wyciągać każdego grosza od babci. Jej źródelko też się może wyczerpać, i co wtedy?

– Ja przygotowuję panny młode na wesela. Dziewczyny z rodzinki nagrywają mi chętne. Biorę połowę mniej niż w salonie piękności, robię to w domu klientki i ponoć bardzo dobrze. Za jedną taką sesję kupiłam sobie komórkę – śmieje się Leila. – Ale dla ciebie, moja ty księżniczko, trzeba by załatwić coś „intelektualnego”. Nie po to tyle lat wkuwałaś, płacąc za to grube pieniądze, żebyś teraz grzebała w czyichś włosach.

Marysia wpada na pomysł.

– To może dla wprawy zacznę cię uczyć angielskiego i zobaczymy, jak mi idzie bycie panią psorką. Co ty na to?

– No nie wiem... – ociąga się kuzynka. – Ja tępą jestem i głupia jak but z lewej nogi.

– Dobra, dobra. Nie wierzę ci. A jak pojedziesz na operację za granicę, to po jakiemu się dogadasz? Na migi?

– używa ostatecznego argumentu.

Od tej pory codziennie po południu dziewczyny siedzą wspólnie nad książką. Babcia zainwestowała w antenę satelitarną, mały telewizorek do ich pokoju oraz dekodery, żeby mogły oglądać anglojęzyczne programy. Prawie dorosłe pannice najlepiej bawią się przy bajkach i Kaczorze Donaldzie. Leila po raz pierwszy w życiu ogląda takie wspaniałe filmy i dzięki nim czyni zawrotne postępy w nauce. W domu zainstalowano też internet i dziewczyny serfują po sieci prawie do woli, bo mnóstwo stron jest zablokowanych ze względu na cenzurę religijną i obyczajową.

W weekendy Marysia z Leilą mają wolne i najchętniej spędzają ten czas, włócząc się po wąskich uliczkach Suku Solnego, podziwiając lśniący od bieli Wielki Meczec oraz bryłę fortu, w którym obecnie mieści się bank. Spacerują też po opustoszałym karawanseraju² i przesiadują w

licznych maleńkich ogródkach, które pachną ziołami i świeżą ziemią.

– Ty popatrz, kobieto! – Marysia pewnego razu ciągnie Leilę w kierunku starej kamienicy. – Odrestaurowują ten dom, a na tablicy piszą po angielsku, że remont sponsorowany jest przez UNESCO.

– Nic z tego nie rozumiem. – Jemenka marszczy trochę odsłonięte czoło. – Co, kto, jak i dlaczego?

– Słuchaj! UNESCO to taka organizacja, która zajmuje się niezwykłościami na całym świecie. Żeby nie popadły w ruinę, wykłada na ich remont pieniądze.

– Aha, to mów do mnie w ten sposób. – Leila przez *nikab* drapie się po głowie. – Ale jak się tam załapać, jak to załatwić? Przecież niedługo nasz dom zawali się ze starości i za przeproszeniem gównem to kogo obchodzi. Popękane ściany, łupiący się tynk, rozlatujące się zwietrzałe cegły... Jak chcesz popełnić samobójstwo, to wyjdź na balkon. Wszystko mamy bardzo piękne i niezwykłe, ale wisi na włosku.

– A grzyb w pokojach? Chociażby u nas w kącie sypialni – dodaje Marysia.

– Nie ma co gadać, musimy działać. Na tych foliowych taśmach też coś napisali. Ale nie po naszymu, to ja nie rozumiem – wybucha śmiechem dowcipnisia.

– Saudi Binladen Group Construction Holding. – Marysia, wykrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę, odszyfrowuje napis. – Zaraz, zaraz, to ten Bin Laden, co jedenastego września wysadził World Trade Center?

– Śmieje się, zatykając usta ręką.

– Widać przyjechał do nas i robi totalnie nieopłacalne interesy. Może taką dostał karę? A może oni specjalizują się w ekspresowej rozbiórce za pomocą ładunków wybuchowych.

– Leila chichocze i tak ją to bawi, że łzy ze śmiechu zbierają się jej w kącikach oczu. – Tamta robota tak dobrze mu poszła, więc wiesz... – Dziewczyna rzy już bez opamiętania, aż mężczyźni zatrzymują się i z niesmakiem gapią na nie, krzywiąc usta.

– Oglądałaś w telewizji tę akcję? – Leila usiłuje zapanować nad sobą. – Wieże siadły, jakby ktoś im podciął fundamenty, a nie wpikował w nie samolotem. Zastanawiające, nie?

– Za młoda byłam, żeby widzieć to na żywo. Później znalazłam w internecie. – Marysia nie chce wspominać tego tragicznego dla niej roku. – Już bez wygłupów, Leila, musimy namierzyć tego Bin Ladena, dopaść, obezwładnić i zmusić do konserwacji naszego domu. Howk! – Żwawym krokiem obchodzi całą kamienicę od frontu i od tyłu.

– Nie ma żadnego adresu ani telefonu. Widać nie muszą się reklamować – martwi się.

– Słuchaj, koleżanko. Jak wracasz busem ze szkoły przez te eleganckie dzielnice, to nie wpadł ci w oko taki po zbójcu fest plakat? Ze srebrnym trójkątem stojącym na głowie... Taki znaczek... o, jak tutaj! – W drodze z budy albo gadam z tobą, albo się uczę. Nie tracę czasu na rozglądanie się dookoła – informuje Marysia.

– A to błąd. Jestem przekonana, że gdzieś tam widziałam już ten napis. – Leila jest w świetnym humorze. – Zobaczysz, że go znajdę!

* * *

– Ale co znaczy projekty? Jakie pisma? Co za podania? Chyba macie jakiś plan konserwacji budynków? – Marysia pomimo młodego wieku jest przebojowa i nie do przegadania. – To chyba jest odgórnie zatwierdzone, a nie tak, że każdy właściciel indywidualnie przychodzi i przynosi papierek? Może jeszcze sam ma płacić za waszą robotę? A co robicie z pieniędzmi UNESCO? – Dziewczyna podnosi głos.

– Ty mi tu, panienko, nie podskakuj! – Wielki jak szafa młody mężczyzna wstaje zza biurka, chcąc ewidentnie wyrzucić dziewczynę za drzwi. – Czemu tu w ogóle szukasz, hę? To nie

może być twój dom, bo, jak widzę, nosisz spódnicę! Gdzie zgubiłaś mahrama i cożes taka pyskata?! – Napiera swym potężnym cielskiem, a dziewczyny kurczą się w sobie.

– Chcę się tylko dowiedzieć, kto zatwierdza plan robót i kwalifikuje budynki. – Marysia nie odpuszcza. – Potem przyjdzie do waszego biura właściciel domu. On nie ma czasu, żeby się z wami użerać, a budynek się wali. Potem wy będziecie się tłumaczyli przed sponsorem, czemu nasz dom opuściliście.

– Wynocha mi stąd, gówniary! Bo wezwę policję!

– Mężczyzna ordynarnie wrzeszczy i wypycha dziewczyny za drzwi.

– Co za cham! – Marysia zbiega na oślep po schodach. Z nerwów nie zauważa niczego i nikogo i potraça dżentelmena w elegancko skrojonym garniturze, a Leila, poprawiając *nikab*, wpada na dwójkę przed sobą. W tej chwili Marysia traci równowagę i przewraca się. Słabo umocowana chusta spada z jej głowy i odsłania pukle długich do połowy pleców złotych kręconych włosów. Mężczyzna baranieje i patrzy na nią jak na nowy cud świata, ordynarny urzędnik, stojący u szczytu schodów, rozdziawia na oścież gębę.

– Przepraszam panie. – Młody, może dwudziestopięcioletni człowiek pomaga Marysi wstać, a Leilę dwoma palcami chwyta za ramię przez czador. Jej zasłona na twarzy przekrzywiła się do tego stopnia, że otwór na oczy ma z boku głowy.

– To ja sorry, ale ten gbur tak na nas wrzeszczał, że bałyśmy się, iż nas pobije. – Marysia z wypiekami na twarzy usprawiedliwia się przed obcym przystojniakiem.

– A dlaczegoż to?

– Chciałyśmy zgłosić nasz dom do konserwacji i w ogóle dowiedzieć się, czy jest ujęty w planach. A temu tam widać nie chce się pracować i rozwścieczyłyśmy go zawracaniem głowy.

– Falil, pogadamy później! – krzyczy elegant do grubasa.

– Przepraszam, ależ ze mnie niewychowany prostak, nie przedstawiłem się. Hamid Bin Laden, do usług pięknych... szanownych pań. Zapraszam do mojego biura.

* * *

No i zaczęło się. Marysia do tej pory nie знаła ani takiego uczucia, ani takiego stanu ducha. Nie wie, co ma ze sobą począć. Całymi dniami krąży nieprzytomna jak duch, nie śpi, nie je, nie może się skoncentrować. Myśli tylko o jednym – czy Hamid zadzwoni, czy Hamid przyjdzie i czy Hamid ją choć trochę lubi? Spotykają się potajemnie, bez wiedzy i bez zgody kogokolwiek z opiekunów. Na razie we wszelkie tajemnice wtajemniczona jest tylko Leila, ich obstawa i poplecniczka. Taka sytuacja w tradycyjnym arabskim kraju jest nie do pomyślenia. Sama Marysia źle się z tym czuje – odnosi wrażenie, że jest winna z powodu tak naturalnych i niewinnych kontaktów z obcym mężczyzną.

– Babcusiu kochana. – Po ponad miesiącu ukrywania dziewczyna decyduje się na rozmowę. – Straciliśmy całkiem kontakt. – Wskakuje do babcinego ciepłego łóżka i przytula się do niej z całych sił.

– No i wreszcie przyszła koza do woza – śmieje się stara doświadczona Arabka. – Jak tam?

– Ale co? – Marysia nie wie, jak zacząć.

– Chyba masz mi coś do powiedzenia, kochanie. Przecież znam cię jak zły szeląg. Mnie nie zamydlisz oczu.

– Poznałam pewnego faceta... Takiego przystojniaka, że hej! – wyznaje zażenowana dziewczyna, wtulając twarz w poduszkę.

– No i czego tu się wstydić? – Babcia bierze ją pod brodę i rozbawiona patrzy prosto w oczy. – Najwyższy czas, moja pannico. Ja w twoim wieku miałam już dwuletnią Malikę i roczną

Chadidzę.

– Tak, wiem. Jestem upośledzona.

– Co ty bzdurzysz! Teraz są po prostu inne czasy i Bogu niech będą dzięki. Co to za chłopak, z jakiej rodziny?

– Jest współwłaścicielem wielkiej saudyjskiej firmy budowlanej Binladen Group – szepcze Marysia, licząc naiwnie, że babcia nie skojarzy nazwiska.

– Z tych Bin Ladenów? – pyta jednak Arabka, ze zdziwienia podnosząc do góry brwi.

– Mhm... Marysia pamięta jak dziś pierwszą randkę z Hamidem. Siedzieli w jednym z małych ogródków, a w zasadzie zielników na tyłach starej kamienicy w medinie³. Leila oczywiście nie odpuszczała ich na krok.

– Słuchaj, a ty z tych Bin Ladenów jesteś? – Marysia, tak jak teraz babcia, prosto z mostu zadaje nurtujące ją pytanie, a kuzynka, zrozpaczona jej bezpośredniością, zasłania oczy dłońmi, bo twarz i tak ma już przykrytą nikabem.

– To znaczy? – Hamid uśmiecha się figlarnie i w ogóle nie wygląda na obrażonego.

– Wiesz, co mam na myśli. Czy od Osamy?

– Sorry... – Leila pragnie usprawiedliwić obcesową krewniaczkę.

– Nie przejmuj się – uspokaja ją mężczyzna. – Ludzie tak często zadają mi to pytanie, że przywykłem. Mój wuj Osama to niezwykle sławny człowiek.

W tym momencie obie dziewczyny wstrzymują oddech i rozdziawiają usta.

– Co? Spodziewałyście się innej odpowiedzi? Dlaczego mam kłamać i czego się wstydzić? Niejednemu psu Burek na imię, nie? On Osama, a ja Hamid, dwie różne osoby, totalnie różne. A że nazwisko to samo...

– Tak...

– Mój dziadek, Mohammed bin Awad bin Laden, nie miałem przyjemności go poznać, przyjechał do Arabii Saudyjskiej z Jemenu Południowego jako biedny robotnik budowlany. Był to jednak bardzo sprytny facet. Osiadł w Dżeddzie nad Morzem Czerwonym, blisko Mekki i Medyny, i założył przedsiębiorstwo budowlane, które z czasem stało się największą tego typu firmą w państwie. Budowała ona między innymi pałac królewski, a sam mój dziadunio nawiązał bliskie stosunki z rodziną rządzącą. W czasie konfliktu między królem Saudem a księciem Fajsałem Bin Laden opowiedział się po stronie tego ostatniego. Miał farta, bo w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku Fajsał został królem. Zwykły przedsiębiorca budowlany pomógł wtedy nowemu władcy przezwyciężyć trudności gospodarcze, utrzymując przez pół roku administrację państwową! W podziękowanie król wydał dekret, na podstawie którego przedsiębiorstwo Bin Ladena zmonopolizowało zamówienia rządowe. I tak się robi pieniądze, moje panie! – słodko śmieje się Hamid, poruszając przy tym zabawnie ramionami, a zauroczona Marysiaomal nie spada ze spróchniałej drewnianej ławki.

– No i, no i? ... – poganiają dziewczyny, bo historia jest naprawdę ciekawa.

– Oprócz tego, że miał łeb do interesów, to niestety, był straszliwie bogobojnym muzułmaninem.

– Dlaczego niestety? – dziwi się Leila.

– W rodzinie wprowadził surową dyscyplinę, był religijny aż do przesady, a w domu non stop przyjmował pielgrzymów z całego świata, którzy przybywali na *hadż* do Mekki. Osama od dziecka stykał się z wybitnymi i czasami nawiedzonymi duchownymi i przedstawicielami najróżniejszych muzułmańskich odłamów. Już w szkole przyłączył się do konserwatywnego, ortodoksyjnego Bractwa Muzułmańskiego powstałego w Egipcie. Ruch ten po dziś dzień walczy ze wszelką „zgnilizną” Zachodu, a generalnie ponoć nie uznaje przemocy. Wszyscy w rodzinie, jak każdy Saudyjczyk, wyznawali wahhabizm, najbardziej radykalny odłam islamu. Głosi on

powrót do źródeł, to znaczy pierwotnej czystości religii, prostoty i surowości obyczajów. Osama połączył różne ortodoksyjne ruchy i efekt jest piorunujący.

– Twój tata i ty też się tam wychowywaliście?

– Nie, broń panie Boże! Dziadzio Mohammed, pomimo że był bardzo religijny, miał wielkie potrzeby seksualne.

– Dziewczyny się peszą, a Marysia czuje, że pąsowieje po samo czoło. – Wyobraźcie sobie, że poślubił dwadzieścia dwie kobiety! Bo to jest taka nasza tradycja muzułmańska.

– Hamid z zabawną miną kontynuuje swoją opowieść.

– Nie można się umówić, pójść na kawę, do restauracji, potańczyć czy tym bardziej przespać z dziewczyną. To wszystko grzech i hańba. Jeśli chce się tych wszystkich rzeczy, to należy się ożenić i basta. Tak jest w porządku! A potem można bezproblemowo się rozwieść – kończy ze śmiechem. – Wiecie, że w Saudi jest to bardzo popularny sposób na kontakty damsko-męskie i zarazem wielki problem? Mało która para wytrzymuje do pierwszej rocznicy ślubu, rozwodzi się prawie siedemdziesiąt procent nowożeńców. Policja religijna i wszyscy mutawwowie⁴ są bezradni. – Chłopak klepie się z zadowoleniem po udach. – Na tym cholernie zepsutym chrześcijańskim Zachodzie ludzie po prostu ze sobą chodzą, ale to ponoć oni są zakłamanymi, a nie my... Wracając do sprawy, mój tata pochodził właśnie z takiego związku, powiedzmy sobie na jedną noc. Babcia była wielką pięknoscią, ale też niezłe wykształconą jak na tamte czasy, intelektualistką, a nie dziewczyną do zabawy, więc niczym oprócz urody nie zaimponowała staremu bogatemu lubieżnikowi. Ani ona go nie kochała, ani on jej, więc po krótkim okresie małżeństwa rozstali się bez żalu. Był honorowym dzianym draniem, więc alimenty płacił regularnie, dawał na szkoły i studia ojca. Po rozwodzie babcia wyjechała do Rijadu, gdzie wyszła za mąż za mojego prawdziwego dziadka, superfajnego faceta, i byli bardzo szczęśliwi.

– To dobrze. – Marysia oddycha z ulgą, bo od razu zrobiło jej się żal pokrzywdzonej przez bogacza kobiety.

– Przy tak wielkiej rodzinie wyobraźcie sobie podział majątku po śmierci dziadunia? Jednak był on niezłe pokręcony, bo swojemu pupilowi, Osامية, zostawił najwięcej, całe dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów. Zaspensorował fundamentalistów i całą Al-Kaidę.

– O w mordę! – wykrzykuje Leila. – Nie jestem w stanie wyobrazić sobie takiej ilości pieniędzy.

– Pozostali podzielili się ochłapami, ale nie ma co narzekać, bo było tego sporo. Tak więc wracając do nazwiska, moje miłe słuchaczki, kiedy jeden z ponad dwustuosobowej rodziny się zbiesił, trudno żeby reszta zmieniała nazwisko i chowała się po krzakach. Większość z nas zna Osamę tylko z opowieści, telewizji i internetu.

– To dobrze – szepcze z ulgą Marysia. – A jak tam z twoją religijnością?

– Normalnie... Czyli trochę na bakier.

– To tak jak u nas – śmieją się dziewczyny, radośnie przybijając sobie piątkę.

Od tego czasu Marysia i Hamid włóczą się po starych dzielnicach Sany, gdzie łatwo się zgubić w tłumie. Spacerują z samą Leilą albo dodatkowo w towarzystwie wielkoluda Falila, który ma robić za ochroniarza. Kuzyn i współpracownik Hamida okazuje się sympatycznym i najłagodniejszym facetem pod słońcem. Wszyscy ubierają się tradycyjnie po jemeńsku, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Wyglądają na zwykłą lokalną rodzinę na zakupach lub odpoczywającą w ogródkach po ciężkim dniu pracy. Nikt na nich nie zwraca szczególnej uwagi, tymczasem w młodych żyłach coraz zwawiej buzuje krew, a serca rwą się do miłości.

* * *

Leila nie jest jednak tak naiwną i łagodną jemeńską dziewczyną, na jaką wygląda i jakiej by się należało spodziewać. Okazała się odważną buntowniczką, co niezmiernie cieszy Marysię, wychowaną przez arabskie kobiety w duchu wolności i emancypacji.

– Przygotowuję do wesel nie tylko biedne wiejskie gąski nagrane mi przez siostry w Wadi Dhahr i okolicznych prowincjonalnych miasteczkach – poważnie oświadcza Marysi, przed którą już bez oporu zdejmuje *nikab* i ukazuje swoją zdeformowaną twarz. – Przeważnie zajmuję się dziewczynami z Sany i to one głównie zasilają moją kasę. Są to czasami bardzo młode panny, co za *haram!* – wykrzykuje, wyrzucając ręce do góry. – Jednak najczęściej chętnie dojrzałe kobiety, które są wykształcone, pracują i wiedzą, czego chcą.

– Czy po twojej sesji widzisz je jeszcze czasem, tak towarzysko, czy traktują cię tylko jak fryzjerkę, z którą kobieta umawia się na spotkanie i z nudów opowiada jej swoje tajemnice? Jak odnoszą się do ciebie te jemeńskie inteligentki?

– Niektóre rzeczywiście jak do służącej. – Leila wzdycha. – Zrobi to, przyniesie to, a ręce umyła? Ale zdarzyło się parę wykładowczyń z uniwersytetu, kobitek z biur projektów, poetka, trochę studentek, które dzwonią, zapraszają na babskie nasiadówki i rozmawiają ze mną jak równy z równym.

– Musisz mnie kiedyś ze sobą zabrać! – wykrzykuje Marysia. – Czemu dotychczas tego nie zrobiłaś? – pyta z wyrzutem.

– Kochanieńka moja. – Leila wygina pogardliwie usta.

– Najpierw nie wiedziałam, z kim mam do czynienia i czy można ci zaufać, a jak już się zaprzyjaźniłyśmy, to ktoś błyskawicznie mnie podmienił.

– Co ty bzdurzysz!?! W dalszym ciągu jesteś moją najukochańszą kuzynką, powierniczką, moim aniołem stróżem... – Dobra, dobra, już nie ściemniaj. Teraz twój *Dżibriel*⁵ nosi portki i takie małe coś w środku. – Śmieje się lubieżnie.

– Ty świntucho! – Marysia spieka raka. – A skąd wiesz, że małe?

– Widzisz, i jak tu z tobą rozmawiać na serio, kiedy tobie ciągle tylko jedno w głowie! Ale i tak ci powiem, bo to szalenie ważne. Sprawa, w którą teraz się angażujemy, jest bardzo istotna i stanowi bolączkę muzułmańskich kobiet nie od dziś. W tradycyjnych krajach arabskich, takich jak Jemen czy Saudia, rzadko która dziewczyna jest taką szczęściarą jak ty, że ma okazję spotkać faceta, który jej się spodoba, zakochać się, umawiać z nim, a potem wyjść za niego za mąż i rodzić mu dzieci. A najgorsze jest to, że mężczyźni opiekunowie, ojcowie, bracia, kuzyni, zmuszają do zamążpójścia małolaty, czasami wręcz dzieci.

– Wiem, znam ten problem z Libii, występował też w naszej rodzinie. Nawet babcia Nadia, którą masz pod bokiem, została przymuszona przez swojego ojca do zamążpójścia w wieku niespełna szesnastu lat.

– Na nasze regionalne warunki była już staruszką. Tutaj za mąż wydaje się nawet ośmiolatki! – wykrzykuje Leila i patrzy groźnym wzrokiem, a jej czarne jak węgiel oczy ciskają błyskawice.

– Przecież to jeszcze dzieci! – Marysia nie może się nadziwić. – To jakaś straszna granda! A co na to organizacje międzynarodowe broniące praw człowieka? Co robicie wy, jemeńskie kobiety?!

– W piątek jest właśnie manifestacja pod parlamentem.

– Kuzynka ścisza głos.

– Aha. – Marysia czuje już pismo nosem.

– Poznałam jedną wspaniałą kobietę, prezeskę Narodowego Komitetu Jemeńskich Kobiet. Ty myślisz, że my nie działamy, nie bronimy się, że jesteśmy takie głupie gęsi!?

– Nie wiem, czy taki protest z wyjściem na ulicę jest dobry. – Libijka jest ostrożniejsza od

swojej zapalanej starszej krewniaczki. – Wyłapią was wszystkie i wsadzą do więzienia.

– Guzik prawda, ty mały cykorze! Obecnie nasz parlament pracuje nad ustawą wprowadzającą minimalny wiek wymagany do zawarcia małżeństwa i ma on wynosić siedemnaście lat dla dziewczyn i osiemnaście dla chłopców. Tym zmianom oczywiście sprzeciwiają się radykalni duchowni, którzy wezwali ludność, a ściślej mówiąc zacofane baby, dające sobą manipulować, do protestów. Co oni im do tych tępych głów nawsadzali?! Tłuką im tylko, że jak prorok Muhammad poślubił sześćioletnią Aiszę i rozprawiczył ją, kiedy miała dziewięć lat, to wszystkim tak wolno... – Leila wykrzywia z przerażenia twarz, zatyka sobie usta dłonią i chcąc ukarać samą siebie za bluźnierstwo, bije się po twarzy.

– A ja czytałam, że prorok posiadał ją, kiedy miała czternaście lat. Czekał, aż dojrzeje, pokocha go i sama mu się odda. – Marysia ze współczuciem patrzy na kuzynkę, która strasznie przeżywa, że urąga islamskim dogmatom.

– Takie tam ... – Leila chwyta się za głowę, bo nie wie, jak to wszystko wytłumaczyć. Przecież nie chce nikomu uchybić, jest w końcu dobrą muzulmanką.

– Po pierwsze, to były zamierzchłe czasy i my teraz, w dwudziestym pierwszym wieku, nie możemy się wzorować na starym i już nieaktualnym kanonie postępowania.

– Wykształcona, światła i nowoczesna Marysia próbuje pomóc zdezorientowanej przyjaciółce. – Większość czynów proroka jest do naśladowania, ale są wyjątki, które nie mieszczą się w normach współczesnego świata. Poza tym wszystkie małżeństwa proroka Muhammada były uwarunkowane politycznie lub społecznie. Był on przywódcą, politykiem, tak jak król czy prezydent, który ma zupełnie inne priorytety i postępuje inaczej niż zwykły, szary człowiek. Tam chodziło o szerzenie islamu i zdobycie popleczników, a wielkie idee wymagają poświęceń!

– Aleś to chytrze wyklarowała. – Leila aż dyszy z podziwu. – Trzeba zapisać, potem damy na transparent.

– My?

– Idziesz chyba ze mną, panienko z bogatego domu i nowoczesnego kraju, który ponoć jest rajem dla feministek? – Leila podpuszcza kuzynkę, która pomimo lęku i tak by do niej dołączyła.

Manifestantki w czarnych czadorach, z których większość ma zakryte twarze, zostają dowieszone autobusami na miejsce protestu pod parlament. Wracają prosto z piątkowej modlitwy, podczas której były zagrzewane hasłami wykrzykiwanymi przez ortodoksyjnych imamów. Marysia, dzisiaj również całkiem zakryta, i Leila przyjeżdżają na miejsce z Hamidem, który na tę okazję założył typowy lokalny strój: białą dżalabiję⁶, wełnianą marynarkę w jodełkę, a ostrą dżambiję wetknął za haftowany pas. Głowę omotał cienką chustą, a przez ramię przewiesił wełniany szal, który ma zakryć wybrzuszenie od broni.

– Wszystko dobrze, ale trzymajcie się mnie. – Hamid pokornie prosi zapalone dziewczyny. – Jeśli coś powiecie nie tak, to one was zlinczą, wierzcie mi. – Z przerażeniem patrzy na otaczający go czarny tłum.

Część przeciwniczek ustawy przyniosła ze sobą transparenty z hasłami: „Nie zakazujcie czegoś, na co zezwolił Allah”, „«Nie» manipulacjom prawami kobiet” oraz „Koran i sunna ponad umowami sprzecznymi z naszą religią”. Maszerując, skandują podane im przez kogoś slogany, bo trudno uwierzyć, że same są za prawem skazującym ich córki na pohańbienie, ból i niejednokrotnie śmierć.

– Tych, którzy wzywają do prawnego ograniczenia wieku zamążpójścia, uważamy za wrogów Allaha, jego proroka i nas samych! – występuje pierwsza mówczyni. – Prorok Muhammad poślubił Aiszę, gdy ta miała zaledwie dziewięć lat! – wykrzykuje jak nawiedzona.

– Sześć, debilko, sześć – słyhać w szeregach przeciwnych przeważającej grupie opozycji. Marysia i Leila patrzą na siebie porozumiewawczo.

– Gdzie nas zaprowadzi to nowe prawo?! – przez głośniki rozlega się pytanie kolejnej ubranej na czarno manifestantki. – W większości feministycznych grup, niby broniących praw człowieka, działają kobiety, które mają czterdzieści lat i cały czas nie mają męża! Wśród studentek na jemeńskich uniwersytetach jest bardzo dużo starych panien – dodaje. – Toż to kobiety drugiej kategorii! – krzyczy załamującym się głosem.

– Co za kretynka! – rozlegają się głosy i chwieją transparenty.

– Stop z handlem dziećmi! – teraz grupa emancypantek przystępuje do ataku. – Precz z pedofilią! – krzyczą wykształcone jemeńskie kobiety, a razem z nimi Marysia i Leila. Wszystkie mają na myśli głośną sprawę ośmiolatki zmuszonej przez bezrobotnego ojca do małżeństwa ze starszym o dwadzieścia lat mężczyzną. Sąd ostatecznie pozwolił dziewczynce na rozwód, ale jest to pojedynczy przypadek. Normalnie nie ma już możliwości odwrotu, ojciec bierze za córkę duże pieniądze i nie ma ochoty ich zwracać.

– Fawzija Abdullah Joussef! Fawzija Abdullah Joussef! Fawzija Abdullah Joussef! – rozlega się gromkie skandowanie i podnoszą się ukryte plakaty ze zdjęciem ślicznej arabskiej dziewczynki.

– Bezbożnice! Do więzienia z nimi! Wybić różgami!

– Silniejsza grupa przeciwniczek ustawy napiera, wymachując pięściami, a gdzieś tam pojawiają się bardziej agresywne zachowania.

– Morderczynie własnych córek! Lichwiarki! Handlarki żywym towarem! – Grupa inteligentek odsuwana spod gmachu parlamentu broni się coraz słabiej.

– Zbieramy się?! – Hamid przekrzykuje tłum i chwyta dziewczyny za ręce. – Za chwilę zacznie się bijatyka i może być niebezpiecznie. Przecież wiecie, że każdy w tym kraju nosi przy sobie broń!

Dziewczyny rozglądają się niepewnie dookoła i widząc, co się święci, odwracają się i przepychają przez rozkołysaną czarną tłuszcę. Byle bliżej do auta, w którym czeka jeszcze dwóch ochroniarzy pod bronią, w tym potężny Falil. Kiedy samochód rusza, Leila zaczyna płakać, najpierw cichutko w ukryciu, a później coraz głośniej. Wszyscy patrzą na nią z niekłamany zdziwieniem. Może tak się zdenerwowała, przestraszyła, przejęła? Nikt nie wie, co się stało.

– Leila, nie bój się, już jesteś bezpieczna – szepcze Marysia, nachylając się nad przyjaciółką i obejmując ją ramieniem.

– To nie o to chodzi... – odpowiada tamta przez łzy.

– No to co jest grane? Powiedz, dziewczyno.

– Ta śliczna Fawzija... – Zawodzi jeszcze mocniej.

– A co się z nią stało? – pyta zainteresowany Hamid.

– To twoja krewniaczka? Jest chyba jedną z wielu pokrzywdzonych?

– Tak, jedną z wielu, masz rację. – Leila z goryczą potakuje. – W ubiegłym roku dwunastoletnia Fawzija została zmuszona przez rodziców do zamążpójścia. Po dziewięciu miesiącach zmarła podczas porodu razem ze swoim dzieckiem. Nie słyszeliście?! Jej przypadek opisywały gazety na całym świecie, a my, jemeńskie aktywistki, całymi miesiącami drążyłyśmy sprawę. I gówno! – wykrzykuje wściekła, waląc pięścią w tapicerkę auta.

– A dlaczego akurat jej przypadek tak cię denerwuje? Znałaś ją? – pyta Marysia.

– Przygotowywałam ją do ślubu, myłam, czesałam, nacierałam olejkami, zrobiłam makijaż jak u lalki. – Leila ze wstydu spuszcza oczy. – Myślałam, że bogata rodzina szykuje w ten sposób dziewczynkę na jakiś kinderbal przebierańców. W życiu bym nie przypuszczała...

* * *

– Zaproś go, wnuczusiu, do nas, bo jeszcze jakaś wpadka będzie – oznajmia babcia po paru tygodniach przemyśliwać. – Nie możecie się kryć w ciemnościach w jakichś rozsadach z przyprawami. Jak jeszcze zobaczą tam Leilę w czadorze, to już macie zagwarantowane więzienie i bity bez pytania.

– A co na to jemeńska rodzinka? – pyta dziewczyna, nie wierząc w ich poparcie.

– Aszraf to naprawdę facet z jajami. – Babcia zasłania usta dłonią, jak zawsze, kiedy coś brzydkiego jej się wyrwie, i wybucha śmiechem. – Z chęcią poznamy tego twojego Bin Ladena. Posiedźcie sobie na tarasie i nikomu z tego powodu krzywda się nie stanie.

– Porządni ci twoi krewniacy – szepcze Hamid, niepewnie przysiadając na plastikowym białym krześle.

– I nowocześni... aż dziw bierze.

– Witam pana. – Babcia wchodzi z tacą z ciasteczkami i dzbankiem z zieloną herbatą. – Bardzo mi miło. – Hamid wstaje i wyciąga rękę, którą stara Arabka mocno ściska. – Dziękuję za zaufanie – mówi mężczyzna, patrząc jej prosto w oczy.

– Mam nadzieję, że go pan nie zawiedzie i nie skrzywdzi mojej ukochanej wnuczki Marysi – odpowiada kobieta, po czym natychmiast obraca się na pięcie i znika w półmroku klatki schodowej.

Zgrabna młoda dziewczyna w końcu może zaprezentować się swojemu chłopakowi w normalnych ciuchach. Ubrała się na sportowo, tak jak na co dzień chodzi po domu: dżinsy, bawełniana koszulka z krótkimi rękawkami i adidasy. Oczywiście jest bez chusty na głowie, na co mężczyzna przede wszystkim zwraca uwagę, nie mogąc oderwać oczu od jej niezwykłych włosów.

– Skąd u ciebie taka karnacja i taki kolor czupryny?

– sąduje w końcu, nie mogąc dłużej taić nurtujących go pytań.

– Moja mama była polską blondyną z niebieskimi jak bławatki oczami – niechętnie wyznaje dziewczyna.

– Dlatego Nadia tak dziwnie wymawia twoje imię. Maryszia. – Hamid rozkoszuje się jego brzmieniem. – Więc to po polsku, bardzo ładnie. Czemu zatem nie jesteś z matką, tylko tutaj, w obcym i dzikim regionie świata?

– To ona jest dla mnie obca, a nie kraje arabskie – gwałtownie tłumaczy Marysia. – Od dziecka wychowuję się w libijskiej rodzinie, prawie całe życie spędziłam w muzułmańskim świecie i to babcia jest dla mnie najbliższa. Innych krewnych nie potrzebuję! – mówi na koniec podniesionym głosem.

– Nie złość się, po prostu zapytałem – tłumaczy się Hamid.

– Nie ma sprawy...

– Dla rozweselenia przeczytaj ciekawy artykuł z saudyjskiej gazety, który specjalnie dla ciebie przyniosłem. – Wręcza dziewczynie dziennik. – Jeśli jesteś taką znawczynią islamu, powinnaś to wszystko wiedzieć.

– „Pięćdziesiąt siedem sposobów na zdobycie miłości swojego męża” – czyta na głos Marysia. – A cóż to? Jakiś dowcip? Czemu akurat pięćdziesiąt siedem, a nie siedemdziesiąt trzy?

– Wszystkie podane metody redaktorka zebrała z bloga islamskich kobiet MuslimMatters.org czy coś w tym stylu. To doświadczenia saudyjskich zawaolowanych damulek. Bardzo pouczające – mówiąc to, tajemniczo uśmiecha się półgębkiem.

– No to dawaj! – Marysia jest coraz bardziej zaciekawiona. – „Zachowuj się jak dziewczyna... ubieraj się atrakcyjnie i uwodzicielsko, a jeśli siedzisz w domu, to nie chodź cały

dzień w koszuli nocnej”... Zaraz, zaraz, po co im supermodne ciuchy, skoro na nie i tak zakładają czador czy abaję?

– No właśnie. – Hamid robi usta w ciup. – Chyba chodzi o to, żeby w domu dla męża tak się stroiły. Jest to jakieś wy tłumaczenie zakupoholizmu babek w Arabii.

– „Dobrze pachnij”! – Młodzi razem wybuchają śmiechem. – „Nie truj mężowi, nie strofuj go, nie indaguj, o czym myśli”... O niczym! – zaśmiewa się Marysia. – Ups! Sorry, to nie do ciebie. – Klepie go w kolano i zaraz ucieka z ręką. – „Poznaj wszystkie prawa i obowiązki żony muzułmańskiej. Zaspakajaj męża zawsze, kiedy tylko tego zażąda”... Ho, ho, ho! Nieźle macie z tymi żonami – zwraca się do Hamida, czerwieniąc się po same uszy. – „Naucz się sztuczek i technik, aby zadowalać swojego męża”... Hmm... „Mów mu wielokrotnie, że go kochasz. Dawaj mu prezenty”... Uf! To jest życie! Po co wam zatem raj, panowie?! – zażenowana tematyką Marysia usiłuje stroić sobie żarty. – „Szczotkuj włosy. Nie zapominaj o praniu” – teraz już wybiórczo czyta punkty. – „Nie opuszczaj domu bez zgody męża i bez opieki. Dobrze się zachowuj; nie śmieję się, nie mów i nie chodź za głośno”... Ale jaja! – wrywa się dziewczynie. – I takie bzdury w gazecie publikują?

– Muszą poddać jakiś temat swoim obywatelom, żeby nie zaczęli się interesować czymś poważniejszym – smutno stwierdza Saudyjczyk. – Zresztą to przecież brukowiec.

– Hamid chce wyjąć gazetę z rąk dziewczyny.

– Czekaj, czekaj! Najciekawsze zostawiłam na koniec.

„Bądź sprawna i dbaj o swoje zdrowie, bo przecież musisz być silną matką, żoną, kucharką i gosposią”. Ha!

– Dziewczyna zaśmiewa się w głos i puka przy tym złożoną gazetą w głowę, w której przeczytane głupoty nie chcą się pomieścić.

– Czy po zapoznaniu się z wszystkimi zasadami dobrej muzułmańskiej i tym samym saudyjskiej żony zechcesz wyjść za mnie? – pyta Hamid, dokumentnie szokując tym Marysię. Dziewczyna milczy i gapi się na niego jak cielę na malowane wrota. – *Hey, you?! Zadałem ci pytanie!*

– Zaskoczyłeś mnie... Kończę dopiero średnią szkołę... Nie znamy się za dobrze... Tak nagle... szybko...

– To nie nastąpi jutro ani pojutrze, ale w przyszłości. Mam jednak nadzieję, że nie za bardzo odległej. Bo ja już sobie życia bez ciebie nie wyobrażam. – Pochyla się w stronę dziewczyny i delikatnie całuje ją w usta, czule przejeżdżając palcami po włosach.

– Jeśli nie za chwilę, tylko za jakiś czas, to... – Marysia spontanicznie zarzuca mu ręce na szyję – tak, Hamidzie Bin Laden! Wyjdę za pana, zostanę pańską arabską żoną na dobre i na złe.

¹ [← powrót do tekstu] Kwef – zasłona na twarz noszona przez muzułmanki.

² [← powrót do tekstu] Karawanseraj – miejsce postoju karawan; z pomieszczeniami dla podróżnych, niszami chroniącymi przed słońcem, magazynem do przechowywania towarów, często o charakterze obronnym.

³ [← powrót do tekstu] *Medina* (arab.) – miasto, tu stare miasto.

⁴ [← powrót do tekstu] *Mutawwa* (arab.) – funkcjonariusz policji obyczajowej.

⁵ [← powrót do tekstu] *Dżibriel* (arab.) – Archanioł Gabriel.

⁶ [← powrót do tekstu] *Dżalabija* (lub *galabija*) – męski strój w formie długiej sukni/płaszczka z rozcięciem pod szyją.

Tradycyjny ślub Marysi

Piękną wiosenną porą nie chce się siedzieć w mieście, wśród zgiełku, w upale i smrodzie spalin. Całe towarzystwo – Aszraf z rodziną, Malika, Leila, babcia z Marysią oraz Hamid i Falil – wybierają się w cztery samochody do Wadi Dhahr. W święty piątek jest tutaj tłoczno, ale zawsze da się znaleźć jakieś odosobnione miejsce dla siebie.auta zatrzymują się na skale nad urwiskiem, skąd rozpościera się przepiękny widok na zieloną o tej porze roku dolinę. Nawet na górze czuć cudny zapach ziół, trawy i jaskrawożółtych maleńkich kwiatków, które ścielą się kobiercem na zboczach. Wadi, zazwyczaj wyschnięte koryto rzeki, po zimie jest jeszcze nasiąknięte wodą i ziemia odurzająco pachnie wiosną. Przed rozbięciem obozowiska wszyscy chcą się wspiąć na wzgórze z Dar al-Hadžar, z osiemnastowiecznym pałacem imamów na szczycie. Wygląda on imponująco, jakby wyrósł ze skały.

– Rozmawiałem z Aszrafem i doszliśmy do wniosku, że czas już by było podpisać przynajmniej wstępną umowę ślubną, żebyśmy mieli jakiś papier i swobodnie mogli się spotykać i poruszać po mieście. – Hamid zagaja rozmowę podczas uciążliwej wspinaczki. – Tak? – Marysia zatrzymuje się, aby spojrzeć na swojego partnera i otrzeć pot z czoła. – A kiedy?

– Jak ustalimy, tak będzie. Gdy tylko będziemy chcieli. Chyba że zmieniłaś zdanie.

– No, na pewno! – Dziewczyna śmieje się i czule chwyta wybranka pod rękę.

– Więc w czym problem? – pyta zaniepokojony mężczyzna, ruszając przed siebie i wbijając wzrok w wyboistą drogę.

– Jakoś nie mogę sobie siebie wyobrazić jako żonę, matkę, gospodynię. To wielkie zmiany. Nie mam wprawy, nie wiem, czy jestem na to przygotowana... i trochę mam stracha.

– Jeśli chce się z kimś być, to czego tu się obawiać? Nie bój się też, że zaraz będę chciał mieć dzieci... – zawiesza głos. – Trzeba być rozsądnym i dojrzeć do macierzyństwa i ojcostwa.

– Zdajesz sobie sprawę, że jeżeli bierzesz mnie, to z całym bagażem, to znaczy babcią i liczną jemeńską rodziną?

– Czy ty myślałaś, że każę ci porzucić kochane przez ciebie osoby? – oburza się Hamid. – Bardzo twoją babcię lubię i szanuję i to będzie dla mnie zaszczyt, jeśli zamieszka z nami. Chcesz zabrać ze sobą też pozostałych?

– niepokoi się trochę.

– Bez przesady! – Marysia wybucha śmiechem.

– A ty wiesz, jak się to wszystko przeprowadza? Ten tam kontrakt, ślub i w ogóle?

– Też nie mam doświadczenia. – Mężczyzna zabawnie marszczy czoło i nos. – Myślę, że twoi krewniacy wszystko nam zorganizują jak należy. Rzuć im hasło, to zobaczysz.

– To suuuuper! – wykrzykuje Leila. – Kiedy, kiedy?

– A potem zaraz ślub czy poczekacie jakiś czas? – Babcia pyta mniej entuzjastycznie. – Nie ma sensu wyprawiać przyjęcia zaręczynowego – nie daje odpowiedzieć Fauzija. – Najlepiej zaraz jedno po drugim, to się zaoszczędzi.

– Dacie im coś powiedzieć? – spokojnie przerywa Aszraf.

– Po pierwsze, ja nie chcę i nie muszę oszczędzać

– sprostowuje Hamid. – Żenić się mam zamiar raz w życiu, więc...

– Ślub najwcześniej byłby po ukończeniu przeze mnie szkoły. – Marysia zwraca się do babci. – Tylko że latem zabiją nas upały...

– Wesele zrobimy tutaj, w Wadi Dhahr – oświadcza Leila. – W osadzie Bajt al-Husna, tam gdzie mieszkają nasze siostry. Spójrz, Miriam, widać ją stąd! – Pokazuje palcem niezbyt odległy seledynowy gąszcz, spośród którego wyzierają białe dachy domów. – Tam zawsze jest

chłodniej niż w mieście i zawsze zielono. Pod palmami rozbijemy namioty, wysypimy żwirkiem plac do tańców, a jedzenie przygotujemy w domu. Ha! Będą świeże jarzyny, zioła, wiejskie kurczaki i jajka. – Kuzynka cieszy się, jakby to było jej święto, a oczarowany jej entuzjazmem Falil nie odrywa od niej wzroku. – Tutaj na wsi to nawet będziemy mogli się wszyscy razem bawić!

– Jak to sobie wyobrażasz? – po raz pierwszy odzywa się jak zawsze ponura Malika.

– A tak! Kobiety i mężczyźni, wspólnie, a nie nudzić się osobno.

– Świetny pomysł – pierwszy przytakuje Falil, a za nim cała reszta.

* * *

Wszystko oczywiście musi być załatwione oficjalnie. Po rozmowie w Wadi Dhahr i wizycie u sióstr Leili w ich pięknych białych kamiennych domach oraz po uzyskaniu zgody na zorganizowanie wesela sprawy zaczynają toczyć się kaskadowo.

– Teraz, moja wnucusiu, to już jest po nauce – martwi się babcia. – Głowę i serce masz gdzie indziej, na pewno nie w książkach.

– Nie martw się. – Podeksycytowana Marysia obejmuje ją ramieniem, nasłuchując jednocześnie kroków gości.

– Dam sobie radę, już w zasadzie mogłabym pisać końcowe egzaminy. Wierz mi, skończę szkołę, i to z wyróżnieniem.

– Czule całuje seniorkę w czoło i w tej samej chwili podskakuje, słysząc kroki na wąskiej klatce schodowej.

– Chowaj się! – Leila wciąga dziewczynę do kuchni.

– To przynosi pecha!

– Co? – Marysia drży jeszcze bardziej niż przedtem.

– Nie może cię zobaczyć, zanim nie podpisze kontraktu.

– Kuzynka i pozostałe kobiety przygotowujące smakołyki na wieczorną ucztę dla mężczyzn śmieją się. – Ja rozumiem ten przesąd, jeśli o mnie chodziło, bo zobaczyłyby i uciekły, ale ty, taka pięknotka. – Chichocze jeszcze głośniej.

– Cicho już – burczy Malika. – Jak się nie pospieszymy, to będą zreć popiół z paleniska.

– Dobrze w takim razie, że takowego nie mamy. – Babcia Nadia tłumy jak zwykle „dobry” humorek swojej siostry, a wszystkie pozostałe panie w świetnych nastrojach rżą ze śmiechu.

– Cóż, głupio mi, ale takie są zasady. – Aszraf zwraca się do Hamida oraz grupki jego krewniaków, z którą przybył – i muszę cię zapytać o proponowaną wysokość mahru¹.

– Nie ma co się krępować. – Elegancki szczupły starzec, wygodnie lokując się na poduchach leżących na podłodze divanu, uśmiecha się uprzejmie. – Jesteś mahramem tej dziewczyny i musisz dbać o jej dobro.

– Tak, *ja hadżdż*². – Aszraf pokornie chyli czoło.

– Proponuję na początek dziesięć tysięcy dolarów – mówi trzęsącym się głosem Hamid, a Aszrafowi oczy wychodzą z orbit.

– Rodzina Bin Ladenów z Tarim dorzuci drugie tyle – mówi starzec. – Narzeczona musi się elegancko ubrać, pojechać do Europy, może będzie coś chciała dać rodzinie. To już jej sprawa, jej pieniądze.

– Mamy je przy sobie, tak że po podpisaniu wstępnego kontraktu małżeńskiego Miriam dostanie je dzisiaj wieczorem – oświadcza bogaty narzeczony, a jemeńska rodzina z drżeniem czeka na określenie drugiej części wiana, która zazwyczaj jest nawet dwudziestokrotnie większa od pierwszej.

– Po podpisaniu kontraktu w urzędzie w obecności szejka³ założymy mojej przyszłej żonie rachunek bankowy, na który przeleję dwieście tysięcy dolarów.

– Ach... – Aszraf wydaje z siebie pełne zachwytu westchnięcie. – W razie czego, wiesz... to nie jest konieczne.

– Pocziwy Aszraf czuje się, jakby robił interes życia, a nie wydawał kuzynkę za męża. – Ona zawsze znajdzie w nas oparcie, nawet bez tych pieniędzy.

– Wiemy, *ja sadiki*. – Starzec dla kurażu poklepuje młodego mężczyznę po plecach. – Cieszę się, że mój bratanek tak świetnie trafił. Dobra, uczciwa rodzina to teraz rzadkość. A w Bajt al-Husna nie przydałby się jakiś miejski wodociąg czy cysterna na wodę? – pyta mężczyznę, w których obejściu będzie organizowana uczta weselna. Oni, całkiem zszokowani i zahipnotyzowani wymienianymi przed chwilą sumami, przytakują tylko. – To do lata pomyślimy o tym, prawda, Hamid? I koniecznie trzeba tam zrobić asfaltową drogę.

* * *

Hamid dość często jeździ do Arabii Saudyjskiej do centrali swojej firmy. Tym razem wyjazd służbowy ma połączyć z zapraszaniem rodziny na uroczystości weselne.

– Jak znam życie, to nie będzie im się chciało tutaj jechać – uprzedza Marysię. – Trzeba się będzie zadowolić lokalną rodzinką.

– To nic, przecież ja też mam niewielu krewnych – pociesza go dziewczyna. – Poza tym wydawanie wesel na sto osób to głupota.

– Ty się łudzisz, że będzie mniej? – śmieje się mężczyzna. – Sama moja rodzina z Tarim to około pięćdziesięciu ludzi. Bez dzieci licząc.

– To od tego hojnego dziadka? Słyszałam co nieco o nim i o waszej szczodrości, tak to określa moja rodzina, a Leila chce zwariować ze szczęścia. – Marysia nie wygląda na zadowoloną.

– A co tobie nie pasuje? Za mało?

– Ja nie jestem na sprzedaż, a czuję się jak towar na piątkowym suku.

– Takie tutaj panują zwyczaje. Zresztą nie tylko w Jemenie czy Saudi. To nasza arabska tradycja i jak na mój gust całkiem dobra.

– Ale...

– To twoje i babci zabezpieczenie na wypadek, gdyby mi się coś stało. Rozvodu nie przewiduję.– Lecz...

– Przestań już, Miriam, bo zacznasz mnie denerwować! Rób z tymi pieniędzmi, co chcesz! Jak ci nie pasują, to oddaj na sieroty!

Hamid z zaczerwienioną ze złości twarzą wychodzi i nie pokazuje się przez następne dwa tygodnie.

Po wyjeździe pana młodego cała rodzina chodzi jak na szpilkach – nie wiadomo, czy boją się stracić przyrzeczone profity, czy nagle Marysia stała się dla nich obca, bo zbyt bogata. Nawet Leila woli spędzać swój wolny czas z Falilem. Babcia przez ostatnie miesiące, niemal rok, żyła własnym życiem, gdzieś na uboczu, więc Marysia straciła śmiałość do bezpośrednich z nią kontaktów. Zresztą co ma jej powiedzieć, że obraziła się, bo narzeczony dał jej za dużo pieniędzy? Chyba wszyscy słyszeli ich ostatnią kłótnię i uważają, że poprzewracało jej się w głowie. A Marysia po prostu nie chce, żeby ktoś pomyślał, że wychodzi za męża dla forsy. Nie wiedziała, że Hamid jest aż tak bogaty, mimo to zakochała się w nim, pokochała człowieka, a nie to, co ma w portfelu.

– *Dear Mary* – zaczyna dyrektor szkoły. – Czy dobrze się zastanowiłaś? Masz szansę na karierę, wyjazd na zagraniczną uczelnię, wyemancypowanie się i wyrwanie z tego arabskiego

wądołka. Dziecko moje! – wykrzykuje na koniec. – Przyznano ci stypendium Erasmusa! Czy wiesz, ile koło tego chodziliśmy, ile zabiegaliśmy?!

– Nikt mnie nie zapytał, czy chcę. Wysłaliście po prostu parę podań w sprawie najlepszych uczniów i trafiło się jak ślepej kurze ziarno. Tutaj jest mój wądołek, jak to pan określa. Może ja nie chcę innego życia i innego świata?

– Marysia odpowiada, buńczucznie patrząc mężczyźnie w oczy.– Ty tutaj nie pasujesz – stwierdza chłodno mężczyzna.

– Ale czego się nie robi dla pieniędzy, trudno ci się zresztą dziwić. Wejść w taką rodzinę i taką fortunę!

Marysia otwiera ze zdumienia usta. Nie może się nadziwić, że plotki tak szybko się rozchodzą. W końcu Sana to ponad półtoramilionowe miasto, a nie jakaś Kozia Wólka.

– Mam tylko nadzieję, że nie zapomnisz o wszystkich dobrodziejstwach, które od nas otrzymałaś – podsumowuje dyrektor. – Włącznie z nielegalnym przyjęciem do szkoły – wymownie patrzy Marysi w oczy. – Ponoć Holding Bin Ladena ma budować autostradę niedaleko nas... Może uwzględniłby zjazd do szkoły?

* * *

Po uciążliwym ostatnim tygodniu przygotowań z Joun Helwa⁴, Nahar al-Guffa⁵, Nahar ar-Rabi⁶ oraz Lajlat al henna al kabira⁷ Marysia pada z nóg. Po dniu męczarni podczas depilacji całego ciała, włącznie z intymnymi miejscami, chyba na pocieszenie dostaje w koszykach kolejne dary od Hamida: wieczorową długą suknię prosto z Paryża, francuskie perfumy i inne kosmetyki, słodczyce, torby od Prady i Gucciego, markowe buty i sukienki oraz wielką kolbę z brylantami w komplecie z bransoletką, kolczykami i dwoma pierścionkami. Patrzy już na te bogactwa spokojnie i przestaje poddawać się emocjom. Kiedy dom okupują małe rozwrzeszczane dziewczynki opychające się ciastkami, Marysia z babcią oraz Aszrafem, Hamid, Falil i wujek *hadżdż* z przyjemnością wymykają się do notariusza, znajomego starego Bin Ladena z Tarim. Podpisanie oficjalnego aktu małżeństwa zajmuje im piętnaście minut. Na koniec składają podpisy, narzeczeni jeszcze odcisk palca, dostają odpis i już są mężem i żoną. W banku sprawa nieco się komplikuje, bo Marysia ma obce obywatelstwo, nie pracuje i nikt ze speców od finansów nie wie, co ma z tym fantem zrobić.

– To może wpłać te pieniądze na Aszrafa? – Zmęczona Marysia znajduje wyjście, lecz wszyscy obecni patrzą na nią jak na wariatkę. – Wyremontuje sobie dom.

– Za dwa miesiące nasza firma się za to zabiera, więc nie widzę potrzeby. – Wściekły Hamid syczy przez zęby.

– To róbta, co chceta! – Dziewczyna ma już wszystkiego dość, zaczyna płakać i wpada w coraz większą histerię. W jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystkie formalności da się załatwić i znużona grupa opuszcza bank.

– Jako że już oficjalnie jesteśmy małżeństwem, to my się z państwem pożegnamy i pójdziemy w swoją stronę. – Hamid bierze pod rękę zapłakaną Marysię i szybkim krokiem zmierza do zaparkowanego przy chodniku mercedesa.

– Ale wesele dopiero jutro! – Przeżona babcia załamuje ręce.

– Nie wyklucza to zjedzenia przez państwa młodych obiadu w Sheratonie, nieprawdaż? – Hamid jest już zmęczony tą nerwową sytuacją, lecz nie zamierza zmieniać planów. – Miriam, nie pozabijajmy się przed weselem. Zróbmy to zaraz po nim. – Mężczyzna żartuje, oddychając głęboko w luksusowym klimatyzowanym samochodzie. Zamyka oczy i opiera głowę na skórzanym zagłówku.

– To znaczy, że już można. – Wykończona Marysia słabo się uśmiecha i wydmuchuje nos

w papierową chusteczkę. – Nie ma także przeszkód, aby pojechać do ciebie. Co ty na to? – Hamid otwiera szeroko swoje czarne wielkie oczy i widać, jak życie znowu w niego wstępuje.

* * *

Ledwo żywa Marysia po upojnym popołudniu i wieczorze, kiedy to z wielkim upodobaniem wielokrotnie oddawała się swojemu świeżo zaślubionemu mężowi, zostaje jeszcze zmuszona przez Leilę do tatuażu henną rąk i stóp.

– A teraz idź spać, bo nie dożyjesz jutrzejszego wieczoru. – Kuzynka patrzy na nią z troską i pochyla się, żeby pocałować w czoło. – Fuj! Śmierdzisz męskim potem! Jak cap! Jak osioł! – wykrzykuje szeptem. – Jakie prześcieradło jutro wystawicie? – pyta przerażona.

– Dzisiejsze – cicho śmieje się Marysia i natychmiast usypia.

Wczesnym popołudniem na starym mieście rozlegają się dźwięki bębenków i trąbek. Tłum kupujących, przechodniów i turystów rozstępuje się na boki, a dzieciarnia toruje drogę grupie wystrojonych mężczyzn. W środku dumnie kroczy Hamid w odświętnym jemeńskim stroju: białej jak śnieg dżalabii, na którą założył czarną kaszmirową marynarkę. Za piękny, ręcznie haftowany pas zatknął najdroższą i najpiękniejszą dżambiję, jaką kiedykolwiek w życiu wykonał Aszraf. Głowę ma owiniętą białą chustą, a na niej wianek z kolorowych kwiatów. Na ramieniu opiera miecz w błyszczącej złotej pochwie. Wokół niego idą mężczyźni przedstawiciele rodu Bin Ladenów z hadżdżem na czele. Starszy mężczyzna ubrany jest w tradycyjny strój saudyjski i wygląda jak czystej krwi książe. Ma na sobie nieskazitelnie białą tobę⁸ z brylantowymi spinkami przy mankietach, z głowy opada mu biała *ghutra*⁹ umocowana za pomocą czarnego *igala*¹⁰. Na ramiona narzucił przezroczystą, przewiewną czarną pelerynę z szeroką złotą lamówką. Falil odróżnia się od starca tym, że nosi biało-czerwoną chustę i brązowy płaszcz. Z tyłu podążają już przeważnie reprezentanci jemeńscy, w większości ubrani konserwatywnie, choć zdarzają się też młodzi w strojach europejskich, takich jak dżinsy i podkoszulek czy kraciasta sportowa koszula.

Aszraf wyprowadza Marysię z domu i ulicę zalewa głośnie *zaharid*¹¹. Dziewczyna ma na sobie tradycyjną szatę ślubną w złoto-bordowe pasy, na niej zawieszoną misternie wykonaną kolię ze złota, sięgającą jej do pasa, na głowie spinkami przymocowano jej złoty diadem oraz wianek z kolorowych małych kwiatuszków. Jej niesforne włosy, pomimo butelki lakieru i żelu, kręcą się wokół tej dekoracji jak węże. Twarz dziewczyny wygląda jak maska, tak gruba jest warstwa makijażu, ale Leila jest z niego bardzo dumna. Mężczyźni z rodziny panny młodej pomagają jej wsiąść na udekorowanego osiołka, z kutasami przy uszach oraz bogato zdobionym tkanym siodłem w czerwono-czarnych barwach.

Aszraf jako opiekun wręcza Hamidowi cugle, w ten sposób symbolicznie przekazując mu Marysię jako żonę. I znów zapanowuje niezemiński hałas trąbek, bębenków, *zaharid*, pisków i krzyków. Państwo młodzi, czyniąc zadość tradycji, dochodzą w ten sposób do Bab al-Jemen. Później, płacząc się w długich szatach, przesiadają się do białego mercedesa, ozdobionego balonikami, kwiatami, z wielką lalką na przedniej szybie. Kierowca rusza z piskiem opon i rykiem klaksonu, by za chwilę utknąć w korku. Reszta gości podąża w swoich autach za młodymi. Kierują się w stronę Wadi Dhahr. Dojeżdżają na miejsce nowiutką asfaltową drogą i rozchodzą się do wielkich kilkudziesięcioosobowych namiotów – jedne są dla kobiet, drugie dla mężczyzn. Dzieci mają wszędzie wstęp wolny i jest ich co niemiara. Podczas uczty mężczyźni po sto razy wykonują swój taniec z nożami, żując przy tym nieustannie *kat*, a dziewczyny podglądają ich i piszczą z radości. Stare kobiety, siedząc w swoim namiocie na materacach na ziemi, oplotkują wszystkich i wszystko. Jedzenia są niewyobrażalne ilości, tak że przyjęcie będzie się ciągnęło do wyczerpania zapasów i sił. Nad ranem z namiotu państwa młodych zostaje

wystawione zakrwawione prześcieradło, co zostaje przyjęte pojedynczym już *zaharid*.

¹ [← powrót do tekstu] *Mahr* (arab.) – wiano narzeczonej, które otrzymuje od przyszłego męża. Dzieli się na dwie części: pierwsza, tzw. *muqaddim*, zostaje wypłacona żonie zaraz po podpisaniu kontraktu małżeńskiego bądź przed nocą poślubną. Druga część zwana *muachchar* jest zabezpieczeniem dla kobiety w razie porzucenia przez męża lub jego śmierci. Kwota ta jest znacznie wyższa od pierwszej.

² [← powrót do tekstu] *Ja hadżdż* (arab.) – pielgrzym (wołacz).

³ [← powrót do tekstu] Szejk (arab.: Szejach) – starszy mężczyzna; tu: urzędnik pełniący funkcję notariusza.

⁴ [← powrót do tekstu] Joun Helwa (arab.) – słodki dzień; dzień depilacji ciała panny młodej przy użyciu płynnego karmelu.

⁵ [← powrót do tekstu] Nahar al-Guffa (arab.) – dzień koszyków wypełnionych prezentami od pana młodego.

⁶ [← powrót do tekstu] Nahar ar-Rabi' (arab.) – dzień wiosny; spotkanie wszystkich dziewczynek do 10. roku życia z rodzin narzeczonych.

⁷ [← powrót do tekstu] Lajlat al henna al kabira (arab.) – noc wielkiej henny; barwienie henną rąk i stóp w noc przed ślubem.

⁸ [← powrót do tekstu] *Tob* (arab. thob) – rodzaj długiej do ziemi męskiej koszuli, z tradycyjnym kołnierzykiem lub stójką i manszetami, zapinana na guziki tylko do pasa.

⁹ [← powrót do tekstu] *Ghutra* (arab.) – chusta na głowę dla mężczyzn.

¹⁰ [← powrót do tekstu] *Igal* (arab.) – również *iqal*; obręcz pleciana z czarnego sznurka, którą umieszcza się wokół głowy, by przytrzymała chustę.

¹¹ [← powrót do tekstu] *Zaharid* (arab.) – okrzyki kobiet przypominające jodłowanie.

Podróż poślubna po Arabii Felix

Marysia z babcią zaraz po zakończeniu uroczystości weselnych w Wadi Dhahr przenoszą się do ogromnej willi Hamida w ekskluzywnej dzielnicy Sany. Nie chce się wierzyć, że to nadal to samo miasto. Jest tam zielono, czysto i bezpiecznie. Prawie przed każdym domem znajduje się budka dla uzbrojonego strażnika, a szeroką drogą co chwilę przejeżdżają wozy policyjne patrolujące teren. Po porwaniach i zamachach na turystów, dyplomatów oraz zagranicznych pracowników, które ostatnimi czasy jeszcze się nasiliły, władze wzmagają środki bezpieczeństwa. Dwupiętrowa willa znajduje się oczywiście za wysokim murem i jest otoczona całkiem sporym ogrodem. Kiedy wjeżdżają do środka, z nieodłączną Leilą, pomagającą na każdym kroku, oraz Falilem, który musi jej asystować, wszyscy są pod ogromnym wrażeniem. Babcia i Marysia dawno nie były w tak wytwornym miejscu. Myślały, że ten okres jest już zamknięty i należy do odległej przeszłości. Teraz wszystkie panie tylko kiwają głowami. Zazwyczaj gadatliwe, umilkły i siedzą w aucie ciche jak trusie.

– No, moje turkaweczki, wysiadamy! – Hamid ze śmiechem otwiera drzwi samochodu. – Musimy wnieść rzeczy, rozlokować się po pokojach, mam jeszcze dla wszystkich parę powitalnych niespodzianek, a obiad już stygnie. Więc *fisa, fisa!*

Dziewczyny, trzymając pod rękę starszą panią, prawie na paluszkach przekraczają próg domu. Walizy i pudła wnosi służba, kelner już stoi z oszronionymi szklankami pełnymi soku pomarańczowego, a młody gospodarz przestępuje z nogi na nogę, chcąc wreszcie zacząć pokazywanie upominków. Szczodroblliwość widać leży w jego naturze.

– Pierwsza Leila, bo jest dla nas z Miriam najbardziej zasłużoną osobą. Najszczęśliwsza powiernica i poplecniczka, nie uchybiając pozostałym. – Wykonuje ukłon w stronę babci i Falila, który uśmiecha się od ucha do ucha.

– Ja? Ale dlaczego? – Kuzynka nie może uwierzyć, że ktoś coś dla niej robi za darmo.

– Chodźcie wszyscy. – Wychodzą na dwór i kierują się w stronę małego domku przy murze, który wygląda na służbówkę. – *Voilà!* – Hamid otwiera drzwi i wpuszcza Leilę pierwszą.

– Aaaaaa! – słyhać tylko pisk dziewczyny, która po chwili rzuca się Hamidowi na szyję. – Skąd wiedziałeś?! Spełniłeś moje najskrytsze marzenie!

– Doszło do mnie, że chyba jesteś w tym dobra. – Hamid odsuwa się na stosowną odległość, żeby nie dostać od spochmurniałego nagle Falila w szczękę. – W tej dzielnicy znajdziesz mnóstwo klientek, a pierwszą oczywiście będzie moja żona.

– *Wallahi!* – Leila chodzi po swoim salonie kosmetyczno-fryzjerskim i dotyka nowiuteńkich, jeszcze zafoliowanych sprzętów. Po pierwszym szoku dziewczyna wzrusza się do łez.

– Hej, ja ci chcę sprawić radość, a ty beczysz?! – Hamid, zaszokowany reakcją Leili, nie wie, co ma zrobić.

– Przepraszam, ale to ze szczęścia. – Jeśli tak, to niech ci będzie. Teraz zapraszam panią babcię na górę. Oczywiście wszyscy mogą jej towarzyszyć.

– Oj, aż się boję. – Peszy się Nadia.

Szerokimi marmurowymi schodami wchodzi na pierwsze piętro. Ta kondygnacja już na pierwszy rzut oka różni się od nowoczesnie wyposażonego parteru. Ściany wyłożono kremowymi tapetami w przyjemny złotobeżowy jesienny wzór, w korytarzu na głównej ścianie stoi piękna stara etażerka z wygiętymi artystycznie nogami, a obok niej zawieszono wielkie lustro w drewnianej ramie w kształcie framugi tradycyjnych arabskich drzwi. Wszystko otaczają kwiaty w doniczkach i miniaturowe drzewka. W kącie, oddzielony od reszty ażurowym

parawanem, znajduje się mały salonik, a w nim sofa, dwa foteliki i piękny stolik ze szklanym blatem. Hamid otwiera wielkie dębowe dwuskrzydłowe drzwi i oczom wszystkich ukazuje się pokój urządony w kolonialnym portugalskim stylu.

– Jeśli w takim tempie wszystkich nas będziesz uszczęśliwiał, to ani się obejrzysz, jak pójdziesz z torbami – żartuje Leila.

– Chyba mu to nie grozi – głębokim basem odzywa się małomówny Falil.

– Panie Hamid. – Babcia, tak jak wcześniej Leila ze łzami w oczach, podchodzi do zadowolonego pana domu. – Sama zgoda na to, żebym ja, stara baba, mogła mieszkać z wami, młodymi, to już było bardzo szlachetne, ale coś takiego, przygotowane specjalnie dla mnie... to już przekracza moje najśmielsze oczekiwania. Jest pan bardzo hojny, Allah to panu wynagrodzi.

– Już to zrobił, dając mi taką wspaniąłą, dobrą i piękną żonę oraz jej uczciwą rodzinę. Moją straciłem, więc, babciu Nadiu, liczę na pani matkowanie. Zauroczona starsza pani nie może wydusić już z siebie ani słowa. Nie odrywa wzroku od pięknych staroci, szczególnie od wielkiego łoża z baldachimem.

– Mój mąż, wieki temu, tuż po tym jak urodziłam mu syna, ojca Marysi, kupił mi sypialnię podobną do tej – mówi jakby sama do siebie, dotykając pięknej satynowej narzuty.

– Tak, babciu! – wykrzykuje Marysia, klaszcząc w dłonie.

– Teraz sobie przypominam, że miałaś piękny, elegancki pokój w naszym rodzinnym domu w Trypolisie. Co się stało z meblami?!

– Twój tata sprzedał razem z wszystkim, co mu wpadło w rękę... – Kobieta zawiesza głos i na nikogo nie patrzy. Czując się niezręcznie, wszyscy wymykają się po cichu. Jedynie Marysia na palcach podchodzi do babci i obejmuje ją ramieniem. – Przepraszam cię, wnuczusiu, że naciskałam na ciebie i twierdziłam, że podejmujesz złą decyzję i rujnujesz sobie życie i karierę – szepcze starsza Libijka, wtulając głowę w ramię Marysi. – Jeśli się spotka uczciwego człowieka, pokocha go, to nie należy zwlekać ani czekać nie wiadomo na co, taka prawda. Jesteś mądrzejsza ode mnie albo twoje serduszko tak dobrze ci odpowiedziało.

– Babciu...

– Daj mi skończyć, kochanie. Widzisz, nauka to bardzo wiele, ale nie wszystko. Mamy przykład naszych dwóch Malik: obie wykształcone, obie robiły karierę, ale cały czas były samotne i nieszczęśliwe. Może tobie uda się pogodzić te dwie sprawy. Masz nowoczesnego i uwielbiającego cię męża. Bądź z nim i realizuj swoje ambicje, a jeśli będziesz czuła, że uszczęśliwi cię bycie żoną i matką, to nie zwracaj sobie głowy resztą. – Wzdycha ciężko. – Marysiu, patrz!

– wykrzykuje nagle i ciągnie dziewczynę do okna. – Obdarował wszystkich, a teraz my zostawiliśmy go samego. – Nadia pokazuje brodą na spacerującego po ogrodzie Hamida. – Pędź do niego, kochanie, i nigdy nie pozwól mu czuć się opuszczonym.

– Hamid! – krzyczy wychylona przez otwarte okno Marysia. – Czekaj tam na mnie, już lecę!

* * *

Cały pierwszy tydzień po przenosinach babcia i Marysia kręcą się po wielkim domu, a za nimi jak cień snuje się zachwycona Leila. Babcia otworzyła metalową skrzynię, wysłaną z Libii, której nie tknęła od przyjazdu do Sany. Leżała od roku wraz z innymi torbami w dobudówce na dachu i kurzyła się, gdyż rzeczy, które się w nich znajdowały całkowicie nie pasowały do otoczenia na starym mieście. Natomiast tutaj są jak znalazł. Kierowca jeździ raz za razem do pralni chemicznej, oddaje do czyszczenia eleganckie kaszmirowe czy satynowe kobiece kostiumy i garnitury. Zwozi również masę niezbędnych rzeczy, które zamawiają kobiety. To brakuje

czegoś w kuchni, kwiaty w salonie uschły, to firany się wystrzępiły. Mieszkanie mężczyzny różni się zasadniczo od tego, które jest urządzone kobiecą ręką. Staje się to widoczne już po paru dniach.

– Ojejku, ale tutaj zrobiło się po domowemu – komentuje z zachwytem Hamid, rozsiadając się wygodnie w salonie. Jak wy to robicie, moje baby kochane? – Szczęśliwy przytula do siebie Marysię i głęboko wzdycha.

– To drobiazg, mamy to we krwi – odpowiada zadowolona babcia, częstując przy tym chrupiącymi makaronikami domowej roboty.

– Myślę, że już czas, żebyśmy pojechali w podróż poślubną – zagaja mężczyzna. – Nadiu, nie obrazisz się? Nie będziesz czuła się samotna?

– Ależ skąd! Nie żartuj! – wykrzykuje oburzona. – Za chwilę przeleci wam miodowy miesiąc i kiedy pojedziecie, jak nie teraz? Na starość? Poza tym świątek piątek mam Leilę, która jest w stanie zastąpić dziesięć osób i przy której nie sposób się nudzić. Będzie mnie codziennie czesała, aż całkiem wylecą moje stare siwe włosy. – Wybucho szczęśliwym młodzieńczym śmiechem.

– A może bym się tak dowiedziała, dokąd się wybieramy? – pyta naburmuszona Marysia. – Ja nie lubię, kiedy wszystkie decyzje są podejmowane poza mną, bez mojej wiedzy i konsultacji – złości się. – Czuję się trochę ubezwłasnowolniona.

– Nie przesadzaj, moje dziecko – skonsternowana babcia zwraca jej uwagę. – Nie narzekaj, kiedy nie masz na co.

– Jestem jak skowronek w złotej klatce! – Dziewczyna wstaje i zaczyna nerwowo chodzić po salonie. – Nie za bardzo mi to pasuje!

– Marysia ma trochę racji. – Hamid smutnieje. – Tak, teraz to widzę i wcale się nie gniewam za te szczerze słowa. Siadaj. – Klepie dłonią miejsce obok siebie, a nadąsana dziewczyna przysiadła na jednym półdupku. – Zrozum, kochanie, od lat jestem sam i sam decyduję o wszystkim, bez żadnych sugestii czy porad. Tak do tego przywykłem, że nawet nie pomyślałem, że ludzie ustalają coś wspólnie.

– *Wallahi*, jaki dobry chłopiec! – entuzjastycznie wykrzykuje babcia i teatralnie kładzie dłonie na sercu. Jest bezgranicznie zakochana w Hamidzie. Tak jakby był jej własnym synem. Pochyla się nad mężczyznę i całuje go w czoło, na co ten spieka raka ze wstydu.

– *Ahlan wa sahlán* wszystkim! – W tym momencie do salonu wpada zziębnięta Leila i staje zamurowana. Po chwili wybucho swoim zaraźliwym śmiechem. – Nadiu, opanuj się, nie odbijaj wnuczce męża!

– Leila, cicho siedź, to może dowiemy się, gdzie mój łaskawy mąż, pan i władca, bierze mnie w podróż poślubną. – Marysia usadza kuzynkę zimnym tonem i lodowatym spojrzeniem.

– No jak to gdzie, po Jemenie! – Krewniaczka strzela bez zastanowienia.

– Jednak z kimś konsultujesz decyzje. – Marysia natychmiast wstaje i wybiega z salonu.

* * *

– Tylko już bez niespodzianek, proszę. – Nie do końca udobruchana młoda żona wsiada do białego land cruisera.

– Ja w ogóle nie wiem, po co nam trzy auta i jeszcze ci obcy ludzie. Romantyczna podróż poślubna, ha! – Babcia, słysząc te słowa, wywraca oczy do góry, a Leila podśmiechuje się cicho. – Tu jest więcej broni niż w całym Jemenie! Czy my jedziemy na wojnę? – kontynuuje Marysia, zaciskając ze złością wargi i patrząc spode łba na swojego małżonka, który uwija się jak w ukropie, dopakowując ostatnie rzeczy. Sam sobie wymyślił, sam zaplanował, to niech sam się pakuje.

– Najpierw przeprawimy się przez pustynię Rub al-Chali, aby dojechać do najpiękniejszej części Jemenu, to znaczy Wadi Hadramaut. Tam znajdziemy niezwykle miejsca ze starożytnymi pozostałościami, historycznymi zabytkami oraz różnymi dziwami natury i architektury. Spodoba ci się – opowiada niezrażony Hamid, patrząc przed siebie na drogę. – Wyjechaliśmy w południe, bo kiedy słońce zacznie zachodzić, dotrzemy do przepięknych wydm, po których trochę pohasamy. Jak będziesz chciała, to też możesz pojeździć autem, zobaczymy, jak ci pójdzie, hm?

– zagają rozmowę. – Dzisiejszą noc spędzimy w kotlinie wśród czerwonych diun, rozpalimy ognisko, upieczemy kiełbaski, pospiewamy piosenki. Jutro dotrzemy do stolicy legendarnego królestwa Saby, pozwiedzamy i ruszamy dalej. Będziemy jechać aż do zmroku, znów rozbijemy obóz na pustyni, a pojutrze zobaczysz cuda architektury w miejscowości Szibam, zwanej Manhattanem pustyni, oraz rodzinne miasto wuja, którego wraz ze wszystkimi krewniakami poznałaś na weselu. Będziemy mieszkać u nich w Tarim, chwilę się pokęcimy, pozwiedzamy, a później w drogę, ale nie powrotną. Jeśli wystarczy nam czasu, to podskoczmy do Adenu nad morze, posiedzimy na plaży, popalamy się, pobyczymy w pięciogwiazdkowym hotelu... – zawiesza głos, nie słysząc żadnego odzewu za strony swojej towarzyszki.

Marysia ma nieprzeniknioną twarz i wygląda, jakby spała z otwartymi oczami. Zdradza ją jedynie odruch ściskania szczęk, świadczący o ciągłej złości. Samochody gwałtownie zjeżdżają na wyboistą pustynną drogę. Prowadzi land cruiser, którym jadą państwo młodzi wraz z torbami pełnymi rzeczy osobistych i zgrzewką pitnej wody mineralnej, za nimi pikap wypakowany kanistrami z wodą do mycia i paliwem oraz workami opału na ognisko i namiotami; konwój zamyka jeep ze składanymi krzeselkami, stolikiem, matami i dywanem oraz lodówkami z jedzeniem. We wszystkich autach jest broń maszynowa i pistolety, nie licząc oczywiście džambii, które są przecież nieodłącznym atrybutem każdego Jemeńczyka. Marysia zastanawia się, czy mają granaty i wyrzutnie rakiet i pod wpływem tych myśli uśmiecha się pod nosem.

– O nic nie zapytasz, nic nie skomentujesz, nie skrytykujesz? – Hamid nie jest w stanie dłużej znieść jej milczenia.

– Niby co i po co? – burczy kobieta. – Gdybym wcześniej wiedziała, gdzie się udajemy, to mogłabym coś sobie poczytać na ten temat, czegoś się dowiedzieć. A tak to jestem ciemna jak tabaka w rogu. Liczysz, że będę cię zasypywać pytaniami, a ty okażesz się alfą i omegą?

– Zachowujesz się jak mała dziewczynka! – wybucha młody małżonek. – Jakaś kretyńska rywalizacja, której nie jestem w stanie pojąć! Byłaś najlepsza w klasie? – pyta na koniec.

– Tak, zawsze.

– To by trochę tłumaczyło sprawę – milknie, ściągając usta w ciup.

W aucie słychać tylko wycie silnika i stukot małych kamyczków o podwozie. Otacza ich monotonny, dziki, lecz przepiękny krajobraz. Jak okiem sięgnąć ciągnie się zwirowa pustynia, na której wiatr wyłobiał podłużne, ciągnące się w nieskończoność fale. Samochody rozpędzają się do zawrotnej szybkości, może dlatego, że prowadzi wściekły Hamid, który wyżywa się na silniku swojego auta. Marysia widzi z tyłu mrugające lampy pozostałych, lecz jej mąż chyba ich nie zauważa, prując bez namysłu przed siebie. Na chwilę odrywa rękę od kierownicy i włącza głośną arabską muzykę. Kobieta czuje dreszcz emocji i gęsią skórę na plecach, strach i podniecenie zapierają jej dech w piersiach. Na horyzoncie majaczą zamglone kształty, ni to zwierząt, ni namiotów czy gór, a wszystko to na tle czerwonej aury, drgającej od wysokiej temperatury. Samochody łykają kilometry i jadą już teraz w równej linii. Po pewnym czasie jeden zostaje z tyłu, później drugi się zatrzymuje, lecz nic nie dociera do wściekłego młodego żonkosia. Gdy robi się coraz ciemniej, orientuje się w końcu, że są sami, bez wozów z ochroniarzami, jedzenia, namiotu, z jednym starym kałasznikowem na tylnym siedzeniu. Przed nimi wyrastają jak spod ziemi wysokie na ponad sto metrów diuny. Marysia zauważa na nich jakiś błysk, później drugi w

innym miejscu. Myśli, że to kawałki szkła lub minerałów odbijają zachodzące słońce. Ni stąd, ni zowąd pojawiają się ludzie pustyni na wielbłądach, w turbanach na głowach, długich powiewających szatach, z zasłoniętymi twarzami. Każdy z nich trzyma w ręku karabin, wymachuje nim buńczucznie i wydaje przy tym triumfalne okrzyki. Dziewczyna czuje się jak w kadrze starego filmu przygodowego, lecz gdy słyszy strzały oddawane w powietrze, ze strachu kuli się i siada na podłodze wozu. Wkłada głowę między kolana. Hamid nie zdążył sięgnąć po broń na tylnym siedzeniu, kiedy drzwi od jego strony otwierają się gwałtownie i zostaje on brutalnie wyciągnięty i rzucony na ubity piach.

– *Szuf, mar'a!*¹ – Jakiś zawszony typ wsadza do wozu swój łeb, zawinięty w brudną szmatę na kształt turbanu, spod którego widać tylko jego szalone błyszczące oczy. Marysia kuli się jeszcze bardziej, lecz inny oprawca otwiera drzwi od jej strony i wyrzuca ją w powietrze jak piórko.

– *Chalas, ja achi, chalas!*² – Na pięknym gniadym koniu podjeżdża do nich mężczyzna w czarnej rozwianej szacie, z nakrytą głową, lecz odsłoniętą twarzą. – *Jekwi!* – uspokaja co najmniej dziesięciu dzikich popleczników. – Są nam potrzebni do ważniejszych spraw, a nie żeby ich od razu zabijać! – krzyczy chrapliwie. – Wy, psy jedne, wy synowie osła, słuchać mi tu! – Zeskakuje z konia, podbiega do grupy Arabów i okłada ich na odlew pejczem.

Hamid podnosi się z ziemi, aby dostać się jak najbliżej Marysi, lecz kiedy usiłuje stanąć na nogach, wszyscy skaczą w jego kierunku z wrzaskiem. Kolejne razy herszta usadzają ich w miejscu.

– Pojedziecie z nami, panie – mówi przywódca bandy. – Potrzebujemy was i jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, jutro oddalicie się w swoją stronę.

– To jest napad, porwanie, ty synu zawszonej wielbłądzicy! – Hamid prostuje poobijane plecy i patrzy buńczucznie w oczy oprawcy. – Nie wiesz, z kim masz do czynienia!

– To ty, młodziku, nie masz pojęcia, ile ja wiem. – Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna przyskakuje do szczupłego miejskiego eleganta i łapie go za gardło.

– Związać ich, bo widzę, że po dobroci nie pójdzie!

Ze skrępowanymi rękami i nogami zostają wrzuceni do bagażnika własnego land cruisera. Za kierownicą siada lider porywaczy. Zaczyna się podróż w nieznaną w zapadającym coraz szybciej mroku. Uprawdzeni nawet nie próbują podnieść głów, dookoła słyszą tylko nawoływania Beduinów, lecz żadnego silnika innego auta.

– Gdzież ci debile się podziali? – Hamid szepcze do Marysi. – Nogi im z dupy powyrywam!

– Na tamtym świecie to będzie ciężko – odpowiada dziewczyna, czując ból rozsadzający jej potłuczoną czaszkę.

– Oni czegoś chcą, bo gdyby zamierzali nas zabić, już byśmy nie żyli. – Mężczyzna myśli logicznie.

– Miejmy nadzieję. A może to jedna z twoich niespodzianek czy atrakcji, które dla mnie przygotowałeś?

– Uśmiecha się kąśliwie.

– Nigdy sobie nie odpuszczasz?

Samochód po dobrej półgodzinie zatrzymuje się. Posiniaczona para widzi światła błyskające wśród czerni pustynnej nocy. Na zewnątrz auta wzmaga się ruch i wrzawa. Porwani zastanawiają się, z duszą na ramieniu, co ich teraz czeka. Samosąd, straszliwa śmierć na torturach, gwałt, ukamienowanie, posiekanie czy tylko humanitarne obcięcie głowy przed kamerą? W miarę delikatnie zostają wyciągnięci z bagażnika i postawieni na miękkim piasku. Z przerażeniem rozglądają się dookoła. W mroku widzą kontury wysokich palm, dalej zarysy

namiotów, glinianych domów, starą kamienną studnię, czują odór zwierząt i stajni, słyszą pobekiwanie owiec, kóz i buczenie wielbłądów. Ktoś schyla się i rozwiązuje im pęta u nóg i rąk, następnie są popychani w kierunku centrum osady. Stoi tam spory ceglasty budynek, z którego drzwi i okien wypływa w ciemność nocy ciepły żółty blask.

– Witam, panie Bin Laden. – Naprzeciwko wejścia, na poduchach, pałac arabską fajkę wodną, siedzi stary pomarszczony mężczyzna. – Jak się pan ma? Jak rodzina? – zadaje klasyczne powitalne arabskie pytania, tak jakby nie rozmawiał z porwanymi przez siebie ludźmi, lecz z najlepszymi, długo niewidzianymi przyjaciółmi czy rodziną.

– Dziękuję, dobrze. – Hamid podejmuje grę, bo czuje, że toczy się ona o najwyższą stawkę, ich życie. – A jak twoje zdrowie, *ja szejch*³? – odpowiada grzecznie, chyląc głowę przed starcem. – Jak życie, jak interesy, jak handel, wypas...?

– *Szukran dżazilan, ja walad*⁴. Proszę, siadajcie. – Wskazuje na wolne materace obok niego. – Na pewno jesteście spragnieni, głodni i znużeni drogą. Taka ta nasza pustynia niegościnna dla obcych, ale dla nas jest jak matka, jedna jedyna. – Klaszcze w dłonie i na ten znak młode kobiety wnoszą dzbany z wodą, sokami i winem daktylowym, pełne misy dymiącego, aromatycznego jedzenia i koszyki z gorącym beduińskim chlebem. – Czym chata bogata – mówi z zadowoleniem, wskazując na pokrytą dywanem podłogę u ich stóp, gdzie wszystko zostało postawione.

Do pomieszczenia wchodzi jeszcze trzech mężczyzn, między nimi znany uprowadzonym właściciel pięknego arabskiego konia. Siadają wokół jedzenia i zaczynają je pochłaniać, używając do tego tylko własnych palców i płaskich chlebków.

– *Last supper*. – Marysia szepcze po angielsku do męża, a jej wielkie migdałowe oczy tchną żalem i smutkiem.

– Spiskujecie?! – Starzec od razu się nastrosza, spina w sobie i kładzie rękę na nieodłącznej dżambii.

– Ależ skąd! – wykrzykuje Hamid. – Moja żona, jak sam widzisz, to cudzoziemka. Powiedziała, że musi skorzystać z toalety i umyć ręce. Nie chciała tego mówić do obcego mężczyzny, bo to dobra *zolta*⁵.

– Chyba że tak. – Beduin oddycha z ulgą.

Po tym drobnym incydencie uczta trwa dobre dwie godziny. W jej trakcie starszy mężczyzna opowiada o trudnym życiu, marnych zbiorach w oazie i pustyni, która pożera każdą piędź dobrego gruntu. Pod koniec, po paru szklankach mocnego wina daktylowego, nowożeńcom jest go nawet żal.

– Czy twoja osada nie potrzebuje jakiejś pomocy? – pyta na koniec Hamid.

– Nie potrzebujemy jałmużny! – błyskawicznie denerwuje się drażliwy rozmówca. – Nie jesteśmy jakimiś żebrakami z ulicy, jesteśmy Beduinami, solą tej ziemi.

– Na Allaha! – wykrzykuje młody, sprytny Saudyjczyk. – Toż Bóg skierował me kroki do was i jego w tym palec, a nie moja jałmużna! – mówi, jakby czytał Koran, a pijana już Marysia kontroluje się jeszcze na tyle, żeby nie zacząć się śmiać.

– Dobrze mówisz, mój przyjacielu! Słyszałeś, Fajsal, jakiego mądrego człowieka do mnie przywiozłeś?! – Śmiejąc się bezzębnymi ustami, starzec pochyła się w stronę krewniaka i jednocześnie klepie Hamida po plecach.

– Wyłuszczy zatem sprawę, a kobiety niech przyniosą *szaj* i słodycze.

Chodzi o banalną rzecz, może nawet nie tak drogą, którą ludzie z miasta na co dzień nie zawracają sobie głowy. Ta osada i dwie inne z nią sąsiadujące potrzebują zbiornika na wodę, inaczej przyjdzie im umrzeć albo będą musieli opuścić rodzinne gniazdo. Tymczasem większość z tutejszych urodziła się na pustyni i nie wyobraża sobie życia poza nią. Nawet kiedy wypasają

zwierzęta w innym, odległym miejscu, to wiedzą, że mają dokąd wrócić, że mają swój dom w tej właśnie oazie.

– Rano zobaczysz, jak u nas jest pięknie. I jaka tu żyzna ziemia, tylko trzeba ją poić i poić, a studnia ledwo starcza dla nas i zwierząt.

Hamid z Marysią dostają najpiękniejszą, wybieloną i czyściutką chatę, z żelaznym łóżkiem ze sprężynami, zdezelowaną starą komodą z lustrem, blaszaną miską na stelażu i wiadrem wody. Jest tam też jedno krzesło. Kiedy się kładą, słyszą otaczającą ich pustynię, śpiewy cykad w gałęziach palm, chrobotanie jakiegoś robactwa w ścianach i wycie dzikich zwierząt na pobliskich piaskach. Od czasu do czasu odzywa się puszczyk i słychać płacz dziecka. Przy tej błogiej dziewiczej muzyce zapadają w głęboki sen. Rano Marysia znajduje pod drzwiami ich walizki, dwie butelki z wodą mineralną oraz dwa wiadra świeżej, lodowatej wody ze studni. Na śniadanie dostają półmisek słodkich daktyli oraz *leben*⁶. Po skomplikowanej toalecie, nadal niepewni, wychodzą przed dom. Tam czeka już na nich tłumek mężczyzn i kobiet. Hamid otrzymuje telefon satelitarny w garść i udaje się na negocjacje. Marysia zostaje zaciągnięta na mały placyk, gdzie bawią się dzieci i dookoła którego rozsiadły się kobiety. Po chwili dziewczyna orientuje się, że u ich stóp w koszykach leżą przepiękne srebrne wyroby. Beduinki z wytatuowanymi twarzami pokazują jej na migi, żeby przymierzała biżuterię bez obaw, a one w tym czasie dotykają jej kręconych jasnych włosów.

– *Zahab, zahab*⁷ – szepczą między sobą, nie mogąc uwierzyć, że to natura tak wyposażyła dziewczynę.

Po południu, po kolejnym sutym posiłku uprowadzona młoda para odjeżdża własnym samochodem z gościnnej, czule ich żegnającej osady. Przed nimi rozlatującym się terenowym wozem jedzie przewodnik, który ma ich wyprowadzić na główny trakt. Dwa pozostałe auta podobno czekają już w Marib. Cały bagażnik mają zapakowany prowiantem: daktylami, jeszcze ciepłymi podpłomykami, kozim serem i mlekiem, baniakami z lebenem, butlami soku z morwy i granatu, oliwkami, osełką domowego masła, a Marysia trzyma na kolanach wielką szkatułkę pełną przepięknej, ręcznie robionej srebrnej biżuterii. Biedne beduińskie kobiety pragnęły ją obdarować i nie chciały absolutnie żadnej zapłaty. Sprytny Hamid rzucił pieniądze między dzieciaki i tak rozwiązał sprawę.

– O co im tak naprawdę chodziło? – pyta Marysia, kiedy jadą już dobrze sobie znaną trasą.

– Słyszałaś wczoraj, chcą, żeby im wybudować zbiornik na wodę, bo inaczej wszystko szlag trafi, włącznie z nimi samymi.

– Nie chce mi się w to wierzyć! Porywają ludzi, żeby załatwić wykopanie jakiejś tam studni? Tak się to tutaj załatwia?

– Czasami, teraz, niestety, coraz częściej. Ci dzicy Beduini podczas takich negocjacji przez przypadek mogą cię zabić. To nie byli terroryści, tylko po prostu biedni ludzie, którzy nie widzą innej drogi niż przemoc i szantaż.

– Okazuje się, że firma już podpisała rządowy kontrakt na tę robotę i będzie stawiać w tym rejonie dziesięć cystern na początek, a później może nawet więcej.

– To co, do diabła, jest grane? – denerwuje się zszokowana Marysia.

– Jakoś nikomu nie wpadło do głowy, żeby poinformować o tym zainteresowanych.

* * *

Po dwóch tygodniach tułaczki od hotelu do motelu, od namiotu do prymitywnego, śmierdzącego moczem i wielbłądzim łajnem hostelu, po mieszkaniu w pałacu bogatego wuja, gdzie wszyscy nadskakiwali im jak książętom, Marysia i Hamid pakują manatki do swojego land

cruisera i z westchnieniem ulgi ruszają w powrotną, choć nieco okrężną drogę.

– Jakie niespodzianki jeszcze dla mnie szykujesz? – pyta zmęczona podróżą i zwiedzaniem, lecz ostatecznie zadowolona Marysia.

– Myślę, że jak na jeden wyjazd wystarczy – odpowiada Hamid. – Zabytki zaliczone, rodzinka odfajkowana, prezenty zebrane... No i jeszcze małe porwanko po drodze.

– Uśmiecha się sceptycznie.

– Może byśmy już wrócili do domu, hę? – przerywa mu młoda żona. – Tęsknię za babcią i normalnym, troszkę bardziej luksusowym życiem. Królestwo za wannę, balsam do ciała, własną kuchnię i moją ulubioną kawę! – żartuje.

– Mówiłem, że z Tarim nie jedziemy prosto do Sany, pamiętasz? Odbijemy trochę na północ w stronę prowincji Saada, ale nie zapuścimy się za daleko. Za Amran w osadzie Al-Dżabaj mieszka moja babcia i daleka rodzina, więc wpadniemy powiedzieć *Hello!* i wtedy możemy już wracać – niespodziewanie zmienia plany mężczyzna.

– Miał być Aden nad morzem, o ile mnie pamięć nie myli – sprostowuje niezadowolona dziewczyna. – Taki ważny ten Dżabaj, gdzie diabeł mówi dobranoc, że musimy się tam tłuc? Czytałam, że do tej prowincji lepiej się nie zapuszczać.

– Chcę, żebyś poznała moją babcię. Nie mam nikogo innego z najbliższej rodziny, ale jeśli trzy dodatkowe dni to dla ciebie za dużo...

– No dobrze, już dobrze! – Speszona Marysia czuje wyrzuty sumienia. – Przecież nic takiego nie mówiłam.

¹ [← powrót do tekstu] *Szuf, mar'a!* (arab.) – Patrz, kobieta!

² [← powrót do tekstu] *Chalas, ja achi, chalas!* (arab.) – Dość, mój bracie, dość!

³ [← powrót do tekstu] *Ja szejch* (arab.) – starcze (wołacz).

⁴ [← powrót do tekstu] *Szukran dżazilan, ja walad* (arab.) – Bardzo dziękuję, chłopcze.

⁵ [← powrót do tekstu] *Zolza* (arab. libijski) – żona.

⁶ [← powrót do tekstu] *Leben* (arab.) – rodzaj jogurtu lub kwaśnego mleka.

⁷ [← powrót do tekstu] *Zahab* (arab.) – złoto.– No i co? Zrobicie to dla nich?

Rebelianci Al-Houti¹ i związki z Al-Kaidą

Po przejechaniu paruset kilometrów nieprzyjaznymi, odludnymi wertepami Rub al-Chali nawet wytrzymały Hamid czuje przytłaczające go zmęczenie. Tym razem samochody jadą albo zbitą kawalkadą, albo ściśle jeden za drugim. W nocy co najmniej dwóch mężczyzn stoi na warcie i wszyscy mają broń przygotowaną do strzału.

– Teraz już naprawdę czuję się, jakbyśmy jechali na wojnę – mówi lękliwie Marysia. – Po co się tam pchamy? Nie możesz babci zaprosić do siebie?

– Jeśli dla ciebie trasa jest tak męcząca i stresująca, to co dopiero dla rozsypującej się starowiny. Zresztą nie widziałem jej wieki, nie przyjechała nawet na pogrzeb matki. Tacy ludzie są jak grzyby, nie przesadzisz ich.

– To skąd to nagle twoje zainteresowanie babcią?! Wytrzymałeś bez niej sam nie wiesz już jak długo i teraz nagle naszła cię tęsknota? Ile razy w życiu w ogóle ją widziałeś? – atakuje Marysia, nie dając za wygraną.

– Mam akurat tam wcześniej umówione spotkanie, a przez cholerne porwanie i opóźnienia nie zdążę już odwiedzić cię do Sany. Jeśli chcesz wcześniej być w domu, możesz wracać z kierowcą – w końcu wyznaje mężczyzna. Więcej nie mówią już ani słowa, a Marysia zagryza wargi, woli jednak zostać z mężem.

Po przejechaniu przez Amran, dość nieciekawą mieścinę, zatrzymują się nieoczekiwanie w wyschniętym oliwnym gaju.

– Lepiej będzie, jak wtopisz się w otoczenie – to mówiąc, Hamid podaje Marysi czador, *nikab*, czarne rękawiczki oraz czarne skarpety i buty. – Tam raczej nie widują cudzoziemek, chyba że takie, które porwali. Lecz nie robią tego dla prostych do spełnienia żądań typu budowa drogi czy cysterny z wodą. Stawiają polityczne warunki, które rzadko są wysłuchiwane. Lepiej się nie odzywaj w towarzystwie, żebyś czegoś nie palnęła, a z babcią to proszę ogólnikowo i nie staraj się zmieniać jej poglądów. Resztę wyjaśnię w domu. – Młody małżonek stał się nagle zupełnie innym, nieznanym Marysi człowiekiem. Jest skupiony, oschły, obcesowy i zimny jak lód. Dreszcz przechodzi jej po plecach. Cóż za zmiana w zachowaniu, a także w wyglądzie: mężczyzna zakłada przybrudzony, zmięty strój jemeński z džambiją, ale nie taką, którą nosi się dla ozdoby, bo przed ruszeniem w dalszą drogę sprawdza jeszcze jej ostrze.

Osada Al-Dzabaj to mała forteca otoczona murem z wielkich starych kamieni. Na jego szczycie co parę metrów widać stanowiska karabinów maszynowych. Przy bramie kontroluje ich na oko trzynastolatek, który mierzy w ich kierunku odbezpieczonym kałasznikowem. Słyszac „Bin Laden”, szeroko otwiera drewniane, wzmocnione metalowymi okuciami odrzwia. Na centralnym placu nie słycać śmiechu dzieci czy jazgotu kobiet, chyba nawet one zaangażowane są w bratobójczą wojnę. Przerażona Marysia nie jest w stanie nawet wypuścić pary z ust, a co dopiero zadawać pytania. Jeden z ochroniarzy popycha ją dwoma palcami w kierunku brudnego kamiennego budynku, który składa się z jednej izby, przepierzonej tylko patykami, aby oddzielić stajnię od domu. Małe okienka nie dają ani wystarczająco światła, ani powietrza, więc w środku odór zwierzęcy miesza się z ludzkim, a wszystko to jest spowite obłokami dymu z wodnej fajki. Na środku siedzi stara jak świat kobieta. Jej wytatuowana twarz niczego nie wyraża. Prawdopodobnie staruszka podsypuje sobie do szczy haszysz, jej półprzymknięte oczy przykrywają opadnięte pomarszczone powieki. Kobieta nie ma brwi, a odsłonięta głowa jest prawie łysa, widać jedynie parę siwych pasm rzadkich, sklejonych od brudu włosów. Zakrzywionym jak krogulec i ubarwionym henną palcem pokazuje dziewczynie miejsce przed sobą na starym wytartym zydłu ze skrzyżowanymi nogami. Marysia, siadając, omalże nie

łąduje na brudnej, podziurawionej macie przykrywającej klepisko. Wstrzymuje oddech, bo stara Arabka przypomina jej czarownicę albo wstrętnego złośliwego dzina, mieszkającego w górskiej jaskini.

– To taką sobie wziął żonę mój wnuk, Bin Laden, niech Allah czuwa nad mścicielem Osamą. – Starucha zaczyna mówić skrzekliwym głosem. – Obyś mu dobrze służyła i wypełniała polecenia Koranu! – wrzeszczy nagle, machając trzęsącymi się rękami. – Pamiętaj, że twój mężczyzna ma nad tobą wyższość! „Wasze kobiety są dla was polem uprawnym. Przychodźcie więc na wasze pole, jak chcecie, i czyńcie pierwaj coś dobrego dla samych siebie”². Tak powiedział Pan! Czynisz tak?! – krzyczy ponownie.

– Tak – szepcze speszona Marysia, poprawiając *nikab* i naciągając na oczy dodatkową zasłaniającą siatkę.

– Moja córka zapłaciła ogniem piekielnym za swoją rozpustę i wszystkie swoje brudne czyny! Gehenna! – gromko kontynuuje kobieta, zaciągając się przy tym głęboko dymem. – Gdyby pozostała tam, gdzie jej miejsce, żyła w pokorze i głębokiej wierze, to Allah by jej tak nie ukarał!

Marysia szybko przebiega w myślach wszystkie informacje na temat matki Hamida, które zechciał jej powiedzieć. Nie ma tego wiele, więc dziewczyna nie wie, o czym babka mówi. Jednak domyśla się już, gdzie jest. Zdążyła się zorientować, że nowo upieczony małżonek zabrał ją w podróży poślubnej do siedziby rebeliantów Al-Houti, o których tyle trąbi się w gazetach. Tylko co on tutaj robi?!

– Zachciało się nauki, zachciało się wielkiego świata, to masz babo placek! Do miasta żeby dziewczyna jechała, do jakichś szkół chodziła, kto to widział?! A mój stary, idiota – rozsierzdzona babka snuje swój wątek – na wszystko jej pozwalał, z wszystkiego się cieszył i jeszcze twierdził, że nauka to przyszłość. I co jej to dało?! Daleka rodzina w mieście nie ma głowy do pilnowania czyichś dziewczuch, przecież nikt nie miał czasu, żeby za nią na uczelnię biegać. A ci złoczyńcy, zbrojeńcy, niewierni – kobieta aż zapluwa się ze złości – parszywi Amerykanie specjalnie dali te głupie stypendia dla naszych gołąbeczek, żeby je wykorzystać, pohańbić i poniżyć. – Stara chwyta się za resztki włosów na głowie i targa je do tego stopnia, że powyrywane lecą na wszystkie strony. Po chwili kuli się, ramiona jej opadają i opuszcza twarz w kierunku ziemi, a w końcu kładzie głowę na kolanach. Marysia zamiera z przerażenia, że babcia z nadmiaru emocji zaraz zejdzie z tego świata. – „Zapłatą dla tych, którzy starają się szerzyć zepsucie na ziemi, będzie tylko to, iż będą oni zabici lub ukrzyżowani albo też obetnie im się rękę i nogę naprzemianlegle, albo też zostaną wypędzeni z kraju”³ – szepcze w ekstazie babka, ukazując przy tym jedynie białka oczu.

Zanim Marysia zdąży pomyśleć, że cytat z Koranu dotyczy zupełnie innej epoki, wydarzeń i sytuacji, na równe nogi zrywa ją odgłos wiwatów i wystrzałów. Chce wybiec przed dom, lecz jak zamurowana staje z boku, przy jednej ze zmurszałych ścian, i chowa się za jakiś anemiczny krzak.

– Niech żyje Abdul Malik⁴! Śmierć Ameryce! Śmierć Izraelowi! My chcemy imamat! Precz Ali Abdullah Saleh!⁵

– Potężna grupa mężczyzn wymachujących dzambijami, karabinami i mieczami stoi na środku placu i skanduje wywrotowe hasła.

Pomiędzy nimi Marysia widzi swojego męża. Kiedy fala uniesienia słabnie – mężczyzn chyba rozbolały gardła od krzyku – rozdzielają się na grupki i stoją dalej, burzliwie dyskutując i wymachując rękami. Wielokrotnie po piątkowej modlitwie w meczecie dziewczyna widziała całkiem odmienionych, podburzonych wiernych. Tutaj także musiał przemawiać ekstremistyczny imam i zagrzewać tych biednych, niewykształconych ludzi do strasznych czynów.

– Masz pozdrowienia od wuja Osamy, synu. – Marysia słyszy tubalny głos dochodzący z grupy, do której przyłączył się jej mąż. – Ciesz się, że idziesz drogą prawdy.

– W imię Allaha, *ja hadżdż* – odpowiada Hamid, a dziewczynie na te słowa cierpnie skóra. – Postaramy się działać wspólnie, Al-Houti z Al-Kaidą, aby obciąć macki parszywej amerykańskiej zgnilizny. W jedności siła!

– W Allahu siła, chłopcze, tylko Allah może nas poprowadzić do zwycięstwa.

– Wygnamy stąd niewiernych i pokażemy tym głupim Saudom, którzy dają się okradać kowbojom, jak to się robi. – Inny młody Jemeńczyk rzuca kolejny zasłyszany slogan. – Już niedługo rodzina pseudomonarchów będzie się cieszyć swoim majątkiem i uciskać biednych prawowitych muzułmanów!

– Coraz więcej nas przybywa z przeklętego królestwa. – Mężczyzna w saudyjskiej długiej białej sukni, ścisząc głos, nachyla się do środka zgromadzenia.

– Jest plan, ale poznają go tylko wybrani, aznaczony džihadysta⁶ go wykona. Osama wskazuje najbardziej zaufanych ludzi, bo operacja jest na miarę dwóch wież.

– W zgromadzeniu zapada cisza, a mężczyźni z namaszczeniem patrzą na mówiącego. – Hamidzie Bin Laden, chodź ze mną.

Reszty rozmowy i ustaleń Marysia już nie usłyszała, ale to, co do niej dotarło, wystarczyło aż nadto. Kiedy wsiada do samochodu, boi się nawet głośniejszemu odetchnięciu, jakby to miało spowodować ruszenie lawiny. Przez całą drogę powrotną nie zamieniają z Hamidem ani słowa, nie zatrzymują się ani razu, nie zmieniają ubrań. W milczeniu wysiadają na podjeździe swojego domu w Sanie. Wbijając wzrok w ziemię, każde udaje się w swoim kierunku.

* * *

Przez następne dwa dni Marysia śpi z babcią, bojąc się zbliżyć do swojego męża. Stara Libijka zapytała tylko raz, co się stało, lecz nie doczekała się odpowiedzi, wobec tego również milczy i obserwuje wszystko baczynym okiem. Dziewczyna nie może znaleźć sobie miejsca, ma pustkę w głowie. Cały czas powraca do niej obraz osady Al-Dżabaj z nawiedzonymi mężczyznami oraz widok szalonej babki Hamida. Dlaczego on ją w to wpakował? Czy małżeństwo jest dobrą przykrywką dla działalności wyrotowej i terrorystycznej?

Mąż znajduje ją w ogrodzie leżącą na bambusowej sofie z zamkniętą książką w rękach.

– Nie chciałem cię wciągać w to bagno – mówi, jakby czytał w jej myślach. – W trakcie naszej podróży, w Marib, miałem pilny telefon i nie mogłem odmówić.

Marysia milczy, patrząc przed siebie, a Hamid przysiadł na jednym z wolnych ogrodowych krzeseł.

– Muszę ci teraz wszystko opowiedzieć, choć nie jest to dla mnie łatwe. Wysłuchaj mnie, a później podejmiesz decyzję, czy chcesz dłużej być ze mną, czy nie. Nigdy nie zamierzałem cię narażać, myślałem, że sprawa umarła śmiercią naturalną i że jestem znów wolnym człowiekiem. Zaangażowałem się w tę całą konspirację, zanim się poznaliśmy, tuż po przyjeździe do Sany. Dlaczego? Zaraz postaram się wyjaśnić, choć to cholernie zagmatwane. – Hamid siada wygodnie, zakłada nogę na nogę i bierze głębszy oddech.

– Oto mroząca krew w żyłach historia rodzinna. Od czego by tu zacząć? Wczesne, pomniejsze zamachy, które były przypisywane Al-Kaidzie z wujaszkiem Osamą na czele, jakoś nie spędzały światu snu z powiek. Wysładzenie furgonetki-bomby w garażach World Trade Center, zabicie parunastu amerykańskich żołnierzy w Arabii Saudyjskiej czy zamachy na ambasadę – takie życie, cały czas coś się dzieje, a jedna grupa terrorystyczna zmienia inną. Zwyczajny człowiek, jeśli problem bezpośrednio go nie dotyczy, ma to w nosie. Kto, co, dlaczego i jak – kogo to obchodzi? Jednak po jedenastym wrześniu dwa tysiące pierwszego zaczęła się dla

mnie gehenna. Nazwisko Bin Laden pojawiało się na pierwszych stronach wszystkich gazet, w głównych wydaniach wiadomości i na każdej stronie w necie. Wtedy to po raz pierwszy spotkałem się z pytaniami: „Ty z tych Bin Ladenów? Osama to twój krewniak?”. Niby tak, ale w życiu go nie widziałem, moja rodzina nigdy nie utrzymywała z nim kontaktów i nigdy się o nim nawet nie wspominało w rozmowie. Można było zmienić nazwisko i uciekać przez całe życie, jednak mój ojciec, prawy człowiek, oznajmił nam, że on tego nie robi, bo nie ma czego się wstydzić. Widać takie jest nasze przeznaczenie. W szkole dostawałem w dupę na każdym kroku, wyzwiska, opluwanie, szkalowanie, a niektórzy błagali, żeby ich wciągnąć do organizacji. – Śmieje się smutno i łapie za głowę. – Jako że byłem krnąbrnym nastolatkiem, biłem się z kolegami do upadłego, a w domu wyżywałem na rodzicach i siostrze. Kiedy pobitem do nieprzytomności naszą filipińską służącą, w końcu ojciec nie wytrzymał, ściągnął pas i wymierzył mi zasłużoną karę, a ja po tym wszystkim uciekłem z domu na pustynię. Przesiedziałem tam trzy dni, paląc haszysz, pijąc whisky i targając sobie włosy z głowy. Wróciłem i stwierdziłem, że dam radę. Matka całowała mnie po rękach z radości, że żyję, a ojciec przestał się do mnie odzywać. Najlepiej miała moja młodsza siostra, bo nic nie rozumiała. Po incydencie w szkole, kiedy jakiś dowcipniś zadzwonił i poinformował o podłożeniu bomby, oczywiście ja wylądowałem na posterunku policji i ekspresowo w areszcie. Wtedy zmieniłem liceum: starzy zapisali mnie do prywatnego amerykańskiego college’u. Czy myślisz, że coś się zmieniło? Niewiele, chociaż nauczyciele bardziej mnie pilnowali i chronili, a uczniowie byli mniej agresywni. Potem wyjechałem na studia do Stanów, przez cały okres ich trwania miałem swojego anioła stróża. Ileż to rząd amerykański musiał wydać dolarów na takiego zwykłego ludka jak ja? Przyzwyczailem się do tej sytuacji i czasami nawet cieszyłem z ochrony, bo nieraz chciano mnie lać po gębie czy wręcz zarznąć, jednak nie dlatego że jestem Bin Laden, ale w ogóle śmierdzący Arab. Gdyby znali moje nazwisko, pewnie już bym nie żył. Z jednym facetem z amerykańskiej bezpieki nawet się zaprzyjaźniłem i kiedy on miał przy mnie służbę, szliśmy razem do pubu na jednego scotcha. W międzyczasie zmarł mój ojciec, a kiedy wróciłem po studiach do Saudi, przeżyłem wielką tragedię, bo odeszły z tego świata moja siostra i matka. Czuję, że muszę wyjechać, uciec od wspomnień i kochanych miejsc. Zamiast do Ameryki rodzina namówiła mnie na przyjazd do Jemenu. To było nie tak dawno, może rok temu. Miałem prowadzić filię naszej firmy, nastawioną nie na zyski, lecz na pomoc biednemu sąsiadowi. Jeśli coś się uda zarobić, to dobrze, a jeśli nie, to nie. Podoba mi się taka charytatywna działalność, jestem do niej stworzony. Jednak przyjechałem tutaj też w innym celu. Mój koleś, ochroniarz z Ameryki, został oddelegowany do Rijadu, aby pomóc zaprzyjaźnionemu rządowi w łapaniu terrorystów. No i wciągnął mnie w to. „Masz idealne nazwisko – mówił – albo żeby być terrorystą, albo wtyką i nam ich wystawiać. Pomóż, chłopie! Wiem, że wejdiesz w ich organizację jak w masło. Kiedy tylko będziesz miał dość lub zrobi się za gorąco, w każdej chwili będziesz mógł się wycofać, a my zagwarantujemy ci bezpieczny transfer do Saudi, Stanów lub gdziekolwiek zechcesz. A na dokładkę do końca życia dostaniesz swojego bodyguarda, może nawet w mojej osobie” – żartował. Nie mylił się co do mnie i moich możliwości. Zaraz po przyjeździe zapukali do mnie ci z Al-Kaidy i ci z Al-Houti. Wspierają się teraz w nienawiści przede wszystkim do Ameryki, ale również do wielkiego bogatego sąsiada, Arabii Saudyjskiej. Już im nie przeszkadza zabijanie własnych braci w islamie i to, że ich teorie o dżihadzie w tym wypadku biorą w łeb. Jeśli ktoś pozbawia życia kobiety i dzieci, to czy przejmowałyby się takimi detalami jak mordowanie wyznawców tej samej religii tłumaczone pokrętnie walką z niewiernymi?! To bezsensowne uzasadnienie to totalna ściema, bo przecież większych dewotów jak Saudyjczycy nie ma w całym muzułmańskim świecie!

Hamid wstaje i zapala papierosa, czego nigdy wcześniej nie robił, nalewa sobie trzęsącą

ręką wodę z dzbanka i kontynuuje:

– Wszystko wydawało się cholernie proste, rebelianci i terroryści wierzyli w każde moje słowo. Tak jedni, jak i drudzy padali na kolana z powodu moich koligacji rodzinnych. Grunt to dobre pochodzenie! – żartuje. – Jednak poza pierwszym kontaktem i dwoma spotkaniami na początku nic się nie działo przez cały długi rok. Kiedy cię poznałem i zrozumiałem, że chcę z tobą przeżyć resztę moich dni, odetchnąłem z ulgą, że nie za bardzo zaangażowałem się w tę niebezpieczną grę. Później zapomniałem o całej sprawie. W Marib, podczas naszej podróży poślubnej, odebrałem pierwszy telefon od tamtego czasu. Może czekali, aż będą mieli mnie czym zaszantażować, aż będą trzymać mnie w garści? W osadzie miał się ze mną spotkać człowiek z Al-Kaidy z poleceniami od wuja Osamy, a tymczasem trafiliśmy na piątkowe kazanie przywódcy Al-Houti, imama Abdula Malika. Ciesz się, że nie słyszałaś, co on wygadywał w meczecie! Jak tacy ludzie wypaczają nasz święty Koran! Nie do pomyślenia! Oni wierzą, że to, co robią, to dżihad⁷, święta wojna, i twierdzą, że zabijanie niewiernych jest obowiązkiem każdego muzułmanina. Ci, którzy się wysadzają, by zabić więcej bezbronnych ludzi, robią to, ponieważ myślą, że czeka ich nagroda w raju. Mają nadzieję, że zostaną pobłogosławieni przez Allaha, będą jeść niebiańskie pożywienie, pić do woli czyste wino bez bólu głowy następnego dnia i cieszyć się towarzystwem boskich hurys⁸. Skąd oni, do cholery, wzięli takie wypaczone poglądy?! Jak to się stało, że uwierzyli, iż zabijanie niewinnych ludzi sprawia Bogu przyjemność?! – Hamidowi krew uderza do głowy, a Marysia, już siedząc, obserwuje go w skupieniu. – Wiesz, byłem kiedyś, dawno temu, w Egipcie w Sharm el Sheikh na wczasach z rodziną. Jak to dzieciaki, skakaliśmy z siostrą wieczorem po telewizyjnych kanałach. Znaleźliśmy bardzo ciekawy program, niesamowicie nas śmieszył i dziwiliśmy się, że nagle poważny tata kazał zmienić stację. To była jakaś audycja religijna, w której egipscy duchowni w państwowej telewizji uczyli, jak kochać śmierć, oraz wyjaśniali, jak i dlaczego trzeba wychowywać dzieci na męczenników i uczyć je nienawiści. Ależ to była reklama! Widziałas kiedyś reklamę raju? – Marysia kiwa głową na boki, bo po dotychczasowych wyznaniach nie jest w stanie wydobyć z siebie ani słowa. – Miliony muzułmanów dostają codzienną porcję reklam życia pozagrobowego. W Edenie czeka na napalonych samców nieziemski seks z dziewczynami, przekonany, że bohaterski nieboszczyk jest najprzystojniejszy na świecie. Jeśli zginie się jako męczennik, dla Allaha, kule, które zabijają, będą jak pocałunki aniołów, a zmarłego bohatera natychmiast otoczy harem najpiękniejszych dziewczyn świata. Jego rodzina na ziemi będzie dumna i blada, a on sam stanie się wzorem dla innych, w niebie zaś będzie się pławił w nieustającej orgii. – W tym momencie małżonkowie razem wybuchają śmiechem.

– Ale masz gadane – przerywa mu Marysia. – Ty powinieneś zostać przywódcą.

– Może, ale na pewno nie w takiej sprawie i nie dla tych ludzi. Teraz muszę tylko skończyć, co zacząłem. Tę jedną jedyną okropną akcję. To teraz najpoważniejsze wyzwanie w moim życiu. Później wycofuję się, znikam i ślad po mnie ginie. Zrozum, ja chcę wymazać piętno islamskiego terroryzmu z mojej tożsamości! I kompleks wujaszka Osamy. Może mi się uda, ale boję się o ciebie i myślę, że powinniśmy się rozwieść albo przynajmniej rozstać na jakiś czas. Wyjedź, Marysiu, niestety, muszę cię o to prosić. Może do Polski...

– Zostaję z tobą, nie ma dyskusji! – wykrzykuje młoda żona załamującym się ze wzruszenia głosem. Podbiega do swojego ukochanego męża i zarzuca mu ręce na szyję. – U chrześcijan mówi się: „być z kimś na dobre i złe” i tak z nami będzie.

¹ [← powrót do tekstu] W latach 90. zajdycki przywódca Hussein Badreddin Al-Houti założył organizację religijną Wierząca Młodzież. Ich cele, oprócz religijnych, to m.in. opozycja wobec współpracy rządu jemeńskiego z USA, zwalczanie Izraela, obalenie rządu republikańskiego i ponowne założenie imamaty.

² [← powrót do tekstu] Koran, sura 2, wers 223, przeł. Józef Bielawski, PIW 1986.

³ [← powrót do tekstu] Tamże, sura 5, wers 33.

⁴ [← powrót do tekstu] Abdul Malik – Abdul Malik Al-Houti, przywódca rebeliantów.

⁵ [← powrót do tekstu] Ali Abdullah Saleh – prezydent Republiki Jemeńskiej.

⁶ [← powrót do tekstu] Dżihadysta – zamachowiec działający w imię dżihadu, islamskiej świętej wojny.

⁷ [← powrót do tekstu] Dżihad – walka w imię szerzenia islamu, zarówno poprzez akcję zbrojną, nawracanie niewiernych, pokojowe propagowanie islamu, jak i wewnętrzne zmagania wyznawcy; często rozumiany przez Zachód tylko jako święta wojna.

⁸ [← powrót do tekstu] Hurysa – arab. czarnooka; wiecznie młoda i piękna dziewczyna, mieszkanka raju, stanowiąca pośmiertną nagrodę dla walczących za wiarę dżihadystów.

Zamach z bombą w tyłku

Jednak doprowadzili do wybuchu rewolty – mówi Hamid znad saudyjskiej gazety, dostarczanej co rano do domu.

– A kto taki? – pyta nieświadoma niczego babcia.

– W Sanie rozruchy? – niepokoi się.

– Jak znam życie, to ci z północy, zajdyccy Al-Houti.

– Marysia już doskonale zna temat.

– Jakbyś zgadła. – Mąż potwierdza jej przypuszczenia.

– Jak zawierucha zacznie się rozszerzać, to zmywamy się stąd najbliższym samolotem.

– Ale dokąd?! – Starsza kobieta zamiera przerażona.

– My już nigdzie nie chcemy się tułać! – wykrzykuje ze łzami w oczach.

– Wiecie, moje panie, i tak, wcześniej czy później, będziemy musieli stąd wyjechać – mówi Hamid, kładąc nacisk na każde słowo i patrząc żonie głęboko w oczy, a ta pochyła głowę i zagryza wargi.

– Czy ja o czymś nie wiem? Jeśli nadal mam z wami mieszkać, to może byście mnie czasami informowali o kluczowych decyzjach – oburza się babcia. – Chyba że już się wam znudziło moje towarzystwo...

– *Ahlan*, co się dzieje? – Do salonu jak burza wpada zadowolona Leila. Rodzina przy stole milczy, zaciskając usta.

– Jakaś mała domowa awanturka? – pyta dziewczyna, ściągając przez głowę czador, a razem z nim niechcący *nikab*. – Ach! – wykrzykuje zrozpaczona i zakrywa zniekształconą twarz zwiniętym materiałem.

– Żeby przetrzeć szlaki, Leila pierwsza pojedzie do Arabii Saudyjskiej – oświadcza Hamid, spuszczać wzrok, by nie peszyć dziewczyny, która nerwowo mocuje zasłonę.

– Że jak? Dlaczego? Po co? Ja w życiu nie byłam za granicą! – broni się kuzynka.

– Dlatego. – Mężczyzna wskazuje palcem na jej twarz. – Mam starego, dobrego kolegę jeszcze ze szkoły w Rijadzie i ze studiów w Stanach. Razem przeszliśmy niejedno. Jest znakomitym chirurgiem i oprócz tego, że pracuje w szpitalu rządowym, wieczorami dorabia w prywatnej klinice dermatologiczno-plastycznej. Rozmawiałem z nim o tobie, Leilo. Trzeba tylko skompletować zdjęcia, zrobić podstawowe badania i jedziesz. Aszraf będzie ci towarzyszył, bo wiesz, jak jest.

Kobiety otwierają usta ze zdziwienia. Hamid ciągle je szokuje swoją dobrocią i hojnością. Wzruszona Marysia podchodzi do niego i czule całuje. Leila zamarła, lecz widać, jak coraz bardziej się trzęsie i na koniec wybucha spazmatycznym płaczem.

– Znam już przynajmniej kierunek ewakuacji, to też coś – mówi szeptem babcia, poklepując szlochającą dziewczynę po plecach.

* * *

Hamid zaczyna coraz częściej przebywać poza domem. Marysia z babcią, osamotnione i pozbawione również towarzystwa wesołej Leili, przebywającej aktualnie w Rijadzie, coraz więcej czasu spędzają ze sobą na rozmowach i wspominkach. Stara mądra kobieta nie pozwala zapomnieć Marysi o jej korzeniach, miejscu urodzenia i matce.

– Babciu, już daj spokój z tą Polską, i z tym nazywaniem mnie Maryszią też. To po pierwsze jest dla mnie krępujące, a poza tym wprawia mnie w jakieś rozdwojenie jaźni. Przywykłam do Miriam i dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent ludzi tak się do mnie

zwraca. – Niezadowolona dziewczyna nie po raz pierwszy wypomina babci natarczywe zachowanie.

– Nie rozumiem cię, moje dziecko. Czemu taka jesteś zła na twoją matkę? Ileż ona musiała wycierpieć, ile czasu i pieniędzy kosztowało ją odnalezienie ciebie. A ty, jak ta głupia koza, nie pojechałaś z nią i zgotowałaś sobie ciężki los.

– Już ci mówiłam, że w życiu bym ciebie nie zostawiła...

– Też mi coś! – przerywa stara Libijka.

– A poza tym ja nie narzekam, przyjazd do Jemenu nie był błędem, poznałam wspaniałych ludzi, znalazłam miłość... Hamida.

– Ale nadal nie mogę zrozumieć, co skrywasz w głębi swojej wrażliwej duszy. Nie można przecież nie kochać matki!?

– Kiedy się pojawiła po raz pierwszy, interesowała ją tylko Daria – żałośnie mówi dziewczyna, wbijając wzrok w podłogę. – Mnie miała w dupie! – wybucha na koniec, bo dramatyczne przeżycia ostatnich lat przepełniły czarę goryczy i dłużej nie potrafi tłumić żalu.

– Ależ to nieprawda! – zaprzecza Nadia.

– Przypomniała sobie o mnie dopiero po siedmiu latach! – Marysia zrywa się na równe nogi i chce wyjść z pokoju.

– Chodź tutaj, moja mała. – Babcia łapie ją przy drzwiach i mocno przytula do siebie, a dziewczyna nie jest w stanie pohamować łez. – Jesteś już na tyle dorosła, że powiem ci, co wiem o związku twojej mamy i taty. Poznasz parę drastycznych szczegółów na temat swojego ojca, ale masz już chyba wyrobioną opinię na jego temat. Siadaj. – Usadawia wnuczkę w fotelu naprzeciwko, bierze głęboki oddech i zaczyna snuć nieznaną Marysi historię małżeństwa jej rodziców. – Twoja śliczna mama nigdy nie miała łatwego życia z moim synem, bo muszę obiektywnie stwierdzić, że niezły z niego zbój. Tak wyczekiwany, upragniony, wymodlony... Ale cóż zrobić. Nie wiem, jak było w Polsce, ale kiedy przyjechała do nas do Libii, widać było, że twój tata tresuje ją w szowinistyczny arabski sposób. Jak chciał, to był miły, czuły, kochający i dawał jej szczęście, tym samym przywiązując do siebie jeszcze bardziej. Częściej, niestety, był sobą, to znaczy odpychającym, wrednym chamem o sadystycznych skłonnościach! Tfu, tfu.

– Odpluwa brzydkie słowo, żeby nie obrażać Allaha. – Nie mówię o zwykłym znęcaniu się, jak bicie, bo to u nas często się zdarza, ale on wykańczał tę biedną dziewczynę psychicznie. Dorota dowiedziała się oczywiście o molestowaniu przez niego młodszej siostry, Samirki, na co cała rodzina nie mogła nic poradzić. Jaka wtedy była jego reakcja? Obrzył się na wszystkich i wszystko i wyjechał chyba na cały miesiąc, zostawiwszy swoją młodą żonę w obcym jej domu, w obcym kraju. Potem wrócił jak gdyby nigdy nic. Z czasem Dorota zaczęła się adaptować do nowego otoczenia i uniezależniać, bo to bardzo mądra i wytrzymała dziewczyna. Lecz kiedy tylko wyściubiła nos na zewnątrz, poznała polskie koleżanki, zaczęła chodzić na fitness, dostała świetnie płatną pracę w polskiej szkole, zrobił jej z życia piekło. Dot chciała się wydostać z Libii, ale mogła to zrobić tylko i wyłącznie w pojedynkę, bez ciebie, bo jak wiesz, dziecko należy do ojca, a nie do matki, która przez dziewięć miesięcy nosi je pod sercem, rodzi w bólach, karmi piersią i wychowuje. Ha! Absurd?! Pamiętasz historię naszej jemeńskiej Maliki. Cóż, twoja biedna mama nadal do tego stopnia kochała twojego ojca despotę, że była w stanie ze wszystkiego zrezygnować, poświęcić siebie dla dobra rodziny i twojego, moja panno, abyś żyła w normalnym, nierozbitym domu.

– Marysia smutno kiwa głową. Odkrywa, że w zasadzie nic nie wie o swoich rodzicach. – Na koniec Ahmed wywiózł was na farmę pod miastem. Nie mogę powiedzieć, pięknie ją urządził, ale była to złota klatka na totalnym odludziu. Jednak twoja zakochana mama przeżyła tam chyba chwile szczęścia, co zaowocowało urodzeniem Darii. Później zaczęło się jeszcze

gorsze piekło, bo twój tatulek – mówi pogardliwie – a mój synalek związał się z fundamentalistami. Wystąpił nawet w telewizji podczas manifestacji popierającej Osamę Bin Ladena po zburzeniu World Trade Center – wygłasza, niby z dumą klepiąc się po piersiach.

– Co? To niemożliwe. Nikt mi nigdy ani słowa na ten temat nie powiedział! Mama i tata to był temat tabu – Dziewczyna, siedząc jak na szpilkach, chłonie opowieść babci.

– A chciałaś słuchać? Wracając do tematu, ekstremizm w Libii był, i przypuszczam, że nadal jest, karany śmiercią. Przez to musieliśmy dosłownie z dnia na dzień uciekać z Trypolisu. Tu pomogła nam Malika, która załatwiła sobie posadę w Ghanie.

– A co z mamą?

– Czy pamiętasz coś z wydarzeń przed tym, jak tata zostawił cię u mnie? – z niepokojem pyta stara Libijka.

– Jak przez mgłę. Jedyne okrutny strach i jakiegoś wielkiego mężczyznę, który rzucał mamą po łóżku. Tak obrzydliwie i głośno się śmiał, ukazując pożółkłe zepsute zęby. Później śniło mi się to wielokrotnie. Co się z nią stało? – Nie mam pojęcia i obawiam się, że nawet ciotka Malika nie знаła do końca tej historii. Jedyne Samira wie chyba wszystko, bo kontaktowała się z Dorotą, pomagała jej zorganizować wywiezienie was z Libii, lecz ona, niestety, nic nam już nie powie.

– Nie nas, tylko Darii! – Marysia znów się denerwuje.

– Tylko na niej matce zależało!

– Pamiętam ten dzień jak dziś i wiem na sto procent, że się mylisz. Samirka namawiała cię, jak umiała, na wspólne wyjście na mikołajki do polskiej ambasady. Ale ty nie chciałaś nawet o tym słyszeć, wybrałaś imprezę z ciotką Maliką. Zapomniałaś już, jaka byłaś w nią zapatrzona? Nikt cię nie mógł od niej odciągnąć! A ona, niestety, nie miała najlepszego wpływu na ciebie, choć kochała cię jak własne dziecko i chyba nikogo w życiu nie ubóstwiała tak jak ciebie. Przez to też rozpuściła cię jak dziadowski bicz.

– Marysia schyla głowę ze skrucą, bowiem dokładnie przypomina sobie zauroczenie ciotką oraz tamten straszny dzień, kiedy Samira miała wypadek, a Daria zniknęła.

– Malika chciała mi coś powiedzieć o mamie i siostrze przed śmiercią, ale nie zdążyła – smutno wyznaje babci swoją tajemnicę.

– Ona wiedziała, gdzie jest Daria, robiła prywatne dochodzenie, szantażowała ambasadę i słyszałam, jak rozmawiała z przyjaciółką Doroty, Barbarą. Jednak bała się ciebie stracić i aby cię przy sobie zatrzymać, zdecydowała się na kolejny zły uczynek. Ukryła prawdę. Gdyby tylko chciała, już wtedy byłabyś z rodziną w spokojnym, normalnym kraju, gdzie nie ma rebeliantów, terrorystów i gdzie mężczyźni nie dyskryminują kobiet w imię prawa sprzed wieków.

Marysia wyciąga pomięte zdjęcie matki schowane głęboko w szkatułce przy łóżku i wzdychając, patrzy na piękną, szczupłą blondynkę, która trzymając dłonie na zaokrąglonym ciężowym brzuszku, uśmiecha się do niej szczęśliwa.

– *Sza Allah*, odnajdziecie się – pociesza ją babcia.

– Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze.

* * *

Hamida całymi dniami i nocami nie ma w domu, a kiedy jest, to tak jakby się ukrywał. Niesamowicie wychudł, policzki mu się zapadły, przez co twarz się wydłużyła i stała się podobna do tej ze starych rycin przedstawiających Beduinów. Zapuścił do tego postrzępioną brodę na modłę saudyjską. Kobiety boją się nawet na niego spojrzeć.

– Marysiu, czy on się w coś nie wplątał? – pyta szeptem zaniepokojona babcia.

– Cóż... – Dziewczyna nie chce i nie może powiedzieć.

– Jeśli tak, to uciekajmy! – Stara kobieta chwyta ją mocno za rękę. – Potem może być już za późno! Pamiętaj o odpowiedzialności zbiorowej!

– Lecz on działa w słusznej sprawie, przeciwko ekstremistycznym bandytom. – Marysia stara się uspokoić babcię.

– To nie ma znaczenia! – Nadia łapie się za głowę – Jeśli się wdepnie w takie śmierdzące gówno, to człowiek już nigdy nie będzie bez skazy, nigdy nie będzie miał czystych rąk.

Nadia, nie znając żadnych szczegółów, jest bliska prawdy. Hamid utonął w fundamentalistycznym bagnie po uszy i nie daje sobie rady z brzemieniem, które wziął na swoje barki. Sytuacja go przerasta. Od spotkania w osadzie Al-Dżabaj wydarzenia pognały na złamanie karku i nie sposób już było ani ich zatrzymać, ani się z tego wypłatać. Hamid pamięta jak dziś piątkową modlitwę w małej mieścinie o symbolicznej nazwie Mahram, w prowincji Saada. Kazanie miał przywódca Al-Houti, znany wszem wobec imam Abdul Malik. Przeszedł on samego siebie, krzyczał jak obłąkany, nawoływał do walki, a jeśli ktoś byłby przeciwny, straszył go ogniem piekielnym. Za chwilę zaś roztaczał przed zebranymi, którzy poddają się woli Allaha, obraz kuszącego raj. Na tym spotkaniu mógł zrekrutować nie jednego ochotnika samobójcę, lecz co najmniej dziesięciu. Hamid musiał przyznać, że był porywający. Jeśli biednemu chłopakowi, który na ziemskim padole nie ma żadnych perspektyw, obiecuje się w obliczu Allaha wieczne przyjemności i przepych, a nawet jedynie ciągle pełny brzuch, to wielu pójdzie. A kiedy jeszcze Al-Kaida dorzuci nieco grosza dla rodziny, to niedługo chętni będą się ustawiać w kolejce lub zapisywać na *waiting list*. Do takich wniosków z przerażeniem doszedł Hamid.

Dwudziestoczteroletni Saudyjczyk, Abdullah Al-Asiri, biegł tak szybko za imamem, który zmierzał do samochodu w asyście swoich ludzi i członków jemeńskiej Al-Kaidy, że aż zgubił jednego klapka, potknął się i przewrócił. Wtedy to w jego kierunku skoczyli ochroniarze, chcąc go od razu, tak na wszelki wypadek, pobić.

– Chcę iść drogą Allaha! Poddaję się islamowi! – wykrzykuje szczupły młodzieniec, wyciągając jedną rękę ku niebu.

– Chcę robić dżihad! – Zwraca szalony, poddańczy wzrok w kierunku przywódcy. – Daję wam moje ciało, żebyście go użyli w naszej misji! Precz z niewiernymi!

Hamid stał tuż obok, rozmyślając gorzko, że młody prostak zupełnie nie zdaje sobie sprawy, iż będzie jedynie marionetką, dzięki której ekstremiści spróbują zabić jedną z najbardziej bogobojnych osób w Królestwie Saudów. – A będzie bolało? – pyta Asiri, kiedy już dotarli do bezpiecznej kryjówki w robotniczych dzielnicach Sany, na co otaczający go mężczyźni patrzą na niego wielkimi oczami.

– Jak to śmierć, nie wiem, jeszcze nie przerabiałem – mówi chłopisko, które wydaje się najnormalniejsze z całego towarzystwa. – Może ty po wszystkim wyślesz mi info esemesem. – Wybuchają śmiechem.

Jednak nie ma całkiem równo pod sufitem, myśli Hamid, który reprezentuje w grupie saudyjską Al-Kaidę, to znaczy sponsorów, pomysłodawców i organizatorów spisku, a także *secret service*, ale ma nadzieję, że o tym nikt nie ma zielonego pojęcia i nawet się tego nie spodziewa.

– Najpierw dieta, młody bojowniku. – Zwerbowany w szeregi terrorystów lekarz przystępuje do pracy. – Dziś się jeszcze możesz nażreć, ale od jutra tylko to, co ja ci dam. Musisz się przygotować do akcji, człowieku.

Szczupły chłopak niepewnie patrzy na wszystkich i przestępuje z nogi na nogę. Hamid jest pewien, że gdyby teraz otworzyć drzwi, zwałby, aż by się kurzyło.

– Ale ja jestem dość chudy, nie? – Perspektywa głodu większego niż zwykle przeraża ochotniczego samobójcę i raczej nie dodaje mu skrzydeł.

– Fedainie¹, pomyśl sobie, co niedługo będziesz jadł i pił! I co robił... z hurysami! – wykrzykuje specjalnie sprowadzony wiejski imam, który ma służyć za psychologa czy psychoterapeutę młodego zamachowca. – Siadaj, najedz się do syta i nie marudź. Jutro musimy zabrać się do pracy, żeby wypłenić niewiernych z naszej ziemi, i to co do jednego!

Tak się zaczęła największa gehenna w życiu Hamida, i oczywiście Asiriego. Obaj przechodzili przez to na własne życzenie.

– Słuchaj, ja nie wiem, jak mu to wsadzić w dupę – szepcze lekarz do telefonu BlackBerry. – To jest po pierwsze jakiś, kurwa, anorektyk, który nic nie żarł, to i w życiu porządnego kloca nie postawił, a jedynie po parę kozich bobków. Po drugie – dziewica orleańska! Jeszcze nie widziałem takiej wąskiej dupy, trzeba by było, żeby go ktoś wcześniej od tyłu bzyknął. No, młody człowieku, zrobimy ci lewatywę na oczyszczenie kiszeczek – mówi, pochylając się nad chłopakiem, który z przerażeniem rozgląda się dookoła.

Siedzą w pokoju w skromnym mieszkaniu zaadaptowanym na profesjonalny gabinet lekarski czy wręcz salę szpitalną. Ściany pomalowano na biały kolor, na jednej wisi relaksujący pejzażyk, a pozostałe są obwieszane wersetami z Koranu. Łóżko medyczne jest najnowszej generacji, z elektryczną zmianą poziomów oraz ruchomym stoliczkiem na jedzenie, którego Asiri od tygodnia już nie dostaje. Leży za to na nim egzemplarz świętej księgi, którą fundamentaliści wykorzystują i interpretują według własnego widzimisię.

Biedny prorok Muhammad pewnie się w grobie przewraca, komentuje w duchu Hamid. Naprzeciwko legowiska na ścianie umocowano telewizor, który emituje tylko wybrane programy religijne.

– Brachu. – Hamid słyszy w telefonie swojego amerykańskiego współnika. – Niech dzwoni do księciunia. Wszystko jest dogadane i ustalone.

– Ale ja nie wiem, czy taka osoba będzie chciała ze mną rozmawiać – broni się prosty chłopak. – Przecież może nie odebrać nieznanego połączenia.– Nie twoje zmartwienie – naciska przybyły Abu Safian, który jest na liście osiemdziesięciu pięciu terrorystów poszukiwanych na zlecenie saudyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych.

Groźnie wyglądający wywrotowiec wprowadza numer telefonu komórkowego podany mu przez Hamida. Przekazuje Asiriemu słuchawkę i kartkę z tekstem, który ma przeczytać.

– Ukrywam się w Jemenie, ekscelencjo. – Młody mężczyzna zaczyna trzęsącym się głosem. – Jest przy mnie Abu Safian i inni, którzy mają już dość i pragną się ujawnić i oddać do dyspozycji księcia – oświadczą. – Już nie chcemy dłużej chować się po norach. – Zapada milczenie, a chłopak z wypiekami na twarzy słucha odpowiedzi.

– Tak, źle postępowaliśmy, ale teraz chcemy poddać się resocjalizacji i być pod opieką rządu saudyjskiego, który jest dla nas jak matka. – Znów cisza, a Hamid czuje, jak łomoczące serce chce mu wyskoczyć z piersi. – Osobista audiencja za trzy dni, tak. – Asiri potakująco kiwa głową.

– Przyjadę najpierw ja, z listą chętnych i petycją, a później ustalimy resztę. Dziękuję, ekscelencjo. – Chłopak trzęsącą się ręką przekazuje telefon i ciężko opada na poduszki.

– Trzy dni – mówi smutno, a otaczający go mężczyźni patrzą na siebie porozumiewawczo.

– Nie ma czasu do stracenia. Jedziesz autem, więc jutro skoro świt trzeba wyruszać. – Abu Safian ostro patrzy na lekarza i dwóch swoich najbliższych współpracowników, których twarze również znajdują się na listach gończych.

Hamid siedzi w pomieszczeniu sąsiadującym z prowizorycznym gabinetem i pali jednego papierosa za drugim. Mija kolejna godzina od rozpoczęcia zabiegu, a ochotnik nie przestaje wyc jak zarzynane zwierzę. Mężczyzna gwałtownie wstaje, otwiera drzwi i wchodzi do miejsca kaźni.

Asiri klęczy z tyłkiem wypiętym do góry, dwóch silnych mężczyzn trzyma go za ręce, nogi ma skrępowane i przywiązane do poręczy łóżka. Lekarz włożył mu do zakrwawionego odbytu wziernik, jakim bada się kobiety, i niezręcznie upycha do środka biały plastik w przezroczystym woreczku.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?! – krzyczy Hamid, z obrzydzeniem patrząc na działania pseudolekarza.

– Przecież palcem byś to miękkie gównu w nim upchnął!

– Tak? – Medyk obraca się agresywnie. – A jak facet ma najmniejszą dupcię, jaką w życiu oglądałem, mimo że jestem proktologiem od dwudziestu lat, to co?! Zaciśniętą i wyschniętą na domiar złego!

– Daj mu morfiny, chyba masz? – Bin Laden pogardliwie wpatruje się w jego spoconą twarz.

– Trzymamy na drodze, nie będę teraz marnował ani kropli, inaczej nawet nie wejdzie do pałacu – obrusza się lekarz i chce powrócić do swoich czynności.

– Nie żartuj sobie! – Hamid twardym uściskiem miażdży mu ramię. – W tej chwili! – Wyciąga z kieszeni dwie maleńkie ampułki i rzuca na brudne od krwi i kału prześcieradło.

Po chwili jęki cichną, a Asiri w końcu zostaje ułożony na boku na czystym już łóżku i zapada w niezdrowy sen.

– Trzeba go przebrać i jedziemy. – Abu Safian przyjeżdża, kiedy tylko pierwsze promienie słońca przebijają się przez zachmurzone niebo, a głos muezina wzywa wiernych do modlitwy. – Dawaj tę elektronikę – zwraca się do Hamida.

– Okej, ale jeszcze mam coś dla chłopaka. To od organizacji dla jego rodziny. – Poblądły Hamid chce wejść do pokoju zamachowca. – Pewnie, ale ja im to przekażę. – Terrorysta wyjmując z rąk Hamida pudełko z porysowanym zegarkiem na rękę na znoszonym pasku i przestarzałą, również używaną komórkę Nokii. Obok leży niezbyt gruby zwitek studolarowych banknotów. – Czeski plastik plus amerykański zapalnik i detonator, zabawne połączenie. – Abu Safian śmieje się pod nosem. – Słyszałem, że ty zostajesz?

– Tak. – Hamid odwraca się i szybko opuszcza przeklęte miejsce.

* * *

Kolaborant siedzi nocą w swoim gabinecie przy jednej tylko lampce, patrzy w próżnię i obraca w rękę najbezpieczniejszy, bo niemożliwy do zainwigilowania telefon komórkowy BlackBerry.

– Chris, to już jutro – zaczyna rozmowę po angielsku.

– Ja nie wiem, czemu Sokół się na to zgodził. To cholerne ryzyko. Taki ładunek rozwali pałac w pył, kamień na kamieniu nie zostanie, jeśli bomba eksploduje.

– Tak to już jest w naszym fachu – odpowiada mężczyzna z amerykańskim akcentem. – Po głosie słyszę, że coś kiepsko z tobą. Nie powinieneś być się żenić. Zwerbowałeś cię, bo byłeś wolny, chłopie. Teraz masz niepotrzebne obciążenie i stres i nie możesz się skupić na zadaniu.

– Najgorszemu wrogowi nie życzę takiej misji – szepcze Hamid.

– Cóż, nie powiem, ciekawie to sobie wymyślili – ze śmiechem w głosie odpowiada Amerykanin.

– Ciebie to bawi?! – oburza się Hamid. – Nie żal ci chłopaka? Tyle wycierpiał.

– Jemu to chyba wszystko jedno, nie? Tak czy inaczej, jutro będzie już w raj, gdzie liczy na niezłe chlanko i bzykanko. – Myślałem, że wasz elektronik dezaktywuje bombę? Co wy, do cholery, knujecie? Czemu ja o niczym nie wiem?! – krzyczy zdenerwowany Hamid i czuje, jak z

nerwów zaczyna mu szumieć w głowie.

– Nie do końca tak to wygląda, koleś, bo wtedy cała ta ryzykowna akcja nie miałaby sensu. My też potrzebujemy tej ofiary, a ci głupi terroryści nie wiedzą nawet, jaką nam robią przysługę.

¹ [← powrót do tekstu] *Fedain* (arab.) – fidai; w islamie osoba poświęcająca się dla dobra innych; obecnie określenie członków wielu muzułmańskich ugrupowań i organizacji religijno-politycznych oraz militarnych.

Kolaborant z Jemenu

Na stole w kuchni leżą porozrzucane saudyjskie gazety. Marysia nie może oderwać wzroku od pierwszej strony „Saudi Gazette” ze zdjęciem zamachowca samobójcy na pół szpalty, babcia, sunąc po tekście palcem, z niedowierzaniem czyta „Arab News”, a Hamid chce trochę prawdy znaleźć w arabskojęzycznym „Al-Watan”.

– Co za bzdury piszą! – Mężczyzna wstaje i nerwowo zaczyna spacerować po kuchni.

– Jak to bzdury?! – Nadia oburzona unosi brwi. – Taka straszna historia, wszystko podają czarno na białym.

– Kochana babciu, podają, że zamachowiec miał w dupie kilogram plastiku, który detonował. – Hamid nie panuje nad językiem i emocjami.

– Tak – przyznają kobiety, bo wszystkie źródła trąbią o tym na prawo i lewo.

– A czy wiesz, jak pałac wyglądałby po takim wybuchu? – Obie tylko kiwiają przecząco głowami. – W ogóle by nie wyglądał, bo zostałyby tylko ruiny.

– Biedny książę, tak się na niego zasadzają... – Starsza pani nie może ochłonąć.

– Ci pyszałkowaci terroryści mieli głupi pomysł i liczyli, że uda im się go zrealizować i załatwić takiego człowieka! Debile! – wykrzykuje Hamid.

– Mnie trochę zastanawia fakt – Marysia odzyskuje głos – że cała sala audiencyjna jest zrujnowana, ściany ogołoczone i obryzgane krwią i szczątkami, chłopak rozbryzgnięty od pasa w dół, a książę ma tylko plasterki na dwóch paluszkach. – Ze zdziwieniem podnosi brwi.

– Widocznie go tam w ogóle nie było lub ktoś inny go reprezentował, a palce uszkodził sobie przy obieraniu marchewki. – Hamid stara się wyobrazić sobie sytuację i znajomego chłopaka. – Przegięli też z tą informacją, że nikt z otoczenia i straży nie zginął. Jak to możliwe? Terrorysta wchodzi do pustej sali i wysadza się, bo chce właściciela zmusić do zmiany tapet i zasłon? A może ktoś za wcześniej zdalnie uruchomił zapalnik?

Kobiety patrzą na Hamida, który ostatnimi czasy bardzo się zmienił, a teraz ze złością w oczach, sarkastycznie opisuje tę straszną sytuację. Żadna z nich nie komentuje jego słów. Babcia składa gazetę i udaje się do siebie, a Marysia zaczyna sprzątać po śniadaniu.

– Czy ty miałeś z tym coś wspólnego? – pyta, kiedy zostają sami.

– Gdyby nie, to sprawy przedstawiałyby się zupełnie inaczej – mówi szeptem mężczyzna po dłuższym zastanowieniu. – Nie dywagowałybyście z babcią na temat zniszczeń w pałacu, lecz czytały nekrolog jednej z najważniejszych osób w państwie. – Marysia z przerażenia przełyka ślinę.

– Jak mogli dostać się tak blisko? Kto by uwierzył w ich obietanki cacanki?

– Nikt i dlatego rząd saudyjski wygrał tę potyczkę. – Hamid po pierwszym szoku i załamaniu z powodu strasznej śmierci młodego ochotnika czuje, że jego misja jednak była celowa. – Czemu uwzięli się akurat na tego księcia?

– Bo to on wyłapuje te karaluchy i mam nadzieję, że zrobi z nimi porządek co do ostatniego!

– A co z kolaborantem, który ich wydał, który uniemożliwił im zabicie wroga numer jeden? Czy myślisz, że członkowie Al-Kaidy są aż tak głupi, że nie wpadną na ślad tego człowieka?

* * *

Leila po powrocie z Arabii Saudyjskiej pierwsze kroki kieruje do najbliższej przyjaciółki i jej męża, a swojego dobroczyńcy.

– Myślałam, że już tutaj nie dojadę – mówi i palcem pokazuje na stare saudyjskie gazety walające się na małym stoliczku w salonie. – Widzę, że znacie sprawę, zresztą była chyba głośna na cały świat.

– A co się działo w Saudi? – pyta zaciekawiona babcia.

– Czystki to mało powiedziane! Akcja za akcją, a specjalne brygady sprawdzały nawet dziewczyny, każąc im odsłaniać twarze i rozpinąć abaje. Dobrze, że na mnie nie padło, tak dla mnie, jak i dla funkcjonariusza – śmieje się ironicznie.

– To kobiety też już podkładają bomby? – Marysia nie może się nadziwić.

– Nie, to ci cholerni terroryści znaleźli idealny kamuflaż – wyjaśnia Leila. – Raz na szorcie¹ przy drodze prowadzącej do Mekki złapali facetów poprzebieranych za baby, z zasłoniętymi szczelnie twarzami. W bagażniku wieźli dziesięć uzbrojonych kamizelek dla zamachowców samobójców, broń i materiały wybuchowe. Wyobrażacie sobie?!

– Urząd bezpieczeństwa dotarł do samej intelektualnej wierchuszki – wtrąca się Hamid. – Nie jestem w stanie zrozumieć, jak ludzie wykształceni mogą się angażować w taki ruch! To straszne!

– Jeśli nie wiesz, o co chodzi, to zapewne o pieniądze – tłumaczy doświadczona babcia. – Ciekawa jestem, co z Al-Kaidą w Jemenie? – Kobieta patrzy dyskretnie na swojego zięcia.

– Rozgromiona! – nie panując nad emocjami, dumnie wykrzykuje młody mężczyzna. – Abu Safian, delegat z Saudi, zabity podczas pościgu, a wszyscy jego popiecznicy albo są w więzieniu, albo gryzą piach. Po dostaniu cynku od dobrego sąsiada z północy zajął się już nimi rząd jemeński, który też ma całkiem niezłe brygady antyterrorystyczne.

– Ciekawa jestem, co stanie się z tymi, którzy doprowadzili do ich schwytania? – Nadia bardzo poważnie patrzy w oczy mężczyzny. – Tej plagi nigdy nie zlikwidujesz do końca. Na miejsce jednego zabitego sabotażysty zwerbują dziesięciu nowych.

Marysia wstrzymuje oddech, lecz szczęśliwa i wesoła Leila nie chce dłużej żadnych poważnych rozmów i ciągnie kobiety na górę do sypialni, gdyż pragnie zaprezentować im swój nowy wygląd.

– I co wy na to? – pyta dumna i blada ściągając *nikab*. – W zasadzie nie ma jeszcze się czym chwalić, ale ja już widzę postępy. – Marysia, ponieważ nie jest dobrą aktorką i nie potrafi kłamać, spuszcza oczy, aby ukryć rozczarowanie.

– Ty głupia jesteś, Miriam. – Rekonwalescentka wskakuje na łóżko pomiędzy babcią a kuzynkę. – To jest pierwszy puszek, jak u niemowlaka, który się wyciera lub wypada. Po nim pojawią się zasadnicze włosy. – Z dumą masuje się po mechatym prawym boku głowy. – Oprócz nowych kłaków to na twarzy w paru miejscach powycinali mi jeszcze zgorzele. – Pokazuje palcem, choć efekty są znikome.

– W tym miejscu na policzku to ponoć wystarczy tylko regularnie wmasowywać krem, ale na szczęście trzeba będzie zrobić przeszczep. *Next time, Insz Allah*.

– Tak, kochanie. – Dobra babcia przytakuje, nie chcąc podekscytowanej Leili odbierać nadziei.

– Przez twarde zrosty na głowie żaden włos nie chciał się przebić i też musieli mi je wyharatać – opowiada Leila. – Bolało, dziewczyny, jak cholera, ale nawet nie pisnęłam. – Z dumą wypina pierś. – W końcu oni to robią, nie żeby mnie skrzywdzić, tylko żeby pomóc. Taki jeden lekarz nawet mnie podrywał i mówił, że piękna ze mnie będzie dziewczyna – śmieje się, czerwieniąc się przy tym po czubek głowy.

– Bezcelny! – wykrzykuje babcia z oburzeniem, a dziewczyny dziwią się jej brakowi tolerancji. – Ty już jesteś śliczna, moja pannico, a zabiegi tylko usuną pewne niedociągnięcia – śmieje się, chwytając młodki za ręce i ciągnie je, aż wszystkie padają na plecy.

– Myślicie, że mogłabym pokazać się Falilowi? – pyta Leila, szukając wsparcia u swoich najbliższych.

– Daj sobie czas, kochanie. – Babcia poważnieje. – Niech ten puch się wytrze.

* * *

Hamid zaczyna odbierać anonimowe telefony i czuje, że jest obserwowany. Jego kobiety chyba miały rację, że fundamentaliści nigdy nie zostawią go w spokoju. Serce drży mu na myśl, że coś złego mogłoby spotkać jego ukochaną Miriam i dobrą babcię Nadię. Chyba już czas się ewakuować, choć tak bardzo chciałby jeszcze namierzyć Abdula Malika i wystawić go władzom, aby ta straszna bratobójcza walka na północy Jemenu się skończyła. Jego aresztowanie byłoby ukoronowaniem ukrytej działalności Hamida. Jednak mężczyzna zdaje sobie sprawę, że musi jak najszybciej zapewnić swoim najbliższym bezpieczną kryjówkę. Ci, z którymi zadarł, są bardzo poważnym przeciwnikiem i nie należy ich lekceważyć.

– Halo, Chris? – dzwoni z bezpiecznej linii, chcąc przedyskutować obiecaną drogę ucieczki.

– *Yes?* – odpowiada nieznany głos.

Hamid odsuwa telefon od ucha, chcąc spojrzeć na numer, który może omyłkowo wybrał. Ale nie, wszystko jest jak zawsze, te same krzyżyki i kreseczki, świadczące o zakodowanej rozmowie.

– Czy mogę rozmawiać z Chrisem? – pyta cicho, czując niepokój w sercu.

– A kto mówi?

– *Jemeni Bin Laden* – podaje swoją ksywkę.

– Chrisa nie ma w domu – słyszy zahasłowaną odpowiedź i sygnał przerwania połączenia.

Hamid czuje, że brak mu tchu. Jednak terroryści dopadli jego długoletniego amerykańskiego kolegę. Albo zginął w akcji, albo jest ranny, bo na pewno nie wyjechałby w trakcie tak długo planowanej i oczekiwanej czystki. Hamid może tylko snuć domysły. Wie, iż nigdy nie pozna prawdy. W jednej chwili podejmuje decyzję. Na krótko wyjedzie z miasta i pod przykrywką pomocy humanitarnej dla uchodźców uda się na północ kraju w niebezpieczny region Saad, aby spotkać się z zajdyckim imamem. Informację o miejscu jego pobytu poda swojemu jemeńskiemu łącznikowi, a po wszystkim od razu wsiadają do samolotu i kierują się do Saudi. Tam ochroni go albo rząd, albo jego własne pieniądze.

– Jeśli myślisz, że cię samego puszczę, to się grubo mylisz! – Marysia staje okoniem i widać, że tym razem nie odpuści. – Chcesz mnie tutaj zostawić i może już nigdy więcej nie zobaczyć?

– A czemuż to, moja piękna złośnico, masz takie złe myśli? – Hamid przytula trzęsącą się ze zdenerwowania żonę i usiłuje ją uspokoić. – Czy coś się stało?

– Cały czas wydaje mi się, że ktoś nas obserwuje. Może to tylko obsesja, ale wczoraj jakiś Jemeńczyk stał przed naszym domem i gapił się w okna na piętrze, a jak odsłoniłam zasłonę, to szybko odszedł.

– Przypadek – lekceważy mąż.

– Możliwe, ale chcę być przy tobie. W międzyczasie babcia nas spakuje. Pragnę choć trochę pomóc tym biednym ludziom, którzy stracili cały swój dobytek w wyniku jakichś samolubnych rozgrywek. To przecież akcja charytatywna, a nie bombardowanie. Nikt do cywilów nie będzie strzelał, nieprawdaż?!

– Hej, hej! Ja też! Ja też! – Leila z szumem długiej abai wpada bez skrępowania do sypialni małżonków i obejmuje ich ramionami. – Bierzesz Falila, a mnie nie? – Jej wywiad działa perfekcyjnie.

– Dziewczyny, tam jest niebezpiecznie i nadal toczy się zacięta walka. – Hamid usiłuje je jeszcze przekonać, ale teraz nie ma już żadnych szans.

– Pod latarnią zawsze najciemniej, prawda, kuzynko?

– Marysia z uśmiechem na ustach wyciąga z szafy mały plecak, aby zapakować najpotrzebniejsze rzeczy.

* * *

Słońce powoli chyli się ku zachodowi, spowijając obóz uchodźców różową mgiełką i przykrywając wszystkie jego niedostatki piękną aurą. Podnóża otaczających go gór toną już w mroku, lecz szczyty przybrały cyklamenowy kolor. Karłowata roślinność, o tej porze roku głęboko zielona, daje odpocząć oczom i relaksuje. Obóz w Mandija wydaje się wielkim piknikiem dla dwóch tysięcy osób. Wszyscy rozleniwieni, trochę ospali siedzą przed namiotami i podziwiają otaczającą ich przyrodę, zapominając na chwilę o okrucieństwach wojny, która tak boleśnie ich dotknęła. Rozlega się głos piętnastoletniego chłopca, który donośnie wzywa wszystkich wiernych do modlitwy. Mężczyźni wstają i udają się do pobliskiego gaju oliwnego, gdzie pod wojskową plandeką zorganizowano prowizoryczny meczet.

– *Allahu akbar! Allahu akbar! Allahu akbar!*² – Na te słowa Marysię aż przechodzi dreszcz uniesienia, tak blisko Boga czuje się w tym odludnym, spokojnym miejscu. Razem z kobietami idzie do wielkiego namiotu na środku obozu, który służy za aulę do zebrania, przychodnię, jadalnię i salę zabaw dla dzieci. W kącie wydzielono miejsce, gdzie kobiety rozścielają swoje małe dywaniki i oddają się modlitwie. Nie mają jednak czasu na dłuższy kontakt z Allahem, bo głodna dzieciarnia nie daje im spokoju.

Marysia zajmuje się wydawaniem wieczornego posiłku. Serwuje jedzenie z wielkiego kotła, pod którym tli się mały ogień. Każdy podchodzi ze swoją blaszaną miską i z drżeniem rąk nadstawia ją pod chochlę. Zupa jest pożywna, z kawałkami baraniny, gęsta od rozgotowanego ryżu, ziemniaków, marchwi i cukinii. Przez otaczającą ich wojnę dostawy żywności są rzadkie, ale kiedy tylko uda się oczyścić okolicę z rebeliantów i obwarować bezpieczny korytarz, wielkie amerykańskie ciężarówki zwożą masę rozmaitych produktów. Na okres kryzysowy uchodźcy mają odłożone wojskowe dostawy ziemniaków w proszku, suszonej wołowiny, ryb, warzyw i owoców oraz specjalne pakiety protein w proszku.

Zawsze Marysia pomaga Leila, która uwielbia dzieci i ma do nich dobre podejście, lecz tym razem jej nie ma. Dziewczyna, myśląc o niej, uśmiecha się pod nosem. Podejrzewa, że kuzynka znów oddaliła się z Falilem. Oj, jak nic będzie z tego ślub. Po półgodzinie nalewania zupy i pilnowania porządku w kolejce Marysia przekazuje pałeczkę bardzo energicznej Abli, by choć chwilę odpocząć. Hamid długo nie wraca, co ogromnie ją niepokoi. Gdzie on się włóczy w zapadającym szybko zmierzchu i z kim tym razem? Nagle uświadamia sobie, że przecież poszedł jak zawsze z Falilem, i zaniepokojona zaczyna rozglądać się za Leilą. W półmroku zauważa ją na skraju obozowiska, grającą w piłkę z grupą sześciocy siedmiolatków. Zabawnie wygląda w rozwianym czadorze, z fruwającym nikabem i w adidasach. Nagle jeden z malców mocno kopie wysłużoną futbolówkę, która wylatuje wysoko w górę, a następnie pada daleko na pustym kamiennym polu. Marysia leniwym krokiem zmierza w ich kierunku, myśląc o dołączeniu do zabawy. Chłopaczek puszcza się pędem przez plac, a rozbawiona Leila za nim. W jednej chwili wszystkich ogłusza straszliwy huk. Każdy wstrzymuje oddech, bojąc się kolejnego ataku i rozglądając z przestrachem dookoła. Po chwili kobiety pochylają się i jak kwoki przygarniają dzieci do swoich czarnych szat. Zawodzą przy tym płacząc. Nikt się jeszcze nie zorientował, co tak naprawdę zaszło. Marysia stoi na brzegu pola z rękami rozłożonymi na boki i otwartymi z przerażenia ustami. Zamarła w pół kroku. Przed sobą widzi malca, który kucnął i skulił się, drżąc

na całym ciele. Parę metrów przed nim w powietrzu, jak na zwolnionych obrotach, unosi się czador. Wygląda, jakby czarny duch latał nad placem. Czas zatrzymał się w miejscu, a zszokowana Marysia jak przez mgłę słyszy krzyki i bieganinę za sobą. Ciało jej najlepszej przyjaciółki pada na ziemię, wzburzając tumany kurzu. Ktoś chwyta dziewczynę za ramiona i usiłuje odciągnąć od miejsca tragedii.

– Miriam, kochana moja! – Hamid mówi trzęsącym się głosem. – Niewypały i miny w miejscu obozu dla uchodźców! Co za granda!

W tym momencie coś spada prosto pod nogi Marysi. Dziewczyna opuszcza ręce wzdłuż zeszywniałego ciała i pochyla się nad zakrwawioną głowę Leili. Po raz pierwszy od dzieciństwa pokazuje ona twarz bez nikabu. Jej piękne, lecz już zamglone, czarne jak węgiel oczy nie wyrażają strachu, lecz ciągłe rozbawienie. Przeszczepione włosy oderwały się od czaszki i wiszą z boku jak skalp. Jedyne usta zdradzają szok i lęk, a poparzona skóra wygina je w obrzydliwy, nienaturalny sposób. Rozerwany odłamkiem policzek ukazuje szczękę i zdrowe zęby młodej dziewczyny.

Marysia pada bez tchu obok szczątków kuzynki.

¹ [← powrót do tekstu] *Szorta* (arab.) – posterunek policji.

² [← powrót do tekstu] *Allahu akbar!* (arab.) – Allah jest największy!

7 WYJAZD DO ARABII SAUDYJSKIEJ

Dobrobyt w Rijadzie

W pięknym domu w Sanie Marysia i Hamid w skupieniu jedzą pyszne śniadanie, przygotowane wcześniej rano przez babcię, która nadal wstaje wraz z pierwszymi promieniami słońca. Tłumaczy się tym, że na starość człowiek nie potrzebuje tyle snu i że przyzwyczajenie robi swoje. Marysia jednak wie, że starsza kobieta chce im po prostu umilić życie i dlatego codziennie rano piecze świeże bułeczki i parzy ulubioną kolumbijską kawę. Teraz na pewno pobięła na pobliski targ, żeby sama kupić świeże warzywa i dodatki do obiadu. Nie daje się przekonać do brania kierowcy czy do tego, aby ją wyręczyć w czymkolwiek. Kiedy dogadza młodym, czuje się potrzebna, nic nie sprawia jej większej przyjemności niż pochwały od nich. Może jedynie widok szczęśliwej wnuczki. Nadia cieszy się, że wszystko się dobrze skończyło. Nerwowy i niebezpieczny okres już za nimi. Rebelia została stłumiona, a Jemen figuruje w czołówce na listach państw, którym należy pomóc. Nawet Barack Obama przeznaczył parę milionów na odbudowę i inwestycje w tym biednym kraju. Kiedy nastanie dobrobyt, nikt nie będzie chciał wojny, taka prawda.

Babcia już prawie dotyka klamki wielkich frontowych drzwi, kiedy przypomina sobie, że zapomniała o kolorowym babskim magazynie dla wnuczki. Obraca się i prawie truchtem podbiega do małego sklepiku naprzeciwko, gdzie na zewnątrz na stelażach leżą różnorakie gazety. Odlicza drobne i nawołuje sprzedawcę, który dzisiaj wyjątkowo nie spieszy się, by ją obsłużyć.

– *Ja sadiki!* – woła w stronę wejścia.

Nagle domem wstrząsa straszliwy huk. Wszystkie szyby w oknach wylatują, a Marysia i Hamid, którzy jedzą w jadalni od frontu, padają na ziemię. Mężczyzna chroni ciało żony swoim własnym i roztrzęsionymi rękami dotyka jej głowy.

– Kochana, jesteś cała? – szepcze trzęsącym się głosem.

– Co to było? Bomba?

– Nie ruszaj się, sprawdzę. – Hamid podczołguje się do okna. – To po drugiej stronie uliczki, tam gdzie stał sklepik i kiosk, jest dziura w ziemi. – Obserwuje zza framugi.

– Mówiłam ci. – Marysia z przerażenia trzęsie się na całym ciele. – Znajdą cię, choćby pod ziemią, oni przecież muszą wiedzieć.

– Nie bzdurz, bo wywołasz wilka z lasu. Gdyby to było przeznaczone dla mnie, to już by naszego domu nie było. Przecież nie ja jestem tym biednym sklepikarzem, którego teraz zdrapują z chodnika – mówi, oddychając z ulgą.

– A może to jest tylko ostrzeżenie. – Marysia na palcach podchodzi do okna i dyskretnie wygląda przed dom.

– Ty widzisz ten koszyk na ulicy!?! – pyta zachrypniętym głosem.

– Jaki znowu...

– Ten kolorowy z czerwoną tasiemką na rączce! – wykrzykuje i rzuca się pędem po schodach i przez ogród. Wybiega na ulicę i przepycha się łokciami wśród zbierającego się tłumu. – Nic nie dotykać, to są dowody. – Nie wiadomo skąd pojawia się policjant i odpycha Marysię, która stoi jak zamurowana, wbijając oczy pełne łez w zakrwawiony koszyk.

– To moje – szepcze dziewczyna. – To mojej babci.

– Pochyla się, bierze koszyk i z namaszczeniem niesie go w kierunku domu.

* * *

Samolot zbliża się do lądowania, a ziemi wciąż nie widać. Dookoła jedynie piach i pył,

trąby powietrzne rzucają wielką maszyną na boki, a pasażerowie z przerażeniem rozglądają się dookoła.

– Tutaj już nie muszą podkładać bomby, sprawę rozwiąże sama natura – stwierdza Marysia z przekąsem.

– Nawet nie używaj tego słowa na „b”, bo jak ktoś usłyszy, zaaresztują nas od razu po wylądowaniu. Ten kraj jest szczególnie drażliwy na punkcie tego typu spraw.

– Hamid ściska ją za rękę, nie wiadomo, czy żeby dodać otuchy, czy ostrzec.

– Ładny kraj, to i stolica musi być piękna. Na środku pustyni! To tutaj tak zawsze pyli?

– Prawie – potwierdza mężczyzna, z niezadowoleniem zaciskając usta. – Jak ci się nie będzie podobało, to ruszymy dalej, nie przejmuj się.

– To może od razu przesiądźmy się w następny samolot, w jakimś normalniejszym kierunku.

Kobieta odwraca twarz w stronę iluminatora, kończąc tym samym jałową dyskusję. Przymyka oczy okolone firaną długich czarnych rzęs i wspomina koszmar ostatnich dwudziestu czterech godzin. Po wybuchu bomby w małym sklepiku przy wąskiej uliczce prowadzącej do ich domu sprawy potoczyły się kaskadowo. W ciągu paru minut pojawiły się specjalne służby. Funkcjonariusze przebiegali dom wzdłuż i wszerz. Psy węszyły, aparatura pikała. Po chwili dowiedzieli się, że lokal jest czysty. Jednak już dłużej nikt w nim nie powinien mieszkać, a tym bardziej Hamid, którego, rzecz jasna i od dawna spodziewana, namierzyli terroryści. Zabicie babci było ostrzeżeniem, sygnałem oraz początkiem zabawy w kotka i myszkę. Marysia siedziała z koszykiem na kolanach, tuląc go do siebie jak dziecko. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Wbijiała wzrok w przestrzeń i nerwowo zaciskała drobne dłonie na czerwonej tasiemce, którą sama zawiązała babci na szczęście.

– Pani to odda! – Młody funkcjonariusz huknął jej nagle prosto do ucha. – Tam mogą być dowody rzeczowe.

– To mówiąc, z całej siły targnął za koszyk.

W tej chwili wszystkie rzeczy, jakie jeszcze w nim pozostały, wysypały się – pomidory, młoda cebulka, fasolka szparagowa, stary telefon komórkowy i wytarty portfel. Dziewczyna podniosła go i otworzyła, wiedząc, co w nim znajdzie. Parę groszy i bezcenne fotografie. Ciotki Maliki, ciotki Samiry oraz szczupłej jeszcze i pięknej Chadidży, jedno swojej matki i małej dziewczynki z warkoczykami – jej siostry Darii. Teraz już nikt nie nazwie mnie Marysią. Ona umarła wraz z tobą, babciu, pomyślała młoda kobieta. Zaraz potem poszła się pakować. Wrzucała rzeczy do wielkich kufrów na chybił trafił, a obcy mężczyźni przychodzili, zamykali je i zabierali do samochodów zaparkowanych przy tylnym wyjściu. Po niespełna piętnastu minutach Hamid wpadł do pokoju, porwał szkatułkę z biżuterią, o której całkiem zapomniała, chwycił ją za rękę i wyciągnął z domu. Nie zdążyli dobrze usiąść, kiedy wielkie czarne samochody cadillac escalade ruszyły z piskiem kół. Z tyłu, pomiędzy walizkami, siedział przyuczajony ochroniarz z kałasznikowem w dłoni i w kuloodpornej kamizelce oraz roztrzęsiony Falil, który nie wiadomo kiedy kupił im bilety – dostali je na lotnisku, a całą odprawą zajmowali się funkcjonariusze bezpieczeństwa, wcześniej współpracujący z Hamidem i jego kuzynem w rozpracowywaniu jemeńskiej Al-Kaidy i uciszaniu rebelii Al-Houti. Młodzi małżonkowie przelecieli przez pół Europy, żeby zmylić trop, ale Marysia uważała i nadal uważa, że i tak już są martwi. Samolot tak długo był w stanie turbulencji, że nie zauważyła, kiedy w końcu wylądowali.

– No i popatrz, nie było tak źle. – Rozluźniony Hamid czule bierze ją za rękę. – Dobrych mamy pilotów, *Wallahi*.

– To ja mam tę szmatę teraz na sobie włożyć? – Młoda kobieta o jasnej karnacji i złotych włosach z niesmakiem podnosi satynową czarną abaję.

– Niestety. Ale nie przejmuj się tym, można dostać przepiękne, wyszywane szlachetnymi kamieniami, kryształami Svarowskiego...

– Nie opowiadaj mi tutaj farmazonów! O to chodzi, że muszę, choć nie jestem szytką ani wahhabitką! Nawet nie wiem, czy jestem muzułmanką! W tak tradycjonalistycznym Jemenie nosiłam się na kolorowo, nie mogłam jedynie pokazywać włosów, gołych ramion i tyłka, i nikt mi nie narzucał, jak mam się ubierać. Może każą mi zasłaniać twarz?! – Marysia rozgląda się po samolocie i z niesmakiem zauważa, że wszystkie piękne saudyjskie kobiety, które w Paryżu wsiadały w nowoczesnych ciuchach, teraz zakrywają je czarnymi workowatymi płaszczami.

– Kochanieńka, nie przejmuj się. – Uśmiecha się do niej sąsiadka. – Przywykniesz i w ogóle przestaniesz zauważać, że masz taki łań na sobie. A jak rano będziesz się spieszyć, to zarzucasz abaję na piżamę i jazda – śmieje się zadowolona z siebie. Hamid podnosi brwi do góry i rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „No widzisz?”.

Portu lotniczego w Rijadzie nie można porównać do znanych Marysi lotnisk w Trypolisie, Akrze czy Jemenie. Tamte to bieda z nędzą, jakieś baraczki imitujące lotnisko tylko z nazwy. Tutaj jest nowoczesność, przepych i przestrzeń. Odprawa idzie gładko, choć żeby do niej dojść, muszą przeskakiwać przez śpiących na marmurowych płytach sali Azjatów.

– Co oni tutaj robią? To bezdomni? – pyta zdziwiona Marysia.

– To tutejsza siła robocza, służba lub, jak mówią ci od praw człowieka, współcześni niewolnicy. Samoloty z Pakistanu, Indii, Sri Lanki i Filipin przywożą ich do nas miliony. – Trochę zawstydzony Hamid wprowadza swoją żonę w realia życia w Arabii Saudyjskiej. – W naszym domu też paru na ciebie czeka.

Załadowują swoimi spakowanymi na chybca bagażami parę czarnych i wielkich jak krowy gmc yukonów i ruszają w ciemną noc, upał, piach i pył Rijadu. Marysię wszystko ciekawi, lecz jest na tyle wyczerpana długą podróżą, że nie zadaje już pytań. Będzie na to dość czasu. Mkną szeroką na cztery, czasami sześć pasów autostradą. Rozwijają zawrotną prędkość, ale tak jak w każdym kraju arabskim, nikt się tym nie przejmuje. Mijają wielkie oświetlone budowle z mnóstwem dźwigów i innej maszynierii. W nocnej poświacie wyglądają jak stacje kosmiczne. Po prawej stronie wyrasta ogromna brama z napisem „Sabic”, naśladująca wielki łuk triumfalny. Kiedy w tle zaczynają majaczyć dwie charakterystyczne dla Rijadu wieże – Fajsaliya i Mamlaka – gwałtownie skręcają w prawo, a później wjeżdżają na dwupasmową drogę prowadzącą przez osiedle willowe. Rezydencje w dzielnicy dyplomatycznej w Ghanie w porównaniu z tymi to wiejskie chaty. Tutaj stoją pałace ze strzelistymi dachami, czasami nawet ze szkła, z witrażami w oknach, ogrodzone i odgrodzone od reszty świata murami wysokimi na co najmniej trzy, cztery metry. Bramy wjazdowe to istne arcydzieła sztuki stolarsko-kowalskiej, a wszystko to oświetlone tyloma lampami, że jest jasno jak w biały dzień. Każdy dom ma przy frontowym murze stróżówkę, w której mieszka dwudziestoczęterogodzinna służba. Po wielu zakrętach zatrzymują się przed imponującym gmachem z żółtego piaskowca. Brama otwiera się automatycznie i zaraz zbiegają się śniadzi ludzie, kłaniający się w pas.

– Wynajęłeś taki dom? Za co? – pyta zaskoczona Marysia.

– Zostawiłem go trzy lata temu, kiedy wyjechałem do Jemenu. To moje rodzinne włości.

– Żartujesz? Nie wiedziałam, że poślubiłam milionera, myślałam, że jesteś tylko bogaty. – Zaszokowana młoda kobieta z rumieńcem na twarzy spuszcza oczy.

– I o to mi chodziło. – Hamid otacza ją ramieniem.

– Ściągaj te szmaty. – Ze śmiechem jednym szarpnięciem rozpina zatrzaski czarnej abai i rzuca ją na zielony, równo przycięty trawnik. – Przecież po domu nie będziesz w tym chodzić. Tutaj możesz cały czas nosić nawet bikini. Oczywiście po tym jak odeślesz męską służbę do domów lub wyślesz na zakupy.

– To ilu ich jest, aż się boję... – Przekomarzając się, wchodzą po marmurowych schodach do sali na parterze.

– Och! – Marysia wydaje okrzyk zachwytu, a Hamid wybucha szelmowskim śmiechem. – No nie, kto to wszystko zaprojektował, kto stawia takie domy? – Kręcąc się w kółko, dziewczyna wlepia oczy w spływające na nią bogactwo. Na środku salonu, czy raczej sali balowej, relaksująco pluszcze fontanna w kształcie wodospadu. Wokół niej rosną zielone papirusy, a w jej przejrzystych wodach pływają złote i kolorowe rybki.

– W końcu firma Bin Ladena od ponad pół wieku zajmuje się budowlanką i pierwsze szlify zdobywała, stawiając królewskie pałace. Wyszkoliliśmy się przy tym wystarczająco, żeby teraz dla siebie robić takie cacka – oznajmia z dumą mąż.

* * *

Marysia przez pierwsze dwa tygodnie w ogóle nie opuszcza domu. Stara się rozpakować i zaadaptować do nowych warunków. Chce poznać wszelkie zakamarki rezydencji, ale dotarcie do kuchni i spiżarki zajmuje jej dwa dni. Nikt jej nie chce tam wpuścić, z jedzeniem ma do czynienia tylko wtedy, kiedy spożywa posiłki, podane na srebrnych tacach i porcelanowej zastawie.

– Hamid, ja sobie nie życzę, żeby w moim domu służba miała więcej do powiedzenia ode mnie – naskakuje wieczorem na zmęczonego całym dniem pracy męża. – Opieprz ich albo ja to zrobię, choć oni moje gadanie i w ogóle moją osobę traktują jak powietrze.

– Okej, Miriam, kogo chcesz zwolnić? Kto pójdzie na pierwszy ogień? – Zmęczony mężczyzna pociera oczy ręką, ale nie widać, aby się denerwował.

– Dlaczego od razu kogoś wyrzucać?! – Przerażona młoda pani domu macha rękami. – Ja tylko...

– Chcesz posłuchu? To, niestety, tak to się robi. Jak się ciebie nie boją, to wejdą ci na głowę.

Hamid macha ręką na usługującego im kelnera i każe wezwać wszystkich, włącznie z ochroniarzami. Za chwilę staje przed nimi jedenaście osób. Dwóch mężczyzn z obstawy, kierowca, ogrodnik i konserwator, kucharka, sprzątaczką, kelner i trzech ludzi nie wiadomo do czego, możliwe że do wszystkiego. – Pani jest z was niezadowolona – zaczyna ostro gospodarz. – Szczególnie z ciebie, Nona, a to ty miałaś być jej prawą ręką. Co to ma znaczyć?

W tym momencie wszyscy zaczynają mówić naraz. Mieszają się słowa filipińskie z hinduskimi, a ogrodnik wykrzykuje coś chyba w suahili.

– *Shut up!* – rozlega się ryk wściekłego Hamida. Towarzyszy temu głośny policzek, który dostał się najbliższemu stojącemu kelnerowi. W tej samej chwili Saudyjczyk bierze dekoracyjną laskę stojącą w kącie salonu i uderza nią na odlew kogo popadło. Służba zbija się w gromadkę, osłania głowy rękami i zaczyna lamentować, a zaskoczona Marysia ze zdziwieniem obserwuje swojego łagodnego do tej pory męża.

– Dawno mnie tutaj nie było, psy jedne!? Zapomnieliście, co to pańska ręka!? – Mężczyzna wrzeszczy coraz bardziej rozjuszony.

– *Sir*, nie, prosimy – rozlegają się pojedyncze jęki.

– My się postaramy...

– Ty, ty i ty zostajecie, a reszta *barra*¹! – kończy Hamid.

– Ochrona do siebie i jak zobaczę, że śpicie w budce, zamiast chodzić i obserwować teren, to każę was zastrzelić. – No i co? Teraz będzie dobrze, zobaczysz. – Trochę zasapany mąż z uśmiechem na ustach obraca się w stronę Marysi i mruga porozumiewawczo okiem.

* * *

Nona jest rzeczywiście perfekcyjną służącą i od pamiętnego wieczoru chodzi za swoją panią jak pies, co chwilę pytając, czy czegoś nie potrzebuje. Marysia cały czas kręci się po domu, rozkoszując się zbytkiem, pięknem i zapachem bogactwa. Wydaje jej się, że śni, bo takie miejsca nie są dla takich jak ona zwykłych ludzi.

– To ile w sumie jest sypialni? – pyta, spacerując po marmurowym korytarzu pierwszego piętra.

– Sześć, *maam* – słyszy cichutką odpowiedź wypowiedzianą usługowym głosem.

Sześć wielkich łóżnic, dwie z prywatnymi łazienkami, a pozostałe mają po jednej na dwa pokoje. Sypialnia Marysi i Hamida jest oczywiście największa, ma chyba ze trzydzieści metrów. Tak wielkiego łóżka dziewczyna w życiu nie widziała, musiało być chyba robione na zamówienie. Ma ogromny baldachim i piękne zdobienia z masy perłowej. W połączeniu z ciemnym litym drewnem wygląda to imponująco. Pościel jest puchowa, obleczone w satynowe powłoki. Szafki nocne są w tym samym stylu co całość, na nich stoją dotykowe lampki, pokój zaś jest oświetlany na kłaśnięcie. W wysokich strzelistych oknach można się przejrzeć. Są ze specjalnego szkła, które przepuszcza światło, lecz nie promienie słoneczne, i nie ukazuje na zewnątrz nic, co dzieje się w środku. Dla zabezpieczenia przed blaskiem są jeszcze haftowane w stylu Richelieu firany, ciężkie ciemne zasłony i drewniane, automatycznie opuszczane żaluzje. Pokój jest wyposażony w aparaturę audiowizualną, do której można dołączyć jako podkład światła laserowe.

Na najwyższym piętrze pod szklanym dachem w kształcie kopuły znajduje się oranżeria. Mnóstwo egzotycznych kwiatów i drzew, w tym orchidee, zapełnia salę o powierzchni chyba pięćdziesięciu metrów. Nad głową latają małe kolorowe papużki, a wielka ara burczy coś po arabsku, patrząc nieruchomym okiem na intruza. W kącie pomieszczenia stoi nowiutki sprzęt sportowy, a za szklanymi drzwiami z boku umieszczono kort do squasha. Marysia wzdycha, patrząc na te wspaniałości. Żałuje, że babcia, którą stale wspomina, nie może tego wszystkiego zobaczyć. Na pewno cieszyłaby się jak dziecko.

– *Maam* pójdzie ze mną. – Nona ciągnie dziewczynę za rękaw. – Pan kazał pokazać.

Schodzą na dół, przecinają salon i wychodzą z niego tylnymi tarasowymi drzwiami. W jednej chwili uderza je fala upału. Nie da się oddychać, zasycha w gardle i od razu kręci się w głowie. Jest plus pięćdziesiąt stopni w cieniu, a wilgotność to jedynie dziesięć procent. Może się człowiek nie spoci, ale za to wyschnie na wiór. Marysia chce natychmiast wracać, ale służąca chwyta ją za rękę i pokazuje palcem na położony wzdłuż muru wielki podłużny budynek w stylu drewnianej altany. W ogrodzie przez zielony trawnik biegnie wiele małych brukowanych ścieżek, a jedna, najszersza, prowadzi do tajemniczego przybytku. Marysia z trudem dociera na miejsce. Za ażurową drewnianą ścianą budynku ukazuje się jej ukryty basen z krystalicznie czystą wodą. Nie jest wielki, ale ma co najmniej dwanaście metrów długości i około sześciu szerokości. Wyłożony jest biało-niebieską mozaiką, a dno na środku ozdobiono postacią błękitnego delfina. Dookoła na plastikowej zielonej trawie stoją plażowe łóżka, krzesła i stoliczki. Na jednym czeka zroszony dzban z saudyjskim szampanem oraz owocowa tartoletka z najlepszej cukierni w mieście. Marysia uśmiecha się, ocierając pot z czoła.

– *Maam* siada i patrzy. – Nona zadowolona z siebie dyskretnie uśmiecha się pod nosem.

Podchodzi do białego kontaktu i coś włącza. Nagle z dachu altany, z wielkich klimatyzatorów zaczyna dmuchać chłodne i wilgotne powietrze, które chłodzi nie tylko ją, ale przy okazji Rijad.

W końcu nowa pani domu zostaje zaprowadzona do kuchni i nie dziwi się, że wcześniej ją tak od niej odpędzano. Tam już nie jest tak idealnie, choć wyposażenie wciąż z najwyższej

półki. Jednak sprzęt używany przez prymitywną służbę jest w dużej mierze zepsuty i tak brudny, że Marysia robi się niedobrze na wspomnienie potraw, które były tutaj przygotowywane. Wszystkie ruchome rzeczy każe wyrzucić na śmietnik – w tym zatłuszczoną i śmierdzącą lodówkę, zmywarkę z szarocząrnym nalotem w środku oraz jedzenie z szafek – a następnie resztę wyszorować wodą z chlorem.

Jej podbój Rijadu zaczyna się od wyprawy do Elektro, największej sieci sklepów ze sprzętem AGD.

– Słuchaj. – Marysia dzwoni do Hamida, kiedy kasjer podaje jej kwotę do zapłaty. – Czy ja mam jakiś limit na karcie?

– O! Jak dobrze, że wyszłaś w końcu z domu – cieszy się mąż.

– To jak? Ile mogę wydać?

– Chyba z pięćdziesiąt tysięcy, tak jak ja. Dolarów oczywiście. Powinno ci starczyć. – Śmieje się zadowolony.

Marysia kupuje wszystkie niezbędne rzeczy i jej yukon zapełnia się po dach, a większy sprzęt przywożą po chwili ciężarówką. Zapomina o wszystkim, co nie tak dawno przeszła w Jemenie, i o całym swoim pokiereszowanym życiu. Czuje, że w końcu jej się udało i los pozwala jej się cieszyć i być szczęśliwą. Nawet w czarnej abai.

* * *

– W co się mam ubrać? – Marysia ma dylemat, bowiem pierwszy raz udają się w wolny od pracy piątek na obiad do rodziny Hamida.

– Abaję przede wszystkim.

– W domu też będę musiała w niej siedzieć? – pyta rozczarowana.

– Żartowałem. – Mąż uśmiecha się kpiarsko. – Ale niestety, wuj i ciotka są dość konserwatywni, więc proponuję czarne spodnie i bluzkę z długimi rękawami.

– Kto tam w ogóle będzie? Tylko para siedemdziesięcioletnich staruszków?

– Zobaczysz, aż za dużo ludzi, a szczególnie dzieci. To jest typowa wielopokoleniowa saudyjska rodzinka.

– Kiedyś miałam taką w Libii i było mi z tym dobrze. Byłam szczęśliwa.

– Wiem, że jesteś na to przygotowana. W końcu jesteś bardziej Arabką niż Europejką, prawda?

Przed domem zamiast wsiąść do jednego z wielkich yukonów, które stoją gotowe na podjeździe, kierują się do garażu.

– Słyszałem, że jeszcze tutaj nie byłaś – z uśmiechem mówi Hamid. – Typowa kobieta, samochody w ogóle cię nie interesują.

– Myślałam, że dwie takie wielkie maszyny to i tak za dużo.

– No właśnie, wielkie i nieporęczne. Dzisiaj pojedziemy moim ulubionym autkiem. Są takie trzy w Rijadzie – mówi z rozczuleniem, głaszcząc maskę niezziemskiego wozu w turkusowym kolorze, z białą tapicerką w środku.

– Mój Bentuś.

– Jak się nazywa? – Marysia pierwszy raz słyszy taką nazwę.

– Bentley, niezła furka.

Kiedy podjeżdżają pod rezydencję wuja, Marysia niczemu już się nie dziwi, choć jego dom to istny pałac, przy którym ich własny wydaje się malutki. W środku znajdują się już tłumy ludzi. Marysia jest obcałowywana przez wszystkie kobiety, mężczyźni natomiast trzymają się na dystans, nie podając jej nawet ręki. Młodzi chłopcy jeśli już wyciągają dłoń, to ściskają same czubki palców. – Zapomniałem ci powiedzieć. – Hamid usprawiedliwiająco szepcze jej do ucha. –

Nie podawaj facetom ręki.

– Dlaczego?

– Nie mogą cię dotknąć. Jesteś nieczysta.

– Jak to, do cholery?! Przecież przed chwilą brałam prysznic! – oburza się Marysia, a Hamid wybucha niepohamowanym śmiechem.

– Jesteś kobietą, a oni cholernie religijnymi muzułmanami. Ale nie oszołomami typu pan O. Jesteś nieczysta, bo akurat możesz mieć okres albo się gdzieś drapałaś.

– Z jego oczu biją iskierki rozbawienia.

– To skąd ty się taki normalny ulągłeś?

Marysia nie doczeka się odpowiedzi, bo wszyscy rzucają się biegiem do jadalni. Widać tylko na nich jeszcze czekali. Bogu dzięki, małżonków usadzono razem, bo młoda kobieta czuje się bardzo nieswojo. Takiego towarzystwa jeszcze nie widziała. Wuj i prawie wszyscy dorośli mężczyźni noszą toby, długie do ziemi męskie białe koszule, a głowy nakrywają chustami w biało-czerwoną kratkę, które przytrzymują czarnym kółkiem. Stale poprawiają ich opadające rogi, zarzucając je na krzyż do góry i robiąc niepewną piramidkę, która po chwili opada. Paru zbuntowanych nastolatków wyłamało się i założyli dzinsy i kolorowe koszulki z nadrukiem, lecz mali chłopcy naśladują stroje ojców, nie mają jedynie nakrycia głowy. Dojrzałe kobiety noszą abaje, często rozpięte, i czarne niewielkie chusty lub szale zasłaniające tylko włosy. Dziewczęta mają na sobie bluzki z długimi rękawami, spodnie, w większości odkryte głowy, chociaż niektóre noszą kolorowe hidżaby, tak jak Marysia w Libii i w Jemenie. Dzieciaki ganiają jak oszalałe, choć dla nich przeznaczono oddzielną jadalnię z mnóstwem filipińskich opiekunek. Jedzenie Marysi nie smakuje, zmusza się, żeby cokolwiek przełknąć. Po znakomitej, pełnej aromatycznych przypraw kuchni libijskiej i jemeńskiej – w Sanie mieli własny sklep z ziołami – potrawy saudyjskie wydają się mdłe. Zupa smakuje jak wywar ze ścierki, zamiast pysznego kuskusu jada się tutaj wiórowaty, niedogotowany ryż basmati, a do tego wysuszone mięsa. Baranina jest spalona i nie da się w nią wbić zęba, kurczaki mają wielkość przepiórek, a o wole lepiej w ogóle zapomnieć. Smakuje, jakby się go jadło z włochatą skórą. Do tego serwowane są jarzyny w formie rozgotowanej bryi, które wszyscy z jednej michy nabierają cienkimi, płaskimi chlebkami pita, zapominając w ogóle o ekskluzywnych sztuccach z firmy Baum & Bosch leżących na stole.

– A ty, Miriam, to Arabka jesteś, czy jakaś *adźnabija*, co się dwóch słów po naszymu nauczyła? – wyjątkowo mile zagaja wujek.

Towarzystwo cichnie, nawet dzieci i maluchy, bo głowa rodziny zabrała głos.

– Mój ojciec był Arabem, Libijczykiem... – Starzec słysząc to, pluje z niesmakiem przez ramię, a Hamid robi się popielaty na twarzy i groźnie zaciska usta. – Mama natomiast Polką – niezrażenie kontynuuje Marysia.

– I co z nimi?

– Zmarli – kłamie jak z nut. Życie nauczyło ją robić to perfekcyjnie.

– Toście się dobrali z Hamidem, dwie sieroty – smutno stwierdza wuj. – Bez rodziny źle i ciężko na świecie. Jakby co, walcie do nas jak w dym – kończy miło.

Po dwóch godzinach wszyscy najedzeni po uszy wstają od stołu, a wyjątkowo zniesmaczeni nowo przybyli do Rijadu krewniacy powoli kierują się do wyjścia.

– Chyba ich stać na lepszego kucharza, nie sądzisz, kochanie? – Marysia szeptem podsumowuje rodzinny obiad. – Bo maniery to już z mlekiem matki...

– Ja się zmywam z wami! – Młoda dziewczyna z bujną kruczoczną czupryną truchtem pędzi za nimi. – Czegoś nie przedstawił mi twojej pięknej żony? – zwraca się z pretensją do Hamida. – Ależ ty masz kolor włosów! To na pewno po matce, prawda? – Marysia już ją lubi.

Znajduje w niej odrobinę naturalności.

– Mama miała jasny blond, jak pszenica, moje trochę pociemniały i skrzyły się, to po arabskich przodkach. Chodź do nas na kawę, masz czas?

– Kochanieńka, nie dzisiaj, bo mam jeszcze randkę.

– Mruga porozumiewawczo. – Ale jutro organizuję małą herbatkę z dziewczynami u mnie w południe. Nie bój się, nie będziemy się modlić! – Wybucha zwariowanym śmiechem, zarzuca przepiękną abaję, która aż lśni od drogocennych kamieni, obraca się na pięcie i już jej nie ma.

– Kto to? – pyta Marysia z rozbawieniem.

– Moja cudowna kuzynka Isra, trochę szalona i chyba jedyna nowoczesna z tej gałęzi rodziny. – Hamid na chwilę rozluźnia się po stresującym spotkaniu – Niestety, my nie możemy wyjść po angielsku. Musimy pożegnać się przynajmniej z wujem, z nim prowadzę interesy i to on ma ostatnie i decydujące słowo w firmie, w końcu jest *szabani*² i *hadżdż* na dokładkę.

Hamid delikatnie obejmuje wuja za ramiona i na koniec całuje go w rękę.

– Zagłądaj do nas, kiedy chcesz. Zawsze znajdziesz tłum kobiet i dzieci w domu. – Starzec bardzo zadowolony podchodzi do Marysi i poklepuje ją opuszkami palców po plecach.

* * *

W domu, po wypiciu gorzkiej herbaty na trawienie, młodzi lądują w wielkiej sypialni. Hamid puszcza nastrojową muzykę, przygasza światła i po raz pierwszy od przyjazdu do Saudi oddają się miłości, ciesząc się, że ocaleli i jakoś odnaleźli się w tym dziwnym i nieprzychylnym świecie. Potem leżą nadzy i rozleniwieni, rozkoszując się swoją obecnością i dotykiem.

– Dlaczego trzy sypialnie są zamknięte na klucz? Nona twierdzi, że nie wolno tam wchodzić. – Marysia przypomina sobie sprawę, którą już dawno chciała poruszyć. – Kto tutaj mieszkał? Niewiele mi mówisz o swoim życiu w Arabii Saudyjskiej, wiem jedynie, że twój ojciec zmarł dawno, a potem mama i siostra. Nie znam żadnych szczegółów, ale nie będę naciskać, sam musisz chcieć mi powiedzieć. Dzisiaj ni z tego, ni z owego poznaję setkę ludzi, twoich krewniaków, choć cały czas sądziłam, że jesteś całkowitą sierotą, tak jak ja.

– Pani kłamczuszko, u ciebie chyba też nie wszyscy wymarli. Z tego, co mówiłaś jeszcze w Jemenie, matka gdzieś żyje.

– Właśnie, gdzieś, nie wiadomo dokładnie gdzie.

– Gdybyś chciała, tobyś ją znalazła. A tatuś jasnie panienki to nową żonkę ma i cieszy się superzdrowkiem za oceanem, nieprawdaż?

– Nie zagaduj mnie. – Marysia ucina temat. – Patrz, ile o mnie wiesz, a ja o tobie w zasadzie nic. Jak to jest z tobą? Jesteśmy już razem wystarczająco długo, żebyś mi o sobie dokładniej opowiedział. – Opiera twarz na dłoni i patrzy poważnie w oczy rozmówcy.

– To nie takie proste, Miriam. Nadal boli. – Zapada niezręczna cisza. – Moja rodzina była bardziej nowoczesna i otwarta na świat niż ta, którą dzisiaj poznałaś. Mój ojciec miał tylko jedną, ukochaną żonę, Jemenkę, a nie Saudyjkę, pochodzącą z plemienia Al-Houti. Moją babcię przecież już poznałaś. – Hamid ironicznie uśmiecha się pod nosem.

– Mama była osobą wykształconą, studiowała w Ameryce, bo jako zdolna dziewczyna dostała rządowe stypendium. Tam się poznali. Kiedy tutaj przyjechali, cały czas pracowała i można powiedzieć, że robiła karierę zawodową. Ojciec zmarł w jednej chwili w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Ot tak... pstryk i już go nie było. Atak serca. Szczupły, wysportowany, spokojny gość, ze znakomitymi wynikami badań, do których matka co roku nas zmuszała. Zostawił swoją małą rodzinę w całkowitym szoku i zagubieniu. Moja młodsza siostra była wtedy w bardzo niedobrym wieku, w okresie buntu, zwariowana szesnastolatka, a ja kończyłem studia w Stanach. Kiedy po dwóch latach wróciłem na stałe, żeby zająć się udziałami

ojca w rodzinnej firmie, Amira siedziała po uszy w złym towarzystwie. Mama nie dawała sobie z nią rady. Mała wpadła w rozwydrzone książęce towarzystwo, zepsute gnoje srające pieniędzmi. Jak się dostaje miesięcznie dziesięć tysięcy zielonych kieszonkowego, to najpocziwшему człowiekowi w głowie by się poprzewracało.

– Wszyscy tak mają? – Marysia nie wytrzymuje i przerywa Hamidowi, który wyrzuca z siebie swoją historię, jakby pękła w nim tama.

– Nie wiem, chyba... Tak słyszałem. Ta wampirzyca, diabeł wcielony, Lamia, najlepsza przyjaciółeczka Amiry, to na pewno jeszcze dostawała pieniądze od starych. Jej wszystkiego było za mało. A moja mała naiwna siostrzyczka po prostu się w niej zakochała. Dziewucha imponowała jej wszystkim, co miała w sobie najgorsze. Była dla niej najmądrzejsza, najpiękniejsza, najsprytniejsza, naj, naj, naj. I głupiutka nastolatka usiłowała ją we wszystkim naśladować. A później to już chyba obie ze sobą rywalizowały, wręcz prześcigały się, która zrobi coś bardziej durnego i złego. Były zakrapiane gorzałą imprezki do białego rana, z haszem i seksem, a potem po pijaku powroty do domu szybkimi samochodami. Amira dysponowała czerwonym porsche, które jeszcze przed śmiercią, nie wiadomo po co, kupił jej rozpieszający ją do nieprzytomności tatuś.

– Zaraz, zaraz! To mogła prowadzić samochód? Jakim cudem?³

– Miała jeździć po podjeździe przed domem i po naszych osiedlowych uliczkach, ale zawsze w towarzystwie kogoś starszego. Trata tata! A swoją drogą, jak zobaczysz na ulicy auto z całkowicie zaciemnionymi szybami, po prostu czarnymi, to znaczy, że w środku jest kobieta. Głupie przepisy zawsze jakoś da się ominąć. A gdyby te dziewczyny zrobiły normalnie, jak się należy, prawo jazdy, uczyłyby się z instruktorem, ich doświadczenia za kółkiem nie kończyłyby się tak jak mojej siostry. – Hamid przerywa, zaciska wargi i zasłania oczy dłonią. – Po jednej z burzliwych imprez – kontynuuje trzęsącym się głosem – młodzi buntownicy zrobili sobie *drifting* po mieście. Jednak nawet to było dla nich za mało. Pojechali na autostradę prowadzącą na lotnisko i tam rozpoczęły się wyścigi. Amira nie miała tyle wprawy, co inni, ale za wszelką cenę chciała dogonić swoją pseudoprzyjaciółkę, która jechała wyścigowym subaru. Doszło do wielkiego karambolu, pięć aut roztrzaskali zupełnie, trzy poobtlukiwali, reszta zwiła. Cztery osoby zginęły na miejscu, około dziesięciu było mocno pokiereszowanych, Lamia miała pękniętą nerkę i urwaną stopę, a Amira wyglądała całkiem nieźle, złamała tylko rękę. W szpitalu okazało się, że ma rozległe wewnętrzne wylewy. Siedzieliśmy z nią całą długą noc, najdłuższą noc w moim życiu. Moja mała śliczna siostrzyczka leżała nieprzytomna, ruszała oczami pod współprzymkniętymi powiekami, darła paznokciami prześcieradło i tak żałośnie jęczała... Myślałem, że matka tego nie przeżyje, że umrze z rozpaczony tam na miejscu.

Marysia z boleścią wbija wzrok w przestrzeń, przypominając sobie obraz Samiry, który pamięta z dzieciństwa. Czuje, jakby tragedia rodziny jej męża dotyczyła jej osobiście. Hamid ociera łzę, która niepostrzeżenie spływa mu z kącika oka.

– Nad ranem Amira ocknęła się, chwyciła mamę za rękę i z dzikim przerażeniem spojrzała na nią. „Mamo, tak się boję! Nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj mnie samej!” – te słowa będą pamiętał do końca życia. Kiedy po jej śmierci wróciliśmy z matką do domu, każdy poszedł do swojego pokoju. Nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem, nawet nie spojrzeliśmy na siebie. I to również będę sobie wyrzucał do końca moich dni. Gdybym wtedy ją przytulił, gdybym z nią zapłakał... Nie wychodziła ze swojego pokoju cały następny dzień. Drzwi były zamknięte na klucz. Po tym jak je wyważyliśmy, znalazłem ją w łazience. Połknęła całą fiolkę leków uspokajających i na dokładkę podcięła sobie żyły, fachowo, wzduż. Nie mogła przecież zostawić swojej małej, ukochanej córeczki, która tak rozpaczliwie ją wzywała.

* * *

– *Maam*, pan kazał dać pani te albumy. – Nona kładzie pięć wielkich grubych tomów na stoliku przy oknie i wychodzi.

Po wczorajszych zwierzeniach Marysia nie ma śmiałości do nich nawet zajrzeć. Chowa je w pudle na najwyższej półce w garderobie. Kiedyś przeglądała je razem z Hamidem. Dla relaksu bierze kierowcę i jedzie do Mamlaki, jednego z największych centrów handlowych, jakie kiedykolwiek widziała. Na drugim piętrze są sklepy przeznaczone tylko dla pań i żaden mężczyzna nie może tam postawić swojej stopy. Tylko tutaj, jak cała Saudia długa i szeroka, sprzedawczyniami są kobiety, tu znajdują się damskie przymierzalnie i można chodzić nawet bez abai. Niektóre stoiska przeznaczone chyba na kieszeń księżniczek, bo niczym szczególnym niewyróżniające się ciuchy kosztują majątek. Skórzana kurteczka: siedem tysięcy riali⁴, spódniczka do kompletu: pięć, a wieczorowe suknie sięgają bajońskich kwot dwudziestu tysięcy i więcej. Właśnie tu można dostać abaje ręcznie haftowane kolorowymi nićmi, upiękzone drogimi, szlachetnymi kamieniami, cyrkoniami, diamentami lub perłami, a także wspomniane przez Hamida czarne jedwabne płaszcze ozdobione kryształami Swarovskiego. Marysia kupuje jeden z nich, z wyszytym na plecach na tiulowym materiale kolorowym, błyszczącym pawiem.

O dwunastej dziewczyna wystrojona w nową kreację wchodzi do domu Isry. Na podjeździe i przed bramą stoi już z dziesięć samochodów, a kierowcy zbici w gromadkę gaworzą, popijając colę.

– Jest nasza nowa, piękna blond siostra. – Isra błyskawicznie ją zauważa i wylewnie rzuca się na szyję. – Chodź, moja mała, przedstawię cię wszystkim. – Ciągnie ją za rękę w stronę tłumu wystrojonych, ostro wyperfumowanych i obwieszonych kilogramami biżuterii kobiet. – Niezła *abaja*, ale tutaj możesz bez – chichocząc, szepcze jej do ucha gospodyni.

Po półgodzinie Marysia nie pamięta prawie żadnego imienia poznanych elegantek, lecz jedno utkwiło jej w pamięci – Lamia. Ta młoda, piękna Arabka nie może od niej oderwać wzroku. Jej czarne jak węgiel oczy wypalają w Marysi dziurę. Ma perfekcyjną sylwetkę – szczupła, długonoga, wysoka, ale gdy chodzi, można zauważyć, że lekko utyka.

– *What's your name?* – zagaduje Marysię po angielsku.

– Miriam czy Mary?

– Jak kto woli – odpowiada uśmiechnięta dziewczyna.

– Jeszcze wołano na mnie Marysia.

– A cóż to za imię?! – teatralnie wykrzykuje Lamia.

– To polska wersja tych dwóch wcześniej wymienionych przez ciebie.

– A niby czemu? Mówili, że jesteś Brytyjką – dziwi się, z niesmakiem wyginając wargi.

– Moja matka była Polką...

– Phi! – Kobieta nie jest już dłużej zainteresowana konwersacją. Odwraca się i pokazuje Marysi plecy.

Za wyjątkiem tego incydentu czas z dziewczynami upływa w beztroskiej atmosferze. Toczą się rozmowy o niczym, o rozwrzeszczanych dzieciach i wrednych mężach, o tym, kto kogo zdradził i oszukał, kto ile zarabia i kto zbankrutował na giełdzie. Kobiety piją kawę za kawą, zajadają się słodyczami lub sałatką owocową, a po dwóch godzinach bzdurzenia zbierają się do domów. Kiedy Marysia z dziką przyjemnością również chce wyjść, Isra łapie ją za rękaw abai i błagalnym spojrzeniem nakłania do pozostania.

– Nudno, nie? – mówi, gdy już wszyscy poszli.

– No wiesz... Takie babskie tematy, ploty... Niektóre to lubią.

– Ja nie za bardzo i ty chyba też nie – stwierdza gospodyni. – Muszę pójść na studia albo do pracy, bo inaczej zwariuję! W końcu ileż czasu można robić zakupy i spotykać się z takimi

idiotkami! – wykrzykuje, gwałtownie wyrzucając ręce do góry.

– Ja również już mam dość – przyznaje Marysia. – Ale czy kobiety mogą tutaj coś zdziałać?

– A jakże! Czy ty wiesz, ile jest rządowych, zagranicznych stypendiów dla dziewczyn?! Trzeba się tylko zakręcić. A i superpłatnej pracy w żeńskich oddziałach w bród. U nas są najbogatsze kobiety na świecie!

– Księżniczki – sceptycznie zauważa Marysia.

– *Bullshit!* – denerwuje się młoda Saudyjka. – Gówno prawda, europejska czy amerykańska propaganda! Tamte są tylko od wydawania pieniędzy, a nie od ich robienia. Mamy mnóstwo bizneswoman, łebskich bab. – Śmieje się, dumna ze swoich rodaczek. – A potem pożyczają forszę naszym leniwym, zacofanym chłopom.

– Ja bym też mogła coś tutaj zrobić? – pyta nieśmiało Marysia.

– A co umiesz?

– Nic. – Wybuchła histerycznym śmiechem.

– No nie gadaj, nie uwierzę. Jaką szkołę kończyłaś?

– Brytyjskie liceum. No i to by było na tyle.

– Kochanieńka, toż to świat i ludzie. Po pierwsze, znajdziesz bez problemu ciepłą posadkę w British Council lub w jednej z międzynarodowych szkół, ale jeszcze lepiej jest dawać prywatne lekcje córkom tych, którzy siedzą przy żłobie. Za godzinkę bierzesz do kieszeni dwieście pięćdziesiąt riali.

– Ale ja mam tylko maturę! – Nie wierzy własnym uszom Marysia.

– *Jekwi, habibti, jekwi*, jak cholera – Przesympatyczna Isra obejmuje ramieniem swoją nową przyjaciółkę.

– To pomożesz mi, koleżanko? – pyta Marysia, szczęśliwa, że otwierają się przed nią nowe możliwości.

– Oczywiście, moja mała, nic się nie martw!

* * *

Po rozmowie z Isrą nowe, pełne nadziei myśli tłuką się po głowie Marysi, a tu nieoczekiwanie Hamid wyznaje w wielkim uniesieniu, że bardzo chciałby mieć z nią dziecko. Dziewczyna baranieje. Jeszcze w Jemenie ustalili, że będzie brać pigułki antykoncepcyjne, gdyż dzidziusia na razie nie planują. Ma dopiero dwadzieścia lat, a jej mąż cały czas twierdził, że musi się najpierw wykształcić, skończyć jakiś uniwersytet. Młodej kobiecie jest z tym wygodnie, tym bardziej teraz, kiedy nowa koleżanka przedstawiła jej takie wspaniałe perspektywy, w ogóle nie ma ochoty na macierzyństwo. Zaczęła się jednak zastanawiać... że przecież parokrotnie zapomniała wziąć tabletkę, ale w ciążę nie zaszła. Słyszała od swoich koleżanek i Leili w Jemenie, że kobiety płodne „zaskakują” od razu. Widać ona potrzebuje więcej czasu. Przypomina sobie wydarzenia z pobytu w Ghanie i skóra jej cierpnie na grzbiecie. A może to wina aborcji, o której Hamid oczywiście nie ma zielonego pojęcia? Jest nowoczesnym i światłym człowiekiem, ale Marysia nie chce sprawdzać granic jego tolerancji. Nigdy nawet nie wspomniała o tej haniebnej historii. Sama pragnęłaby zapomnieć o tym strasznym incydencie. Jakaż ona wtedy była głupia, jaka łatwowierna! Zawsze jak o tym myśli, to ze wstydu zasłania twarz rękami, nie chcąc nawet sama na siebie spojrzeć.

W życie młodych małżonków nie wiadomo kiedy wkraczają nuda i rutyna. Marysia popada w marazm i miewa nastroje depresyjne. Czas płynie nieubłaganie, dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a nic specjalnego się nie dzieje. Na razie nic nie wynika ze wspaniałych obietnic Isry. Teraz już Marysia rozumie, czemu arabskie kobiety mają tyle dzieci. Sama zaczęła

myśleć o posiadaniu przynajmniej jednego – w końcu miałyby co robić, z kim przebywać, do kogo się odezwać.

– Może skoczmy do centrum handlowego? – pyta Hamid pewnego wieczoru, który zwyczajowo spędzają przed telewizorem. – A kiedy? – pyta Marysia ospale.

– W tej chwili, hm?

– A co tak nagle cię wzięło? Przecież nie lubisz zakupów, tłumów i bezsensownego plątanania się od witryny do witryny – cytuje jego słowa.

– A ty nie znosisz chodzić do restauracji. I w ten sposób mamy z głowy dwa główne punkty rozrywki w Saudi. Skiśniemy w domu, trzeba się ruszyć. – Hamid podejmuje decyzję i dźwiga się z kanapy. – Poza tym dzisiaj środa, dzień dla rodzin i mnie samego nie wpuszczą, więc rusz się, leniuchu.

Galerię Rijad zawładnął dziki tłum, jest dosłownie czarno-biało. Marysia nie nakrywa głowy chustą, lecz oczywiście musi mieć abaję. Czarny szal ma na wszelki wypadek schowany w torebce. Hamid, mężczyzna o jasnej karnacji, unika toby jak ognia. Ubrany jest po cywilnemu, w dzinsy i sportową koszulę. Reszta ludzi, w ponad dziewięćdziesięciu procentach, nosi się w saudyjskim stylu; kobiety od stóp do głów na czarno, u większości widać tylko oczy, choć zdarzają się i takie, które patrzą na świat przez tiulową zasłonę, a na rękach mają rękawiczki; mężczyźni obowiązkowo noszą długie do ziemi białe koszule, młodzi niejednokrotnie wyłamują się i nie nakrywają głowy chustą, a długie czarne włosy związują w modną kitkę. Już nawet dziesięcioletnie dziewczynki i chłopcy naśladowują styl rodziców. Tylko maluchy są ubierane na kolorowo, w ogólnie przyjęty na całym świecie sposób. Młoda para snuje się od sklepu do sklepu, czasami zawieszając oko na czymś ciekawym, lecz jest tutaj tyle tego, że trudno by się było na coś zdecydować. Kiedy wchodzi do firmowego sklepu z obuwem, nagle przy drzwiach robi się jakieś zamieszanie. Kobiety zaczynają krzyżeć i wymachiwać rękami. Po chwili do sklepu wpada może siedemnastoletni chłopak w potarganej kraciastej koszuli i postrzępionym podkoszulku. Natychmiast wejście zostaje zamknięte, a wszystkie Saudyjki podbiegają do niego. Marysia z mężem trzymają się na uboczu. Dziewczyna jest lekko przestraszona, bo nie wie, o co chodzi.

– *Miskin, miskin, tibbi moja*⁵? – Arabki ze współczuciem mówią do zdyszanego, spoconego i przerażonego chłopca, wręczając mu butelki z wodą.

W tym samym momencie do szklanych drzwi zaczyna się dobijać chudy jak szczapa, groźnie wyglądający mężczyzna ubrany w brązową suknię. Krzyży coś niezrozumiale i wymachuje trzymaną w rękę różgą.

– Idź do diabła! – odpowiada mu dzielna korpulentna kobieta w średnim wieku. – *Madžnun!*⁶ Bij sobie własne dzieci, ty synu osła!

Marysia, trzęsąc się ze strachu, chwyta Hamida pod ramię.

– To nic, nie bój się – uspokaja ją. – Takie sytuacje zdarzają się co weekend. To *mutawwa*.

– Oddać go, bo zamkniemy sklep, ty żółty darmozjadzie! – Funkcjonariusz obyczajówki zwraca się do sprzedawcy. – Na ulicę pójdziesz, na Filipinach! Deportacja jeszcze dziś!

– Poszedł precz! – krzyczą Saudyjki. – My chłopaka wyprowadzimy!

– Dla was też będą baty!

W tym momencie osłabiona szyba pęka i zasypuje wszystkich szkłem. *Mutawwa*, nie zważając na nic, w szalonym zapamiętaniu chwyta chłopaka za rękę i zaczyna go okładać na odlew różgą. Wtem do akcji wkracza dwóch policjantów i jeden potężnie zbudowany ochroniarz. Odciągają wijącego się funkcjonariusza policji religijnej, a nastolatek błyskawicznie wykorzystuje ten moment na ucieczkę. Chudzielec w brązowej sukni wygraża wszystkim

pięciami i przygarbiony rzuca się w pościg. Oczywiście nie ma szans. Kobiety, oburzone, kiwają na boki głowami i cmokają z niesmakiem.

– Widzisz, to było lepsze od amerykańskiego thrillera – śmieje się Hamid i wyprowadza Marysię, pod którą z emocji uginają się nogi. – *Reality show!*

¹ [← powrót do tekstu] *Barra* (arab.) – wynocha.

² [← powrót do tekstu] *Szabani* (arab.) – starzec.

³ [← powrót do tekstu] W Arabii Saudyjskiej kobiety nie mogą prowadzić samochodu ani nie mają prawa głosu.

⁴ [← powrót do tekstu] Rial saudyjski – 1 SAR \approx 0,8 PLN.

⁵ [← powrót do tekstu] *Miskin, miskin, tibbi moja?* (arab.) – Biedaku, biedaku, chcesz wody?

⁶ [← powrót do tekstu] *Madżnun!* (arab.) – Wariat!

Spotkanie z palestyńskim Polakiem

Co za zlot! Tylu starych, dobrych kumpli! – Hamid bełkocze do poduszki, kiedy o trzeciej w nocy pada bezwładnie na łóżko. – Miriam, moja kochana, przepraszam, ale mężczyźni tak czasami muszą...

– Się uchlać?! – kończy za niego Marysia. – Przecież tutaj jest prohibicja! Nie tylko za handlowanie, ale również za posiadanie i picie grozi kara śmierci! Tak czytałam.

– Sraty taty, majty w kraty. Musieliby pół Saudi wymordować. – Po tych słowach mąż zrywa się i biegnie do łazienki.

– Spotkałem niesamowitego gościa – mówi następnego dnia rano Hamid przy kubku mocnej gorzkiej herbaty.

– A możesz mi powiedzieć, co to mnie obchodzi? – pyta obrażona Marysia.

– Kochanie...

– Ciekawa jestem, czemu ja nikogo nie poznałam, he?

– Tutaj, niestety, panuje segregacja płci. Co ja na to mogę poradzić? – Ty po prostu nie znasz nikogo, kto chodziłby na imprezy z żoną! Jesteś taki sam jak ta banda tradycjonalistów, albo jeszcze gorszy, bo udajesz kogoś innego.

– Okej, masz rację, ale teraz proszę, daj mi coś powiedzieć. Gadałem wczoraj z facetem, który ma żonę Polkę, a on sam polskie obywatelstwo. Palestyński lekarz, który studiował w Warszawie. – Hamid strzela słowami jak z karabinu, żeby mu nie przerwano.

– Mhm. – Marysia przysiada na jednym półdupku i z zaciśniętymi ustami patrzy na męża. – I co z tego?

– Może zaprosimy ich do nas?

– Jego żona była na tej pijackiej balandze, a ja nie mogłam?

– Ona jest aktualnie z córką w Polsce, więc... Zresztą, kochana moja, nikt tego nie planował. Tak wyszło. Ktoś miał pomysł, kto inny wykonał parę telefonów i... – zawiesza głos i łasi się jak kot. – Przepraszam. Zrobimy kolację u nas, a wtedy ty się upijesz i będziemy kwita – mówi z uśmiechem na ustach.

Hamid, chcąc udobruchać wściekłą żonę, wszystko błyskawicznie organizuje. Oferuje nawet swoją pomoc przy zakupach i gotowaniu. Marysia nadal jest trochę obrażona, cieszy się jednak, że pozna ludzi z Europy. Może rodaczka bez rozgłosu w arabskim świecie mogłaby jej pomóc znaleźć specjalistę od leczenia bezpłodności. Myśl o niemożności posiadania dzieci zaczęła coraz częściej spędzać jej sen z powiek. Jednak co przygotować do jedzenia, aby ugościć ludzi, którzy tęsknią zapewne za ojczyzną i jedzą tylko europejskie potrawy? Marysia nie za bardzo umie gotować, a jeśli już, to tylko libijskie dania. Obawia się, że nimi nie zadowolą biesiadników.

– Bogu niech będą dzięki za internet – mówi sama do siebie, po tym jak znajduje setkę stron z przepisami. – Zupa pomidorowa – odcyfrowuje po polsku i patrząc na obrazek, przypomina sobie, że kochana babcia nawet poprzez jedzenie próbowała ją skierować w stronę Polski.

– Kotlety schabowe... skąd ja wezmę wieprzowinę? – zastanawia się na głos. – Muszę coś pokombinować.

– Witamy, witamy. – Hamid wprowadza do salonu zaproszone małżeństwo.

– O ja pierdołę! – mówi po polsku trzydziestoletnia kobieta, kręcąc się w kółko, a gospodarze nie rozumieją, czy chwali, czy krytykuje.

– To oznacza w pięknym słowiańskim języku: „Ale pięknie!”. Tylko Polacy tak reagują –

śmieje się sympatyczny Palestyńczyk o ciemnej karnacji. – Brytyjczycy powiedzą *wonderfull*, Niemcy *wunderbar*, Rosjanie *kak priekrasno*, a ci... trochę inaczej.

– No, nieźle, nieźle. – Drobna kobietka po pierwszym wstrząsie wita się, trzykrotnie całując Marysię w policzki. – Kinga jestem.

Hamid zaopatrzył domowy barek w najlepsze markowe trunki, więc goście są zadowoleni.

– Gdzieżeś kupił rémy martina? – pyta Amir.

– Na Kingdom Compound. Tam alkoholi masz do wyboru, do koloru – dumnie oświadcza gospodarz.

– Ale i ceny sakramenckie. Dobrze że mnie pacjenci przynoszą butelki.

– Jak długo już tutaj jesteś? – zaczyna zdawkową rozmowę Kinga.

– Możemy mówić po angielsku? – Marysia nie jest w stanie jej odpowiedzieć po polsku, bo z całego pytania rozumie piąte przez dziesiąte, a o wypowiedzianiu się w tym chrześzczącym języku musi na razie zapomnieć.

– Ja nie rozumiem tych kobiet! Wychodzą za mąż za cudzoziemców i od razu zapominają swojego języka w gębie! – wścieka się rodaczka. – Spójrz na Amira i naszą córkę! Mają większy zasób słownictwa niż niejeden Polak.

Panowie przerywają miłą rozmowę i koncentrują się na wiszącej w powietrzu kłótni.

– Moja żona urodziła się w Polsce, lecz jako dziecko wyjechała do Libii. – Hamid odpowiada za Marysię, bo ta z trudem powstrzymuje łzy. – Matkę ostatni raz widziała w wieku siedmiu lat i od tamtej pory nawet nie słyszała ojczystego języka, a co dopiero mówić o pogawędkach. Wychowywała się w arabskiej rodzinie.

– Sorry, nie wiedziałam. – Kinga spuszcza wzrok i spieka raka, a jej mąż, jakby mógł, zabiłby ją wzrokiem.

– Z mojej żony to taka mała franca – mówi Amir, usiłując rozładować niezręczną sytuację. – Co w głowie, to na języku.

– To nawet dobrze – szeptem włącza się Marysia.

– Lubię szczerych ludzi, choć czasami obcowanie z nimi bywa bolesne.

Od tego momentu panuje chłodna atmosfera i rozmowa całkowicie przestaje się kleić. Słychać tylko szcęk sztućców i siorbanie wina, którym wszyscy usiłują się rozluźnić.

– A co u twojej krewniaczki z Jemenu, Leila jej było na imię? – Amir nagle przerywa ciszę. – Robiłem jej przeszczep włosów i pamiętam, że powiedziałem komplementy. To może być bardzo ładna dziewczyna, ale powinna jeszcze przyjechać na transplantację skóry twarzy. Nie rozumiem, czemu do tej pory się nie pojawiła.

– Chyba już nie jest zainteresowana – zdawkowo odpowiada Marysia, a przełykany kęs staje jej w gardle.

– A co? Znalazła sobie męża i już jej wszystko jedno?

– Lekarz śmieje się rubaszenie. – W końcu blizny pooparzeniowe nie są dziedziczne, nie? – Zginęła podczas wybuchu niewypału w obozie dla uchodźców, gdzie pojechaliśmy jako wolontariusze.

Na tej wymianie zdań wizyta się kończy – tak gospodarze, jak i goście mają nadzieję długo siebie nie oglądać, lub wręcz nigdy w życiu.

Wycieczka do Madain Saleh

Marysia ostatecznie odstawia pigułki antykoncepcyjne, uprawia seks z Hamidem każdego dnia, a pomimo to po miesiącu dostaje okres. Z kim by na ten temat porozmawiać, do kogo się zwrócić? Poznanie wyjątkowo wrednej rodaczki nic nie dało. Kobieta nie chce w najbardziej intymne sprawy od razu angażować swojego męża, do jego saudyjskiej rodziny nie ma zaufania. Wie, jak to jest w arabskich domach – zaraz ją wezmą na języki. A Isra? Nie! Wspomina babskie spotkanie u niej i decyduje, że musi o tym zapomnieć. Ale by dała dziewczynom gorący temat do plotek! Marysia czuje się bardzo samotna i zagubiona. Pomimo całego bogactwa i otaczającego ją złotego kokonu nie może się w tym kraju odnaleźć. Jest tak bardzo inny, tak niesamowicie konserwatywny i rygorystyczny, że czuje, jak na jej szyi zaciska się niewidzialna pętla. Nie może sama poszwendać się po sklepach, a potem wskoczyć do cukierni na kawę czy do restauracji na pizzę, bo zaraz powstaje ryzyko interwencji mutawwy i jego pytań, gdzie zgubiła opiekuna. Gdyby miała jako towarzyszkę drugą kobietę i stadko dzieci, to byłoby dopuszczalne, ale w pojedynkę – odpada. W większych lokalach wydzielone są sekcje dla singli, to znaczy samotnych mężczyzn, oraz dla rodzin, ale jej samej nie wpuszczają. Małe bistra są natomiast przeznaczone tylko dla panów. Gdy chce kupić sobie szawormę, nie może wejść do knajpki, bo wszystkie saudyjskie samce zemdlałyby chyba na jej widok, lecz musi prosić kierowcę, aby to dla niej zrobił. Potem ewentualnie może zjeść ją w samochodzie. Nie ma nawet co marzyć, aby pobiegać po całkiem ładnych promenadach czy parkach. Zaraz wzbudziłaby zainteresowanie policji obyczajowej. Poza tym „trochę” ciężko poruszać się w zatykającym dech w piersiach upale, dławiącym kurzu i na dokładkę w długiej do ziemi abai, a co dopiero mówić o joggingu, choć zdarzyło się jej widzieć parę szalonych saudyjskich entuzjastek. Najgorsze jest to, że ze swoją jasną karnacją i blond włosami od razu wyróżnia się z tłumu i wzbudza niezdrową sensację. Zaczęła już nawet nosić czarny *hidżab* lub przynajmniej zasłaniać kręconą, niesforną czuprynę szalem, nie chcąc tak diametralnie różnić się od otaczających ją pań. Marysia nie ma prawdziwej przyjaciółki, wsparcia, życzliwej rodziny. Całkowita pustynia! Czuje, że traci grunt pod nogami, tonie, dłużej tego nie wytrzyma.

– Słuchaj, muszę cię gdzieś stąd wywieźć, bo mi całkiem zwariujesz – oznajmia Hamid po powrocie z pracy, jak zawsze późnym wieczorem.

– A dokąd? Na *shopping*? – odpowiada dziewczyna, leniwie obracając się na drugi bok na sofie przed wielkim telewizorem. – Mam ciekawy serial, pogadamy, jak się skończy.

– Kobieto, rusz się! – Zdenerwowany mąż podchodzi do telewizora i go wyłącza. – Rozumiem, że może ci się tutaj nie podobać, ale przejaw jakąś inicjatywę, zrób coś, podnieś swoje cztery litery i nie wiem...

– No właśnie! – Marysia w niechlujnym stroju i ze spletanymi włosami siada po turecku i kpiąco patrzy na swojego mężczyznę. – Jeśli ty, taki geniusz, nie wiesz, co miałabym robić, to skąd ja, głupia gąska ledwo z maturą, miałabym mieć jakiś pomysł?

Coraz częściej ich rozmowy przebiegają w taki właśnie sposób. Nie kłócą się, nie podnoszą głosu, lecz na zimno obrzucają się pretensjami. Hamid ma żal, że Marysia nadal nie zachodzi w ciążę i twierdzi, że coś jest z nią nie tak albo nadal bierze tabletki antykoncepcyjne, ukrywając ten fakt przed nim. Ona zaś dusi się w złotej klatce, a wylecieć z niej nie ma ani dokąd, ani po co. Nowo poznane towarzystwo jest straszne. Saudyjskie dziewczyny są puste, nieufne, albo ogromnie religijne, albo wręcz rozpustne. Jedyna Isra tchnęła w Marysię nadzieję, że mogłaby w Rijadzie znaleźć swoje miejsce, zajęcie i tym samym szczęście, ale od spotkania na babskiej herbatce nie dała znaku życia. Okazało się później, że wyjechała na stypendium do

Kanady i wróci najwcześniej za pięć lat. Tak bez słowa, bez jednego telefonu, choć od pierwszego spotkania mianowała się Marysia przyjaciółką. I jak tu komuś ufać? O Polce, która zaszczyliła ich swoją obecnością z mężem chirurgiem, nie ma nawet co mówić. Wielka pomyłka. W ciągu jednego wieczoru popełnili tyle gaf i wprowadzili tak drętwą i drażniącą atmosferę, że małżeństwo Bin Ladenów nie ma ochoty ich więcej widzieć.

– Wiesz, chyba wszyscy Saudyjczycy nie znoszą Rijadu. – Niezrażony Hamid siada przy żonie i próbuje choć trochę ugładzić jej włosy. – Mówi się, że to sztuczny twór na środku pustyni i że nie ma duszy.

– A niby dlaczego? Taka metropolia! Tyle centrów handlowych! Szerokie ulice, autostrady, wysokie biurowce ze szkła i stali, piękne osiedla willowe...

– No właśnie, ale mimo tego wszystkiego... – Mężczyzna spuszcza wzrok, tak jakby się wstydził. – Może wstyd się przyznać, ale ja lubię to miasto. – A jest w Saudi jakieś lepsze? – pyta zaciekawiona.

– Ponoć Dżedda, ale nie dla mnie. W zasadzie jest tam tak samo, tylko że wilgoć chce cię zadusić. Panuje tam większa swoboda obyczajowa, mniej jest mutawwów, ale i tak prawo wszędzie to samo. Mają piękne morze, w którym nie wolno się kąpać kobietom ani dziewczynkom. Chyba że w abai.

– Ty po prostu kochasz Rijad, ten pył i piach, które go prawie non stop spowijają. Burze magnetyczne, spadki i skoki ciśnienia, i ten cholerny żar, jak z pieca. Uf!

– Chyba ty też masz jakieś ukochane miejsce na ziemi?

– Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów małżonkowie zaczynają ze sobą przyjaźnie rozmawiać.

– Kiedyś był to Trypolis. Uwielbiałam to miasto, ten smród spalin i gnijących śmieci przeplatające się z odurzającym zapachem jaśminu, świeżo parzonej kawy i ciepłutkiego chleba prosto z piekarni. – Marysia rozmarza się, wspominając swoją bez troską młodość. – Niejeden by się ze mnie śmiał, ale to miasto ma klimat, choć nie wiem, jak jest teraz. Później przyjechałam do Jemenu i muszę ci powiedzieć, że stara Sana urzekła mnie i chyba do końca moich dni nie będzie mi nigdzie tak dobrze jak tam. Biednie, niekomfortowo, czasami niebezpiecznie, z górą tradycjonalistycznych zakazów i nakazów – ale byłam tam szczęśliwa. Może dlatego że stała przy mnie babcia, była też przyjaciółką od serca, poznałam mężczyznę mojego życia – kładzie głowę na ramieniu Hamida – i miałam przed sobą jakiś cel, i głowę pełną marzeń. Chodziłam do szkoły, gdzie byłam najlepszą uczennicą i snuto przede mną świetlaną przyszłość. Wiesz, że przyznano mi stypendium na studia? – mówi smutno.

– Marysiu! Nie wpadło ci do głowy, żeby sprawdzić w internecie, ile tutaj jest żeńskich akademii i uniwersytetów? Dostaniesz obywatelstwo saudyjskie, to przyjdzie czas na stypendium. A w ogóle to zostawmy je biedniejszym, bo jak chcesz, to już jutro polecimy na koniec świata, gdzie możesz studiować nawet język migowy albo... suahili. Naprawdę! Zrobię wszystko, żebyś tylko była szczęśliwa!

– Nie można tak od razu się zniechęcać, to nie w moim stylu. – Kobieta zarzuca mężowi ręce na szyję. – To jest twój dom, twoja ojczyzna, a moje miejsce jest przy tobie, więc spróbuję je polubić. Trochę ostatnimi czasy oklapłam, ale to przejściowe, uwierz mi.

– W takim razie na rozruch biorę cię na czterodniową wyprawę przez pustynię, przez piach i pył! Tak je przecież lubisz – śmieje się.

– Dokąd?! – wykrzykuje Marysia.

– Do Madain Saleh, największego cmentarzyska ze wspinałymi nabatejskimi grobowcami pośród piasków i skał.

– Wow! Z nudów coś na ten temat już czytałam i oglądałam galerię zdjęć. Tam jest

pięknie!

– To zmykaj się pakować. Jutro wyruszamy. – Hamid klepie Marysię w pupę, poganiając ją w ten sposób na schodach.

– Ale niespodzianka! – piszczy rozbawiona i rzuca się pędem przed siebie.

* * *

Następnego dnia w południe zgodne małżeństwo siada w swoim wielkim gmc yukonie, ustawia na GPS-ie kierunek jazdy i powoli wyjeżdża z posesji. Pogoda o tej porze roku nawet w Rijadzie jest znakomita. Wiosna chyba w każdym punkcie kuli ziemskiej jest piękna. Odczuwa się to szczególnie w miejscach, które na co dzień są nie do życia. Dopiero teraz Marysia może podziwiać oszałamiający błękit bezchmurnego nieba, które od kwietnia do października skrywa się za chmurami pyłu. Kryształowo czyste powietrze wypełnia płuca i dodaje sił, nawodniona ziemia z każdego najmniejszego skrawka wypuszcza młode pędy traw czy krzewów, a wszystko to pieszczą delikatne promienie przygrzewającego słońca. Ptaki całymi dniami śpiewają jak oszalałe, koty parzą się jak to w marcu i zawodzą nocami pod niebiosą.

– Ostatnimi czasy tak dokładnie zamknęłam się w domu, że nawet nie zauważyłam zmiany pory roku – wzdycha smutno Marysia.

– Czas powrócić do życia, moja ty Persefono. – Hamid czule głaszcze ją po policzku, nie odrywając jednak wzroku od ruchliwej drogi. – Niech do naszego małego światka znów powróci radość. Wierz mi, w Saudi też można dobrze się bawić, spełniać swoje aspiracje i być tak prostu, zwyczajnie szczęśliwym.

– Tak, masz rację, ale potrzebuję czasu, żeby przywyknąć.

– Oczywiście, rozumiem cię. Tyle ostatnio miałaś przejść...

Od tej chwili przez prawie dziesięć godzin aż do samego Madain Saleh małżonkowie z rzadka wymieniają luźne uwagi. Wyjazd z Rijadu jest oszałamiający – autostradę wykuto w wysokich na paręset metrów pomarańczowych skałach. Ciężarówki pną się powolutku po specjalnie wydzielonym pasie, a samochody osobowe, jak zawsze w krajach arabskich, pędzą niczym na wyścigach. Na szczycie wzniesienia otwiera się przed nimi bezkresna przestrzeń, pełna piachu i wyrastających z niego wielkich głazów o przedziwnych formach. Czasami mają kształt iglicy lub maczugi, inne przypominają głowę, jakieś zwierzę czy statek kosmiczny. Między nimi z rzadka pojawia się oaza, a wokół niej domy, gaje palmowe i oliwne oraz poletka z uprawą ziół. Marysia wpatruje się w otaczający ją pustynny, odludny, ale też fascynujący pejzaż, z rzadka tylko zmacony przez małe osady. Najwięcej jest koczowisk beduińskich, które wyglądają chyba tak samo jak sto lat temu. I wszędzie oczywiście liczne stada wielbłądów, których od wieków najwięcej jest właśnie w Arabii Saudyjskiej. Marysia rozumie już potrzebę postawienia wzdłuż całej autostrady metalowej siatki, grodzącej przejście wielkim dromaderom. Nieraz widać śmiałe zwierzę wychylające łeb nad ogrodzeniem i usiłujące osiągnąć jakiś smakowity zielony krzak po drugiej stronie. Czarne, białe i płowe wielbłądy odcinają się na tle wielobarwnych piasków. Najslabiej są widoczne na tle beżowych połaci gruntu, często przechodzących w pomarańczowe, a gdzieś tam wręcz czerwone. Piękne ceglaste wydmy ciągną się wzdłuż autostrady długimi kilometrami, a ich pofalowana przez wiatr powierzchnia poprzecinana bywa kołami quadów, na których młodzi Saudyjczycy jeżdżą w czasie weekendów dla rozrywki.

– Nie ma przy drodze żadnych restauracji, barów, zajazdów? – pyta zgłodniała Marysia.

– Tylko na stacjach benzynowych i tylko dla orłów – odpowiada, śmiejąc się, Hamid.

– Że co?

– Oczywiście wejść mogą tylko mężczyźni. Ale nie masz czego żałować. To straszne

speluny i lepiej żebyś nie widziała, w jakich warunkach jest tam przygotowywane jedzenie.

– No dobrze, muszę się jakoś z tym pogodzić, ale powiedz mi, gdzie mam się wysikać?

– W meczecie – odpowiada mąż i w jednej chwili oboje wybuchają niepohamowanym śmiechem. – Naprawdę. Tam, gdzie dokonuje się ablucji, są toalety. – Okej. – Marysia uśmiecha się z przekąsem, nie spodziewając się, jakie ekstremalne przeżycie ją czeka.

Po około półgodzinie zatrzymują się na rzeźnię oświetlonej stacji benzynowej. Nie grozi im kolejka – jest mnóstwo dystrybutorów, obsługiwanych przez pakistańskich pracowników w brudnych kombinezonach. Tankuje się, nie wysiadając z samochodu i nie wyłączając silnika. Komfort. Następnie podjeżdżają pod ciągnące się szeregami parterowe obskurne budynki. Dookoła panuje straszliwy bałagan – auta parkują, jak chcą, niektóre nawet w poprzek, kosze na śmieci są przepelnione, a dookoła wala się mnóstwo papierów, resztek jedzenia, plastikowych kubków i puszek po oleju samochodowym. Restauracyjka jest tuż obok marketu, do którego Marysia może wejść. Hamid zamawia dla nich dwie kanapki z tuńczykiem i jajkiem, a następnie podwozi żonę pod tylną ścianę małego meczeciku, gdzie jest wejście dla kobiet. Po wyjściu z auta Marysia już czuje, że znajduje się tam najczęściej uczęszczany przybytek, jedyny na przestrzeni paruset kilometrów.

– Trafisz za węchem. – Hamid również wysiada, chcąc rozprostować nogi, lecz po chwili chroni się przed otaczającym miejsce smrodem we wnętrzu wozu. – Dasz radę – krzyczy przez uchylone okno do rozglądającej się niepewnie żony.

Wszystkie kobiety wchodzące do środka i znające już realia przydrożnych toalet, podnoszą abaje do góry, żeby nie unurzać ich w pokrywającym podłogę błocie. Marysia podchodzi do jednych, drugich i trzecich drzwi. Próbuje znaleźć najczystsze miejsce, jednak wszystkie są w strasznym stanie. Wnętrze jest wyłożone kafelkami, lecz nie ma tam muszli klozetowej, jedynie dziura w podłodze. Nie wiadomo, kiedy było tu sprzątane. Wszystko pokrywają fekalia, a na podłodze walają się papiery i chusteczki, w kącie leżą zużyte podpaski.

– Tureckie sracze – szepcze, wstrzymując oddech i kurczowo dzierżąc dół czarnej abai w garści.

Po wszystkim wybiega na dwór i wdycha świeże powietrze otwartymi ustami.

– To co, przekąsimy coś? – Hamid wręcza jej ciepłą jeszcze kanapkę.

– Nie żartuj sobie ze mnie! – obrażona Marysia obraca się do okna i wpatruje w zapadający mrok.

Po zmierzchu małżonkowie wjeżdżają do ciemnego Madain Saleh. Miasteczko o dziesiątej wieczorem wygląda jak wymarłe. Na ulicach, oświetlanych przez przydrożne reklamy, nie widać żywej duszy. Hamid wstukuje w GPS nazwę hotelu, lecz aparatura prowadzi ich chyba do nabatejskich grobowców, bo wyjeżdżają z miasta. Mężczyzna, już trochę podenerwowany, robi kolejną rundkę, lecz żaden budynek nie przypomina hotelu.

– To co, wracamy do domu? – pyta zmęczona i śmiertelnie głodna Marysia.

– Daj mi szansę, kochanie, dobrze?

Hamid zatrzymuje się przy szorcie, gdzie w małej budce widać poruszające się cienie.

– Trzeba zasięgnąć języka, nie ma rady – mówi, wysiadając z samochodu. Wkrótce wraca. – I już wszystko wiem. – Z uśmiechem na ustach rusza w drogę. – W życiu byśmy tego nie znaleźli. Hotel znajduje się pod miastem, po drugiej stronie starożytnych pozostałości.

Po niespełna dziesięciu minutach podjeżdżają na miejsce i są miło zaskoczeni.

– Wow, ale pięknie, jak stylowo! – Marysia, zapominając o zmęczeniu, wyskakuje z auta.

– Może da się tutaj coś zjeść? Jak myślisz? – Tak, *maam* – po chwili odpowiada na nurtujące ją pytanie miły filipiński recepcjonista. – *Room service* działa do północy.

Po parokrotnej dezynfekcji rąk antybakteryjnym mydłem i kąpeli Marysia jest jak nowa.

Wspólnie z mężem z wielkim apetytem zjadają pyszną kolację i zmęczeni przebytych prawie tysiącem kilometrów od razu kładą się spać. Po północy budzi ich hałas. Zza drzwi dochodzą liczne głosy, mówiące po angielsku z różnorodnym akcentem, trzaskanie drzwi i nawoływania.

– Cóż, nie jesteśmy sami, w końcu to hotel. – Hamid wtula się w ciepłe ciało żony i ponownie zapada w sen.

* * *

Wyspana i wypoczęta Marysia wczesnym rankiem wyskakuje podekscytowana z łóżka. Jednym szarpnięciem odsłania ciężkie grube zasłony i jej oczom ukazuje się fantastyczny widok.

– *Wallahi*, jak tutaj pięknie! – wykrzykuje, budząc tymi słowy męża. – Chodź, chodź, spójrz na te góry!

– Dzień dobry, kochanie. – Hamid, mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem słońca, siada zaspany na łóżku.

– Rzeczywiście, Bóg jest wielki.

Wspólnie wychodzą na balkon i nie mówią już nic, rozkoszując się zapierającą dech w piersiach sceną. Naprzeciwko hotelu na horyzoncie majaczą osnute jeszcze poranną mgiełką przepiękne pomarańczowe góry. Trawnik przed budynkiem jest równo przycięty i wręcz seledynowy. Odurza ich zapachem ziemi i zieleni. Małe drzewka wypuściły już świeże listki, a kolorowe kwiaty wychylają się ku słońcu. Marysia robi parę zdjęć, aby uwiecznić cudowną chwilę, i pędem udaje się do łazienki. – Już chcę tam jechać, już chcę tam być. – Podskakuje gotowa i klaszcze w dłonie ze szczęścia jak mała dziewczynka.

– *Hi... Hello... Good morning... How are you?...*

– Na korytarzu mijają co chwilę turystów, którzy zapewne przyjechali wczorajszej nocy. Wszyscy są radośni, uśmiechnięci i szykują się do zwiedzania.

– Prędkie śniadanie i za chwilę wyruszamy. – Marysia pędem kieruje się w stronę wielkiej stylowej jadalni. – Chyba nie będziemy siedzieć za tymi parawanami? – Pokazuje z obrzydzeniem część sali podpisaną *Family section*.

– Rozejrzyj się. – Uśmiechnięty Hamid wskazuje głową na boki. – Tutaj segregacja płci nie jest zbyt restrykcyjnie przestrzegana.

W głównej części biesiadują już zagraniczni turyści, kobiety, mężczyźni i dzieci. Panie abaje mają zapięte na jeden guzik, a spod rozchylających się połów płaszczy wyzierają szorty, bluzeczki na ramiączkach i kuse sukienki. I dużo gołego ciała.

– Co za rozpusta! – żartuje złotowłosa dziewczyna, rozpinając zatrzaski swego czarnego okrycia.

– Pan Bin Laden jest tutaj?! – Recepcjonista wykrzykuje po angielsku na całą salę. Hamid spina się, bo towarzystwo milknie i zamiera w pół ruchu.

– Nie mam na imię Osama, bez obaw! – akcentując wyrazy, zwraca się do wszystkich. Towarzystwo z ulgą wybucha nerwowym śmiechem. Potem pojedynczo podchodzą do stolika i klepią Hamida po plecach.

– Spotkamy się wieczorem, po zwiedzaniu, co? – miły grubasek mówiący z niemieckim akcentem zaprasza małżonków. – Pieczemy barana, będzie fajnie.

– Dzięki, z miłą chęcią. – Małżonkowie kończą śniadanie, bo ich przewodnik i mała międzynarodowa grupka już na nich czekają. W trzy duże samochody, wszystkie z napędem na cztery koła, oraz z ochroną w terenowych policyjnych suzuki wyruszają najpierw na zwiedzanie starego miasta w Al Ula.

– Ja jeszcze urodziłem się w tym miejscu i mieszkałem tutaj do siódmego roku życia – opowiada miły, może pięćdziesięcioletni przewodnik. – Po drugiej stronie drogi znajdują się po

dziś dzień funkcjonujące farmy z gajami palmowymi oraz miejsca dla stad wielbłądów. Taki parking dla dromaderów – żartuje. – Co piątek odbywał i odbywa się tutaj targ, na który przybywają wszyscy okoliczni Beduini. Nieraz zbiera się i z tysiąc luda, a jakie towary oferują, ho, ho!

Marysia zamyśla się i dochodzi do wniosku, że Saudyjczycy mieli dużo szczęścia, że odkryto na ich terenach ropę naftową. Jak potoczyłyby się losy tego kraju bez petrodolarów? Czy nadal mieszkaliby w lepiankach? Al Ula przypomina dziewczynie libijską Dżermę, którą zwiedzała podczas wycieczki szkolnej, kiedy chodziła jeszcze do liceum. Wtedy była zaszokowana widokiem osady i uważała ją za najbiedniejsze miejsce pod słońcem, szczególnie w porównaniu z piękną kamienną oazą w Gadamesie. Cóż, teraz wie, że takich miejsc jest więcej na świecie.

– Jedziemy dalej! – z rozmyślań wrywa ją głos przewodnika. – Czas na cuda natury, moi państwo.

Samochody kierują się poza miasto i jadą gładką jak tafla drogą przez coraz bardziej odludne tereny. Po obu stronach dwupasmówki ciągną się wzniesienia górskie. Nie są może bardzo wysokie, ale fantastyczne i tajemnicze, o pomarańczowoczerwonej barwie, z wieloma warstwami geologicznymi. Szczyty są pełne małych i większych dziur powstałych w wyniku erozji, a ich kształt gdzieś przypomina misterną koronkę. Po półgodzinie zjeżdżają na twarde kamienny szlak, który po chwili przechodzi w piaszczysty trakt.

– Słoń, słoń! – Marysia macha Hamidowi ręką przed nosem, pokazując wielką skałę przypominającą kształtem grube zwierzę. – Normalnie ma trąbę! – Hamid uśmiecha się pod nosem, ciesząc się, że sprawił żonie taką frajdę tą wycieczką.

– Musimy częściej jeździć w teren. Natura w Saudi jest najpiękniejsza. Przez lata mieszcuchowania zupełnie o tym zapomniałem.

– Koniecznie, *habibi*, co tydzień będziemy wyprawiać się na pustynię! – Kobieta, zapominając, gdzie jest, całuje męża w policzek.

– Teraz macie państwo czas wolny, można powspinać się na skałki, zrobić parę zdjęć, posiedzieć w cieniu, napić się wody czy zapalić papierosa. – Przewodnik profesjonalnie kieruje grupką zwiedzających. – Panie mogą bez abai, tutaj szariat nie obowiązuje – śmieje się i pokazuje palcem na czarne, zbyt ciepłe na pustyni płaszczki.

Po miłej przerwie w otoczeniu cudów natury do uszu turystów dobiega głośnie wycie silników samochodów. Po chwili u podnóża góry w kształcie słonia zatrzymuje się około dziesięciu aut i wysypują się z nich ludzie wcześniej widziani w hotelu.

– Co za idioci! – przyciszonym głosem syczy przewodnik. – Albo tacy oszczędni. – Kiwa z dezaprobatą głową.

– Dlaczego? – pyta Hamid.

– Myślą, że jak są taką wielką grupą, to nie potrzebują policyjnej ochrony – tłumaczy mieszkaniec Madain Saleh.

– Mała ekipa czy duża, nie ma znaczenia. Zawsze trzeba dmuchać na zimne, a nie prosić się o kłopoty. To w końcu odludne tereny.

– Tak. – Hamid z namysłem przytakuje i uważnie rozgląda się dookoła. – Bez paniki, nikogo nie miałem zamiaru straszyć. Może to już takie moje zawodowe skrzywienie. Jedźmy teraz zrobić frajdę panom! – Znów uśmiechnięty mężczyzna klaszcze w dłonie. – Czas na *off road*, czas na jazdę po wydmach!

* * *

Późnym popołudniem małżonkowie umordowani, lecz bardzo zadowoleni, wracają do

hotelu. Piasek mają nie tylko na całym ciele i we włosach, ale nawet w zębach. Decydują się na relaks – długą kąpiel i późny lunch w pokoju. Hamid wziął ze sobą parę puszek piwa, które teraz, lodowate, smakuje jak napój bogów. Po posiłku ogarnia ich zmęczenie i lenistwo i decydują się na drzemkę do kolacji. Hamid jednak leży bezsennie w łóżku. Nie mogą wyjść mu z głowy słowa przewodnika. Więc nawet tutaj nie jest bezpiecznie? A wydawałoby się, że w całej Arabii Saudyjskiej zagrożenie terrorystyczne w stosunku do cudzoziemców należy już do przeszłości. Od lat nic się nie działo i wszystko wskazywałoby na to, że teraz Al-Kaida przerzuciła się z zabijania zagranicznych przybyszy na nękanie Saudyjczyków. Ten wiejski przewodnik chyba przesadza. Z tą myślą Hamid zapada w płytki, nerwowy sen.

– Hej, ludziska, jesteście tam? – Budzi ich głośnie łomotanie do drzwi.

– Co się dzieje? – Marysia, spanikowana, siada gwałtownie na łóżku.

– To chyba nasi nowi znajomi. Ten sam, co rano, niemiecki akcent.

– *Hi*, chyba was nie obudziłem? – Miły grubasek z czerwoną od słońca twarzą i łysą głową zagląda do środka przez uchylone drzwi. – O tej porze w łóżku?! Chyba że jesteście nowożeńcami, to by was usprawiedliwiało.

– Śmieje się rubasznie.

– Okej, co się dzieje? – Hamid ignoruje osobiste pytanie.

– Co, zapomniałeś o moim zaproszeniu? Taki młody, a już ma sklerozę! – wykrzykuje na pół hotelu. – Baran się już upiekł, towarzystwo się bawi, a wino leje strumieniami. Chyba nie chcecie tego przegapić?

– Niech nam pan da pięć minut – ze środka pokoju mówi Marysia.

– Jaki pan, mam na imię Ralf, wszystkich panów już dawno wymordowano! – Znów rechocze. – Czekamy na was nad basenem, dzieciaki.

– Myślisz, że to dobry pomysł tak afiszować się z piciem alkoholu w kraju prohibicji? – pyta trochę przestraszona Marysia.

– Widocznie jest to w tym hotelu przyjęte. Może mają ochronę i nikt niepowołany nie wejdzie do środka? Tak jak na strzeżone osiedla w Rijadzie czy do niektórych restauracji w dzielnicy dyplomatycznej. Gdyby nie było wolno, już by ich rozgoniono.

Małżonkowie prędko szykują się do wyjścia. Znajdują dużą, ponad trzydziestoosobową grupę po krzykach i śmiechach dochodzących z ogrodu na tyłach hotelu. Plastikowe stoliki dookoła basenu oraz oddzielone parawanami sektory dla rodzin są okupowane przez międzynarodowe towarzystwo. Wszyscy tryskają humorem i opowiadają sobie dykteryjki z dzisiejszego dnia.

– Chodźcie, spóźnialscy, na karniaka. – Ralf ciągnie ich za sobą w stronę odgradzonego baru, zastawionego plastikowymi butelkami z winem domowej roboty. – Moja produkcja, „beaujolaïs nouveau du Riyade” – żartuje.

– Trzeba zrobić podkład pod tłuste mięsiwo, nie?

Po nalaniu każdemu pełnego plastikowego kubka prowadzi gości do długiego bufetu zastawionego licznymi potrawami. – Czym chata bogata, ale najpierw przedstawię was ludziom. Inaczej nie uchodzi, nie?

– Straszny kwas. – Marysia nachyla się do ucha Hamida, by wyrazić swoją opinię na temat wyrobu alkoholowego. – Zaraz podleję nim krzaczki i będziemy mogli zaobserwować, jak więdną.

– Już dziewczyna wypięła?! Ale zuch! – Niemiec nie daje za wygraną i pomimo protestów dolewa winka skrzywionym małżonkom.

Po trzeciej porcji napój zaczyna coraz lepiej smakować. Młodzi ludzie, z talerzami napełnionymi z górką, dosiadają się do miłego, również bezdzietnego małżeństwa.

– Mam na imię Viki, jestem Finką, a mój mąż Georg Niemcem.
– Viki, ty jesteś wiking! – słychać śmiech z sąsiedniego stolika.
– Ha, ha, ha, ale zabawne. – Solidna blondyna o jasnych pogodnych oczach wcale się nie obraża. – Ale jak trwoga, to do...

– Naszego prywatnego wikinga! – już wszyscy sobie żartują.
– Ależ ona jest taką czułą i delikatną kobietką. Czego wy chcecie od mojej maleńkiej żonki? – Szczupły, niewysoki Niemiec z miłością obejmuje dwa razy większą od siebie wybrankę serca.

– Mary, ty z twoim angielskim i arabskim w ciemno znajdziesz pracę w jednej z ambasad w Rijadzie. Trzymaj mojego e-maila, dawaj swojego, po powrocie do ciebie napiszę. Masz to jak w banku. – Viki miło się uśmiecha, ukazując równe i białe jak perełki zęby.

– Jak ona ci mówi, że pomoże, to już możesz kupować kostiumy do biura, moja mała – odzywa się mężczyzna w średnim wieku, sądząc po akcencie: Francuz. – A gdzie mieszkacie? Na jakim osiedlu? Głupio pytam! Przecież wy, Arabowie, nie musicie się chronić za trzymetrowym murem i otaczać ochroną i gwardią królewską – mówi z przekąsem.

– I tutaj, mój nowy przyjacielu, jesteś w błędzie – oponuje Hamid. – Teraz wszystkie ataki są wymierzone przeciwko nam, przede wszystkim Saudyjczykom. Al-Kaida doszła do wniosku, że wy, cudzoziemcy, jesteście nie do wyplenia. – Śmieje się z ironią. – Nie obrażając nikogo, za szmałem i tak tutaj przyjedziecie. Ale my, lokalni, a szczególnie elita, stoimy im na drodze do przejścia władzy. Myślą chyba, że jak załatwią rodzinę królewską, to następny rząd, ich własny, zerwie stosunki z Ameryką i Europą, krótko mówiąc, z niewiernymi, i sami będą nurzali się w bogactwie. Tylko że nie wyciągają żadnej nauki z historii. We współczesnym świecie bez sprzymierzeńców i zagranicznej pomocy nie da rady prowadzić polityki i zagwarantować bezpieczeństwa swoim obywatelom. Co więcej, takie kraje jak te z Półwyspu Arabskiego trochę były zacofane, głównie jeśli idzie o technologię i postęp, więc musiały się kogoś chwycić, żeby je pociągnął. I nie należy się tego wstydzić. Trzeba raczej być dumnym ze skoku, jakiego dokonaliśmy w ciągu niespełna pół wieku. To niesamowite, że osiągnęliśmy tak wiele w tak krótkim czasie.

Całe towarzystwo zamilkło i w skupieniu słucha słów młodego Saudyjczyka.

– Ty to w polityce chyba musisz działać, bo nieźle masz gadane – odzywa się trzydziestoletni Anglik, huśtający na kolanach swoją śpiącą ośmioletnią córeczkę.

– Miło posłuchać światłego i otwartego człowieka z tego regionu. To naprawdę rzadkość – przytakuje Susane, jego żona, na koniec gryząc się w język za zbytnią szczerość.

– Okej, lubię bezpośrednich ludzi. – Hamid po skończonej przemowie duszkiem opróżnia szklaneczkę.

– I tu wypił! – wznosi toast kolejny z grupy. – Nasz kraj też nie miał lekko. Tkwiliśmy w ponadstuletniej niewoli, ale wywalczyliśmy sobie wolność, a na koniec pozbyliśmy się komuny. Wszystko wydrapane pazurami i skropione krwią bohaterów. – Dumnie podnosi głowę.

– Ej, wy, Polacy, to tylko do szabelki się nadawaliście. I może jeszcze do robienia rewolucji i wszelkiego zamętu. W pokoju nie umiecie funkcjonować. – Kolejny Europejczyk z pogardą zwraca się do poprzedniego mówcy.

– A ty mnie możesz w dupę pocałować – mówi patriota w swoim ojczystym języku i odwraca się plecami do towarzystwa.

Marysia zaczyna się śmiać.

– A ciebie co tak bawi? – Polak błyskawicznie obraca się w jej kierunku.

– To akurat pamiętam z dzieciństwa. – Zasłania usta ręką. – Widocznie często w moim domu było używane.

– To cicho siedź, bo jakby zrozumieli, toby im pospadały feudalne korony z ich zakutych łbów. – Obejmuje Marysię ramieniem i pochyla się blisko jej twarzy. – A ty mi na Arabkę od początku nie wyglądałaś, ślicznotko.

– Facio, też cię lubię, ale zaraz podbiję ci oko. – Hamid patrzy groźnie na rywala.

– Daj spokój, on ma taki styl bycia. Polski wariat. – Ralf odciąga zazdrośnika na bok i znów dolewa mu wina.

– Pogadamy jutro – Piotr szepcze Marysi do ucha. – On cię porwał, zniewolił, zrobił ci krzywdę?

– Czyś ty, człowieku, oszalał?! To mój najukochańszy mąż. I sama go sobie wybrałam!

Impreza kończy się o świcie, wraz w wezwaniem muezina na poranną modlitwę. Biesiadnicy udają się do swoich pokoi niepewnym krokiem, a niektórzy, jak polski wichrzyciel, pozostają na zewnątrz, śpiąc na trawie lub na krzesłach nad basenem. Zniesmaczeni i wręcz zgorzeleni kelnerzy i sprzątacze zaczynają kręcić się wśród nich, wykonując swoje obowiązki.

* * *

Małżonkowie wstają późnym rankiem, ale już nie tak rześcy jak pierwszego dnia.

– O jasna cholera – szepcze Hamid, chwytając się za głowę i ponownie opadając na poduszki. – Co było w tym winie?

– Po prostu za dużo. – Marysia obraca się w stronę męża i mówi z nadal zamkniętymi oczami: – Czy seks na kacu jest możliwy? – Dotyka po omacku jego twarzy.

Nowo poznany Polak tak ją wczoraj ugodził, snując niesprawiedliwe domysły wobec jej męża, że z całego serca żał jej Hamida. Mimo świątłych poglądów i wypowiedzi oraz tego, że prezentuje się lepiej od nich wszystkich, ci zaściankowi cudzoziemcy zawsze będą go odbierać jako brudnego Araba, który tylko czyha na blond dziewice, aby je porwać i zniewolić. A przecież ten człowiek tyle przeszedł: osobiste tragedie, ciągłe szkalowania, a mimo to okazał się patriotą i ryzykując życie, podstępem walczył z prześladowającym go widmem terroryzmu. Działał w ukryciu, co jeszcze bardziej potęgowało niebezpieczeństwo, że kiedy zostanie złapany, może nie znaleźć nikogo, kto by zaświadczył, że jest wtyczką i działa w słusznej sprawie na rzecz swojego rządu. W takich sytuacjach władza przeważnie nie ujawnia sposobu swojego postępowania. Marysia ma nadzieję, że okres jemeński minął bezpowrotnie i że zatarli za sobą wszystkie ślady. Teraz mogą żyć spokojnie, beztrudnie wylegiwać się w łóżku do dwunastej i uprawiać seks ze straszliwym bólem głowy.

– Niesamowite te grobowce, niektóre mają aż po parę pięter – zachwyca się Marysia, kiedy późnym popołudniem docierają w końcu do miejsca usianego starożytnymi pozostałościami. – Ale czemu nie zachowały się żadne domy, miejsca kultu, teatry, place zebrania? To takie smutne, że pozostawili po sobie tylko cmentarz.

– Ale za to jaki, moja pani. – Przewodnik unika odpowiedzi, bo zapewne jej nie zna.

Jeżdżą od jednego panteonu do drugiego i podziwiają ich wykonanie oraz wielkość. Przewodnik pokazuje skały w różnych kształtach, robi im zdjęcia, a na koniec prowadzi na wzniesienie, z którego obserwują zachód słońca.

– Coś dzisiaj jesteście ledwo ciepli – stwierdza kpiarsko, zwracając się do Hamida. – Słyszałem, że niezła imprezka była wczoraj w hotelu. Że też ci cudzoziemcy nie mogą niczego uszanować! – podnosi głos z oburzenia. – Są tutaj tylko gośćmi, i to niekoniecznie mile widzianymi, więc powinni przestrzegać zasad i prawa panującego w naszym kraju, nieprawdaż?

– Tak, oczywiście. – Hamid spuszcza wzrok.

– A ty, młody człowieku, czemu nie nosisz toby? – pyta z wyrzutem. – Wstydzisz się swego pochodzenia?

– Jestem Jemeńczykiem – kłamie jak z nut.
– Bin Laden? Ty myślisz, że z głupim rozmawiasz?
– Przewodnik zadziornie prostuje plecy.
– Mój dziad ze strony ojca niespełna wiek temu przybył z Jemenu do Arabii Saudyjskiej!
– Rijadczyk pochyla się nad małym wieśniakiem i wzrokiem chce go wbić w ziemię. – Moja matka też stamtąd pochodziła. A poza tym nikt mi nie będzie mówił, jak mam się ubierać na wycieczkę po pustyni! – Hamid już krzyczy, a echo potęguje jeszcze jego głos, odbijając go od skał wąwozu. – Jedziemy do hotelu. Znudziło nam się to włączenie po piaskach – oznajmia, wsiadając do auta.

– Ja nie rozumiem, czemu pan taki nerwowy? – Lokalny opiekun traci rezon i puka w zamknięte okno samochodu. – Zapraszam teraz do mnie na farmę, córka przygotowała poczęstunek.

– Tak? – Hamid, zaciskając zęby, uchyla lufcik.

– Ej, nie będziemy się gniewać – uśmiecha się szczwany lis. – Wszyscy chcą zobaczyć, jak się tutaj mieszka. – Pokazuje palcem na dwa pozostałe samochody i siedzących w nich przerażonych cudzoziemców, którzy nic nie zrozumieli z awantury prowadzonej w języku arabskim, ale nie odebrali jej bynajmniej jako przyjacielskiej pogawędki. – Po drodze zatrzymamy się w pałacu księżniczki, który tutaj sobie buduje. Taki mały domek letniskowy. – Przewodnik, widząc niezdecydowanie w oczach Hamida, wobec braku odmowy biegnie do auta i rusza na dalsze zwiedzanie.

Ściany wielkiej budowli, położonej tuż przy wyjeździe na asfaltową drogę, odbijają się swoją bielą od bordowoczarnych o tej porze dnia zboczy góry, u której podnóża postanowiono ją umieścić. Z daleka pałacyk wyglądał jak mały biały baraczek, lecz w miarę zbliżania się do niego ukazuje swoją wielkość i przepych. Wysokie na cztery metry ogrodzenie jest jeszcze nieskończone.auta wjeżdżają przez otwór pozostawiony na bramę. Podjazd jest zavalony śmieciami, budulcem i pozostawionym sprzętem, a budynek wygląda strasznie z pustymi czarnymi dziurami zamiast drzwi i okien.

– Czy tutaj jest bezpiecznie? – pyta zaniepokojona Niemka.

– To jest wtargnięcie na cudzy teren, lepiej już wracajmy – przytakuje jej mąż.

– Dzięki pana namowie łamiemy prawo, którego w innych kwestiach tak surowo pan przestrzega – złośliwie konkluduje Hamid.

– Co w tym ciekawego? – pyta Marysia. – To przecież ruina.– Tak właśnie dba o pieniądze nasz rząd – gorzko stwierdza przewodnik. – Zaczęli budowę może pięć lat temu, potem coś się komuś odwidziało i rzucili wszystko w diabły. A za te setki tysięcy riali można by wybudować z pięć meczetów albo dać je na pielgrzymów w Mekce.

– To są czyjeś prywatne fundusze i robi sobie z nimi, co chce – oponuje Hamid. – Przecież to nie szpital ani szkoła, które są budowane z państwowej kasy. Niewykluczone, że właściciel stracił swój majątek i nie ma za co ukończyć projektu, albo może nawet nie żyje.

– Jesteśmy jak sępy! – wykrzykuje młoda Francuzka.

– Cmentarne hieny, bo do nekropolii rzut beretem.

– Marysia wskazuje na majaczący w mroku najwyższy, samotnie stojący grobowiec.

– Co nas to wszystko obchodzi?! I gdzie, do cholery, podziała się nasza ochrona? – Turyści zaczynają wpadać w panikę.

– Jedziemy do miasta, już! – Na te słowa wszyscy jak na komendę biegiem rzucają się w kierunku samochodów i za chwilę zostawiają smutny wymarły pałac za sobą.

* * *

– Otwierać! Natychmiast! – Na korytarzach hotelu słysząc krzyki, tupot podkutych butów i walenie pięścią w drzwi.

– Co się dzieje? Terrorysty? Chcą nas porwać? – Spanikowana Marysia siada na łóżku i z przerażenia zaczyna szcząć zębami. – Będą mordować? Gwałcić? – Głos jej się łamie i jest bliska płaczu.

– Natychmiast się ubieraj. – Hamid wskakuje w dzinsy.

– Jak cię znajdą w tej nocnej koszulce, to już na pewno ci nie odpuszczą. Drzwi otwierają się i do pokoju wkracza dwóch młodych mężczyzn z lokalnej policji. Są to ci sami mili chłopcy, którzy towarzyszyli im przez ostatnie dwa dni.

– Do ściany, ręce i nogi rozłożyć. – Już nie są tacy przyjacielscy jak jeszcze parę godzin temu. – Masz broń, alkohol, narkotyki? – pytają Hamida i nie czekając na odpowiedź, zakuwają go w kajdanki.

– Co to ma znaczyć?! – Marysia rzuca się na najbliższego stojącego policjanta. – Zostawcie mojego męża! Co on wam zawinił?

– A ty, nierządniczo, lepiej ubierz abaję i zakryj twarz.

– Kobieta czuje wymierzony jej siarczasty policzek.

– Sierżancie, co robicie?! – Do pokoju, z którego słysząc wrzaski na pół hotelu, wpada starszy funkcjonariusz.

– Kazał pan aresztować podejrzanych...

– Debile jedno, głupie mongoły, synowie osła! – to mówiąc, kapitan własnoręcznie rozkuwa Hamida. – Czy podejrzane jest spanie w nocy z własną żoną? Tego człowieka weźmiemy na posterunek jedynie w roli świadka, może coś zauważył.

– A co się dzieje? – pyta zdezorientowany Hamid.

– O tym porozmawiamy w innym miejscu. A pani, *saida*, przejdzie do jadalni, do części dla kobiet. Już.

Marysia spuszcza pokornie głowę i ze łzami w oczach szybkim krokiem opuszcza pokój. Hamid, eskortowany przez dwóch nadgorliwych gliniarzy, marszem zmierza do wyjścia. Za chwilę siada na tylne siedzenie policyjnej suki, która natychmiast rusza.

Jak na tak małe miasteczko posterunek w Madain Saleh jest całkiem spory. W poczekalni kłębi się od zdezorientowanych funkcjonariuszy, którzy bez ładu i składu biegają od recepcji do biur i na zewnątrz.

– Siada i czeka – mówi mundurowy. – Teraz nikt nie ma czasu na przesłuchiwanie świadków. – To mogłem zostać w hotelu z żoną – odpowiada wściekły Hamid. – Nigdzie bym wam nie uciekł.

– Wolisz spędzić ten czas w celi?! – Policjant pochyła się nad nim i wrzeszczy mu prosto w twarz, odurzając nieświeżym oddechem.

Na te słowa rijańczyk siada wyprostowany, przykleja plecy do oparcia i wbija wzrok w brudną podłogę. Nagle przed posterunkiem powstaje jakieś zamieszanie.

– *Jalla, jalla!* – słysząc krzyki i do środka zostaje wepchnięta zdezorientowana cudzoziemka. – Złamała prawo, do więzienia z nią! – wrzeszczą funkcjonariusze, z oburzeniem wymachując rękami nad jej głową.

– Co się dzieje?! – Hamid chwytając kobietę za rękę i sadza ją na najbliższym krześle. Rozpoznaje w niej jedną z turystek z dużej grupy z hotelu.

Kobieta wygląda strasznie. Długie brązowe włosy są potargane i posklejane od pyłu i potu, twarz zapuchnięta, z widocznymi strużkami po łzach, a ręce i dłonie pobrudzone jakąś dziwną brązoworudą mazią. Miejscowych najbardziej razi rozpięta *abaj*, spod której wyzierają długie, szczupłe nogi i ramiona.

– Zapnij się, bo oni zaraz zwariują – szepcze jej do ucha i kobieta posłusznie jak automat wykonuje jego polecenie.

– Czemu jechałaś samochodem, czemu siadłaś za kierownicą? – Jak spod ziemi wyrasta ten sam starszy funkcjonariusz, który pomógł Hamidowi w hotelu. – Czemu łamiesz nasze prawo? He? Mówię do ciebie! – denerwuje się i ordynarnie chwyta kobietę za brodę, podnosząc jej twarz do góry.

– Ty, skurwysynu, mnie nie dotykaj! – ryczy nagle kobieta, odpychając dłoń policjanta. – Wy mnie będziecie karać i wsadzać do więzienia, a nie tych zbrodniarzy, którzy zabili mojego męża i syna?! Wy wszyscy jesteście terrorystami! Ręka rękę myje! Mężczyzna odskakuje. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie spotkał się z tym, żeby jakaś kobieta na niego wrzeszczała. Nie jest zły czy oburzony jej słowami, lecz przerażony, jak mały chłopiec karany przez matkę. Nie wie, co ma ze sobą zrobić i głupio kręci się w miejscu.

– To po co się tam plątałyście? – lodowatym tonem pyta nowo przybyły glina. Hamid rozpoznaje w nim ich trochę przygłupiego przewodnika. Teraz prezentuje się całkiem inaczej, co w sposób zdecydowany wpływa na sposób jego bycia. – No po co wam to było? – ponawia pytanie.

– Nie wiem, po co przyjechaliśmy do tego przekłętą kraju! – Kobieta zaczyna płakać, rozmazując przy tym kurz, który osiadł jej na policzkach.

– To ja ci powiem: dla forsy! Chciwość was zgubiła! Chcecie pozbawić naród saudyjski należnych mu pieniędzy i wywozić je do waszych zepsutych krajów! Przekłęci to jesteście wy! My mamy dwa święte meczety i świętą Kabę. Wszyscy Saudyjczycy są naznaczeni palcem bożym.

– Co ty opowiadasz, człowieku?! – Hamid nie wytrzymuje. – Rodzina tej kobiety została zabita, a wy się czepiacie, że prowadziła samochód? Może ją jeszcze za to aresztujecie? Dlaczego tracicie czas na takie pierdoły, a nie ścigacie morderców?!

– Jak to nic nie robimy? Bin Ladena już mamy, po co nam ktoś z mniej znanym nazwiskiem? – Przewodnik-policjant popycha go z całych sił na drewniane krzesło. – Zamknij ryj, bo to pyskowanie bokiem ci jeszcze wyjdzie.

– O której was zaatakowano i gdzie? – Hamid szybko pyta kobietę, która teraz w niego wbija nienawistne spojrzenie.

– Może o szóstej, zaczynało zmierzchać – szepcze.

– W drodze do Dżeddy. Z autostrady zauważyliśmy taki mały gaj palmowy i postanowiliśmy całą grupą zatrzymać się na piknik. Dzieci były już głodne. – Mniej więcej ile to było kilometrów od Madain Saleh?

– Siedemdziesiąt... sto. Jechałam jakąś godzinę, nie mogłam znaleźć szpitala.

– Kto strzelał? Ilu ich było i w jakim wieku?

– Podjechali pikapem, takim wiejskim, starym, dosłownie rozlatującym się. Nie widziałam tego, który prowadził, ale na pace siedziało dwóch młokosów, może siedemnasto-, osiemnastoletnich. Najpierw strzelili z daleka. Kiedy zamarliśmy, nie wiedząc, co się dzieje, wygarnęli nam pod nogi, raniąc przy tym Petera, mojego dziewiętnastoletniego syna. W tym momencie jakby się przestraszyli, bo odjechali, ale niestety, zrobili tylko kółko. Może zagrzali się wzajemnie do walki, nie wiem. – Kobieta milknie i smutno opuszcza głowę. Na całym posterunku panuje taka cisza, że słychać tykanie zegara na ścianie. – Później się zaczęło. Kobiety, dziewczynki i jednego małego chłopaczka odegnali na bok i nieudolnie przywiązali do pnia palmy. Mężczyzn ustawili w rzędzie i zaczęli do nich coś krzyczeć, opluwać ich, bić po twarzach. Po prostu chcieli ich znieważać, tak jak pan mnie przed chwilą – wskazuje na przewodnika, który milcząc, gryzie wargi. – Niestety, był z nami jeden dumny Francuz, mistrz

sportu, chwalcący się czarnym pasem w karate. Zaczął się stawiać i w końcu kopnął jednego Saudyjczyka...

– Skąd wiesz, że to byli Saudyjczycy? – oburza się jakiś lokalny patriota.

– Po ubiorze. – Kobieta rozkłada ręce na boki. – Ale może się mylę, może tylko tak się przebrali. Więc nasz kolega sportowiec wykonał wykop i natychmiast jeden z napastników padł jak długi, ale w tej samej chwili mocno przerażony drugi terrorysta zaczął strzelać. My, kobiety i dzieci za drzewem, zbiliśmy się w gromadkę i tuliliśmy do siebie, a nasi mężczyźni już po chwili w ogóle nie dawali znaku życia. Młokosy błyskawicznie wskoczyli do auta i odjechali. Tylko mój mąż jeszcze oddychał. Umarł dopiero w szpitalu. Było nas ośmioro dorosłych, pięcioro dzieci i dwóch młodych chłopców. Zjechaliśmy z głównej drogi może pięćset metrów. W tym tkwił nasz błąd.

– Przesłuchanie zakończone! – Niezauważona przez nikogo blond Finka przepycha się przez tłumek mężczyzn i chwyta za rękę zdruzgotaną kobietę. – Bezprawnie przetrzymujecie na posterunku policji osobę płci żeńskiej – wytyka, zwracając się do najwyższego rangą funkcjonariusza. – Gdzie jest jej *mahram*? Gdzie kobieta, która mogłaby ją przesłuchać? Gdzie damskie cele? Podam was do sądu i to od razu, jak wyląduję w Rijadzie. – Viki obraca się na pięcie i popycha delikatnie rodaczkę do wyjścia.

– Potrzebujesz mojej pomocy? Masz jakieś problemy?

– zwraca się bezpośrednio do Hamida.

– Nie sądzę, ale dziękuję za troskę – załamany sytuacją i wysłuchaną przed chwilą opowieścią Hamid smutno się uśmiecha. – Czy nadal uważacie – zwraca się do funkcjonariuszy – że mogę być świadkiem w sprawie, która miała miejsce, kiedy byłem z panem przewodnikiem-oficerem – wskazuje mężczyznę palcem – jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od miejsca zdarzenia?

– Wynoś się, ale ja cię jeszcze znajdę, Bin Laden!

– Wściekły glina macha głową w stronę drzwi. – Ty tutaj nie przyjechałeś turystycznie. Ja się nie dam nabrać, wciskaj kit innym. Terrorysty zawsze mają sponsorów. – Patrzy groźnie na Hamida, zaciskając zęby. – Zapamiętaj moje imię, Abdurahman Szukri! Jeszcze się spotkamy!

Odszukanie matki

Dobrze by było, żebyś załatwiła sobie polski paszport. Tak dla bezpieczeństwa. Sama zresztą widzisz, co w tym kraju może się zdarzyć.– Ale przecież mówiłeś, że to po raz pierwszy od lat. Nie wpadajmy w panikę, w końcu w obecnych czasach zamachy zdarzają się na całym świecie, nawet w Europie, patrz na Lockerbie, Madryt czy Londyn.

– Czy możesz raz zrobić coś, o co cię proszę, bez przekomarzania się i dyskusji? – Zdenerwowany Hamid trzaska drzwiami i wychodzi do pracy.

Marysia, opanowując wściekłość na zachowanie męża, siada przed klawiaturą komputera i jednym kliknięciem odnajduje polską ambasadę w Rijadzie. Blizutko od niej, może dziesięć minut. Błyskawicznie podejmuje decyzję, bo boi się, że jeśli zacznie rozmyślać, to stchórzy. Narzuca zwykłą, codzienną abaję, chwyta za torebkę i pogania kierowcę. Zanim jeszcze ochłonęła, auto zatrzymuje się przed mało reprezentacyjnym budynkiem w centrum miasta.

– Pomyliłeś się – denerwuje się na szofera. – To nie może być przedstawicielstwo Polski. Toż to zwykła, mała mieszkalna willa, a nie urząd.– *Maam* przeczyta. – Filipińczyk wskazuje palcem na złotą tabliczkę z nazwą wypisaną po angielsku i arabsku.

Dziewczyna, trochę zaskoczona, drżącą dłonią naciska dzwonek do konsulatu.

– Pani co tu? – pyta niegrzecznie stary Pakistańczyk przy okienku wizowym, patrząc na nią spode łba. – Wiza? To trzeba aplikację wypełnić i wszystkie dokumenty przynieść. – Pokazuje jej brudnym paluchem plik formularzy leżący na lepiącej się od brudu ladzie, a potem puka w szybę, gdzie jest przyklejona kartka z informacjami.

– Żarejesztrowacz chciała – kalecząc język, Marysia wydusza z siebie polskie słowa po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat.

– Ja nie rozumiem, *English!* – krzyczy do niej, jakby była głucha. – Konsul? A dzwoniła się umówić?

– Nie... – Dziewczyna czuje się jeszcze mniej pewnie niż na początku i chce jak najszybciej wydostać się z maleńkiej poczekalni. Pot płynie jej po plecach i wydaje się, że za chwilę straci przytomność.

– Pani Polka? – Jak bramy rajy otwierają się przed nią boczne blaszane drzwi i ukazuje się w nich potężnie zbudowany ochroniarz w garniturze.

– Aha – odpowiada resztką sił.

– Wchodzi, nie mdleje mi tu. – Bierze ją pod pachę i usadawia u siebie w kolejnej klitce. – Pić wodę, proszę.

– Wielki mężczyzna oddycha z ulgą, widząc poprawę i powrót sił u Marysi. – Ja panią spiszę i potem pani wejdzie. Już dobrze?

– Tak, dziękuję.

– Ale to nie polski paszport. – Zdziwiony, marszcząc brwi, podejrzliwie patrzy na dokument w zielonej oprawie.

– Libijski. – Zawstydzona dziewczyna opuszcza głowę.

– Ojciec był Libijczykiem, a matka Polką. To nie wystarczy? Przeczytałam, że można się zarejestrować, ot i przyszłam, ale jeśli są jakieś problemy, to już mnie nie ma. – Cierpliwość Marysi właśnie się wyczerpała.

– Pani nie będzie taka honorna, ja jestem od sprawdzania, a nie od myślenia. – Chwyta za słuchawkę telefonu, konsultuje sprawę ze swoim zwierzchnikiem, a potem z bardzo poważną miną wpuszcza petentkę do środka.

Po takim początku Marysi odechciewa się jakiegokolwiek kontaktu z rodakami, ale skoro

już tu przyszła... Wewnątrz budynku jest całkiem przyjemnie i, co najważniejsze, panuje miły chłód.

– Jak się coś będzie działo – po angielsku mówi konsul – to wyślemy do pani e-mail. Spotykamy się z różnych okazji, czy to nasze święta narodowe i religijne, koncerty czy pikniki. Pierwszy w tym sezonie mamy wyjazd do Parku Tumama, także tam na pewno się zobaczymy.

– A kiedy? – Marysia, zadowolona i uśmiechnięta po miłej rozmowie chciałaby, żeby to było jutro.

– Jak wszyscy wrócą z wakacji, jesienią. Na miesiąc wcześniej damy znać, proszę się nie martwić.

– Pani Kingo, pani pozwoli i odprowadzi petentkę do bramy – mówi mężczyzna do telefonu.

– *Hi.* – W drzwiach sali recepcyjnej staje ta sama Kinga, która popisała się wyjątkowo ostrym językiem i brakiem ogłady dwa tygodnie wcześniej na kolacji w domu Bin Ladenów.

– *Hi.* – Zaskoczona Marysia uśmiecha się i wstaje do wyjścia.

– Siadaj, kobieto. – Pracownica ambasady popycha ją delikatnie na sofę. – Musimy w końcu normalnie pogadać. Ale dałam dupy ostatnio, nie? Mój stary też... – Od tych słów dziewczynom nie zamykają się usta. Opowiadają sobie historie swojego życia dosłownie od urodzenia. Marysia oczywiście wprowadza drobną cenzurę, nie zwierzając się z pikantnych szczegółów o małżeństwie swoich rodziców, libijskim bagnie, gwałcie w Ghanie, zamordowaniu Maliki oraz przede wszystkim tajnej działalności Hamida w Jemenie. Babcie Nadię uśmierca w wypadku samochodowym. Obiecuje sobie, że kiedyś, w innej sytuacji i w innym miejscu, opowie swojej nowej przyjaciółce wszystko ze szczegółami.

– Tak to mniej więcej wygląda – podsumowuje Marysia, czując, że po dwóch godzinach musi w końcu opuścić ambasadę, bo inaczej umięśniony ochroniarz albo ją zastrzeli, albo skręci jej kark. Zaglądał już do pomieszczenia, gdzie rozmawiają, ze trzy razy.

– Pierwsze primo: trzeba ustalić, gdzie w Polsce przysłaś na świat i ściągnąć ci akt urodzenia. Drugie primo – Kinga sama śmieje się ze swojego żartu – twoja mama i siostra gdzieś muszą być. Trzeba rozpocząć poszukiwania. Masz jakieś zdjęcia?

– Aha, jedno, kiedy mama była ze mną w ciąży. – Marysia wygrzebuje z małej damskiej torebki portfel i wręcza Kindze wyblakniętą fotkę. – Lecz przecież mogła zmienić się nie do poznania!

– Ty, słuchaj! – Polka skacze na równe nogi. – Ja jestem przekonana, że ją widziałam w Rijadzie.

– Jakim cudem? Co ona by tutaj robiła?

– Jak bogackiego, znam tę twarz! – Kinga jest coraz bardziej pewna. – A przyjechać do Saudi mogła, jak każdy z nas, dla szmalu.

– To co robimy?

– Daj mi to zdjęcie, zrobię skan i, jeśli oczywiście się zgodzisz, puszczę e-mailem do Polonii.

– Boże, jaka ty jesteś łebska baba! – Marysia ze wzruszenia przytyka dłonie do ust.

– Zobaczysz, z ciotką Kingą nie zginiesz i jeszcze wszystko w twoim życiu się ułoży. Każdy człowiek potrzebuje rodziny, bo mąż to tylko obcy facet, którego się przygarnęło. – Po tych zabawnych słowach, podekscytowane przyszłym dochodzeniem, wybuchają gromkim śmiechem, na co wchodzi rozjuszony już gość z obstawy.

* * *

– Kinga, czy mogłabyś mi pomóc w jeszcze jednej sprawie? – Marysia zaraz następnego

dnia dzwoni do nowej przyjaciółki na komórkę. – Wiesz, ty tutaj tak długo mieszkasz i na dokładkę masz męża lekarza...

– A co, chora jesteś? – Kinga przerywa gwałtownie.

– Mój stary to chirurg plastyk, ale oczywiście ma mnóstwo kolegów w branży medycznej.

– To trochę inna specjalizacja niż Amira... Potrzebuję dobrego ginekologa. – Marysia wyrzuca z siebie jednym tchem.

– W ciąży jesteś?

– Właśnie nie i to mnie martwi.

– I znów dobrze trafiłaś – śmieje się Kinga. – Nawet nie wiesz, jakie problemy myśmy mieli, żebym zaszła. Już nawet myśleliśmy o adopcji jakiegoś Murzynka.

– Znów spadasz mi jak z nieba.

– Jest tutaj jedna pani doktor, Hinduska. Ona czyni cuda. Ale żeby się do niej dostać, trzeba czekać nawet pół roku.

– O mój Boże. – Marysia się załamuje.

– Spokojnie, po co się ma znajomości? Tak tylko sobie gadam, żeby się dowartościować, załatwię ci wizytę jeszcze w tym tygodniu. Jak stoisz z czasem?

– Mam go aż za dużo.

Opieka medyczna w Arabii Saudyjskiej jest na najwyższym poziomie. Mają wystarczająco dużo pieniędzy na zakup najnowszej aparatury oraz na zatrudnianie najlepszych specjalistów z całego świata. Szpitale i małe kliniki budują znawcy tego typu konstrukcji, dodając do przyjętych norm przepychy i elementy architektury Orientu.

– Mam w domu taki album i na jednym zdjęciu jest uwieczniona pomoc medyczna w Saudi chyba w latach czterdziestych – mówi szeptem Marysia, zszokowana i zachwycona nowoczesnością i przepychem prywatnej kliniki, na której teren wchodzi. – Na fotografii jest miejsce na starej Dirze, która teraz słynie ze złotego suku, a wtedy stanowiła centrum miasta. Dwóch brudnych facetów w galabijach siedzi na ziemi. Jeden to medyk, a drugi to pacjent. Felczer palcami wrywa ząb. Brudne łapska wsadza do ust pacjenta, a obok stoi tylko mała blaszana miska z wodą do dezynfekcji rąk doktora. Ale postęp w tak krótkim czasie! – Marysia nie może wyjść z podziwu.

– Widzisz, co mogą zrobić pieniądze? Jeśli się nimi mądrze gospodaruje, to czasami można zrobić dużo dobrego. – Kinga uśmiecha się z przekąsem.

Dziewczyny przecinają wielki plac przed kliniką, zbudowaną w kształcie litery C. Na środku przyjemnie pluszcze fontanna, których w Rijadzie pełno. Otaczają ją karłowate drzewka. W pewnej odległości pod rozłożystymi palmami i akacjami, dającymi przyjemny cień, ustawiono piękne drewniane ławki z solidnymi metalowymi okuciami. Wszystko zostało zaprojektowane w kolorach brzozy, brzozy i pomarańczy, chyba aby uspokoić zmierzającego na badania pacjenta, co zresztą w stu procentach się powiodło w przypadku Marysi. Wyłożony łososiowym lastrikiem dziedziniec otacza szeroki pas trawy, z którą bezpośrednio graniczy budynek. Wejście jest ogromne – przechodzi się przez automatycznie rozsuwane drzwi, a wielkie klimatyzatory zawieszane u sufitu chłodzą tak na zewnątrz, jak i w środku. Kiedy kobiety przekraczają próg przybytku Asklepiosa, otacza je rześkie powietrze, miłe twarze filipińskiego personelu uśmiechają się i czuć cudowny zapach świeżo parzonej kawy z kardamonem, pieczonych bułeczek oraz lawendy. Nie odrzuca smród chloru, lekarstw czy chorych ludzi. Nie widać cierpiących pacjentów ani żadnych oznak choroby.

– Wszyscy chyba przyszli tutaj dla przyjemności... – zauważa Marysia.

Recepcja jest zaraz naprzeciwko wejścia i nie ma przy niej żadnej kolejki. W lewo szeroki korytarz prowadzi do części przeznaczony na badania pediatryczne i ginekologiczne. Zanim

wejdzie się do wielkiej poczekalni, mija się parę bufetów: z kawą i ciastkami, naturalnymi sokami, wodą mineralną oraz szybkimi daniami na ciepło. Minipizze i hot dogi aż wołają, aby je zjeść.

– Ale apetyczne. – Marysia popycha koleżankę w stronę baru. – Strasznie jestem głodna, choć ceny są zabójcze.

– Przyjdziemy tutaj po wszystkim. – Kinga bierze ją za rękę i ciągnie za sobą. – Mam nadzieję, że jesteś na czczo?

– No właśnie. – Marysia przyciska burczący brzuch.

– Nie bądź dzieckiem.

Ludzi jest mnóstwo, kobiety z maleńkimi dziećmi na kolanach i mężczyźni bawiący się z większymi pociechami. Dla wszystkich są miejsca, wygodne fotele ustawiono wzdłuż ścian i podłużnych kawowych stolików. Leżą na nich gdzieniegdzie resztki jedzenia czy picia, zabawki, butelki niemowlęce. Panuje rozgardiasz, ale nie bałagan. Co chwilę przechodzi sprzątac z azjatyckiego pochodzenia, który przeciera podłogi i zbiera większe śmieci. Woda w wielkich galonach jest dostarczana non stop, bo dzieciaki mają wielkie pragnienie albo też podoba im się nalewanie do papierowego kubka w kształcie różka. Zadziwiający jest fakt, że małe saudyjskie pociechy przeważnie nie wrzeszczą, nie rozrabiają, słuchają starszych i interesują się młodszym rodzeństwem. Siedzą grzecznie na swoich miejscach i jedyne gwałtowniejsze ruchy, które wykonują, to machanie zwisającymi nóżkami. Rodzice też są cisi, bo i na co tutaj krzyczeć? Marysia wspomina rodzinne spędy w Trypolisie i dochodzi do wniosku, że wszystkie maluchy w tej klinice muszą być chore, bo takie zachowanie u dzieci nie jest normalne. Nawet noworodki nie kwilą. Coś niesamowitego.

– Masz ubezpieczenie czy płacisz gotówką? – pyta Kinga, kiedy stają przy ladzie recepcji.

– A myślisz, że ja wiem? – Marysia chwytą za komórkę i dzwoni do męża. – Jestem z koleżanką u lekarza i nie wiem, czy mam jakąś polisę – mówi przez ściśnięte gardło do Hamida.

– Czemu nie powiedziałaś, że jesteś chora? Poszedłbym z tobą! Co się dzieje?

– Zapisałam się do ginekologa. To są babskie sprawy i tutaj zgadzam się z segregacją płci.

– Jeśli małżeństwo ma problem, to wspólnie idzie do lekarza. Nie jest powiedziane, że leży on po twojej stronie, o czym zapewne zostaniesz za chwilę powiadomiona – stwierdza Hamid obrażonym tonem. – Ale rób, jak chcesz. Jesteśmy ubezpieczeni w Tawuniji, twój numer to data urodzin. – Odkłada słuchawkę.

– Zły? Faceci chcą uczestniczyć w takich sprawach – mówi Kinga, załatwiając jednocześnie całą papierkową robotę.

– Najpierw sama chciałam sprawdzić, czy ze mną wszystko w porządku. To krępujące tak obnażać się przed mężczyzną.

– Chyba robisz to co wieczór, kotku? Kobiety siadają w wypełnionej po brzegi poczekalni i już po chwili Marysia zostaje wezwana do środka.

– Iść z tobą? – pyta koleżanka. – Ty w ogóle kiedykolwiek byłaś u ginekologa? Coś mi się wydaje, że niekoniecznie.

– Tylko raz, dawno temu w Ghanie, ale wtedy byłam jeszcze nastolatką.

– Aha.

Doktor Singh bardzo sprawnie i bezboleśnie bada pacjentkę. Zanim wkłada wziernik, wyciska na niego trochę znieczulającego, chłodzącego żelu, a brzuch uciska przez sterylne białe prześcieradło. Na miejscu robi USG macicy, tak zewnętrzne, jak i wewnętrzne. Później wypisuje stertę skierowań na testy i analizy i równie sceptycznie co Kinga podchodzi do informacji, że Marysia tylko raz była u babskiego lekarza.

– To teraz chciałaby pani mieć dziecko, tak? – pyta, kiedy siadają już po wszystkim wygodnie.

– Zgadza się.

– Jedno, co zauważyłam, badając panią, to blizny na lewym jajniku. Są głębokie i nierówne. Mogła pani usunąć ciążę u lepszego specjalisty, w Europie czy Ameryce jest takich niemało. Ta aborcja wygląda mi na robioną domowym szydełkiem.

Kinga wybałusza oczy i zaraz wbija je w podłogę, a Marysia robi się biała jak ściana. Ścisła dłonie i czuje, jak pot zaczyna jej spływać po plecach. Właśnie tego się obawiała. Dlatego nie chciała przyjść tutaj z Hamidem.

– Nie zawsze mamy odpowiednie warunki, aby zasięgnąć pomocy lekarskiej na wysokim poziomie – cedzi słowa przez zęby. – Kiedy mnie zgwałcono, byłam nastolatką i mieszkałam z rodziną w Ghanie. Moja ciotka pracowała w dyplomacji, a reszta rodziny to same panie. Nie było lepszej opcji, jak potajemnie wykonanie zabiegu w szpitalu w buszu u zaprzyjaźnionego lekarza misjonarza. Nie chciałyśmy kompromitacji i zrujnowania kariery kobiety, która była nam bardzo droga i na dokładkę nas utrzymywała.

– Cóż... – Lekarce robi się głupio i zaciska usta. – Pani mąż o tym wie?

– Nie i dlatego jestem tutaj bez niego.

– Czy nie dobrze byłoby z nim porozmawiać? Jest Arabem?

– Tak.

– To lepiej nie. Ja oczywiście zachowam tajemnicę lekarską, więc następnym razem może pani przyprowadzić go ze sobą. Możliwe, że jego też będziemy musieli poddać paru testom. Wina niekoniecznie musi leżeć po stronie kobiety. To tylko mężczyźni tak uważają.

– On jest światłym człowiekiem i mówił mi dokładnie to samo, co pani. Jednak nie chcę narażać naszego małżeństwa i wystawiać na próbę jego miłości. Gdyby dowiedział się, że gwałciło mnie stado Murzynów, możliwe, że już nigdy nie darzyłby mnie takim czystym uczuciem jak do tej pory.

– Sporo masz takich tajemnic na swoim koncie? – pyta Kinga po wyjściu z kliniki.

– Aż za dużo jak na jedną osobę w tak młodym wieku – wyznaje Marysia. – Mam nadzieję, że kiedyś będę ci je mogła wszystkie wyjawiać.

– Najlepiej będzie, jak odnajdziemy twoją matkę. Ona cię wysłucha, utuli, zrozumie i pocieszy twoje młodzieńcze, ale już ciężko doświadczone serce. – Marysi łzy zbierają się w kąciakach oczu. – Teraz zlokalizowanie jej stało się dla mnie priorytetowym zadaniem, moja mała. Też mam córkę, ma siedem lat.

* * *

– Łukasz, otwórz drzwi, ja mam mokre ręce – krzyczy Dorota z kuchni w stronę salonu.

– Ja, kobieto, też coś robię, masz bliżej.

– Oczywiście, jak zawsze. – Wzdycha. – Darusia, przypilnuj przez jedną minutkę Adasia, zaraz wracam.

– Dobra, dobra – odpowiada nastolatka z uśmiechem, obejmując brata ramieniem. – Ależ komuś się pali. Przecież nikogo się nie spodziewamy.

Nadal szczupła, choć już prawie czterdziestoletnia Dorota wychodzi na podwórze, gdzie jak watą okleja ją upał Rijadu.

– *I am coming!* – woła kobieta, słysząc następny dzwonek.

Ze złością na taką nachalność nieproszonego gościa gwałtownie otwiera metalową bramę i staje jak wryta. Na chodniku przed domem stoi młoda dziewczyna o arabskich rysach i zadziwiająco jasnej karnacji, krętych złotych włosach, w długiej do ziemi abai.

- Kto to? – Dorota słyszy za sobą głosy Łukasza i Darii.
- Dzień dobry, mamó... W końcu cię odnalazłam.
- Moja Marysia, moja córeczka kochana!

